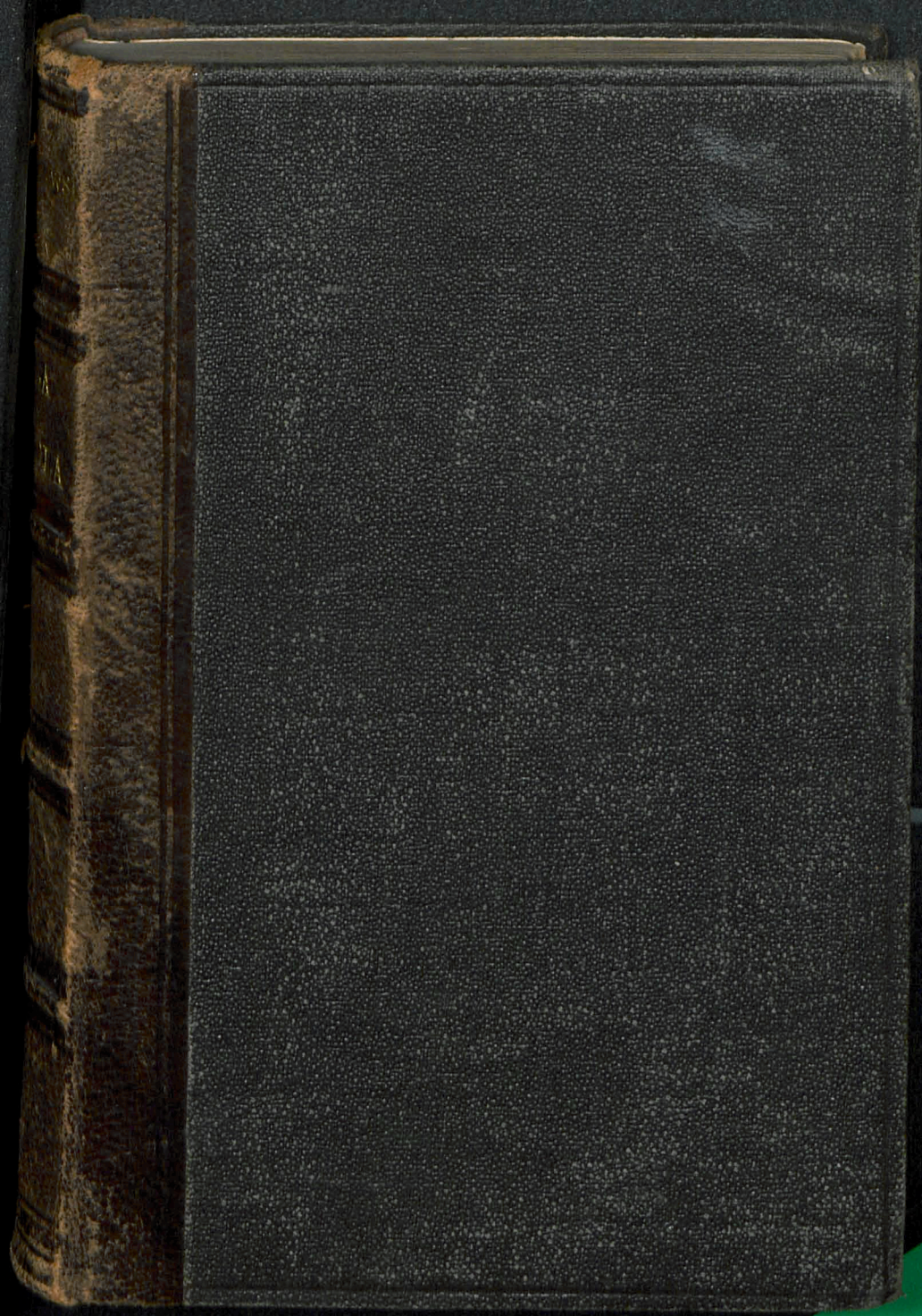




WYDANIE JUBILEUSZOWE

J. I. KRASZEWSKIEGO.

111. IX. 13

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.

DOLA I NIEDOLA

Powieść historyczna.

CZĘŚĆ I.

TOM II.

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA.

DRUK JÓZEFA UNGRA,

ulica Nowolipki Nr 3.

1881.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Мая 1881 года.



МК 14/992

DOLA I NIEDOLA.

POWIEŚĆ

Z OSTATNICH LAT XVIII WIEKU.

W dawnéj Polsce, Pan Bóg podejmował się uczyć ludzi pokory. Jak zwykle w społeczeństwach, które człowiek buduje po swéj myśli na jakichś podstawach niedostatecznych — los nieustannie zwróty prostował błędy instytucyi, przypominał prawa i prawdy ogólne, wiekuiste, którym wszystko ulegać musi. Szlachectwo dążyło do przerośnięcia w próżniaczy przywilej; ale ilekroć rodzina zapragnęła go używać, w drugim lub trzecim pokoleniu czepiała się jéj jakaś choroba, przychodził nieznacznie upadek i zmuszał do pracy. Ilekroć naród zapragnie walczyć z wolą bożą przeciw prawdzie wiekuistéj, zawsze, jak w boju Tytanów, pada na twarz zdruzgotany piorunem przed majestatem jéj zwyciężkim. Nie tylko u nas się tak działo: rozbogacone a zniewieściane rodziny patrycyuszów i dożów weneckich, jeszcze przed upadkiem Rzympopolitéj, zaczynały mrzeć z głodu po opustoszałych pałacach.

W historyi naszych rodzin szlacheckich mamy mnóstwo podobnych przykładów téj niestałości a raczej sprawiedliwości losu. Gdy jedna klasa społeczeństwa, kosztem drugich wylamać się chciał z po-

wszechnego prawa i podnieść, zasługą dawną kupując przewagę spadkową,—szły wkrótce jój tarcze herbowne nad bramy starych rozwalonych chałup, a nie skartabellaci i nowi ludzie ze krwi powstający, ale zabiegłe nawet włóczęgi, najlichszego pochodzenia zajmowały ich miejsca po pałacach.

Czuło to szlachectwo nasze, że skoro tylko owoców swojego wyjątkowego położenia używać zechce nie pracując, zawsze w końcu musi przyplacić to ubóstwieniu siebie najostateczniejszym upadkiem. Dla tego aż do końca XVI wieku, za Batorego i Zamojskiego, wymagano odświeżania krwią starego zapleśniałego szlachectwa, i można je było postradać, przestając nosić godnie. To odnawianie herbów na placu boju, przypominające ich początek, poszło potem w zapomnienie, chociaż było wielkiego i potężnego znaczenia. Tylko ludzie tacy jak Potocki, pisząc o szlachty klejnotach, żywo jeszcze je przypominali, karcąc rozpieszczone dzieci. Ale prawdę ową jak piłkę każdy odrzucał drugiemu, nie biorąc jój dla siebie.

Kazania nie pomagały, choć je często powtarzano; było uznanie prawdy w głębi, ale w czyn nie przechodziła: mimowolnie wyjątkowe położenie, do którego się nawykło, zdawało się już sprawiedliwem i koniecznem.

Na pokojach, przy kieliszku dobrego węgryzna, mówiono czasem złote prawdy o znaczeniu stanów; ale w ganku potem przyjmowano chłopą z góry jako chamskie plemię. Co gorsza, gdy za świetnych czasów naszych najwyżej stojący ludzie, krwią i złotem fortun poświęconych w usługach ojczyzny opłacali wywyższenie, później już tytuły i dostojęństwa stały się pastwą dworaków: ubożsi za nich krew przelewać mu-

sieli. Choroba wreszcie wydawała się stanem naturalnym.

Ale Pan Bóg naówczas przypominał obłąkanym równość ludzką w obliczu obowiązków i pracy, upadkiem fortun, gorszym upadkiem charakterów i idącym za nimi nieuchronnem upokorzeniem.

Przerzucając karty dziejów, spotykamy na nich co chwila nowe imiona wybijające się różnemi zasługami po nad fale, inne tonące ciężarem bezmyślnego obywatelnictwa. Napróżno usiłują podnieść się dumą, chwytają się pamiątek, czepiają zbutwiałych wspomnień: muszą ginąć i ustępują miejsca ludziom nowym. Ten *homo novus* jest na każdej stronnicy kronik naszych, czasem istotnie wielki zasługą, często wynoszący się przypadkiem lub tajemniczymi wpływami.

Choć stara jest rusińska Śrzeniawa, Lubomirscy z niej rosną w siłę istotną dopiero za Zygmunta III; choć dawna Pilawa Potockich, rozgłos jój nie sięga daleko, póki jój krwią nie obleli; choć Jelita Zamojskich sięgają Łokietkowych czasów zasługą, Zamojscy do dawnego blasku odradzają się geniuszem hetmana. Wszędzie, każdej rodziny patriarchą jest jakiś mąż wielki w boju lub radzie, wielki mężstwem, rozumem, poświęceniem. Jeżeli spadkobiercy wezmą po nim nie sam majątek, ale i cnotę z nim razem, stają na szczytach, który on dla nich wywalczył; jeżeli zgnuśnią, wkrótce z niego spadają. Gdy siły ducha nie stanowią, ani kolosalne zbiory, ani rozległe majątkości, ani imię lśniące, ani stosunki, kolidacje i intrygi nie starczą na długie utrzymanie rodziny w dawnym jój blasku. Brak ludzi skrzętnych rozprasza zbiory, wielkość rodu maleje nicością umysłów; nareszcie martwe lalki stają nad grobami bohaterów i śmieszają przechodniów.

Po Janie III, Sobiescy mimo swych europejskich kolligacyj i niezmiernych skarbów schodzą bezpotomnie; po Stanisławie nie ma Leszczyńskich. Tam, gdzie ród podtrzymuje praca, talent, charakter, ofiara, a choćby jaka taka wspólność z narodem; trwa rodzina; jak tylko pan wyosabnia się, odstaje, oddziela, bądźcie pewni, że jego krew nie daleko popłynie, że imię zmaleje i wielkość się rozproszy.

Jakiś czas świeci zorza zgasłych słońc, ale gaśnie w końcu i noc po niej znówu.

Tym bardzo prostym prawdom społecznym nie wszyscy wierzyć chcieli, bo każdemu bezmózgowemu sybarycie zdaje się, że jest wielkim człowiekiem, gdy ma za co kupić ałasu i aksamitu, aby się od siermiężnych ludzi odróżnić. Gdy do tego jeszcze ma się piękną, białą twarz, a trochę powierzchownej oglady, której nabywają i dobrze wychowane pieski: to już dosyć, że się żyje i świeci oczyma. A próżnowanie, to rzecz tak lekka i dobra, a używanie bez pracy tak smakowite, tak łatwo w nałóg przechodzi!

Ale wkrótce po tym rozpasanym mięsopuście następuje nieunikniony popielec: post nędzy i osamotnienia. Mnóstwo rodzin upadło tak podniosłszy się do szczytu, gdy sądziły, że raz osiągnięte stanowisko ekwilibryczną sztuką na wieki utrzymać się może, że na niem wytrwają bez potu.

Inne szczęśliwsze zachowały dostojność, ale je obajła sama wielkość poświęceń dla kraju, bo na obywatelach w tém rozumieniu, jakie przywiązywano do imienia obywatelskiego, nie zbywało po wszystkie czasy. *Civis polonus* jak *civis romanus*, wysoko patrzył ideałem. Czuł on, że w sobie stawić miał przykład chrześcijański ofiary jednego za wszystkich, i starczył

kościom jego grób nieznany w dzikim polu, na którym pisano później:

Exoriare aliquis...

Dzieje tych rodzin co runęły rozpustą, są niestety głośnie; dzieje cichych dzieci poświęcenia, mniej daleko znane.

Jednym razem, nagle milknie naokoło nich rozgłos, rozstępuje się tłum pochlebców szczęścia, dworaków powodzenia, pałace przechodzą w ręce zręcznych dorobkiewiczów, a potomkowie senatorów idą na zagon ostatni orać ziemię, którą ojcowie ich krwią oblewali, i nie skarżą się.

Pomimo wysiłków możliwych rodzin, aby się utrzymać na raz zdobytej wysokości, co chwila ważą się ich losy: wałą się zamki, a chaty obrzymieją w pałace, kasztelaństwa spadają na szaraczkowe kapoty krwią poplamione, laski zmieniają się na kije, infuły na lisie kapuzy. I nikt się temu nie dziwi, bo albo to sprawiedliwość boża, albo niesprawiedliwość ludzka: oboje rzecz są na świecie zwyczajną.

Do tych rodzin, które dziwne zrządzania losu strąciły ze szczytu, gorzej niż w nicość i ruinę, bo w skamieniałą bezwładność, należała od dawna starożytna familia Toporezyków. Zajrzeć potrzeba do herbarzów, co to był za ród, jakie majątności, jaka władza i przewaga w narodzie. Tęczyńscy główna odrośl Topora, stali jako baszta przodem od kraju do świata; Topór ich, choć nie krwawy, groził każdemu, coby go śmiał się dotknąć. Nie nowina im było choćby i z królewską krwią się bratać, pierwsze mieli krzesła, najwyższe dostojęństwa w senacie, a co większa, pierwszy i prze-

ważny głos w kraju, tak, że krzyknąwszy: *Starża!* połowa szlachty leciała pod ich chorągiew.

Otoż cała ta wielkość, te dwory, w których spisywano zaginione dziś pamiątki rodu, te wieże, w których pokutowały dziewice, te grody, w których panowali, włości i ziemie, co były ich własnością odwieczną, pod koniec XVI wieku poszły rozdrobnione, podzielone w poniewierkę po kądzieli. Główny szczepek Toporeczków wygasł, a choć tarcza herbowna pozostała na innych zamieszczona gałęziach, z zamków w ruinie przeszła na drzwi szlacheckich dworów i bramy nowych a kruchych pałaców. Topór i Starżę znalazłeś w sygnecie szaraczkowego szlacheica: po pańskich dworach tylko ich dawniej wielkości wspomnienie.

Najdłużej ocalała ze szczepu tego rodzina O....., ale i tych dużo już było zubożało pod koniec XVIII wieku. Imię to przejęło na się cały blask dawnego Tęczyńskich domu, ale nie świeciło długo. Jeszcze za Wazów O... grali świetną rolę, ale po zamkach, pałacach, salach, nie zaś na polu bitew i znojów. Dalej coraz ród poczciwy ale słabnący, bielał, delikatniał, drobniał, francuział cywilizując się, jakby ubierał się do trumny.

Koronki, fryzury, złociste lamy, w których go występującego widzimy, to już niby strój jego pogrzebowy. Pół żywota za granicą, język własny zapomniany, a cała wielkość w tytule.

To pewna, że którykolwiek z naszych panów wcielił się do Cesarstwa Niemieckiego, przyjmując tytuł od niego, już powoli samą mistyczną siłą tej zmiany imienia, która jest zarazem zmianą charakteru, odstawał od kraju i kopał sobie mogiłę.

Z Toporeczków O... nie wszyscy wszakże poszli na pańską paszę, na dwory cudze i cudzoziemszczyznę: dużo z nich rozdrabiając mienie, pozostało przy szlacheckim ubóstwie. Na Podlasiu zwłaszcza była ich mnogość tego samego rodu, nazwania, herbu, ale żyjących w mierności, prawie niedostatku dochodzącej.

Czuając, że Toporeczek nie może być dusigroszem i sknerą, ubodzy, rozrodzeni, w potrzebie kraju do ostatniego się stawili i ciałem i workiem, aby ich Topór zawsze przodował poświęceniem; i tak ofiarując się dla imienia, aby godność jego utrzymać, zeszli na ostatnią prawie niemoc, ale z dumą na czole i spokojem sumienia.

Upadek taki można było nazwać tryumfem, powszechna też cześć otaczała tę zacną rodzinę, teraz szlachecką, niegdyś pańską, ale mającą po za sobą wielki nieprzerwanych zasług i niepokalaną cnotę. Tylko możniejsi a zniewieściali krewni tegoż imienia patrzali na szare kapoty szlacheckie z niejakiem upokorzeniem; a że do rodzinnego nazwiska przyklepili tytuły, niechętnie spoglądali na tych ludzi co je bez żadnego nosili dodatku. Kilkakroć nawet ufni w siłę swych stosunków, próbowali odrzucić tych ubogich familiantów swoich i odsądzić od herbu i imienia, zadając im przywłaszczenie nazwiska i tarczy, co się im wszakże nie powiodło.

Ta część kraju, w którą ubogich O... losy rzuciły, zdawała się stworzoną na ten wypoczynek cichy po wiekach trudu, na odpięgnięcie w rodzie iskry do nowego życia ostrym rozdmuchaniem znojem.

Nadbużna ta okolica podlaska wyglądała cała na zamkniętą ustroń czasów; nie jest ona ani piękna, ani wesoła, ale tęsknie poważna i pokochać się w niej

można byle się tu lat kilka przebyło. Szerokie pasy lasów odgradzają ten kąt od świata; nizina płaska jak morze ciągnie się błotami, borami, wydmami poprzerynana. Nigdzie oko nie może z niej wybiedz daleko; niebo zdaje się tu niżej opuszczać i tulić ten kraj ciszy, wśród którego płaczliwe odzywają się głosy ptactwa wodnego i szum nieustanny pacierzy drzew, które szepeczą po cichu, jakby modlitwę chór zakonny.

Wzrok opiera się wszędzie o ciemną gajów i borów wstęgę; ziemia pod stopami wygląda jakby tylko co opadły muł potopu; tu i owdzie nie zbiegły nawet jeszcze kałuże, a trzęsawiska sitowiem pokryte przeciągają się wzdłuż pól w głębinę lasów. Przestrzenie, które w górzystych krajach zdają się skracać i zbliżają przedmioty, tu dziwnie ludzą oddaleniami, których nie ma. Na horyzoncie daleko ukazuje się wieś mglisto, a za kilkanaście minut już ją masz przed sobą.

Wielkiego uciszenia tych zaklętych ustroni nie przerwa nigdy nawet wichur gwałtowny, bo go rozbijają i przytrzymują lasy, ale jeśli burza spadnie na te kotliny, już nie jęć z nich nie dobiedzie: wyleje się cała do ostatniej kropli i wyładuje do ostatniego pioruna... obala całe lasów łany i zatapia ogromne obszary.

Za to wiosna wśród tych wonnych borów, których powietrze na wskroś przesycają wyziewy drzew rozpękających, okryta kwiatów tysiącem, rozśpiewana tysiącem ptasich głosów, jest chwilą rajskiego uroku.

W tym to cichym zakącie, ubodzy O... w pozostałych im ze starych majątności drobnych i porozdzielanych osadach mieszkali w końcu XVIII wieku.

Było ich tam kilku jeszcze, a najmajątniejszy z nich miał ledwie dziesięciu poddanych i kilkadziesiąt włók gruntu, z którego garbatszy tylko i suchszy szedł pod uprawę. Wioseczka jego między Białą a Łosicami położona, wcale była ładna, i u szlachty okolicznej uchodziła nawet za złote jabłko. Tym owocem droгим uczyniła ją praca posiadacza.

Pan Krzysztof nawet nie miał tytułu, zwano go tylko od ojca czy dziada stolnikowiczem, był teraz głową rozrodzonej i zubożałej rodziny. Do niego to należało złote jabłko, Wólka Brzozowa. Na pagórku stał drewniany dworek o ganku ze słupkami wedle obyczaju, otoczony sadem i ogródkiem, z gołębnikiem w dziedzińcu i studnią z żurawiem. Zaraz po za nim był brzozowy gaik, od którego imię wzięła wioska; na jego tle malowało się całe to skromne szare zabudowanko szlacheckie.

Nieco opodal, połączona drogą obrzuconą żerdziowym płotem i ostawioną krzyżami dwuramiennymi, sta-

ła mała wioseczka, z małą też staruszką drewnianą cerkiewką. Przyjeżdżał do niej paroch z sąsiedniej wsi, co dwie niedziele, dla odprawiania nabożeństwa. Wieś cała w gruszach i jabłoniach, cała w krzyżach i jałowcach, nisko siedziała na suchym, piaszczystym wygonie, zarosłym piołunami i dziewanna. Tuż widać było ementarzyk żółty z kilku starymi sosnami, posiany kłodami oznaczającymi groby.

W niewielu miejscach utrzymał się ten obyczaj, pogański zapewne, stawiania drewnianych małych chatek nad mogiłami, które ubożsi zastępowali grubą tylko kłodą, w jednym końcu przyozdobioną wyciętym z niej krzyżykiem. Tu i owdzie pełzał jodłowiec drobny po tej ziemi jałowej, w której rzadko gdzieniegdzie porastała trawa.

Okolice jak zająć płaską, przeciętą była tylko kilku nieco wyższymi grobelkami; z tych młodsze zasłaniały już widok dalszy: taka wszędzie była równina. W prawo zalegało duże błoto aż pod las się ciągnące, a wśród niego gdyby rzeczka kręcił się bród zwany Kamiennym, nie wiedzieć dla czego, bo w nim ani jednego nie było kamyka. Ludzie jednak starzy powiadali, że niegdyś leżała na brzegu duża bryła, którą na fundamenta cerkiewki, rozbiwszy, użyto. Na lewo po za wioseczką w dali, druga wieś pod lasem ciągnęła się długim sznurem chat ciemnych.

Wprost był bór, dokoła gaje i lasy.

Wszedłszy tutaj, zdawało ci się, że cię od świata ściągnięte drzewa oddzieliły na zawsze, że tu jego wrzawa i gorętsze życia zapasy wnijść nie mogły. W istocie, Wólka Brzozowa leżała na uboczu od wszystkich większych traktów; na jej gruntach było się jak w izbie

zamknięty. Obcy chyba tu umyślnie przyjechał lub zbłąkany zawitał; dzieci wiejskie uciekały od przechodnia: Wszystkie psy zajadle szczekając przeprowadzały go daleko.

Żył się tu, wedle przysłowia, jak u Boga za piecem; mieszkańcy sami u siebie utrzymywali porządek i obchodzili się bez ramienia sprawiedliwości. Raz w tydzień jechał arendarz do miasteczka po domowe zapasy i wiadomości, i on stanowił jedyny węzeł ze światem łączący Wólkę Brzozową. Sławna była ona z tego, że się tam od niepamiętnych czasów ani kryminał żaden, ani wypadek tragiczny, ani nawet większe nie przytrafiło złodziejstwo. Idąc na żniwa i sianożęcie, rzucano chaty niezamknięte, starsze psy tylko wartowały na przyźbach; w nocy ledwie kto drzwi zasunął: tak się wszyscy czuli bezpieczni. Kilka tych rodzin stanowiło jakby jedną, a i dwór dla nich był nieczem więcej tylko głową wspólną rodziny.

Ojciec pana Krzysztofa i on sam żyli podług starego obyczaju z chłopem w poufałości braci starszych, a ubóstwo i prostota życia jeszcze bardziej wzajem ich ku sobie zbliżały. Dworek był dawniej budowany, ale krzepko jeszcze wyglądał, chociaż trzecie już pokolenie ścianami swemi obejmował. Pokryty słomą, z kilku późniejszymi przybudówkami, stał osłonięty sadem i gajem, gdyby spokojny człowiek pod piecem.

W pośrodku było tam jak to u nas prawie we wszystkich takich szlacheckich dworach bywało, schludno, czysto a ubogo. Stały proste ławy kilimkami pokryte, stołki wypoliturowane użytkowaniem, i trochę sprzętu wystawniejszego, z dawnych czasów zachowanego troskliwie.

Pierwsza większa izba od gościa i święta, nie była

o wiele paradniejsza od drugich, dywanik wyszarzany pokrywał tu stół duży, w kątku stała Kolbuszowska szafeczka, między oknami wisiał duży obraz Chrystusa—*Ecce Homo*. Smutna ta twarz zdawała się strzedz cichego ustronia i przypominać mu, że ten tylko człowiekiem jest, kto cierpieć umie.

Pamiętka niemal jedyna z dawnych zamożności czasów, Chrystus ów był pięknego pendzla staréj włoskiej szkoły. Umlano go tu ocenić bo jak żywy Chrystus, obraz ten nawet do nieznających sztuki przemawiał. Nieraz prostym ludziom patrzącym nań dłużej, w oczach stawały łzy; nieraz ci, co już się obyli z tym wizerunkiem, poglądając nań czuli, jakby do nich nową jakąś mówił boleścią. Było to areydzioło zagrzebane w tym kątku, ale uznane przez wszystkich,—i O... nigdy się go pozbyć nie chcieli, choć od nich po kilkakroć dosyć drogo odkupić je chcieli. Cała rodzina gromadziła się przed tym obrazem na modlitwę w dni uroczyste, gdy do kościoła dojechać nie mogła, i czasu wielkich burz, które często te niziny latem nawiedzały. Chrystus z Wólki Brzozowej uchodził nawet za obraz cudowny, i nieraz się przed nim paliła świeca przyniesiona z daleka.

Stolnikowicz dobrowolnie myślał go parę razy ofiarować do kościoła, ale ciężko mu było się rozstać z tą rodzinną pamiętką i opiekunem domu, który patrzył na wszystkie jego radości i niedole. Przed nim on troski wylewał i żale, do niego się uciekał w strapieniu, często w nocy widywano go przed nim pobożnie klęczącego ze złożonymi rękami. Po za obrazem sterczały pozatykane palmy kwietniowe, nad nim wisiały wianuszki od święta Bożego Ciała i wiażanki poświęcone na N. Pannę Zielną. Ramę miał czarną, nie-

zdobną; od dawna jednak zbierano się na kosztowniejszą, ale malarz i pozłotnik z miasteczka chciał tak drogo od roboty że stolnikowicz zawsze to jakoś do namysłu odkładał.

Obraz ten był najdroższym klejnotem domu, reszta więcéj niż skromna była; może gdzieś w skrzyni kosztowniejsza karabela, spinka, pas lity, sygnet z herbem i kilka ksiąg, w których się zapisywały ważniejsze sprawy i pozostały z dawnych rodziny splendorów.

Mylimy się; na czole pana Krzysztofa świecił największy splendor: mimo swego ubóstwa był on postacią jakby ze starego jakiegoś portretu wykradzioną, wzbudzająca poszanowanie w tych nawet, co go bliżéj nie znali.

Słuszny, krzepki, żyłasty, ale nie otyły, prosty jak sosna, silny jak dąb, kroczył z senatorską powagą, choćby o kiju szedł kopy liczyć w kitlu płóciennym. Kiteł leżał na nim gdyby toga rzymska, a juchtowe czarne buty stały mu za kurdyban. Nadewszystko piękna była jego męzka głowa ze spuścistemi wąsami, wygolona, wysoka, z orlim nosem, z brwią zawieszoną nad oczyma łagodnymi i zawsze wypogodzonymi. W rysach jéj królował spokój prawdziwego chrześcianina, co nad sobą czuje Boga, a przed sobą widzi jasno drogę przezeń wytkniętą. Pod te czasy pan Krzysztof miał lat około pięćdziesięciu, ale ich na nim znać nie było; choć twarz ogorzała już marszczki orać poczynaly, policzki krasilo czerstwe zdrowie, włos ledwie się przerzedził, a biały szereg pięknych zębów świadczył, że miał jeszcze dosyć chleba do spożycia na świecie.

Człowiek był wychowany w dobrej szkole ubóstwa i pracy, niewiele się mądrości uczył, ale dużo mu jéj

samo życie wpoilo: umysł zdrowy starczył za naukę. Nie zwicznęły go wpływy różne, nie zmąciły sprzeczne poglądy, widział jasno przed sobą, bo wciąż w jedną stronę patrzył.

To, co naówczas każdy szlachcic pod utratą szacunku publicznego mieć musiał, nabył też i p. Krzysztof w świat wychodząc. Łacinnik dobry, prawnik biegły, bo nawet przez lat parę u mecenasa w Lublinie palestry kosztował, nie był obcy dziejom krajowym ani instytucyom, patrzył na nie ze stanowiska ówczesnego dosyć jasno i zdrowo. Czytał mało, ale rzeczy, z których się czerpie wiele: Pismo Święte, kroniki, księgi prawne, akta stare, trochę starożytnych pisarzy. Lubił szczególnie Św. Pawła i Senekę. Wiara miała głęboką, serdeczną, ale nie przechodzącą w mistyczne dziwactwa lub zimny racjonalizm: szanował formy, obrzędy, drobne nawet zwyczaje, przesądnej do nich nie przywiązując wagi. Wiedział dobrze, iż duch i w drobnostkach się mieści, ale nie pojmował, że drobnostki ducha nie wleją, gdzie go nie ma. Duch swobodniejszy XVI i XVIII wieku wionął tu nie wiedzieć zkad i jak, otrząsł z drzewa liście suche, a zielone zostawił. Katolik gorliwy, był katolikiem oświeconym, bez fanatyzmu; pojmował już, że najdroższém prawem człowieka jest wierzyć tak jak mu duch własny natchnie, starając się oświecić i udoskonalić. Nigdy też z nikim dysput o wiarę nie prowadził, ani sobie z cudzych przekonań żarcików dozwalał: wiara dla niego była jakby arką, której przed tłumem odsłaniać się nie godzi.

Wesół i pogodny, ubóstwo nosił jak purpurę, z pewną dumą, i nie byłby go pewnie zamienił na upokarzające dostatki.

Pięćdziesięciu lat doszedłszy, pan Krzysztof dobrał

sobie suchych tarcie dębowych, dawno już w spichrzu złożonych, i z nich piękną zawczasu zbudował trumnę, którą nasypaną zbożem trzymał na strychu, aby dom był zawsze gotów, gdy się doń tułaczowi schronić przyjdzie.

Ożeniwszy się nie wcześniej ani późno, wziął szlachecką dziewczkę, do pary ją sobie dobrawszy. Późniejsze życie, nawyknienie, bliższa znajomość, sprzęgły ich jeszcze mocniej: była to pod siwującemi włosy para gołębi.

Anna, żona Krzysztofa, była z domu Łazów, ze stariej ubogiej szlachty tutejszej, jedna z pięciu siostr, które różnem szczęściem powychodziły za mąż.

Małego wzrostu, jasnowłosa, biała, wesola, żywa i pracowita, Anna wkrótce tak się bałwochwaleczo przywiązała do męża, który pod dobry humor czasem ją jak dziecko na rękach nosił, że bez siebie wyżyć im i parę dni było tęskno. W domu z nią było jak z ptaszną szczebiotką; nie umiała się rozplakać, a przy łzach, nawet przelotnych, wilżących jej oczy, usta się uśmiechały. Serce miała złote, może aż do zbytku dobre, ale dobrocią tą żyjące i nią szczęśliwe.

Dwojgu tym zacnym ludziom Bóg dał jedno tylko dziecko, syna, który na chrzcie dostał spadkowe imię dziadów i pradziadów, Adama. I w tej i w innych gałęziach familii O... wielu było Adamów. Wypieszczony i wykolysany na kolana matki i ojca, Adzio wyrósł na śliczne chłopię, i zdawał się w tym dworku przybyszem pałacowym, tak mu jakoś pańsko z dużych jego niebieskich oczu patrzyło. Wejrzenie żywe i pojętne, włos lśniący kasztanowy, twarz pociągła, pełna wdzięku, usta malinowe, wykrojone jak u dzie-

częcia, czoło rozumne, słowem chłopak był jak z obrazka. Ojca to trochę martwiło, że nadto mu był piękny, wolałby był surowsze oblicze, nie tak delikatne rysy, mniej urodziwą twarzyczkę.

— Choć to tam Pan Bóg najładniej wie co robi — mawiał p. Krzysztof, — ja moim rozumem, wolałbym, żeby Adamek mniej był piękny; chłopcu ta zbyt duża uroda na nic, pokocha się sam w sobie, próżność wleci do serca... Niechby go tak nie chwalono, mniejby się sobie przypatrywał, a nie tyle o sobie troszczył. Adonisom nie po tém na świecie, tylko to Wenerom idzie na pastwę.

— O! — odpowiedziała żona — poczekaj trochę, jeszcze zbrzydnie, opali się. Dajcież mu pokój, co wam to szkodzi, że piękny? zawsze to ludzi dobrze uprzedza i serca pozyskuje. Niech-no na świat wyjdzie, zobaczysz jak mu się powodzić będzie; muszą go kochać wszyscy.

— Byle nie wszyscy — mówił p. Krzysztof; — już to bardzo zły znak i niewygodna rzecz, kiedy cały świat pokocha. Szacunek i miłość prawych, a choćby nieważnie grzeszników i nieponiów, to i dosyć. Chcąc, żeby nas wszyscy kochali, trzeba nieraz te amory pocziwością opłacać. A w dodatku, moja jejmość, czy ja będę na świecie, czy mi z niego Pan Bóg zejść rozkaże, pamiętajcie to dobrze, iż dla Adama powodzeń nie chcę, któreby go za dom wywlokły i oderwały od zagona, do którego Pan Bóg stworzył, kiedy mu się tu dał urodzić. Każdy się powinien trzymać tego miejsca, z którego urósł, a dostojęństwa i bogactwa jeśli same nie przyjdą, latać za nimi nie warto.

Ja taki zawsze swoje — kończył stary wdychając: — wolałbym dobrą głowę, pocziwe serce niż ładne lezko...

— Jedno przecie drugiemu nie przeszkadza, szepiała po cichu Anna.

Adamek miał prócz twarzyczki ślicznej i serec dobre, i głowę wcale niezłą, ale ojciec się też nie mylił: — ładne lezko trochę mu ją zawracało, były tam już zarody próżności i ziarenka pychy, choć nie wiadomo z kąd przyszły, jaki je wiatr tam nagał. Adamek lubił się stroić, uśmiechał się do ludzi zalotnie, dużo marzył i rozpytywał o szersze światy, a ciasny mu ten kątek widocznie nie starczył.

Dziwne też to było chłopię w swoim rodzaju, gdyż to co je otaczało, wcale go wytłómaczyć nie mogło: wyrastał, przeciwko wszelkim oczekiwaniom, na panicyka, mimo że ojciec, bez tyranii, trzymał go dosyć surowo. Czy skryte pieszczoty matki, czy się tam co stariej krwi butniejszej odezwalo, czy myśl jaka zawczesna zaleciała do téj pięknej główki Antinousa, dosyć, że Adam nie był takim, jakim go chciał mieć ojciec; więcej mu nieznanym świat smakował niż nauka, i jakieś losy świetne, o których najpocieszniej marzył.

Pan Krzysztof, gdyby to bardzo rozbijało na przekór jego woli, chciał z niego dla poskromienia zrobić żołnierza, sądząc, że później czas jeszcze będzie porąbanemu trochę i ostyglemu nieco powrócić na schemę ojcowską i w cichym dworku odpocząć.

Uczył go tymczasem tak, jak się sam niegdyś do życia sposobił: łaciny, prawa i wszystkiego co wówczas było szlachcicowi potrzebne do spełnienia jego posłannictwa społecznego. Tymczasem Adam mimo to w duszy urabiał się na panicza i twarzą na niego wyglądał; z nauk ssał tylko to, co mu do jego natury przypadało: słodczy jak pszczoła z kwiatków. Matka była z niego dumna, bo przed nią mógł się swobodnie

z całym swym dowcipem popisać; ojciec się niepokoił, bo chłopiec przecuciem wiedząc, że szczerze z nim obcujać nie podobałby mu się, był przed nim zatajony i nie swój.

Czasem p. Krzysztof ciężko nad tém wzdychał, a niekiedy przed Chrystusem modlił się na intencję syna.

Do piętnastu lat Adzio wyglądał prawie jak dzieweczka, ale po głowie straszne mu już nad jego wiek myśli chodziły. Właśnie w téj porze powieść się też na szta zaczyna.

Dworek w Wólee Brzozowej, choć tak usunięty na stronę, nie był bez stosunków z sąsiednimi wioskami i dworami szlacheckimi. Szlachcie naówczas nie mógł się całkiem od swoich odstrychnąć, tysiące różnych węzłów wspólnego dobra wszystkich razem łączyły. Stan szlachecki związany ściśle stanowił jedną wielką całość, rodzaj zakonu i reguły, solidarne społeczeństwo wśród narodu; członkowie jego z konieczności musieli być sobie blisko. Ta spójność dawała im siłę. Szlachta przytém cała była jakby jedną rodziną pokrewną; ludzie z najdalszych okolic, gdy się z sobą zeszli, a rozpytali o swe herby, zawsze domacali się jakiegś między sobą kolligacyi, styczność między pozornie nieznajomymi i obcymi. Pan Krzysztof czuł się także do tego obowiązku życia z braćmi, ale go ograniczał do pewnych wypadków, bo lubił swoją samotność.

Samych też imienników jego siedziało tam jeszcze trzech, na małej nieopodal wioszczynie: stryjeczni to byli pana Krzysztofa, z którymi się po trosze żyć musiało.

Dobrzy to byli ludziska, ale dużo od p. Krzysztofa różni i wiele od niego niżsi; poważali go wszyscy jak patryarchę rodziny.

Przez dziwne ojca tych braci nabożeństwo do ŚŚ. Trzech Królów, których ciała spoczywają w Kolonii, z kolei przychodzący na świat synowie, otrzymali imiona: Kaspra, Melchiora i Baltazara. W sąsiedztwie zwano ich żartobliwie: trzema królami zaborzowskimi, siedzieli bowiem wszyscy w jednej wiosce Zaborzowie, której spłacić sobie nie mogąc, podzielić się nią musieli na dwie części: trzeci zawczasu swoją stracił. Kasper najstarszy miał w niej dwie schedy, skwitowawszy drugiego brata częstkowemi wypłatami powoli, z pomocą posagu żony; Melchior siedział na trzeciej schedzie. Baltazar, jakeśmy mówili, żadnej już nie miał, posiał bowiem swoją po świecie, próbując na nim szczęścia napróżno. Służył on z razu wojskowo i powrócił z szablą poszczerbioną, twarzą pokiereszowaną, kieszenia całkowicie próżną, a z nabranym przywykniением do włóczęgi i kieliszka. Bracia przyjęli go jak brata, ale też im ciężki nie był; wesoly, myśliwiec zawołany, na chleb sobie wszędzie zapracował i potrzebował go dla siebie bardzo mało. Że chodził wiele i długo miejsca zagrzać nie mógł, najwięcej się podobno zawsze troskał o buty, i przypisywał niegodziwości szewców nieuchronne skutki włóczęgi. Szukał też wszędzie owych idealnych butów, któreby się wcale nie darły; ale nadaremnie. Zresztą odziewał się zawsze jednakowo, a proch kupował za lisie i borsucze skórki, których co rok dosyć upolowywał.

Kieliszek gorzałki, misa krupniku, garstka prostego bakunu, który na podwórzu palił, bo go nikt w izbie nie zniósł — było mu dosyć.

Piosenek umiał tyle i tak różnych, że niemi mógł zabawić kogo chciał, bo dla każdego łatwo mu było

dobrać taką, jaka dla niego przystała. Śpiewał je potężnym, ale łagodnym basem, który i w kościele i w domu jednał mu wielkie pochwały; na nieszczęście czasami chrypka go psuła i uciekać się trzeba było do jaj i oliwy, aby się jój pozbyć co prędzej. Był to mistrz do pieśni, a wszystkie jego *teksty* były wielce stare, serdeczne i na znaną jakąś nutę, która każdemu przypominała lata dziecinne. Spisywał on gdziekolwiek posłyszał wszelkiego rodzaju śpiewy do jednej grubiej księgi, w skórce oprawnej, którą bardzo zazdrośnie przechowywał. Nigdy go ona nie opuszczała; napróżno nieraz na figla odkraść mu ją się starano: miał na nią czujne oko.

— Kiedyś to, panie — mawiał — będzie rzecz nieopłacona, bo pieśni mrą jak ludzie...

Były tam i wielkopolskie, i mazowieckie, i krakowskie, i litewskie, i rusińskie, kozackie i pokojowe, o miłości i żołnierce, wojenne i pobożne do Matki Najświętszej, a wszystko nie drukowane, i takie tylko, które się z ust do ust chodząc przechowywały.

Cały ten zbiór różnemi atramentami przez wiele lat wpisywany do księgi poplamionej i zużytej, nieodstępnie w torbie borsuczej towarzyszył p. Baltazarowi. Pamięć starego wojaka była tak szczęśliwa, że byle jeden raz którą pieśń posłyszał, już ją pochwycił i nie zapomniał; a notując w książce, dopisywał zaraz, na jaką nutę śpiewać się była powinna.

Głos miał bardzo piękny, czysty i silny, a kiedy sobie nieco podochociwszy pozwolił całą piersią w kniei zanócić, słyhać go było o pół mili, i ludzie mówili uśmiechając się:

— Oho! jak to sobie dziś król Baltazar pozwala!

Kasper, drugi brat, był gospodarz zawołany, ale dzieci miał kupe; było na kogo o chleb się starać, i że pracował zabiegliwie, nie dziwota. Melchior, trzeci, choć żonaty, dotąd był bezdzietny i okrutnie skąpy, choć nie wiedzieć dla kogo oszczędzał i zbierał. Rodzina patrzała na niego jak na przyszłą zapomogę. Kasper żył z nim w przyjaźni i posługiwał mu jak mógł. Baltazar mniej go lubił, bo sknerstwo było mu obrzydłe, a tam i jegomość i jejmość nad każdym groszem się rozpadali. Znacznie młodsza od męża pani Melchiorowa, żywa, słuszną, chuda jejmość, dosyć jeszcze ładna, i mężem rządziła, i we wsi ją zawsze najgłośniej było słyhać. Brat Kasper choć do niej nie miał nabożeństwa, i po cichu ją Herodyadą nazywał, znosić przecię musiał, i był dla niej bardzo grzeczny, bo się obawiał, by mu i serea brata, i majątku z przed nosa nie pochwyciła. Melchior był słabowity, kaszlący; żona sobie mogła łatwo testament wyrobić, i pogrzebawszy go, pójść jeszcze za męża, bo do młodych chłopców uśmiechała się dosyć zalotnie, gdy jegomość nie patrzył. Szeptano nieraz o tém wieczorami, ostrożnie wzdychając i obawiając się, by przez ludzi nie doszły te gawędy do jejmości do drugiego dworu.

Baltazar z bratową nienawidzili się otwarcie: ona go nazywała próżniakiem i drapichróstem, on ją gęsią syczącą; ale do zerwania stosunków jakoś jeszcze nie przyszło. Politykowali z sobą, wzajemnie sobie nadskakując. Baltazar czasem nawet stroił do niej udane kopereczaki, ale go odprawiała okrutnie, bo się na farbowanym lisie znała.

Lepiej było Baltazarowi z Kasprem, który był otwartzszy, żywszy, serdeczniejszy, i z żoną jego, kobietą dobrą, zawsze swemi dziećmiakami zajęta, z któ-

rych jedno na świat przychodziły, inne się obiecywały, inne odłączały, drugie już dorastały, a „co rok to prorok,” mówił uśmiechając się brat Baltazar.

— Kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył, odpowiadał Kasper ruszając ramionami.

Stary żołnierz zaglądał czasami i do Wólki Brzozowej, do pana Krzysztofa. Niekiedy nawet zabawił tu dni kilka; ale mu jakoś było nierzadnie z tym poważnym człowiekiem, dla którego nie wiedzieć było nawet co zaśpiewać. I choć miał jada do sytu, a gorzałki staruszki kielich spory przed każdym jedzeniem, że się musiał na wodzy trzymać, długo tu nigdy nie wybył. Kochali się przecię z daleka serdecznie.

Najbliżsi ci krewni pana Krzysztofa żyli z nim w dosyć ścisłych stosunkach, szczególniej Kasper. Melchior go z dala szanował, Melchiorowa trochę się obawiała, już ich po cichu zowiąc wielkimi panami, a Adasia panicykiem.

Oprócz tych najbliższych krewnych, rodzina Łazów, familia obu żon Kaspra i Melchiora, inne domy podlaskie pomniejsze, były w stosunkach z panem Krzysztofem.

Z panami, którzy mieli dobra w tej okolicy i czasami tu przebywali przez letnie miesiące, z Radziwiłłami, Sapiehami, z podpankami, którzy na ich fortunach wyrastali jak grzyby, coraz gęściej w tych czasach zastawą i kupnami szczerbiąc dawne magnackie posiadłości, O... wcale nie żyli. Drobną szlachta mogła się trzymać pańskiej klamki, ale O... z ich imieniem lepiej przystało niezależne ubóstwo, niż dworowanie, któreby dogadzało pańskiej próżności cudzém upokorzeniem. Żyli więc z tej strony odosobnieni, przekładając swoje małe kółko i swój byt cichy. Trzeba

też dodać, że panów nie lubili, bo im to fertyczne a napuszone państwo nie smakowało. Krzysztof na nich nigdy nie mawiał, ale trzej królowie, szczególnie Baltazar, psy wieszali nie oszczędzając.

I było tam za co hałasować pod owe czasy, bo to życie niby pańskie, cudzoziemskiego kroju, gdyby wrzód na karku siedziało krajowi, nie mu prócz pogardy nie dając.

Już samo wychowanie niby europejskie, które tylko europejski brud, lichotę i czczość sobie przyswajało, dobrego nam nie przynosząc, dzieliło panów od narodu; obyczaj nie zspalał także: oddalała pogarda mniemanego barbarzyństwa i wzajemna nieufność.

Czas to był rozerwania i walki wewnętrznej. Ogół kraju stał uparcie przy średniowiecznej swój formie społecznej, zupełnie różnej od tej, jaką życie w reszcie świata powoli przybierało; czuć już było wszakże, iż się przy tém utrzymać będzie niepodobna. Postęp konieczny, na chwilę wstrzymany tym uporem i bezwładnością umyślną, wewnętrznym bojem i podobnym jak w Rzeczypospolitej Weneckiej obstawaniem przy nieruchomej zachowawczości, domagał się praw swoich. Im dłużej był zaparty, tém silniejsze odzyskując swe prawa, musiał wywołać wstrząśnienie.

Młody Adaś, jakśmy już mówili, był dosyć szczególnie chłopięciem. Zkąd mu się wzięło był weale innym, niż logicznie dziecko takich rodziców być było powinno, trudno to wytłómaczyć. Są tajemnice niezbadane w złém i dobrém; istoty jakby naprzód do pewnych losów wyznaczone, rodzą się czasem w sferach, w których spodziewać się ich niepodobna. Taką kukułką w gnieździe skowronków był ów chłopak, ani do ojca, ani do matki niepodobny, niedający z siebie uczynić tego, co z niego zrobić chciano.

Od dziecka było w nim zawsze coś dziwnie gorączkowego, jak gdyby długo uspiiony duch Toporczyków nagle się w nim przebudził. Niecierpliwy, rozmazony, dumny z instynktami pańskimi, wyglądał raczej na dziecię magnata, niż na syna ubogiego szlachetki. Małym będąc dziecięciem, przy zabawkach, mówił tylko o tém, jak będzie panem, senatorem, nawet królem; lubił się stroić w błyskotki, rósł tylko w jakichś wielkościach przyszłych, które go czekać miały. Ale przy ojcu, który surowo go za to gromił, nie odzywał się już później z podobnemi myślami; cicho szeptał je w ucho matce, której serce niewieście pota-

jemnie radowało się jakby przecuciem świetnych losów ukochanego jedynaka.

Anna uśmiechała się słuchając jego rojeń i całowała go milcząca, z oczyma łez pełnemi, z jakąś tęsknotą w sercu towarzyszącą weselu. Pan Krzysztof ilekroć posłyszał podobne syna rojenia, burzył się mocno i fukał, a wytłumaczyć ich sobie nie umiając, przypisywał je niezręcznym matki pieszczotom... Ona składając drobne rączki, tłumaczyła mu się prawie z płaczem, że nie a nie temu nie winna. W istocie strzegła się nawet słowem potakiwać dziecięciu, choć powstrzymać go także nie miała siły. Cóż to komu szkodzi, że dziecię sobie marzy? Świat go aż nadto prędko przebudzi.

Ojciec przy każdej téj zręczności do sytu mu powtarzał: że jego losem nie żadne państwo i wielkość, ale cicha i pocziwa praca, że błyskotki nie dają szczęścia, że często się je drogo kupuje, a oszukuje na towarze srodze i t. p. Ale to był groch o ścianę. Stary sobie mówił powoli, dziecko latało myślami po złocistych pałacach swych marzeń, i widziało się u stop tronu... wysoko, wysoko: nie mu tych losów z główki wybić nie mogło.

Powierzchnowość Adasia dobrze się godziła z tą jego naturą; w istocie wyglądał raczej na panieczyka delikatnego, niż na przyszłego szaraczka, dziedzica Wólki Brzozowej. Promienista jakaś pogańska piękność tryumfująca sobą, wdzięk niewysłowiony, instynkt wiodący do elegancyi nawet przy ograniczonych bardzo do zdobycia jęj środkach, odznaczały go pomiędzy rówieśnikami. Umysł miał bystry, pojętny, łatwość do nauki rzadką, ale wszystko brał powierzchownie, lekko; brakło mu cierpliwości i ochoty do

zglębiania czegokolwiek, choć do wszystkiego rwał się gorąco. Namiętność ta była prostą ciekawością, która się natychmiast przesycala. Uczył się więcej przez próżność, dla popisu, niż dla siebie; lubił zaraz pochwalić się z tém co umiał, a wybierał zawsze to, co drugim było najmniej dostępne.

Tak, potajemnie z książek, z pomocą staruszka księdza, który go polubił, prawie bez wiedzy rodziców, dosyć dobrze wyuczył się był po francuzku; wiedział dobrze, iż ten język potrzebny jest na wielkim świecie, do którego wzdychał. Za to łacina szła mu dosyć tępo, bo ją miał za starzyzną mniej już potrzebną. Matka jego wiedziała o wszystkiém, bo się przed nią nie taił; ojciec niespokojny domyślał się wiele, milczał i był frasobliwy o niego, a własną przypominając młodość, nie w niej do téj nie znajdował podobnego... Anna nie mogła, nie umiała być surową; czasem prosiła go, zaklinała, lecz pieszczoty dziecka rozbrajały jęj gniew, rozpraszały obawę. Modliła się tylko i po cichu popłakiwała.

Z razu wychowanie to poczęło się w domu od czytania z kalendarza, potem dobrano mu starego nudziarza ex-organistę, łacinnika i niby teologa, który w nim wielbił niesłychane zdolności, naostatek pomagał jeszcze i ksiądz ex-Jezuita, ucząc francuzczyzny po cichu. Ale w chwili gdy się powieść poczyna, Adam odbywszy te przygotowawcze stopnie domowego wychowania, począł już chodzić do szkół, i wyknawszy się z pod oka ojca, grał między towarzyszami rolę panieczyka, mimo że w nim tę szkodliwą skłonność wszelkimi środkami poskromić usiłowano. Od lat kilku umieszczony w Białej, nauczył się tylko; że rodzina O... była znakomitą w Rzeczypospolitej,

że on choć ubogi, do niej niezaprzeczenie liczyć się miał prawo. Podnosił więc jeszcze wyżej głowę, wiedząc, że ma w tarczy Topór i przodków głośnych po świecie.

Wiadomość ta była dla niego jakby potwierdzeniem przeczuć jego tajemnych, wykołysanych w duszy od dzieciństwa. Surowe, często bolesne i szyderskie obejście się towarzyszków, nie na to nie pomogło: dumą w nim rosła, rozgorączkowała go coraz bardziej; ubóstwo spojone z nią drażniło; myślał tylko, jak się ze swego położenia wydobyć. Czekał, szukał, i roił sobie środki cudowne, któremiby mógł tego dokazać.

Ileokroć powracał do domu, pod ubogą strzechę rodziców, z niecierpliwością tylko układał sobie jak ma się z pod niej wyrwać, oczekiwał jakiegoś wypadku, wiedział niemal, że ta zręczność przyjdzie, i że ją za włosy pochwycić będzie potrzeba. W innych sprawach dosyć bojaźliwy, na taki raz zbierał się na zuchwalstwo, gotował się do niego i zbroił.

Bystre oko ojca widziało, odgadywało w nim te walki wewnętrzne; niepokoił się stary niemi, ale czuł się bezsilnym do przewyciężenia natury żywój a do skrytości skłonnój i unikającój otwartego boju. W końcu gdy się ścisnęło serce, pocieszał się jeszcze.

— Może się to przerobi, gdy do czynnego zaprzęże się życia, mówił w sobie stolnikowicz; — ale nie trzeba się ludzić, źle jest jakoś z Adamem, trzeba by mu surowego nowicyatu.

— Ty przez miłość dla niego, pocieszała go żona, tworzysz sobie nadaremne troski. Dzieckiem jest, cóż dziwnego, że dziecinny.

— Niech Pan Bóg złe odwróci! szeptał p. Krzysztof.

Adam był w szkołach w Białej u niejakiego Zamszyca, który od pewnego czasu utrzymywać zaczął studentów. Była to niegdyś professya jak inne, często z miłością i poświęceniem pełniona, częściej jeszcze wychodząca na prostą spekulacyę, jakby przekarmienie bydła na stajni. Ubodzy ludziska podejmowali się żywić, opierać, trochę dozorować dzieci, i rachowali, aby coś na tém zarobić, a przynajmniej swoją rodzinę przekarmić i grosik jakiś oszczędzić.

JMP. Zamszyc, u którego postawiono Adama, nie był ani lepszy, ani gorszy od innych swych współtowarzyszów. Rodzice dawali za chłopca z korrepetycjami, opraniem i strawą, kilkaset złotych i kilkanaście korey ordynaryi w naturze, jak to podówczas było we zwyczaju. Szła tam na tę edukacyę i mąka, i krupy, i masło, i ser, i słonina, a że gotówka była rzadka, pieniądze co najmniej.

Zamszyc spolaaczały Niemiec, który już po niemiecku był zapomnian, bo się w Polsce urodził, wychował i nazwisko swe Samschütz na pół krajowe przerobić usiłował, był już człowiekiem niemłodym; niegdyś dworak, nie nadto uczony, pedagogiem o raczej

spekulantem na chłopcach stał się od niedawna, gdyż wprzód różnych chlebow próbował, a żadnego jakoś najeść się nie mógł. Ostatnim razem był zawiadowcą ogrodu i pomarańczarni u Sapiehów w Kodniu; ale tu pokłóciwszy się z marszałkiem dworu, który do jego appartamentu chciał się wtrącać, poszedł na niezawisły chleb, młodzież zamiast płonek hodować. Szło mu w istocie nie tyle o to, aby się chłopcy uczyli, ile żeby z nimi jak najmniej miał biedy, a z nich jak najwięcej korzyści. Karmił ich wedle kontraktu, ale spekulował na wszystkiém; zresztą na obroty młodzieży, byle władze szkolne o nie się nie upominały, nie zbyt troskliwém patrzył okiem.

Młody Adaś nie był utrzymywany nazbyt ostro; przytém jakoś mimo swojego ubóstwa imponował imieniem i postawą Zamszycowi, który się go trochę lękał, choć się do tego nie przyznawał i nadrabiał miłą. Życie chłopca szło dosyć swobodnie, a nauki tyle w nim było tylko, co z musu nauczyciele weisnęli. Folgowano Adasiowi, widząc, że na uczonego nie wyjdzie, a tyle co szlachcicowi potrzeba, umieć będzie, bo ma pojęcie łatwe, a ochoty niewiele. Zamszyc go unikał, czując, że go chłopak nie lubi, prze-drwiwa i drugich na niego podburza... Nie śmiał go zbytnią łagodnością ośmielać, ani surowością drażnić; najczęściej nahałasowawszy się z daleka, umykał nie czekając ostatka.

Jednego pięknego poranka jesieni—a było to święto jakieś kościelne i lekeye wakowały—Adam wybiegł z towarzyszami bawić się na ementarz: było to najbliższe miejsce do grania w piłkę i biegania w zawody. Cieniste stare lipy wabiły tu często Adama z kilku młodszymi współuczniami. Lubił tu rozpo-

wiadać towarzyszom o śnionej przyszłości, o wielkich swych losach. Gawędy te ponętne jak bajki, ubierał w barwy świetne, a chłopcy słuchali ich z otwartymi ustami, dziwiąc się zkąd się to wszystko u niego bierze. Niekiedy też dawał się i on pochwycić młodości, szalał razem z drugimi, ale się im starał przodkować. Grano w piłkę około muru i dzwonnicy, zagładano do stojącej w rogu ementarza kostnicy, której tajemnicze głębie pełne przyborów pogrzebowych, przerażały i nęciły. Tego dnia Adam był w wielkim zapale, i młodszym od siebie dzieciakom spowiadał się wesolo ze swych zuchwałych planów przyszłości: widział się dygnitarzem, ministrem u boku króla... okrytym dostojęstwem i orderami...

Była to godzina nabożeństwa, ale zajrzawszy ledwie do kościoła, chłopak wyprowadził po cichu towarzyszyków ku lipom i furtce od ulicy. Przypatrywali się ztąd ruchowi ulicznemu i zaczęli przechodniów, sami się kryjąc potem w głęb ementarza, w razie pogoni mając ujście przez dzwonicę na tylną uliczkę.

Właśnie stali w bramce, wygrzewając się w ciepłém jeszcze słońcu jesienném, gdy naprzeciw nich zatrzymała się ogromna ładowna landara podróżna, sześciu końmi zaprzęzona.

Choć przez miasteczko ciągnęły bardzo często różne pańskie karawany i chłopcy się nieraz z nimi spotykali, zawsze ci przybysze z innego świata budzili w nich niepomierną ciekawość.

Cała kupka studentów wybiegła cisnąc się do furtki, aby przyjezdnych zobaczyć.

W istocie było to niepospolite zjawisko, wspaniałe zarazem i pocieszenie wyglądające. Powóz był wielki, ciężki, zabłocony, na którym z pod skrzepłej war-

stwy gęstego błota wyglądały brzozy i ozdoby wytworne. Drzewczki same zajmował prawie całe, malowany herb wielkich rozmiarów, rozpościerający się na gronostajowym płaszczu, z hrabiowską u góry koroną, Bystre oko Adama postrzegło zaraz na wierzchu rodzinny Topór... i serce mu uderzyło gwałtownie. Z tyłu, po bokach, od przodu, poprzączepiane i powiązane były tłumoki, skrzynki, pudelka, a ze środka wyglądał także obfity pakunek, mnóstwo rzeczy... parę twarzy niewieścich. W tej arce Noego siedziały, jak widać same kobiety.

Za nią szedł zaraz drugi powóz mało co mniejszy, równie ciężko obciążony, w którym dwóch mężczyzn siedziało. Szedł jeszcze i trzeci w końcu, rodzaj podróznego furgona ze służbą płci obojg, dosyć wesołą, razem z ładownym wozem kuchennym, któremu towarzyszyli konno dwaj kozacy dworsey w liberyi granatowej z karmazynem, w czapkach o zwieszonych wierzchołkach i z pistoletami w olstrach siodeł.

Cała ta kalwakata miała pozór pański a wspaniały. Zaledwie się zatrzymała, natychmiast ciekawy tłum uliczny zbierał się koło niej i otaczać ją począł... Nie wiedzieć skąd całe żebractwo miasteczka, kulawy Żydek, bez ręki chłopak, ślepy dziaduś i kobieta na wózku, obstąpili przybyłych.

Z drugiego powozu rzucono kilka groszaków, a kozacy grzecznie, ale stanowczo zabrali się do oczyszczenia placu.

Z pierwszej landary wyjrzała blada twarz kobiety, bardzo pięknych, nieco zmęczonych rysów, dość jeszcze młoda. Na widok jej szybko z drugiego powozu wysiadł mężczyzna, którego wieku trudno było odgadnąć, upudrowany, czerwony, dosyć brzydki, w po-

dróżnych sukniach zapylonych, o lasce: zbliżył się z wolna ziewając do drzewczek landary.

— *Mon cher*, — odezwała się do niego kobieta — każe się dowiedzieć w kościele, czy nie mogłabym być na mszy? Możebyśmy się tu wstrzymali na pół godziny dla wytchnienia? Bardzo się czuję jakoś zmęczona tą nocną jazdą... Te szkaradne podlaskie drogi... te grobelki bez końca...

— Niechże idzie Tyrakowski — odparł mężczyzna, i kiwnął ręką na stojącego nieopodal niepoczesnego dworaka, któremu wskazał kościół. — Jeżeli chcesz *mon ange* — dodał powoli — to niech się tu kozacy o jaką gospodę rozwiędzą, i nim ty mszy wysłuchasz, wszystko do śniadania przygotowują.

— A! bardzoby to było dobrze, odpowiedziała kobieta: *une excellente idée...*

W chwili gdy te słowa z westchnieniem na pół do ziewania spazmatycznego podobnym domawiała piękna pani, stojący w furcie piękny, uśmiechający się Adaś wpadł jej w oczy.

Rozparł on swych towarzyszków i wysunął się naprzód, aby być widzianym.

— A! patrzcie kasztelanie — zawołała kobieta wskazując na niego — cóż to za śliczny chłopak! *un cherubino d'amore...*

Adaś czy się domyślił, czy przeczuł, że o nim była mowa, pokraśniał cały, a ta krew wytryskująca mu na twarz, jeszcze go uczyniła śliczniejszym.

Mężczyzna czerwony odwrócił się, popatrzał, i rzekł dosyć obojętnie po francuzku:

— Istotnie, piękny chłopiec... bardzo piękny chłopak; musi to być szlacheckie dziecko.

Podróżna pani, wychyliwszy się z powozu, topiła w nim swe czarne oczy; a Adaś odpowiadał jęj wzrokiem tak śmiałym, że się prawie w końcu uczuła zmieszana. Ta cicha, krótka rozmowa wejrzeń, między niezbyt już młodą niewiastą a wyrostkiem, wymowniejsza była dla obojga niż się zdawało. Mówili sobie wyraźnie: ona, że go znajduje prześlicznym; on że mu się wydaje cudownie, uroczco piękną.

W istocie była też to niepospolitęj urody kobieta, piękność gasnąca, ale jeszcze dziwnie ponętna, twarzyczka Psychy trzydziestoletniej; oczy czarne głęboko osadzone z długimi rzęsami jedwabnymi, nosek orli maleńki z różowemi nozdrzami jakby arabskiego rumaka, usta drobne koralowe, w górę nieco podniesione... Ale policzki te zbładły i straciły świeżość, były niemal żółte, a przy tych oczach, jak rysy na murze, który ma popękać, widniały już mikroskopowe marszczków zarody. Wyraz całego oblicza już nie jaśniał ogniem wesela i miłości, był smutny, zwątpiały, znużony; długa już przeszłość burzliwa patrzała z czoła chmurnego.

Z dala jeszcze prześliczna, z blizka miała w sobie coś trupiego; resztki ognia były się w niej z jakąś niemocą duszy, zwątpienie pasowało się z życiem wyczerpanem, a pragnęciem się czegoś uchwycić jeszcze, aby swój byt przedłużyć. Lata ubiegłe tak już dotkliwie widoczne na jęj twarzy, nie nadały jęj żadnej powagi i rezygnacyi; pozostałość lat ubiegłych: dziecienna niecierpliwość, rozpragnienie trzpiotowate, znużenie i nienasycona żądza nowości, ożywiały ją dziwnym niewesołym blaskiem. Był to jakby promyk słońca wiosennego na zwiedłych liściach jesieni.. Wi-

docznie chciała być jeszcze młodą, młodą zawsze, choćby kosztem największym, zrzeczenia się dostojności, jaką wiek nadaje.

Dla takiego chłopaka jak Adam, ta pieszczona twarzyczka wielkiej pani, cała otulona w koronki i jedwabie, cała przesiąknięta miękkością i zbytkiem, musiała się wydać dziwnie ponętną i uroczą. Najwspanialsza a zdrowa i spokojem tętnąca piękność, nie byłaby na chorobliwie roznamiętnionym marzeniach chłopaku uczyniła takiego jak ten zwiedły kwiatek wrażenia. Dodajmy, że wyraz tego oblicza smutnej ruiny, był rozpaczliwie wyzywający i namiętny, że czarne te oczy, do których spłynął cały ogień dawnego życia, zdawały się gorzeć namiętnością nienasyconą a chciały. Pod strzałami tych wejrzeń wlepionych w niego, Adam stał nieustraszony, uśmiechnięty, szczęśliwy; miłość własna jego była polechtana, a serce biło w piersi jakimś po raz pierwszy w życiu rozbudżonym pragnieniem.

Piękna pani zdawała się nie móż nasycić widokiem ładnego chłopaka, — i gdy pan Tyrakowski pobiegł do kościoła zadysponować, aby Pan Bóg był gotów na rozkazy hrabiny, a sam hrabia ziewając, stał na uboczu ze złotą tabakierką w rękę, zamyślony i zmęczony. Hrabina wciąż wychylona przyglądała się Adamowi, Adaś hrabinie. Obok niej w powozie, oprócz psa bonończyka, zdrzemanego na wygodnych poduszkach, siedziała sucha, długa, mocno ospowata panna lat dojrzałych, która po nad głową pani kasztelanowej przypatrując się także młodemu chłopcu, złośliwie zagryzała usta. Hrabina chwyciła ją żywo za rękę i odezwała się po chwili:

— Ale spojrzże Pamelu, jak ten chłopiec jest śliczny!

— Patrzę i dziwię się, z kąd się mógł wziąć w tym kraju—odpowiedziała po francuzku zapytana. — Pani go dobrze nazwała cherubinkiem.

Nie mogąc dłużej wytrzymać, piękna pani, wychyliwszy się bardziej jeszcze, białą, prześliczną rączką, z której wprzód, może naumyślnie zdjęła rękawiczkę, aby ją i bogate pierścienie, w które paluszki przybrane były, pokazać, skinęła na Adasia.

Zdaje się, że chłopiec czekał tylko tego i spodziewał się; nie wahając się, natychmiast zszedł parę stopni, zbliżając się śmiało do powozu. Czerwony, drzemiący kasztelan patrzył na to z obojętnością człowieka przywykłego do fantazyj żony, ale z pewnym niesmakiem.

Adaś przystąpił do samych drzwi, z których się hrabina nieco uchyliła w głąb; twarze ich zbliżyły się: ona mu, przy swój alabastrowej przezroczystej białości wydała się nadziemsko piękną; on jęj, z tą rumianą, świeżą, ożywioną główką, cudnie urodziwym. Prawie drżącym głosem zapytała go hrabina:

— Kto pan jesteś?

— Jestem Adam O...

— Jak? O...?

— Tak. Toporezyk O... — odparł z dumą, głośno swe nazwisko wymawiając chłopiec.

— Mezu! *mon cher!* — zakrzyknęła hrabina żywo — zbliż się; ale to cud prawdziwy! wszak to jest O...

— A! a! O... to być może! — odparł zimno kasztelan: — są w tych stronach ubodzy O... Z jakichże Wpan jesteś?

— Ojciec mój ma imię Krzysztof, dziad był Paweł stolnik podlaski; rodzice moi mieszkają w swojej wiosce, niedaleko ztąd, w Wólce Brzozowej.

— Tak! — szepnął zażywając tabaki kasztelan, który wciąż patrzył w inną stronę — wiem! ubodzy O... znam... Stolnikowicz zacny mówią człowiek... Ojciec! tak! dziad Paweł! no! tak! O... Jak to zaraz w twarzy krew znać!

— A wiecież kto my jesteśmy? — zapytała z uśmiechem chłopaka piękna pani.

— Nie wiem — rzekł Adaś — ale z herbu na powozie domyślam się, że państwo jesteście z tego samego rodu... bo ot, Topór na drzewkach...

— Jaki roztropny i przytomny! słyszałaś Pamelę? — zawołała coraz się ożywiając hrabina do milezącej towarzyszki — jak mu z oczu bystrość patrzy!

Na te słowa nadszedł właśnie powracający z kościoła Tyrakowski, donosząc, że ksiądz wikary oczekuje rozkazu, aby wyjść ze mszą św., gdyż właśnie rozpocząć się miała wotywa. Służący nadbiegł otworzyć drzwi, a pani poprawiając swój strój zmięty podróżą, wysiadła z powozu, po cichu szepnąwszy do Adasia, na którego z ukosa spojrziała:

— Zaczekajże tu, mój chłopcze albo z nami idź na mszę świętą, to się potem bliżej poznamy... i dowiesz się lepij kto jesteśmy.

Adaś byłby i tak nie odszedł, bo mu wciąż coś do ucha szeptało, że stanowcza dla jego życia nadeszła godzina; teraz tém bardziej pozostał, i za hrabiną i hrabią poglądającym gdzieś wysoko po drzewach, posunął się ku kościolowi.

Teraz, gdy całą tę postać niewieścią objął okiem ciekawym, wydała mu się jeszcze piękniejszą... Była słuszną, kibić miała giętką, a ruchy rozpieszczonego kotka; wszystko w niej zdradzało kobietę zmięłą od rozkoszy, wychuchaną w zbytłych, typ, który dla wy-

rostków jest zawsze najponętniejszy. Adaś nie mógł się napatrzeć jak szła, jak na ławce usiadła, jak ślicznie wyglądała, podniósłszy głowę ku ołtarzowi, nie wiem, czy do Boga się modląc, czy dla ludzi. W istocie w tym pójściu starego kościoła, wydała się nad wyraz piękną a zamiast się modlić, przybierała z kolei wszystkie swe najpokuśniejsze postawy i wdzięczyła się jak na balu.

Dla czego chciała być koniecznie na mszy, tak mało mając ochoty do modlitwy? trudno to wytłómaczyć. Była po swojemu niezmiernie pobożna. Wiek XVIII cały był w takich anomaliach niezrozumiałych dla niego samego. Najswobodniejszego życia kobiety, zwłaszcza pod ostatki swych szalów, oddawały się fanatycznej pobożności, sądząc, że Panu Bogu zapłacą za grzechy, służąc temu, co się im podobało nazywać Jego sprawą. W ten sposób nowy gasnącemu życiu nadawały interes. Inne dla pokrycia aż nadto jawnych błędów, stawiały się wielce pobożne i dla kościoła szczerde; inne wreszcie godziły jakoś dewocję i zalotność, jedną i drugą oddając się na przemiany. Hrabina należała do ostatnich, i nie mijając żadnego balu, tysiącami płochych miłostek przerzucając, pościła surowo piątki, Suche dni, a mszy gdy tylko mogła, słuchała codziennie.

W jednej skrzyneczce jechały przy niej listy adonisów, w drugiej różańce i książki pobożne, poświęcane pamiątki i relikwiarze. Nie koniecznie się nawet potrzebowała modlić, ale powierzchownie spełniała jak najściślej formy wszystkich religijnych obrzędów.

Kasztelan także po swojemu mszy słuchał, zażywając tabakę i mrucząc pod nosem niekiedy coś na-

kształt obojętną, przerywaną modlitwy. Reszta dworu, oprócz Pameli, była istotnie pobożna, a Pamela obwinawszy się w czarną narzutkę, z zaciętymi ustami i przymrużonemi oczyma, poglądała szydersko po skromnym kościółku; zdawało się jęć zapewne, że w tak ubogiem schronieniu Pan Bóg mieszkać nie może.

Wotywa śpiewana z pewnym występem w głosie i ruchach przez Jmks. wikarego, który się po trosze rad popisując z wdzięcznymi ruchy i przyjemną intonacją, trwała dosyć długo. Adaś, który stał po za ławkami niecierpliwy i drżący, czekał tylko jęć końca, z mocnem postanowieniem skorzystania ze zrzeczności i wyskoczenia na świat przez otwierające mu się drzewiczki.

Tymczasem w gospodzie na rynku, w najparadniejszym domu, którego gospodarz chwalił się, że u niego zawsze nocowywała księżna W... a mściławska i książkę Kazimierz, a nawet pan Mierzejewski i generał Kurdwanowski, służba przygotowywała śniadanie, czekoladę dla państwa i panny Pameli, bigos dla dworu. Wykadzano izbę bursztynem i łupinami od jabłek, gospodarz przywdział odświętne szaty atlasowe, i w nowych pantoflach z chustką od nosa paradną, ze srebrną tabakierką za pasem, oczekiwał swych gości na progu.

Po ucałowaniu patyny, którą ksiądz wikary umiał podawać nadzwyczaj zręcznie i delikatnie, ruszyli się państwo i dwór z kościoła, a Adaś za nimi, bojąc się, aby o nim nie zapomniano. Ale hrabina także go oczyma szukała, i skinawszy nań, szepnęła uśmiechając się:

— Chodźże Wpan z nami.

Kasztelan tylko nań popatrzał wielkimi wołowemi

oczyma swemi, pomruczał coś, potem zaczął poglądać w chmury i mileżał ruszając językiem w zamkniętych ustach, co nie bardzo dobry humor zwykle było oznaczać.

Piękna pani była mocno zamyślona. Idąc pieszo do gospody, zbliżyła się do męża i ujęła go pod rękę nieśmiało.

— Wiesz *mon cher*, jaka mi myśl przychodzi z powodu tego chłopaka?... Gdybyśmy go wzięli na wychowanie? Dla ciebie byłoby to, nie wątpię, mile zajęcie... z oczu mu patrzy żywa inteligencja... Nie mamy dotąd dzieci... jest zawsze jakimś tam twoim krewnym. Byłoby ci przyjemnie pełnać go w świat, co przy naszych stosunkach bardzo łatwo... Zresztą gdy się chłopiec nie udał, zawsze go możemy oddać rodzicom.

— Hm!—kiwając głową rzekł kasztelan ciągle roztargniony, patrząc w drugą stronę na bijące się dwa koguty na śmieciisku,—no tak... ale rodzice jego?

— O! ci się pewnie o powierzenie nam dziecka targować nie będą...

— Tak... przypuściwszy... aleby to kosztowało...

— Co to dla nas znaczy, *mon cher*? tyle i tak tracimy! Jakbym to wzięła na siebie—dodała cicho,—chłopak pewnoby na siebie oczy zwrócił, miałbyś honor z tego dobrego uczynku i przyjemność własną...

— Ha! ha! to sobie próbuj! to sobie próbuj—rzekł czerwony jegomość, rzucając ręką jakby dla pozbycia się żony—ja się nigdy nie sprzeciwiam... Sama się już tém chyba zajmiesz, bo ja, jak widzisz, czasu nie mam.

— Zobaczysz, jak nim pokierujemy! Ty mi poradzisz! — żywo podechwyciła pani — zobaczysz zrobimy z niego lalkę... że nam jój pozazdroszą.

Kasztelan począł tylko językiem w ustach kręcić i oczyma szukać przedmiotu jakiego daleko; niedostrzeżony uśmieszek przebiegł mu po wargach.

— A jeżeli go przyzwyczaimy do zbyt kowniejszego życia, a potem będziemy musieli porzucić?... — rzekł cicho.

— O! niepotrzeba bo zawczasu stawiać tak strasznych problemów! Zobaczysz, wy kierujemy go na człowieka, bylebyś mi dopomógł!

Kasztelan kiwnął głową przyzwalając.

Dosyć uradowana z rozmowy, hrabina rzuciła okiem na Adasia, który szedł z tyłu czerwony, zawstydzony, niespokojny, ale zarazem dumny, że z tak wielkim państwem kroczył przez miasteczko, a współuczniowie, których tłum ciekawy napełniał ulicę, widzieli go w ich orszaku.

Tak doszli do gospody, a hrabina skinęła na niego, aby do przygotowanego dla nich pokoju szedł razem z nimi. Kasztelan kazał sobie dać osobną izdebkę, aby się trochę przebrać i odpocząć; pozostała tylko Pamela, ale odsunęła się i usiadła w oknie, aby pani nie być na zawadzie.

Podano czekoladę w srebrnych imbrykach na złotych blatach, ciastka wydobyto z podróżnych zapasów, wodę we flaszkach kryształowych, i cały wytworny przyrząd śniadania, wedle obyczaju pańskiego. Nie zważano wcale, że państwo byli w drodze: musieli wszędzie mieć to, co zwykle mieskali w domu, i być zawsze jak u siebie.

Kasztelanowa zrzuciła pokrywające ją dulietki i chustki, poszła do zwierciadła poprawić włosy, otarła się jakąś wodą otrzeźwiającą, i odświeżona jakby cudem, odwróciła się ku młodemu chłopakowi z uśmie-

chem niegodziwie czarującym. Wprawna we wszystkie zalotności obrotu, w strategię niewieścią, wiedziała dobrze, jak biedne, niewinne dziecię wsi potrafi opanować i przyciągnąć.

Siadła przy stoliku, nadając postawie wdzięk jakiejś młodości sztucznej, odrzuciła rękawy sukni i białe utoczone rączki dobyła z nich na podziw chłopcu, który jako żywy nigdy o podobnych nawet nie marzył.

Ręce pracowitych ludzi, są to narzędzia codziennego trudu... Najpierw one u nich starzeją i tracą kształty, o których zachowaniu nikt nawet nie myśli; u próżnujących sybarytów, białe dłonie są pielęgnowaną wędką na oczy i serca: ręka nabiera u nich fizygnomii, mówi, ma charakter, należy do wykwiintnej gry żywota. Hrabina miała ręce nieporównanych kształtów, i mogła się pochlubić niemi tam nawet, gdzie z wielu o lepszą waleczyć jej przychodziło. Wprawdzie straciły już one były nieco świeżości i zarysów posagowych, ale dla Adasia były jeszcze zjawiskiem idealnym, jakby objawem natury nieznanego mu nowego rodzaju, wyższego jakiegoś gatunku człowieka. Wlepił w nie oczy osłupiały.

— Zbliźże się i usiądź tu! tu! naprzeciw mnie... — odezwała się kasztelanowa, wskazując krzeselko — odpowiesz mi szczerze na to o co cię pytać będę. Ile was jest rodzeństwa?

— Jestem jedynakiem u rodziców! — odezwał się Adam.

Odpowiedź ta widocznie zmieszała kasztelanową. Nie miała ona żadnego wyobrażenia o przywiązaniu rodziców do dzieci: sama straciła ojca i matkę wprzód nim dorosła, Bóg jej nie dał potomstwa; przypo-

minała sobie tylko z głuchą tradycją, że czasem rodzice mocno przywiązują się do dzieci, a szczególnie gdy mają jedno tylko. To ją zaniepokoiło nieco.

— I rodzice bardzo zapewne Wpana kochają? — dodała.

Adaś nie wiedział co odpowiedzieć, pomyślał i instynktem jakimś rzekł cicho:

— Czy ja wiem?

Odpowiedź ta pełna była niepocziwego znaczenia.

— *Il est adorable de naïveté!* — odezwała się pani do Pameli, która wciąż z wielką uwagą przypatrywała się ulicy.

— A Waćpan kochasz też mocno rodziców? — dodała piękna pani.

— Ja? ja? — wybąknął chłopak — ale jakże... wszakżem powinien ich kochać?

Ta druga odpowiedź była na pozór dziecinna, w istocie chytra i zdradziecka. Adaś nie śmiał się przyznać do miłości dla rodziców, bo się lękał, aby to nie przeszkodziło kasztelanowej pomyśleć o jego przyszłości, którą już przeczuwał i zgadywał. Słówko, to małe w istocie, kryło w sobie zbrodnię; cały w niem przyszły malował się człowiek, gotowy uczucie i obowiązki dla samolubnych widoków poświęcić.

— A chciałbyś od rodziców i ze swych stron rodzinnych się oddalić? — mówiła dalej, patrząc mu w oczy kobieta.

— Ja? — spytał miesząc się Adam.

— Myślałeś kiedy, co poczniesz z sobą?

— O! nieraz.

— Czegożes pragnął?

— Dostać się do stolicy... i wyjść na człowieka — dodał żywo chłopak, — tego jednego zawszem pragnął.

— No! to ci się może ziścić—rzekła hrabina—odjedź z nami, my ci dopomożemy... Podobasz się nam Waćpan; zdaj swój los w ręce nasze: nie pożałujesz tego. Mój mąż, który nosi toż samo co wy nazwisko, chętnie zaproteguje imiennika.

— Ale czy rodzice pozwolą? spytał Adam pocichu.

— A! więc Wpan chcesz... potrzebujesz się pytać o pozwolenie rodziców? wyrwało się z ust kasztelanowej.

Pytanie to również było charakterystyczne jak odpowiedź Adama: zawierało w sobie jakby zaparcie władzy rodzicielskiej, jakby podmuch do samowoli i nieposłuszeństwa; mówiło mu wyraźnie: Nie potrzebujesz rodziców, możesz zerwać z nimi...

— Ja, doprawdy nie wiem; zdawało mi się... odparł chłopak.

Kasztelanowej lekki rumieniec wystąpił na twarz; wstała i przeszła się po pokoju, sama nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Wszakże się im krzywdą nie stanie — zaczęła po namyśle, — gdy Wpan pojedziesz z nami, i że go na wychowanie weźmiemy. Mógłbyś Wpan do nich z pożegnaniem napisać... później możesz sam przyjechać; a dziś nastęrcza się mu zręczność, która się później może nie trafi.

— Jak pani każe...

— Idź Wpan a śpiesznie idź, napisz... Zabieraj swoje rzeczy, bo za godzinę wyjeżdżamy do Warszawy... A jeśli z nami nie pojedziesz, później... trudno nam będzie przysłać... Ale wprzód trzeba podziękować kasztelanowi: chodź Wpan, ja do niego zaprowadzę.

To mówiąc kasztelanowa zbliżyła się z uśmiechem

do chłopaka, i głaszcząc go pod brodę, szepnęła pocichu:

— Nie pożałujesz tego... ja ci za matkę służycę będę; ale trzeba kochać mię trochę... nie prawdaż?

Adaś pochwycił jej rękę, i niesynowski weale złożył na niej pocałunek. Hrabina zaczerwieniła się, nie wiem z radości czy zdziwienia, że tak dobrze rozumiana została, i wyprzedzając go, poszła do pokoju męża, który miał nieszczęśliwy defekt, że namiętnie lubił ciągnąć pasyans; i korzystając z chwili, już był karty rozłożył na stoliku. Siedział nad nim posepny, zajęty, zamyślony, z namarszczonem czołem, okazując fizyognomią i postawą, jak ważną był sprawą zajęty. Hrabina w progu zakąsiła usta; nie spodziewała się, że przerwie to zatrudnienie, w czasie którego kasztelan zwykle bywał drażliwy, domysławiając się, że ludzie na wielkości jego pracy poznać się nie umieją i szydzić z niej gotowi. Ale cofnąć się nie było już podobna.

— Przyprowadzam ci jeńca — rzekła słodząc natrętne wnijście uśmiechem... — Pan Adam O... jedzie z nami do Warszawy, i przychodzi ci podziękować za szlachetną myśl *twoją* zajęcia się jego wychowaniem... Pocałuj go w rękę, ale ostrożnie, żebyś kart nie pomieszał, szepnęła popychając chłopaka.

Kasztelan odwrócił się gniewny prawie, ale go rozbroiła pokora Adasia...

— A no! no! bardzo się cieszę, że mu użyteczni być możemy... Więc dobrze... zawsze to nasza krew... niech jedzie...

I oczy napowrót wlepił w karty z całém zajęciem człowieka, który do głupstwa niezmierną przywiązuje wagę.

— A teraz idź Wpan, gotuj się do drogi, i zostawże piękny list do rodziców... Tylko proszę nie marudzić, bo już się bryki pakują — rzekła hrabina.

— Za chwilę małą będę z powrotem — zawołał Adaś, otworzył drzwi i zniknął jak błyskawica.

Hrabina nie przerywając mężowi w zajęciu, które całe jego siły umysłowe wypotrzebowywało, po cichu wróciła do pierwszego pokoju i zbliżyła się do Pamelę swą przyjaciółkę i powiernicę.

— *N'est ce pas qu'il est adorable?*

Ospowata panna spojrzała trochę szydersko na hrabinę.

— O! niezawodnie — szepnęła — ale pani wiele sobie na głowę bierze kłopotu; to dziecko, które uczyć będzie potrzeba chodzić, mówić i myśleć... A któż wie jakiego charakteru? dodała ciszej.

— Ale to nasz krewny... to O...

— Jak to! nosi wasze imię?

— I jest niezawodnie naszym krewnym choć ubogim... Zobaczysz, zrobimy z niego znakomitego człowieka. Wystaw sobie Pamelę, gdy go ubiorę, gdy go wystylizujemy, jakie podziwienie, ile zazdrości obudzi! Ale to Adonis... a cudowny tą swoją wiejską prostotą... Głowa mi się pali! Nie prawdaż? jestem śmieszna?

I po chwili dodała trzpiotowato prawie:

— Ty Bonończyka weźmiesz na kolana, ja go posadzę przy sobie w landarze; przez całą drogę do Warszawy będziemy go uczyły, rozmawiały... O! nie uwierzysz, jak prześliczne mam projekta... Pamelę! jestem szczęśliwa; od dawna nie czułam takiego życia w sobie: zdaje mi się, że rzucam całun i z grobu powstaje, że wiosna wokoło... żem młoda... że mi skowronki śpiewają nadzieję.

Pamela smutnie spojrzała na nią, a w oczach biednej kobiety łzy się zakręciły, załamała ręce... spuściła oczy.

— Bądź co bądź — rzekła — bądź co bądź... byle żyć jeszcze!...

Adaś jak piorun wpadł na stancję właśnie w chwili, gdy stary Zamszyc z usty otwartymi, z okularami zarzuconemi na czoło, stojąc w pośrodku izby, słuchał razem sześciu opowiadających mu chłopaków o wycieczce O... do gospody z jakąś wielką i piękną panią i strasznie poważnym magnatem.

— Otóż i dezter! — zawołał pedagog surowo — gdzieżeś to asan był?

— Ja! byłem u moich krewnych państwa kasztelaństwa O...

— Bez pozwolenia! *siako tako!* (było to przysłowie, którego Zamszyc tak niepowściągliwie używał, że go przezwano *tém* imieniem).

— Tak jest, i bez niczyjego pozwolenia jadę z nimi zaraz do Warszawy, bo mnie z sobą biorą: tylko kilka słów do rodziców napiszę.

— Jak to! co to! nie pytając pana stolnikowicza — przerwał zdumiony *tém* zuchwalstwem Zamszyc — co to... *siako tako...* aspan sobie myślisz.... co to to tam być?

— Ot tak jak mówię: zabieram manatki i kłaniam się Waćpanu, szczęśliwy, że stęchłój jego kaszy ze świecą łojową jeść już nie będę.

Zamszyc struchlał, wyrzut ostatni jak sztyletem przebił mu piersi. Młodzieniec śmiał mówić o *tém*, co było największą tajemnicą domu: było to świętokradztwo! Okalająca ich młodzież zawsze gotowa stanąć w opozycyi przeciw pedagogowi, uszczęśliwiona wypowiedzianą prawdą o kaszy i świecy, poczęła się uśmiechać, biorąc stronę Adama, który jak burza chwytając swe rzeczy, rozrzucił, pakował.

— Co to to ma być? — powtórzył Zamszyc belkując i tupiąc nogą — jawny bunt przeciw prawnej władzy, *siako tako!* na to ja nie pozwolę!

— Idźże Wpan do pana kasztelana i spytaj go, odparł zimno Adaś; ja z Wpanem rozprawiać nie mam czasu, bo na mnie i tak czekają, a jeszcze do rodziców napisać muszę.

I maleńki swój tłomoczek spiąwszy wprędce, chłopiec pochwycił arkusz papieru, siadając bez namysłu do pisania. Nie go to nie mieszało, że młodzież ciekawa otaczała stolik i zaglądała mu w list, który gorączkowo kreślił.

Pedagog skamieniały stał z założonemi rękami błady; zdawało mu się, że marzy, a usta drżące powtarzały:

— Stęchła kasza ze świecą łojową! Świętokradztwo! *siako tako!* bunt! wyraźny bunt! Ale to tak być nie może — dodał — ale ba! ja asana tak nie puszczać na cztery wiatry, kiedy mi zostałeś *siako tako* przez rodziców oddany i mojej opiece powierzony... Ze świecą łojową! Zobaczymy! Stęchłą kaszę!

— Zobaczymy! — rzekł nie odrywając się od pisania Adaś.

— Ja za Wpanem pójdę...

— A no! proszę, i owszem.

— A nie, to do księdza rektora dam znać.

— Daj znać, i owszem...

— Przecież za pół roku siako tako odebrałem ordynaryę i zapłatę.

— To ja sobie zatrzymasz...

Adaś naprędce dokończywszy listu, bez zastanowienia rzucił go na stół, skłonił się towarzyszom broni i stołu, uśmiechnął zwyczajko, i jak motyl wylatujący z wiążącej go gąsiennicznej powłoki, wyskoczył niosąc swój tłomoczek na ulicę. Zamszyc nie zrzucając okularów z czoła, ledwie porwawszy dla przyzwoitości czapkę, pobiegł za zbiegiem w tropy. Ale że cała ta scena już nieco opóźniła Adasia, ekwipaże kasztelaństwa stały przed gospodą i zdawały się tylko oczekiwac na przybywającego. Czerwony kasztelan siedział już w swym koczku z Tyrakowskim, a z landary wyglądała piękna główka hrabiny, szukająca niespokojnemi oczyma; biała ręka dawała mu znaki, by co najprędzej przybywał, bo kasztelan, któremu przerwano pasyans, mocno się na zwłokę niecierpliwił. Adaś oddał tłomoczek kozakowi, który naprzeciw niemu podbiegł, a sam, zręcznie i chyżo jak uciekający od pogoni złoczyńca, rzucił się na wskazane mu miejsce. Zamszyc, który śpieszył upomnieć się o zbiega, ledwie nadążył do drzwi, gdy się te już zamknęły; zdjął czapkę mając rozpocząć mowę: gdy wtém konie ruszyły, a dawny wychowaniec szyderskim go tylko pożegnał ukłonem.

Nie dając się tak łatwo zbyć, pedagog podbiegł lekkim klusem do kasztelana ze zdjętą kapuza, a czerwony pan ze zdjętej pokornie czapki wnosząc, że prosi o jałmużnę, rzucił mu naprędce złotówkę... W tej chwili cała kalwakata, z ogromnym łoskotem, klas-

kaniem z biczów, krzykiem pocztalionów, śmiechem ezeladzi a admiracyą otaczającego ludu, wyruszyła tryumfalnie przebiegając ulice małego miasteczka, które bez lzy, bez westchnienia, suchém okiem, rozpalo-ném nadziejami, pożegnał uśmiechając się Adaś.

Pocztalioni dla popisu raźnie puścili konie z miejsca, i tuman kurzu tylko świadczył o znikłym zjawisku.

— Ciekawa rzecz! co ja teraz ze stolnikowiczem pocznę! zawołał Zamszyc skłopotany. — Ten chłopiec zawsze mnie niepokoił... i wysniła mi się bieda. A niechże go... razem z tymi co go porwali... siako tako, sto tysięcy dyabłów!.. Śmiał mi powiedzieć... że świecą lojową? Znaleźliż kiedy knota? znaleźli knota? Powiedźcie mi! Nigdy! nigdy! to nizeczemnik...

Mrucząc tak i pięścią odgrazając się niewiadomo komu, powracał teraz do swojego domku zafrasowany staruszek, mając jeszcze do przebycia szyderskie z siebie uraganie uczniów, przyklaskujących ucieczce Adama.

Im więcej o tém myślał, tém go cała ta historia dziwniej mieszała. Wypadek był tak niezwykajny, tak osobliwszy, że i ratunku nań potrzeba było szukać w środkach niezwykłych. Zamszyc dotąd żył zamknięty w ciasnym kółku bardzo pospolitych zdarzeń nie wychodzących nigdy z pewnych umiarkowanych proporcji. Stłuczenie szyby, zbiecie garnuszka, już go dosyć martwiło, gdy ich na kim poszukiwać nie miał; cóż dopiero ucieczka studenta w biały dzień, nieprawdopodobna, gorsząca! Tarł czoło, sądząc, że mu się to przyśniło, i nie doszedłszy do domu, ciągle z odkrytą głową, bo nie miał dosyć przytomności, by włożyć czapkę, zawrócił się do rektora akademii.

Rektorem naówczas był Jmks. Hermolaus Kessler, Słazak, człek głęboko uczony, surowy i poważny, który szkołę i wszystko co do niej należało w wielkim trzymał rygorze. Sławny był z tego, że nietylko szacunek powszechny, ale i postrach w około siebie rozsiewał; obawiali się go wszyscy, a powagę dostojności swęj piastował, jak gdyby akademii samęj, nie zaś skromnej jęj córy był naczelnikiem. Zamszyc widywał go w dni uroczyste z dala, rzadko, i truchlał na myśl, że mu się do niego zbliżyć przyjdzie tak ta postać wyniosła doktora świętęj teologii i obojga praw, z za okularów złocistych spoglądająca na poziomy świat z pogardą, wydawała mu się straszną.

Przystęp też do księdza Kesslera dla ludzi pospolitych nie był łatwy. Mały, kulawy pedel i kalafaktor zarazem strzegł dniem i nocą drzwi, których progu nikt ze śmiertelnych nieupoważniony przejść nie mógł.

Pedel ów, przewany z powodu ułomności swęj przez studentów kuternogą, dawał się ująć parą groszy, gdy szło o audyencyę; ale wzięwszy je i wyjednawszy posłuchanie, pod nosem professorów nawet kłął i lajał, czując się w obowiązku naśladowania pryncypała i nieubłaganęj jego surowości.

Zamszyc tak był przejęty nadzwyczajnym wypadkiem, że wpadł nierozważnie na górę i uderzył się aż o kuternogę, śpiesząc zadyszany do Illustrissima... Wtém mu stróż gniewny drogę zaparł.

— Oho! zawołał—a dokądże to tak?

— Do księdza rektora.

— A tak! do księdza rektora! jak do karczmy! Co to Wpan nie wiesz porządku? Illustrissimus pracuje.

— Ale nadzwyczajny wypadek.

— No! to co?

— Naści trzy grosze na tabakę! siako tako! — zawołał zdesperowany Zamszyc, oddając nierozważnie, złotówkę kasztelana, która mu w czapkę wpadła. Na miłość bożą, puszczaj mnie.

— Tak!... ale nie! popytam się; stój Wpan... nie można: tu na wszystko jest forma... trzysta dyabłów! — krzyknął kuternoga—ja zaraz powrócę...

— Dam jeszcze drugie tyle, a prędjéj, człowiecze.

— O! to coś jest! — szepnął sobie pedel — pośpieszając do drzwi, które za sobą zamknął.

Po chwili gorączkowego oczekiwania, otwarły się one i wpuszczono drżącego pedagoga, który miał czapkę w ręku z niecierpliwości. Na progu drugiey izby spotkał stojącego ks. rektora z rękami w tył założonemi, z głową do góry podniesioną, z żołądkiem mocno na przód wydanym.

Z tyłu, jakby dla dopełnienia skulpturalnéj postaci, wlokła się wspaniale po ziemi długo i swobodnie, z pewném zaniedbaniem majestatyczném puszczona chustka do nosa. Rektor spojrział na poziomą istotę, i chrząknął tylko, jakby oznajmiając, że słucha.

— Jaśnie wielmożny... *illustrissime*, księże rektorz dobrodzieju — wyjąkał śpiesząc się i bełkotając Zamszyc—stała się okropność!

Głosu mu zabrakło, *vox faucibus haesit*, ale rektor nie stracił swęj zimnéj, urzędowéj, obojętnéj fizyognomii.

— No, cóż tam się takiego stało?—zapytał.

— Syn pana stolnikowicza O... z Wólki Brzozowéj, Adam, w biały dzień uszedł z miasta, zabrany gwałtem, *raptus, confiscatus*, przez niewiadomych jakichś państwa, z ogromnym dworem i taborem przejeżdżających.

— Co? co? a jakżeś Wpan na to mógł pozwolić?

— Ale ja biegłem, gonilem, krzychałem, protestowałem.

— Dla czegoż nie została wezwana ku obronie prawa władza szkolna?

— Bo to się stało siako tako, jakby w okamgnieniu; młodzież wychodziła ze mszy świętej, stolnikowicza syn spotkał się z tém państwem u fôrty, i zagrabiono go *jure caduco*. Ja w pogoń za nim poszedłszy, ledwiem nadażył, gdy go kozacy (amplifikacya) pochwyciwszy do powozu wtrącili, i w cwał zaraz uciekać poczęto...

— Jak to! porwano gwałtem?

— Nie! illustrissime, chłopiec przewrotny, nakarmił mnie obelgami i zostawił list do rodziców.

Rektor stał dziwnie potrzęsając głową, wlepił oczy w drżącego pedagoga, i wyciągnawszy poważnie rękę ku niemu, rękę, od której wlokła się owa chustka ogromna, rzekł głosem Jupitera ferującego wyrok na śmiertelniku:

— Idź mi Wpan z oczu... precz!

Zamszyc, który przyszedł po radę, nie śmiał już ani żrenie podnieść, ani ust otworzyć; posunął się natychmiast ku progowi, słysząc za sobą grzmiący, mściwy głos ks. rektora:

— Wołać mi tu natychmiast ks. prefekta!

Usłyszawszy rozkaz, pedel jak piłka stoczył się natychmiast po schodach, korzystając ze swęj kula-wizny ku misternemu przeskakiwaniu stopni, a biegł tak chyżo, iż o mało samego ks. prefekta idącego naprzeciw nie obalił. Nim sromotnie wygnany Zamszyc zszedł na dół, już ks. prefekt śpieszył do rektora.

Ks. prefekt był małą, suchą ruchawą figurką, człeczkiem z żywego srebra; w twarzy miał tysiące najroz-

maitszych grymasów, pełno nerwowych ruchów w ramionach, w plecach, w nogach, w rękach. Nawet gdy stał spokojnie, ciągle nim coś targało i miotalo. Studenti wcale się go nie obawiali, choć usiłował być groźnym; surowość jego usmierzało roztargnienie, tak olbrzymie, że często rozgniewawszy się najmocniej, w największej passyi zapytywał naiwnie:

— Czegożem to ja się tak rozgniewał? he? słyszycie?

Inpetyk był, ale człek zresztą wcale niezły: groził i lajał straszliwie; nim do wykonania groźb przyszło, miękł i zapominał gniewu.

— Księżę prefekcie, ratuj nieszczęśliwego siako tako! całując go w rękę zawołał Zamszyc. A toż to mi ten Adam O...czuk drapał.

— Ha? co? tak? wiem! a tak! a nie pilnowałeś, a latali, a tego co się zowie! Otoż owoce... jak sobie kto się wyśpi, tak pościele (ks. prefekt często tak z pośpiechu wyrażenia przekręcał); a teraz woza do koza... tego zobaczycie. O! surowości potrzeba! przykładu! nie darujemy! Puszczaj mnie Wpan, bo ks. rektor czeka!

— Ojczel! ratuj nieszczęśliwego ojca familii!

— Nigdy! zbrodnia się stała! szkoła za nie! powaga zwierchności zdeptana *et sic porro*, co to jest? chcecie pobłażania i współnictwa... tego... nigdy! Surowości potrzeba! surowości, wielkiej i bezlitośnej surowości... idę do ks. rektora...

— Ale cożem ja winien?

— Co? a któż? Wpan sam i jedynie! Chłopiec powierzony był jego opiece... z przed oczu niknie jak biały dzień w kamforze... to zgroza... Idę do ks. rektora.

Zamszyc ustąpił smutny, a prefekt polecał machając rękami, nogami, głową, ruszając oczyma nosem i gębą.

Zszedłszy na dół, podumał trochę stary, z wielkiej rozpaczycy wstąpiła weń jakaś odwaga, i nałożywszy czapkę na głowę, poszedł już nie do domu, ale do znajomego sobie mieszczanina Plewki.

Plewka miał mały dworek na tej samej ulicy, a znany był z tego, że czasem znajomym konie najmował. Zamszyc nie namysławiając się, zgodził go zaraz z wozem do Wólki Brzozowej, i kazał mu tej chwili po siebie przyjeżdżać. Mileząc potem wrócił do domu, zdał nadzór młodzieży korrepetytorowi, pod najstraszniejszym rygorem wzbraniając pozostałym nosa wytknąć na podwórko, jak gdyby wszyscy pouciekać mieli, i schwyciwszy list Adama do kieszeni, zarzucając okrycie niezwłocznie wyruszył w drogę.

W Wólce Brzozowej cicho było i spokojnie, nie nie zwiastowało strasznego ciosu, który miał w serce pocziwów pary uderzyć. Dnia tego pan Krzysztof siał w polu i cały ranek spędził przy siewcach, przypatrując się dobrze wyrobionej roli i wróżbom pomyślnym przyszłości. Anna krzątała około lnu, który był pięknie zarodził i z którego sobie obiecywała wiele. Nad dworem świeciło słońce pogodne, niebo lazurowe, a z komina jego słupem szarym unosił się dym po nad wierzchołki drzew.

Było już dobrze po zachodzie słońca, gdy pan Krzysztof, który drugi raz poszedł zobaczyć, jak tam mu ludzie zabronowali, o kiju powoli wracał do domu. W ganku czekała na niego Anna na jednej ławce, a na drugiej świeżo przybyły, w długich butach juchtowych, torbie borsuczój pan Baltazar, który przyniósł na niedzielę szaraka upolowanego na ściernisku.

Pana Krzysztofa już widać było pomiędzy wioseczką a dworem i poznała go żona po białej czapce, jak się z wolna modląc posuwał ku domowi... Wtém w wioszczynie tak blisko położonej, że każdy z niej odgłos dochodził, w tejże chwili dało się słyszeć nie

zwykle psów szczekanie, ujadanie i pośród uroczystej ciszy wieczoru turkot wózka.

Pan Krzysztof, który wiedział dobrze, iż na żaden powóz wieśniaczy psy nie ujadły nigdy, i że o tej porze nikt obcy nie mógł tu zabłądzić, chyba ktoś umyślnie jechał do dworu, — zatrzymał się, stanął i przyczekiwał.

— Pewnie któryś z królików moich — rzekł w duchu; przyłożył rękę do czoła i postrzegł wózek mały, a w nim poznał też zaraz Plewkę z Białej, bo i konie jego znajome były w sąsiedztwie z maści, gdyż jeden był bułany, drugi siwy.

Serce mu uderzyło niepokojem, gdy po chwili i Zamszyca kapuzę rozeznał, a wózek przystanął i powoli pedagog zszedł z niego.

— W imię Ojca i Syna — rzekł w duchu — ani chybi: złego coś... Zamszyceby darmo nie przyjechał... Niechże się dzieje wola Twoja, o Panie! ale mnie nie karz zbyt srodo... Dziecko chore... przypadek jakiś...

Z miny zafrasowanej starego, który wahając się przystępował do pana Krzysztofa jeszcze mocniej przekonał się stolnikowicz, że go jakaś próba czekała. Zebrał siły:

— No, mów — odezwał się nie witając — co się stało? Nie przybieraj się... czuję już coś złego... nie dawaj mi goryczy po odrobinie: rzuć mi ją całą jak Bóg zesłał.

Zamszyca stanął milczący i powoli zaczął z kapoty dobywać list Adama. Pan Krzysztof nie rozumiejąc, pochwycił papier, wlepił weń oczy, i drżący począł czytać powoli. Przebiegł list raz, drugi i trzeci, i nie odgadł jeszcze co się stało.

— Ale cóż się stało z Adasiem!

— Panie, jak Bóg żywy, jam nie nie winien! Pilnowałem go jak żrenicy w oku, ale to gwałt i napasć, *raptus*, spisek; chwycili go w biały dzień mimo mego oporu: porwali, uwięzli...

— Któż? co? jak?

— A ci kasztelaństwo O...

Stary wpatrzył się w list, schował go do kieszeni, namarszczył brwi i rzekł surowo do Zamszyca:

Jeżeli mi o tém słowo piśniesz przed matką, to cię na miazgę utłukę! Mileżeć mi... na osobności pomówimy o tém. We dworze powiesz Wpan, że jadąc do Łomaz, wstąpiłeś do nas z ukłonem od syna; ani słowa więcej. Powiesz, że Adaś zdrow, że się dobrze uczy: rozumiesz?

— Rozumiem, panie, rozumiem.

— I minę zrób mi wesołą!

— Postaram się, panie... radbym...

— Przecież mi kobiety zabić nie chcesz? — zawołał pan Krzysztof. Na wyraz jego oblicza Zamszyca struchlał: było straszne, groźne i wielką odbitą od niego boleścią. Stali właśnie przed wiejskim omszonym krzyżem. Stolnikowicz zdjął czapkę białą, przykląkł na jedno kolano. Uderzył się w piersi, wznosił oczy do nieba i z głębi serca jęknął boleśnie:

— Panie, niechże Ci moje cierpienie miłą będzie ofiarą Abrahamową; użyż mi siły do zniesienia boleści. A wola Twoja niech się stanie, teraz i zawsze i na wieki wieków. Amen.

Podniósł się nieco uspokojony.

— Niechże waścina furka idzie za nami, a my nim dojdziemy do dworu, opowiesz mi Wpan szczegółowo i bez przesady jak się to stało. A nie kłam, bo nie

przebaczę sercu ojcowskiemu zadanego ciosu; chcę wiedzieć prawdę — samą tylko prawdę.

Zamszyc z drobnostkowością człowieka, który nie umie rozeznaczyć szczegółów ważniejszych od nieznaczących, rozpoczął historję całą. Pan Krzysztof słowem jęj nie przerwał. Byli u fórtki dziedzińca, gdy się opowiadanie skończyło, a naprzeciw nich wyszła Anna i Baltazar, ciekawi jakiego to gościa stary z sobą prowadzi.

— Terazże milez mi lub kłam, zawołał p. Krzysztof. Jeśli się czegokolwiek domyśli, biada tobie... Zabijeś mię, nie zabijajże mi kobiety... Ja to jeszcze przeniosę... onaby mi umarła... mileżeć.

— A to kochany nasz Zamszyc! — zawołała wesóło, ale razem niespokojnie Anna, poznając go — to wiadomość od Adasia?

— Jechał do Łomaz ze swojemi interesami — przerwał żywo Krzysztof — wstąpił do nas, aby nam dać wiadomość o dziecku. Adaś nie pisał, ale zdrów i uczy się dobrze...

Jak się masz Baltazarze? dodał postrzegłszy dopiero stryjecznego, — jak się masz?

— Mam się jak stary grzyb zawiedły; ot widzę, że choć raz w dobrą godzinę przyjechał, bo mi się najczęściej zdarza, i mam to do siebie, że zawsze prawie będę jaką przywiozę... Choć ten raz zmieniła się natura.

Pan Krzysztof miał siły tyle, że się uśmiechnął.

— A jakże tam nasz Adaś? mów panie Zamszyc, zawołała Anna.

Zamszyc jękał się, ale kłamał, bo go wzrok przezywający ojca podbudzał; stary Krzysztof pomagał mu też jak mógł.

Wieczór przeszedł trybem bardzo zwyczajnym, a choć gospodarz i goście silili się na dobre humory, Anna dostrzegła na twarzy męża wyryty wyraz głębokiego, niepohamowanego smutku, i przypisała go rozbudzonemu wspomnieniu syna, o którego zawsze zbyt wiele troszczył się pan Krzysztof. Pomimo największego wysiłku, nie mógł on zadać gwałtu rysom twarzy i wydać się bardzo ożywionym. Chciał to zrobić, aby usunąć podejrzenia; ale do fałszu brał się koślawo i niezgrabnie, widać w nim było przymus wielki. Nikt też nadeń mniej do kłamania nie był zdatny.

Za to Baltazar, jak człowiek, któremu polowanie dobrze poszło, a wódka i wieczerza po niem smakowały, był wesół jak nigdy; opowiadał dykteryjki, zarywał aż niekiedy na piosenki, chcąc koniecznie rozruszać pana brata, ale mu się to nie udawało.

Zamszyc z wielkim zawsze będący respektem dla państwa Krzysztofowstwa, przerażony wypadkiem, zagrożony aby się nie wygadał, zrywał się też do dobrego humoru jak dropie do latania, zmuszony zaraz milknąć, bo mu wątku nie stawało. Jedzenie, choć głodnemu, do gardła nie szło; na karb tylko wielkiego szacunku można było ten dziwny stan jego ducha zaliczyć. Siedział w końcu stołu i miał postać człowieka wziętego na tortury. Groźne spojrzenie gospodarza, starające się go utrzymać pogodnym, jeszcze gorzej nieboraka mieszało. Brał łyżkę zamiast widelca, krajać chciał mięso chlebem, łapał się, mieszał, tak, że gdy od stołu wstawano, gospodyni szepnęła mężowi:

— Coś mi ten Zamszyc dziwnie pomieszany. Weź-

no go ty na spytki: może się co Adasiowi stało? Wyglądała tak, jakby coś w sobie dusił...

— Ale co ci się śni! — odparł mąż — jużem ja go dobrze wymacerował nimeśmy tu pieszo doszli. Adasiowi nic. Zamszyc sam ma swoje kłopoty domowe... Ktoś mu tam zawinił i w porę nie wypłacił... Boję się, żeby dziecko na tém nie cierpiało, bo coś bardzo piszczy na niedostatek.

— Możeby mu czém pomódz z domu? — rzekła fraszliwie gospodyni.

— E, poczekaj-no z tém; przyjdzie na to pora: nie trzeba się śpieszyć.

Po wieczerzy, odprowadzając żonę do alkierza, pan Krzysztof skinął na Zamszyca i Baltazara, aby z nim wyszli; a że noc była ciepła i miesięczna, poszli niby odetchnąć ku wiosce i krzyżowi. Była to zwykła w Wólce Brzozowej przechadzka, bo w inną stronę niż tu i do lasu po za dworem, nie było nawet ścieżki.

Choć mu już Zamszyc wprzód całą odpowiedział sprawę, choć i list Adasia coś też mówił, Krzysztof potrzebował szerzej o tém pomówić i złać z serca ten ukrop, który je parzył. Baltazar nie był mężem do rady, ale zawsze jako stryjeczny brat i dusza pocziwa, zbyt czynnym przy rozmowie być nie mógł.

Gdy dobry kawał ode dworu odeszli, a pan Krzysztof obejrzał się, że ich nikt z dworskich podsłuchiwać nie może, ujął silnie za rękę brata myśliwca i dopiero mówić począł, tchnąwszy piersią wprzód, jakby z niej chciał wielkie brzemie zrzucić.

— Czy wiecie panie bracie, co mi ten człowiek przywiózł? rzekł powoli — i dla czego u wieczerzy spo-

sobiąc się do wesela, jak czajka z za morza czoła rozchmurzyć nie mógł? O! większego ciosu w życiu mém nie było, chyba gdy nieboszczyka rodzica mego do grobu składał.

— Boże wielki! cóż się stało? chyba co Adasiowi przytrafiło się? Postrzegłem to dobrze u wieczerzy mimo waszych wysiłków, że coś było za pasem.

— Rzecz nie do wiary: jeszcze mi się zdaje, że to sen — zawołał pan Krzysztof. — Wystaw sobie, Adaś bez pozwolenia rodzicielskiego... z kasztelaństwem O...mi do Warszawy odjechał. Dobry i on, i ei, co go tak sobie wzięli! Jak to! dziecko rodzicom! to gwałt, to przemoc, to wzgarda wszelkiego prawa. Że bogaci i bezdzietni, myślą iż mi łaskę czynią, dziecko biorąc i sposobiąc, aby progi pańskie i kąty wycierało, a czoło też wytarło! Wiele mi dobrodzieje! a toć chleb mój razowy pod własnym dachem, na swoim zagonie, stokroć zdrowszy od pańskich marcepanów... Widziane to rzeczy! Chcą mi z syna paniątko uczynić... Toć nie łaska, ale ostatnia zguba!

I unosił się tak pan Krzysztof, a Baltazar węża pokręcał dziwując się.

— Ale jakże się to stało? spytał.

— Jak to było? — odparł szybko Zamszyc, który ciągle czuł potrzebę uniewinniania się: — jak? toć człek siako tako patrzy, mogę powiedzieć, jak oka w głowie powierzonych dzieci; ale na pospolite niebezpieczeństwa są środki w ludzkiej mocy, a na te ekstrakordynaryjne wypadki, których nikt nie przewidzi, człowiek nie wymyślić nie może: spada to jak piorun. Któżby to mógł być przeczuć nawet, że mi dziecko skradną w biały boży dzień, jak Boga kocham, siako

tako! — zawołał Zamszyc bijąc się w piersi. — Już jeśli winien, tom szelma.

— Gadacie, gadacie, a ja do téj chwili nie nie rozumiem! — przerwał niecierpliwie Baltazar, który pomimo doznanego wrażenia nie zapomniał korzystać ze świeżego powietrza i krótką swą poleską fajeczkę bakunem nakładał, a wzięwszy ją w zęby, począł ognia krzesać.

— List od tego smarkacza — zawołał mnąc papier w kieszeni pan Krzysztof — sam nie wiedział co pisał; jak w gorączce, donosi nam, żegnając mnie i matkę, że jedzie z kasztelaństwem do Warszawy, że oni się chcą podjąć jego wychowania! Rozumiesz panie bracie... kwita z ojca i matki! Że mnie starego bez bólu i żalu odjechał tak i rzucił, a! Bóg miłościw, temu się jeszcze nie tak dziwię — dodał Krzysztof; — między ojcem a synem mniej jest węzłów serdecznych. Ależ tę biedną, tę matkę, która go tak kochała, że kamieńby się przecie jój miłości ulitował, dla ludzi, których raz pierwszy w życiu zobaczył, porzucić? to niepojęte!

Milezeli chwilę, pan Krzysztof westchnął.

— W rany Chrystusowe potrzeba to złożyć na ofiarę, dodał. Toć nie jeszcze, to nie: pojedę ja sam po niego, odbiorę dziecko... ale dosyć dni kilkunastu, by trucizna miękkości zakradła się w serce, by się popsuł na całe życie... Gdy ten oddech zatruty sybarytyzmu wionie na człowieka, to jak zaraza morowa: z niej się nie wychodzi bez uszczerbku na zdrowiu... I cóż ja mieć mam za nadzieję w dziecku, które już nie ma serca w latach, w których się go miewa za wiele?... A to moje jedyne!

Załamał ręce. Schwycił go pan Baltazar za prawicę.

— Czekaj bracie, nie rozpaczaj; czyż dziecinna płochosć, której chłopiec już może żałuje, tak cię ma srodze obchodzić, lub tak wiele znaczyć nierozwaga?

— Znaczy wiele, rzekł surowo Krzysztof: znaczy wiele... Kto w tym wieku nie ma serca, już mu ono nie wyrośnie: nie! Nie mam syna, ale dla matki odebrać go potrzeba, aby biedna kobieta we łzach się nie roztopiła... Jam już na wieki sierota.

— Niechże pan stolnikowicz, siako tako, nie desperuje, zawołał Zamszyc. Chłopię to jeszcze małe odmienić się może... nazbyt miękkie to...

— A zkadże téj miękkości nabrał? zkad to kwiatkiem wyrosło, gdy ja kłosa pełnego z niego się spodziewałem? przerwał ojciec. Bóg pokarał; nie cieszcie mnie: o mnie starego tu nie chodzi. Nie będzie komu wylać się umierając, zostawić myśli i woli ostatniej; ale Bogu niech będzie chwała i *fiat voluntas Tua*... Mnie już dziś o tę moją drogą Annę tylko idzie... Gdy się dowie — a! nie mogę pomyśleć... Kobieta biedna może życiem przypłacić; a jój życie to i moje razem... Zostanie sierotą i zginie zostawiony sobie.

— El słuchaj no panie bracie — rzekł Baltazar — z czarnymi myślami precz, jak mówi piosenka: one rozum zamęca. Chłopca odebrać, a dać go w rygor ścisły, to się jeszcze jak skóra wyprawi, choćby na surowiec, ale go dobrze kręcić... A nam też ludzi potrzeba z surowcu, bo nasz świat nadto się safianowy coś robi: nie będzie z czego wkrótce uszyć pasa, gdy przyjdzie chwila ciągnąć. Co prawda, to prawda!

Zamszyc głową, usty i rękami potwierdzał co kto mówił, byle nań nie krzyczano; pokorny był i zbiedzony nad wyraz.

— Tu nie ma co długo rozmyślać... rzekł pan Krzysztof: ja z tobą jutro pojedę do braci... Choć to moja sprawa, ale i rodziny razem; potrzeba coś obmyślić..., i do Warszawy co tchu. Ale jaki ja znajdę powód wyjazdu, aby mnie żona nie podejrzewała? a jak tu znowu obwarować, aby pod moją niebytność ktoś ję nie szepnął o synu. Cała okolica lub już wie, lub wkrótce o naszym wstydzie i utrapieniu wiedzieć będzie.

— E! to fracha! — rzekł Baltazar — brat pojedziesz niby dla jakiej sprawy sądowej, a ja tu się w Wólce dla pilności około gospodarstwa, i troskliwie strzedz będę Anny, twojego dobra i spokoju: zawierzyć mi możesz.

Krzysztof się zadumał. Zamszyce eicho szeptał:

— A czemużby nie? bardzo dobrzeby tak było.

— Ale po co ja, którym od niepamiętnych czasów w stolicy nie był, do niej pojedę? jak też przystroić tę podróż, aby się powodu ję moje biedactwo nie domyśliło? jak? jak?

— A toć proces, sprawa familijna... co chcecie... choćby sukcesya...

— Na ubogich nie nie spada, rzekł pan Krzysztof, machając ręką; to do wiary niepodobne wcale.

— O powód się nie frasuj: jutro pojedziemy do braci, tam przecie coś obmyślimy. Nie może być, by się nie znalazło! Bogu się oddaj i bądź dobrą myśl. Adasia im z gardła wydrzemy, tym dzieciokradcom... Albo — ciszej rzekł pocziwy Baltazar, puszczał wielki kłęb dymu — gdybyś ty mnie chciał tę sprawę powierzyć, jadym sobie poradził; odebrałbym pewnie zgubę, ale odebrawszy, takichbym mu na pamiątkę trzydzieści odlewanych...

Pan Krzysztof potrząsnął głową.

— No jeśli boicie się mnie — rzekł Baltazar — com już tylko na lisy i borsuki się przydał, weźcie Kaspra lub Melchiora, każdy z nich się poselstwa podejmie i wyręczy pana brata.

Krzysztof, któremu po cichu łzy z oczu płynęły, milezał. W tém nagle pochwycił się oburącz za głowę. Przyszło mu na myśl, że mieszczanin, który wiozł Zamszyca, pewnie o historii wiedzieć musiał; mógł ją w czeladniej izbie rozpowiedzieć, z kąd łatwo ję było dojść do żony. Błyskawicą przeszło mu to przez głowę, i szybko zawrócił do dworu.

— Nie bez tego, żeby woźnica nie rozgadał się z waszecią w drodze: wydadzą mi wszystkó i kobietę zabiją.

Zamszyce pobladł i zdrętwiał; na myśl mu to nie przyszło, a w istocie z Plewką dużo się nagadali.

Więc jak powoli szli, tak żywo zaczęli powracać nazad do dworu, i wprost wbiegli na folwark, gdzie właśnie czeladź zasiadła była wieczerzać u stołu, a mieszczanin bialski wchodził, pochwaliwszy Chrystusa, pokarm z nią podzielić. Pan Baltazar w porę nadbiegł, aby go uchwycić za poły i wyciągnąć za drzwi z takim impetem, że Plewka nie wiedząc o co idzie, zbladł ze strachu, myślał z razu, że go śmierć czeka, że konie, które były popętane puścił na paszę, w szkodę gdzie wlaży... lub że się coś stało niepojętego a groźnego. Złożywszy ręce, stał przerażony czekając wyroku. Ocknął się dopiero, gdy mu p. Baltazar, odwoławszy go na stronę, szepnął:

— Mosanie, tu sprawa gardłowa. Chcesz-li cały być, milcz przed sługami o przypadku, który ci Zamszyce opowiadał: rozumiecie? Nie gadaliście o tém z nikim:

— Chodziłem koło konisków, to się tam coś z parobczakiem gwarzyło, ale on tego pewnie nie rozumiał...

— No! milczcież...

— To się potrafi, choćby też milczeć, rzekł spokojnie mieszczanin; jak się rzecze słowo, to się dotrzyma.

Baltazar choć nie bogaty, ostatnią pono złotówkę chciał dać na piwo woźnicy, aby go ująć; ale Plewka nie przyjął, pokiwał głową i zaręczył, że za pierwszy impet, z jakim został za drzwiami wytrącony, urazy wcale nie ma.

— Bo to widzicie — dorzucił Baltazar, ściskając go za rękę — i wy też pewnie dzieci macie, i wy ich matkę kochacie... a to jednak u rodziców... dla tegom się do was wziął tak gwałtownie.

— Ja się o to wcale nie gniewam — odparł mieszczanin, — choć mi też, prawdę rzekłszy, w karku trzasło, gdyś mnie jegomość z izby wyciągał.

Tak się tedy ujęło postrachu jednego. Zamszycowi posłano w izdebce przy oficy, i przykazano wynosić się jak dzień, aby go matka nie badała. Baltazar obowiązał się stróżować nad przybyszami, a do takich spraw, gdzie czujności potrzeba, stary wojak był jedyny.

Pan Krzysztof, wedle swojego obyczaju, poszedł się modlić przed obrazem Chrystusa; pilno mu było do tego wizerunku, na którego oblicze w złém i dobrem nawykł był patrzeć szukając w niém pociechy... Nie mógł się wszakże i pośpieszyć, tu aby go i ten pośpiech nie zdradził: żona czekała nań w progu, chcąc szerzej o syna rozpytać. Pocałował ją w czoło i kilku łagodnymi słowy odprawił, oznajmując zara-

zem, że Baltazar przybył (była to rzecz umówiona) prosić go nazajutrz na radę familijną do brata Melchiora.

— A toć jutro dosiewki pszenicy! odezwiała się Anna.

— No, to jutro tam karbowego i Jeremaszkę postawimy, rzekł pan Krzysztof. U nas pszenica nie to co gdzieindziej: korzec wczoraj, korzec dzisiaj, niewielkiej wagi rzecz, aby na placek i bułkę było kupować nie potrzebowano... A tam sprawa jakaś ważna Melchiorowa z sąsiadem i braci z sobą, potrzeba im usłużyć...

Anna nie odpowiedziała, ale gdy mąż z domu miał jechać, zawsze jęł było tęskno i odeszła smutna.

Dopiero obejrzawszy się, że już jęł nie ma, z rozkrzyżowanymi rękami padł na kolana przed Chrystusem p. Krzysztof.

Błoga to była wiara, co ojców naszych swą pierśią wiecznie pełną żywiła, pomiędzy nimi a niebem stanowiąc węzeł nierozzerwany. Z nią człowiek nigdy się nie czuł samotnym, nigdy sierotą nie pozostał na świecie zawsze nad nim była ręka boża, był opiekunem Chrystus Zbawiciel, była orędowniczką Marya... Panu Krzysztofowi lzy nagle polały się z oczu jak z chmury deszcz nawalny, gdy pokłakłszy, wymówił pierwsze słowa modlitwy.

— Któryś za nas cierpiał rany, Jezu Chryste zmiłuj się nad nami!

I wpatrzył się w obraz i skamieniał. Chrystus z niego zdawał się nań patrzeć, przypominając mu, że i on cierpiał, że i on bolał, że tylko wielkie cierpienie jest jedyną rzeczywistością życia naszego, a wszystko reszta snem duszącym i zmorą, która przemija z porankiem.

— Stań się wola Twoja!—dokończył stary powstając—uczynię com powinien, ale za cóż mnie czynisz sierotą! Z tego syna już się nie doczekam pociechy... Cożem zawinił? za co mnie karzesz Boże mój? zkad na tę jasną główkę dziecięcą spadło to pragnienie innego życia gdy w tém mógł być tak szczęśliwy.

I zamilkł zamyślony, mrucząc po cichu:

— Stań się wola Twoja!

Jejmość czekała nań w progu, ale nie postrzegła łez świeżo wylanych, aż pod wieczornym pocałunkiem.

Była z razu niepewna, sądziła że rosa wieczorna zwilżyła mu twarz; wszakże niepokój nią owładnął i zawołała z rozrzewnieniem:

— O! panie mój! czyś ty nie płakał?

P. Krzysztof kłamać nie umiał.

— A! płakałem—rzekł—ale to tak, z pełności serca mi przyszło, jak to się trafia, gdy z tego żywota wejrzy człowiek i westchnie do lepszego! Cóż dziwnego, że mi łzy popłynęły przy modlitwie przed Chrystusem ukrzyżowanym?

Żona popatrzyła nań: dobył z głębi jakiś uśmiech kłamany kochał ją do tyła, że potrafił się uspokoić, aby jój przed czasem nie przyczyniać zmartwienia... Anna wejrzawszy nań, odeszła całkiem prawie uspokojona.

Zaborzów był osadą znacznie ludniejszą i większą od Wólki Brzozowej, posuniętą ku większemu gościńcowi: życia a ruchu więcej w nim też nieco dostrzedz było można. Kiedy niekiedy wóz i bryka przetoczyły się drogą, ale nie było gwaru, i często dni całe dzieci się wiejskie na środku gościńca bawić mogły, a nie im nie przeszkadzało stawiać budynków z piasku i kamyków.

Dwa też dwory w jednej wiosce trochę ją ożywiały. W jednym jój końcu stało bardzo stare i niskie domostwo pana Kaspra, po staroświecku okolone lipami, olchami, całe w cieniach i liściach, tak, że tylko z dala para białych kominów na tle zieleni oznajmowała, że tam dwór stoi. A był drewniany, obszerny, ale w ziemię zakłęsły, od czego dach i tak wysoki, jeszcze go wyższym wydawał. Dokoła bociany sobie były obrały mieszkanie w téj gęstwinie, tak, że nie znalazł się prawie drzewa, któreby nie miało swego gniazda; nie było prawie dachu, na któryby się ich parę nie umieściło. Przywiązywano do tego u nas zawsze jakąś ideę błogosławieństwa i pomyślności, tak, że zrzucać ich nikt nie śmiał, i gospodarzyły sobie

jak w domu po ogrodach i dziedzińcach. Było tam może nieco z ich powodu szkody na podwórku, bo łakomsze a mniej sumienne porywały się i na drób niedorosły, ale więcej pociechy i wesela z tych poważnych skrzydlatych przyjaciół. Bo gdy bywało, pierwszy bocian przyleci zbrukany i wychudły z dalekiej wędrowniki, a zaklekocze na drzewie obnażonym z liści, to już na pewno wiosna, nowe lato się rozpoczyna, i wszystko co żywe wybiega ze dworu, i z oficyn, i z folwarku, witając go jak starego przyjaciela; a gdy gromadzić się poczną do odlotu, i siadają na łąkach, gdyby wojsko, to znowu smutek i pożegnanie tęskne. Puste gniazda, jak izby po odjeździe gości, nienaruszone stoją do przyszłej wiosny, a jeśli które wiatr przypadkiem obali, kładą zaraz na jego miejsce stare koło, lub trochę gałęzi, by za powrotem gospodarz miał zapomogę, i nie poszedł sobie szukać służby gdzieindziej.

Chłopców nieraz przez ciekawość chciało się dostać do jaj bocianich, i podpatrzeć co też one tam robią? jak się gospodarzą w swój chacie? ale pod najsroższą karą było to zakazane, i ledwie wisus bez czei i sumienia mógł się takiego występu dopuścić. Nie jedno okulawiało stare bocianisko zamieszkiwało przy kuchni na łaskawym chlebie, obrukane, szare, smutne, bo go już bracia nie przyjmowali, bo ten dworak ludzi obcym już się stawał swobodnym mieszkańcem gniazd okolicznych.

Bociany zaborzowskie żerowały we dnie po swoim po sąsiednich błotach i lasach, a było po nich zaraz można poznać co się na niebie święci; bo kiedy bocian chodzi po błocie, pewno posucha, a gdy żab szuka w polu i na wzgórzach, niezawodnie plucha za

pasem. I nie ta jedna była z nich korzyść, boćby żaby i węże, i inne wszelkie plugawstwo zagościło się bardzo w takich dołach i wilgociach, gdyby ich nie ściagały i nie prześladowały stróże bociany pilnujące dokoła dworu.

Bywało, gdy rano wiosenną porą wyjrzyysz w dziedziniec kiedy się tylko na brzask bierze, a ludzie po ogrodach i podwórzu jeszcze się nie kręcą, gotoweś był powiedzieć, że po nich objęły gospodarstwo bociany, tak sobie chodzą swobodnie i po domu i pod domem, i po ścieżkach ogrodu, i gdzie im się podoba. A gdy człowiek nadejdzie, nie zrywają się przestraszone, ale podnoszą się powoli ciężkimi skrzydłami, niby ustępując mu przez uszanowanie, nie podkurczywszy nóg nawet, i zaraz o kilka kroków znów siadają dybiąc dalej na żer i oczyszczanie zakątków.

Jak oni z ludźmi, tak ludzie z nimi dziwnie też byli oswojeni; często nawet dwór pana Kaspra zwano dla odróżnienia od drugiego „bocianim dworem”, i śmiało się z tej przyjaźni dla długonogich ptaków.

Tyleż prawie co gniazd bocianich, było tam dzieci. Pocziwe żonisko pana Kaspra od pierwszego roku po wyjściu za mąż, chwili nie miało od nich spokoju: jedno po drugim następowało tak szybko, że czasem po dwie mamki bywało we dworze. Pan Kasper był to człeczek krzepki, pracowity, niewiele troszczący się o jutro, pełen wiary w Opatrzność, spełniający swe obowiązki z przekonaniem, że Pan Bóg także o swoich względem niego nie zapomni; ufny w to, iż kogo stworzy, tego nie umorzy, a byle gęba, chleb się znajdzie. Gdy się do czego wziął, to do zdechu i do upadłego się nad tém uznają; dla tego często nawet zapadał, bo już wówczas na zdrowie swe nie patrzył

i całe o sobie zapomniał. Żona jego, pocziwe kobieciśko, nie próżnowała także, bo i gospodarstwo, i dzieciśka, i liczny sztab niewieści miała na swój głowie. Wiecznie tam w tym dworze czegoś brakło, końca się nie schodziły, ale się żyło zawsze po bożemu, i sąsiad zawsze znalazł chleb gościnny, a na dobry uczynek choć z pod serca dobywano. Zdawało się, że istotnie pod bocianiami gniazdami musiało być błogosławieństwo boże, bo na nie ci ludzie zasługiwali.

Kasper zdrow, opalony, głośno mówiący zawsze, nawet gdy najciszej mówić wypadło, bo do tego przywykł przy robociznie, wesół acz zakłopotany, nie zbyt głęboko zastanawiający się nad czynem, ale do roboty prędki i serdeczny, był jakby naumyślnie postawioną przy Melchiorze postacią, dla tego, by oba wydawali się wyraziściej.

Melchior żonaty także, miał drugi dwór na przeciwległym końcu wioski, ale nowiusieńki, przyparty do choinki dla trochy cienia, wcale czysty i porządny, ale tam było jak na wszelakiej nowinie czegoś smutno pusto i tęskno. Nigdy jeszcze żaden bocian nie zagnieździł się tam nawet na dachu, choć dużo ich rozlatywało się szukając sobie kątów, bo się tam było namnożyło ich ogromnie przy tak troskliwej nad nimi opiece. Wolaly po wsi i chatach się rozkwaterowywać, niż u Melchiora prosić o gospodę.

Żółte jeszcze budynki tego dworu, który we wsi zwano Nowym, albo dworem pod Choiną, z dala wyglądały, opasane wysokimi parkanami, jakby ostróg jaki. Nikomu też tam i na myśl nie przyszło, żeby było pięknie, ale żeby zameczysto i bezpiecznie.

Nie jest to uprzedzenie, co czleka jakoś odpycha, gdy ujrzy mieszkanie ludzkie bez zieleni, bez kwiatka,

bez starania o jakiś wdzięk i przystojną powierzchowność. Przed czyją chatą choćby malwa i nogietek nie kwitnę na pociechę oczom, na osłodę duszy,—bądźcie pewni, że tam ktoś mieszka, kogo świat boży nie cieszy, co siedzi sam w sobie, i sobie się tylko raduje... Taki był dwór Melchiora, do którego gość rzadki zaglądał, bo go też kwaśno tu przyjmowano.

Państwo Melchiorostwo dzieci nie mieli, choć ona sama pragnęła bardzo mieć jednego tylko syna, wając to sobie, żeby nie więcej. Żywa, gadatliwa, obrotna, wcale jeszcze przystojna jejmość, nienawidziła bocianiego dworu, dzieci pod temi gniazdami wychowywanych, szwagra bratowej i całej rodziny. Z mężem obchodziła się jak z ekonomem, którego potrzeba trzymać ostro; nie darmo ją też brat Baltazar przeżywał Herodem. Kobieta niewielkiego uczucia, nieosobliwszej głowy, ale z energią straszną, zagarnęła wszystko pod siebie i królowała jak chciała; po cichu nawet utrzymywało, że w wielkich i ważnych wypadkach, przemawiała do męża dębowym kijem, i umiała go nawracać na drogę obowiązków argumentami długie po sobie zostawiającemi ślady.

Nieszczęśliwy też to był człowiek ten pan Melchior gdyż zdawał się wcale na swój smutny los nie zasługiwać, ale miał to do siebie, że wszystko robił nie w porę. Miał i serca odrobinę, i rozsądek, i trochę woli, i coś tam dowcipu, ale ich nigdy nie mógł pokazać, przez jakąś przesadzoną bojaźliwość i niepewność siebie. Zawsze albo za wcześnie, lub za późno porywał się do rzeczy.

Kochał, gdy nie było kogo; gniewał się gdy pora i powód do gniewu minęły; myśli dobre przychodziły mu po niewczasie, ochota do pracy po harapie, a do-

myślność, gdy już tajemnicy dla nikogo nie czyniono z rzeczy... Nie szczęściło mu się też osobiście w szczególny sposób, tak, że nigdy nic nie zrobił na korzyść swoją, wszystko i zawsze na kłopot i biedę. Znekany tęp uczuciem, że czegoś więcej wart był na świecie, niż to czém był w istocie, zawojowany przez żonę, dźwigał kaganiec jak mruczający niedźwiadek... Jejmość rządziła się jak szara gęś, a Melchior z wpadłemi oczyma, kaszlący, smutny, przybity, zdawał się tylko dożywać dni ciężkich, jak się to czasem czeka w przedpokoju wielkiego pana, dopóki ciężka ceremonialna urzędowa prezentacya się nie odbędzie.

Taki był ów Zaborzów, do którego nazajutrz na radę familijną pojechali razem p. Krzysztof z p. Baltazarem. Wybrali się tak do dnia, póki jeszcze Anna spała, że gdy stanęli przed gankiem w bocianim dworze, zaledwie tam byli powstawali, a brat Kasper dopiero się na koń zbierał za siewaczami jechać.

Ale pan Krzysztof był tu rzadkim gościem, i zobaczywszy go o tej godzinie, Kasper konia kazał odprowadzić, szepnął, by go kto inny przy siewie zastąpił, a sam z serdecznością wielką pobiegł naprzeciw stryjeczniemu i rodzonemu.

Poważna twarz pierwszego, pomimo rezygnacyi, która się na niej malowała, zdradzała, że nie przybył darmo. Potwierdzał to miną wielce zafrasowaną pan Baltazar.

Uściskali się w ganku.

— Otóż to gość! — zawołał ochotczo Kasper. Oto gość drogi! Jak się jejmość dowie dopiero będzie rada!...

— Héj! słuchaj-no bracie, odparł stary: jam tu dziś u was nie gość i nie godowanie mi w głowie,

ani się waszém sercem pocieszyć potrafię. Przybyłem do was do najbliższych krewnych, po dobrą radę, ze skargą serdeczną... bo mnie wielkie spotkało nie-szczęście...

Pan Kasper pobałdł i ręce opuścił.

— Na Boga, i cóż wam się stało?

Spojrzał na Baltazara, który tylko węża kręcił, ale nie nie mówił.

— Ale cicho! cicho! bo nie chcę, aby o tęp świat wiedział, dodał Krzysztof. Nasza to sprawa domowa, odwieczna... dalej się ciągnie co się przed wieki poczęło. Poszléjcie po Melchiora, pójdziemy gdzie do lamusu z wami, by wasze jejmoście nam nie przeszkadzały: mamy z sobą wiele do pomówienia.

— Héj! zakrzyknął natychmiast Kasper na chłopca, który boso szedł przez dziedziniec, trzymając udeczkę w ręku:—jak stoisz, siadaj mi natychmiast na bułanę; i jedź co żywo do dworu pod Choiną, a proś mi pana Melchiora, aby się pilno stawił. Powiesz mu tylko, że jest pan brat z Wólki Brzozowój: rozumiesz?

— A no! rozumiem, jakżeby nie! odparł chłopak: powiem, żeby pan Melchior co tehu siadał na bułanę i ruszał do Wólki Brzozowój.

— A krośet dyablów! zawołał podnosząc już pięść pan Kasper. Oto głupi! czyżem mu nie powiedział wyraźnie, jak łopatą?

Chłopak ze strachu cofnął się na krok, aby nie oberwać, a Baltazar potrząsł głową:

— To się na nie nie zdało, przez posły wilk nie tyje: dawaj mi bułanę, sam oklep pojade.

Na poparcie rozkazu dostało się chłopcu w kark; potoczył się jak piłka.

— No to i lepiej — rzekł z westchnieniem Kasper; a mybysmy bracie tymczasem przekąsili może co? czy jak?

— Ja, nie! szepnął Krzysztof jeśli pójdziemy na to śniadanie do dworu, to mi z oczu wypatrzą moją biedę i rozpaplą... a nie chcę tego właśnie. Każ tam co dać do lamusa, albo gdzie na ustroniu, pójdziemy w ką... Z biedą człek tuli się w ciemność, jak rannony zwierzę gdy ma zdechnąć.

Tak obradował stary zapomniawszy o bratowej, która schwyciwszy przyodziewek na białą spódnice, już biegła w ganek go witać! Była to mała, tłusciuchna gosposia, gadatliwa, zakłopotana, ale wesoła, oho-cza, serdeczna i dosyć powabna, choć nieco już za szeroko się rozrosła.

Zobaczywszy w sieni tego, którego cała rodzina za głowę rodziny uważała, nie mogła przypuścić aby jój nie miało być wolno pobiedz go przywitać i choćby spytać o Annę, z którą się bardzo kochały.

Pan Krzysztof wielce bratową szanował, cenił ją jako matkę, jako gospodynię i żonę, musiał też odpowiedzieć na jój powitania serdeczne. Ale gdy go poczęła usilnie zapraszać, wygadał się zaraz, że zajechał tylko w interesie po radę do pana brata w pilnej bardzo sprawie, że muszą pójść radzić na ustępie w lamusie... milego jój towarzystwa pozbawić się i t. p.

— Ależ śniadanie! śniadanie! zawołała pani Kasprowa, która, jak wszystkie dobre gospodynie do jadła przywiązywała wielką wagę. — Przecież trzeba co zjeść!

— To nam na górę tam przyszesz, przerwał Kasper brat ma dużo na głowie, teraz mu nie do gawędy pustej.

Pocziwa gosposia już miała usta otworzyć, chciała coś jeszcze powiedzieć, ale mąż dał jój znak jakiś, i zwróciła się nazad do drzwi posłuszna, uśmiechnięta, a bracia poszli w milczeniu na ów lamus.

Budowa ta stała w rogu dziedzińca, na wysokiem podmurowaniu, bo dołem miała lochy i izbę sklepioną na wypadek ognia; piąterko tylko, na które się wchodziło po przyczepionych z boku wschodkach, było drewniane, z grubych kłód dębowych w zrąb postawione. Oświecało je parę okien obwarowanych kratami, ogrzewał komin szeroki, w którym jednak rzadko kiedy ogień się palił, bo zimą nikt tu nie stawał. W izbie tej czasami tylko zbierało się męzkie towarzystwo w dni świąteczne, lub latem stawiali goście poufali. Służyła ona razem na skład uprząży i rzemieni, siodeł i różnych sprzętów wysłużonych, których jeszcze przecz wyrzucać nie chciano. W ogóle nie było to mieszkanie paradne, bo i meble z samych się invalidów składały. Stół prosty sosnowy, który często do kuchni pożyczano, nosił na sobie ślady skrobienia i nożów; mniejszy z zielono-białą warcabnicą olejno niegdyś na nim malowaną, chwiał się na nierównych nogach; proste łóżko ze starym materacem skórzanym, pamiętać musiało parę pokoleń, kilka stołków, zydeł, zegar nieidący od dawna, z założonemi na pudło wagami; naostatek ściana jedna obita przepyszny niegdyś, ale w kawałki zszarpanym i białemi niemi poczepianym gobelinem, nie bardzo ubierały komnatę. Po nad kominem dużym, niezgrabnym, widocznie przez jakiegoś amatora-mularza stawianym więcej instynktem niż nauką, zawieszony był wizerunek Ukrzyżowanego, rozplatany jakimś przypadkiem, zlepiony, pogarbiony, i ledwie na czarném tle kilku świetlejszemi miejscami

dający poznać co wyobrażał. Po ścianach na ćwiekach i hakach wisiało tyle rzeczy, że ich tam i policzyć było trudno. Rzemienne wszakże zabytki przemagały, ale między niemi i starą zbroieczki zardzewiałej, i koszulki dróćianej można było dopatrzeć.

Gdy tu weszli, Kasper dopiero posadziwszy pana brata na najlepszym krześle, położył rękę na kolanie i cicho zapytał go:

— Ale na miłość bożą! cóż to tam takiego? bo nie nie wiem!

— Z twarzy mojej już się mógł domyślać największego nieszczęścia... Syna mi ukradziono! porwano! syna! Serce boli—dodał p. Krzysztof rwąc się za piersi, a później topiąc twarz w dłoniach. Czekajmy na Melchiora, bo mi dwa razy jedno powtórzyć ciężko, słów brak w ustach!

Kasper, który swe dzieciaki niezmiernie kochał, pochwylił się też za głowę, i począł tak chodzić po izbie milczący. Tymczasem bratowa sama ze służącą przyniosła śniadanie, jak na ubogi domek szlachecki bardzo obfite. Rozstawiono je i na wielkim stole, i na małym stolicku, ale go nikt nie tknął.

Jejmość odchodząc, zapytała męża cicho:

— Na miłość bożą, zręcznie się jako dowiedz, czy zostanie z nami na obiedzie, bo u nas postny i bez ryby, na kaszy i polewce, tobym choć posłała po węgorza, czy co?

Kasper zbył ją ręką machnąwszy, jakby chciał powiedzieć:

— Kto tam teraz o obiedzie myśli!.. a jejmość ruszając lekko ramionami, odeszła.

I siedzieli tak w milczeniu, a pan Krzysztof podparty na rękę, jeno wzdychał.

Aż po dobrej chwili rozległ się tętent i powrócił Baltazar na bułanę tego ją spociwszy, wiedząc za sobą gwałtem prawie, mimo krzyku bratowej porwanego Melchiora, w chałacie narzuconym na kapotę, bladego i mocno poruszonego niedługą, ale zbyt szybką jazdą. Kaszlał też wchodząc na lamus, aż się zachodził.

Przywitali się milczący, i stanęli wszyscy kołem otaczając p. Krzysztofa, oczekując odeń słowa. Krzysztof wstał z krzesła, pochodził długo, aż nareszcie stanąwszy, gdy ochłonął, odezwał się z wypracowaną spokojnością:

— Moja-ć to czysto sprawa i własna bieda, kochani bracia, ale i was ona nieco obchodzić musi. Wiadomo wam dobrze, jakieśmy zawsze stali z pp. O...mi, ubogie ludziska tegoż herbu i imienia. Od wieków się to ciągnie. Zdawało się to kończyć i zapominać, aleć złemu nigdy nie ma końca. Wielkim owym O...szło od wieków nie w smak, że ich imieniem i pieczęcią gdzieś się tam uboga szlachta podpierała. Nie zachodziliśmy im w drogę, Bóg widzi; żaden z nas nigdy ich o nic nie prosił; tyleśmy winni, żeśmy naszego imienia i rodu dla pańskiej ich fantazyi zaprzeczyć nie chcieli. Klóło to ichmościów w oczy. Około dwuchset lat temu, oni hrabiowie cudzoziemskiego autoramentu, zapożywali prapradziada naszego o przywłaszczenie klejnotu i rodowodu; był proces, i pokładać musieliśmy z wielką hańbą nasze papiery, jakby ostatni i nowi jacyś ludzie, wywodząc się i próbując szlachectwa. Wygraliśmy przecie, choć z długą włóczęgą po trybunałach, choć nie bez utraty resztki majątności, spokoju i zdrowia szafunku. Antecessor nasz zmarł pono z tego zmartwienia i z téj ohydy, że się

musiał jak chłop prosty nowo uszlacheony legitymować. Ale temu prześladowaniu nie było końca; poszło ono na różne sposoby... dalej a dalej, tak, że między nimi a nami, nie dziś wspólnego nie ma. Wicież co nowego wymyślili, aby mnie znękać? Oto mi pan kasztelan porwał syna z Białej, niby dla wychowania... bez mój wiedzy i woli.

— Ale gdzież zaś to może być! — zakrzyknął Melchior.

— A no, to tak jest przecież, jak wam mówię, odparł Krzysztof. Jechali sobie przez miasteczko, zobaczyli chłopaka, i porwali go z sobą do Warszawy, nie pytając nikogo.

— A no! odparł Melchior, — a gdyby się istotnie losem jego zająć mieli?

— Oni! jego losem! krzyknął stary, marszcząc się straszliwie;—albo to ja ich o to prosił? albo mi to dla syna losu potrzeba? czy mi ich wielkość smakuje? czy ich łaski żądałem? albo nie pamiętam ilu nas upokorzeniami karmili! Syn mój szczęśliwszy będzie na swym własnym zagonie, niż pańskie wycierając przedpokoje.

— Toć pewna, dodał Baltazar ruszając ramionami: że gdyby tam były i najlepsze chęci, nie tak się przecież robi z rodzicami, żeby im dziecko pochwyć wśród drogi... Toćby i żebrak tego nie przepuścił.

— Nie chcę rzeczy widzieć czarniej niż są, rzekł pan Krzysztof, ale czém ich dwory dzisiaj? Gniazdam i zepsucia i zgnilizny... W tę otchłań nie myślę rzucać mojego dziecka, aby zmarniało jak oni. Nie!... nie!...

— Ale kasztelan bezdzietny! zawołał Melchior.

— Cóż z tego? rzekł Krzysztof. Przyjmie go za syna? wielka łaska! Nie chcę ja dla Adasia ani ich splendorów, ani cudzej strzechy, ani innego losu nad życie pracowite i pocziwe, ani bogactw, ani tytułów, ani pożyczanego szczęścia. Byliśmy od wieków prostą szlachtą, niemającą nic wspólnego z grafami Imperyi i książętami rakuskiej fabryki; mnie moja smakuje dola, widzę w niej zbawienie i błogosławieństwo boże, a w ich uczynku kryminał... spisek, prześladowanie, prepotencję magnacką... usadzenie się na zgubę naszego rodu i imienia... Nie mogli go inaczej zgnieść, chcą go pochłonać.

— Bracia milczeli.

— Jadę wprost do króla JMei—dodał Krzysztof—po wymiar sprawiedliwości, ale mi potrzeba dokumentów od całej rodziny naszój, żeśmy zawsze jak sięgnąć pamięcią, byli od nich prześladowani... Przecież król musi mnie wysłuchać...

— Mój kochany panie bracie, przerwał Baltazar: chyba to nie wiecie jakiego my króla mamy! A toć to taki Francuz jak i ci O... Swój swego zna, kruk krukowi oka nie wykole; na nie się nie zda skarżyć, chyba... żeby się nowego wstydu napić.

— A cóż! mam im go tak zostawić? ofuknął Krzysztof.

— El! el! ja myślę, że oni ci go sami oddadzą, rzekł Melchior. Zobaczą, że się nie udała sztuka... a jak sądzę, gdy narobisz hałasu, toć powiedzą: „Nie miła księdzu ofiara, idź ciele do domu.”

Była w tém intencja ukłócia p. Krzysztofa, której on z wielkiego bolu nie poczuł nawet, i mówił dalej:

— Zawsze mi jednak potrzeba tego dokumentu, który już przygotowałem dziś rano.—Tu dobył papier

z za kapoty.—Wyliczyłem w nim wszystkie popełnione względem nas niesprawiedliwości, procesa o spadki przemocą wygrywane po trybunałach, sprawę o imię i honor naszego szlacheństwa, procesa o kollacye i prezenty rodziny naszej, o wszystko... wszystko... Przeczytajcie i podpiszcie. Oto, czego od was przyszedł prosić—dokończył pan Krzysztof, rzucając papier na stolik...

— Daléj, rzekł jeszcze, żonę jakkolwiek ukolysz, Baltazara na straży postawię, aby się nie dowiedział o nicém, a sam ruszam do Warszawy.

Westchnął p. Krzysztof, otarł pot z czoła i usiadł. Wszyscy trzej bracia zbili się w kupkę czytając po cichu podany dokument, który p. Krzysztof spisał na pamięć prawie z pamięci, bo mu krzywdy staréj rodziny stały na myśli, leżały na sercu, i z papierów o nich wiadomości czerpać nie potrzebował.

Głuche przez chwilę panowało milczenie. Korzystając z niego p. Baltazar, dwa razy napił się starki, na co nikt nie uważał.

— Ha! my ci tu z serca podpiszemy, rzekł wreszcie Kasper: bo tu jednego słowa nie ma, żeby nie była święta prawda; ale na co się to zdało?

— Już ci ja — odparł Krzysztof — sromoty naszej darmo na świat wywlekać nie będę, boć to zawsze krew jedna, choć popsuta; ale na wypadek oporu z ich strony, chcę mieć coś, co bym mógł królowi przelożyć.

— O! syna ci i bez tego oddadzą! szepnął Kasper. Ale jakże go u licha wziąć mogli? już ci nie siłą?

— Dziecko! potrzebaż tam było przemocy? Dosyć było jedwabnych ich słówek, wzięło się na łup biedactwo, rzekł ojciec. Ale nim ja tam dojadę, nim go

wyrwę z tego piekła, czy nie zasmakuje on w niém? czy napiwszy się raz zbytku, nie zawróci mu się od niego głowa? czy na całe życie nie będzie nieszczęśliwy... lub... lub...

I nie dokończył pan Krzysztof, bo mu się strumienie łez polały z oczu; usiadł łkając. Bracia przystąpili do niego z pociechą, na którą zdawał się być obojętny: oczy utopił w posadzkę i mileżał.

— Podpiszcież, rzekł—jadę.

— Słowa nie ma, że podpisać trzeba, odezwali się Baltazar i Kasper. Melchior milczał, głową tylko kiwnąwszy na znak, że się nie odłącza; ale ruszał ramionami, bo miał w tym względzie swe teorye, nieco różne od braterskich.

Melchior i żona jego, owa Heród baba, której Baltazar tak nienawidził, skapiąc oboje przekonali się, że bardzo trudno przychodziło dobić się grosza i samemu o własnych siłach dorobić fortunki na szlacheckim zagonie; wzdychając więc powtarzali sobie często, że nie ma to jak pańskiej klamki się trzymać, że wszystko na świecie daje protekcyę i stosunki... a uchowaj Boże narazić się na prześladowanie możnych. Rodzina O... hrabiów, bogatych i wysoce położonych, choć całkiem im nieznana i nieprzyjazna, często bywała przedmiotem ich rozmów, wzdychali do niej i protekcyi, jakaby tam pozyskać mogli; pan Melchior marzył o podróży do Warszawy. Szczególniej sama jejność wmawiała mężowi, że gdyby umiał i chciał, powinienby tam co od bezdzietnych kasztelaństwa mógł pozyskać. Zgadnąć więc łatwo, jak wystąpienie przeciwko nim ciężkie było dla pana Melchiora.

— Jak to tam pan brat sobie uważasz—odezwał się pokaszlując pan Melchior, — ale gdyby to tak na

mnie, jabym wcale z tego historii żadnej nie robił. Bogatych imienników, a po trosze może i krewnych, nie narażałbym sobie. Cóż to znowu tak złego, że dziecko biorą na opiekę i chcą je wyprowadzić na człowieka? Chleb pewny, znaczenie w świecie, edukacja. Z ich łaski Adaś, coby jak my całe życie w szarej kapocie chodził, kto to wie? może kiedyś familii naszej być protektorem. Co to dla panów trudnego? Dużo nas jest ze szlachty drobnej i hałasujemy jak się należy, ale co my bez tych żółto brzuchów zrobimy? zawsze oni przemogą! Darmo się borykać. A za drzesz się jegomość z nimi znowu, to oni i jegomości i nas zetrą na miazgę... Jabym tego nie czynił, pojechałbym do Warszawy submitować im, poznać, polecieć im dziecko, i wróciłbym spokojny o los chłopca. Już mu oni zginąć nie dadzą... A któż to wie? bezdzietni, imię to samo, herb ten sam... Pomiarkujcie-no na chłodno panie Krzysztocie: ja się tam nie mam za rozumnego, jestem sobie prostym hreczkosiejem, ale zdrowy rozsądek tak dyktuje.

— Bracie Melchiorze—rzekł Krzysztof powoli, poglądając po twarzach przytomnych, których wystąpienie Melchiora wprowadziło w widoczne zadziwienie i jakąś niepewność, z której strony była prawda, — tak się mówi, gdy się myśli tylko o chlebie i o rzeczach powszednich. Ale jest coś droższego nad chleb, majątek i błyskotki tego świata: to swoboda i godność człowiecza. Czyż sądzisz, że w tych łaskach pańskich, dworak i wychowaniec magnatów nie straci uczucia swój niezawisłości, że mu piękna sukienka zapłaci za wrzody, które duszę jego obsiadą?

Pan Melchior ruszył tylko ramionami.

— Już ja tam z jegomością nie będę się spierał,

rzekł powoli pomrukując; ale gorszeż to zepsucie po dworach niż we dworkach?

— Wszędzy złe jest, bośmy ludzie, zawołał pan Krzysztof, — tylko jedno drugiemu nierówne: u nas jest ono przypadkiem, tam chlebem powszednim. Ja nie chcę mieć syna panicza, ale w grubej siermiędze—człowieka.

— To nie ma co i mówić, odparł Melchior: podpiszemy, podpiszemy, tylko się dobrze rozmyślcie.

— Myślałem ja dosyć, i już, zdaje mi się, czego innego nie wymyślę, rzekł Krzysztof, przysuwając papier...

Pierwszy do niego jął się Kasper, po nim Baltazar; aż gdy przysła kolej na Melchiora, umoczywszy pióro, spojrzał jeszcze na Krzysztofa.

— No? koniecznie? zapytał.

— Nie, niekoniecznie, odparł z dumą chwytając za papier stary; jeżeli się boicie o siebie, Bóg z wami, pójdę i bez waszego podpisu.

— O! cóż znowu! rzekł Melchior trochę urażony: mnie nie tyle idzie o siebie, co o was.

Nastąpiło ciężkie milczenie. Pan Krzysztof trochę drżącą ręką zasypał piaskiem podpisy, i nie nie rzekłszy, schował dokument do kieszeni. Zmieszany pan Melchior, nie dopominał się, skrobał po łysinie, siedział smutny i stękał.

— Ale ja podpiszę, zaczął po chwili poglądając bojaźliwie—na każde zawołanie wasze jestem gotów.

— E! e! kata ty tam podpiszesz! wybuchnął nagle Baltazar. Musiałem przyjechawszy do waści powiedzieć o co idzie, bo to tam żadna tajemnica; jejmość wasza posłyszala i nagroziła ci, żebyś nie śmiał podpisywać: ot cała rzecz... A że pan brat, bez urazy

w spódnicy chodzi, a pantoflem głowę nakrywa, ztąd i te ceregiele.

Nie można było przykrzejszój prawdy powiedzieć w sposób dotkliwszy. Melchior zerwał się cały czerwony...

— Już to nie pierwszy raz—krzyknął Melchior—mówisz mi takie rzeczy, a ja tego znosić nie chcę... jako żywo! i nie będę. Kiedy mi żona dobrze radzi, dla czego bym nie miał jój słuchać? a jak trzeba... to się też i ja umiem postawić. To gadanie wasze złośliwe, panie bracie, po ludziach poszło, i wszyscy mnie teraz prześladują... Ja do was mam urazę... mam urazę!

— A jak masz, to co? zapytał Baltazar nakładając fajkę—to co? mów, to co?

— No... to z panem bratem... zrywam.

— A jak zerwiesz, to co? dodał spokojnie myślicie.

— I proszę, żebyś więcéj w domu moim nie bywał, i na moich gruntach nie polował... krzyknął co raz bardziej się perząc Melchior.

— A jak się pozbawię towarzystwa pana brata, pani bratowój, i polowania w ich dobrach... to co?... spytał jeszcze Baltazar.

— To... jak tam sobie pan brat chcesz... ale ja stanowczo mówię przy świadkach, kwita z przyjaźni!

— Kwita, więc kwita, odparł zapalając bakun pan Baltazar; ja nie przeciw pokwitowaniu się wszelkiemu nie mam, i szczerze powiedziawszy, nie wiele mnie ono obchodzi.

— Dajcież temu pokój! przerwał zgorszony pan Krzysztof. Na miłość bożą, przystałoż nam, ubogim,

dla marnego słowa, co się z gorącości wyrzekło, siać między sobą niezgodę?...

— A już bo też tego gadania było dosyć! krzyknął Melchior—kiedy tak, to tak.

— No? a cóż mi zrobicie, gdy nietylko gadać, ale i śpiewać będę o pantoflu, chodząc mimo waszego dworu? odpowiedział Baltazar.

Melchior zamilkł, ale pobladł i ściał zęby.

— Słuchaj, bracie Melchiorze, dokończył po chwili Baltazar: nie gniewaj się, nie dąsaj, co raz zerwane, tego już związać napowrót nie potrafi żadna moc ludzka; dla mnie nie ma już brata Melchiora, ale jest pan Melchior O..., któremu się prawdę winno jak każdemu innemu człowiekowi. Otoż ci powiem: źle z waścią, panie bracie, źle; gdzie ogon rządzi, tam głowa błądzi: mów ty sobie co chcesz, a jejmość waśćecią trzęsie.

Melchior nie mogąc wytrzymać, porwał za czapkę.

— Ja, stary żołnierz, nikomu się nie narzucam, nikogo o nic nie proszę; jak mi tu u was na ojcowiznie miejsca zabraknie, pójdę za strzelca służyć do jakiego dworu, i ani mi będzie gorzej, ani lepiej. Czy wam z tém lżej będzie... no, to pomiarkujcie.

— Ale panie bracie, co znowu! zawołał Kasper: póki mojego życia, tyś u mnie zawsze bratem i gościem najmilszym.

— No, ja i mówić nie potrzebuję, dodał pan Krzysztof.

Melchior się dąsał.

— Ale bo czegoż miele językiem! zawołał.

— Dalibyście pokój! dorzucił Kasper: — braterska waśń, obraza boża.

— I tém przykrzejsza dla mnie, że się czuję jój przyczyną, rzekł Krzysztof.

— Ale gdzie zaś! rzekł śmiejąc się i siadając w kącie Baltazar: bratu Melchiorowi dawno było żal téj łyżki krupniku, co mi ją tam czasem dać musiał, choć za nią jak mogłem starałem się wypłacić. Dobrze mu się przytrafiło, że jest na co zepchnąć... ot, spokojny być może teraz, że już wrota za mną nie zaskrzypią.

Melchior ze złości cisnął o ziemię czapkę, którą w rękę trzymał.

— Tylkoż już tego dosyć! krzyknął—dosyć.

— Będę sobie gadał ile zechcę, rzekł Baltazar,— a komu słuchać niemiło, niech sobie uszy zatknie.

— Bracie, podchwycił Kasper: w moim domu, proszę cię!

— Z mojej przyczyny! dodał Krzysztof.

— A no, to znowu inna sprawa! Chcecie? milczcie! Gadajmy o czém inném, choćby o żelaznym wilku.

Krzysztof spojrział na mały, srebrny zegarek, który miał za pasem.

— Pójdę ino pożegnam jejmość, i muszę śpieszyć do domu, zawołał. Pilno mi bardzo: żonę jeszcze do podróży téj, której się nie spodziewa, przygotować potrzeba, a potem w drogę... Ty, Baltazarze, jakeś mi przyrzekł, poczciwie będziesz domu strzegł i mojej Anny... mojej Anny...

— Żołnierz jestem: jak mnie postawisz na warcie, dopóki mnie nie zlużują, nie odejdę; bądź spokojny—odpowiedział Baltazar.

Melchior, na którego zdawano się nie zważać, już miał odchodzić, ale mu się jakoś kwaśno zrobiło, i miał

podjętą czapkę, skakał i kręcił się po izbie. Jak nie, dalby się był przeprosić.

Ale nie znalazł Baltazara, ktoby sądził, że on kiedy kogo o przebaczenie i pojednanie prosić będzie. Kasper mu coś szeptał na ucho, on głową potrząsał, fajkę paląc.

Ubogi, stary, ale harda dusza w ciele biedném, Baltazar głowę nawykł nosić do góry, i serce nie nisko; Melchior znał go dobrze i wiedział, że mu z tą w prędkości wyrzuconą kwitą będzie niedogodnie.... Trudno się jednak było zwrócić, i samemu prosić o przejednanie, Baltazarby i tego nie przyjął. Począł się tedy powoli z braćmi żegnać, którzy dosyć się z nim zimno rozstali; dopadł drzwi widocznie nachmurzony, i wyszedł z głową spuszczoną.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, obaj bracia wpadli na Baltazara.

— Moi mili, rzekł żołnierz: albo pamięci nie macie, albo mi krzywdę robicie; a com ja winien?

— Boś mu też zbyt ostro przyciął...

— Prawda w oczy kole.

Krzysztof jął się także do drogi sposobić, ale poszli wprzód jejmość pożegnać, która już była na wszelki wypadek posłała z niewodem do sadzawki po karasie.

We dworze u p. Kaspra nie było wytworknie, ale ludno, gwarno i wesoło: w wielkiej izbie bawiło się dzieci kilkoro, a obok jejmość jedno kołysała, drugie trzymając na ręku.

— Cóż to? myślicie już jechać? a obiad? spytała frasobliwie. Jam się zmogła przecię na melszpajs dla brata Krzysztofa?

— Zostalbym ja z wami i na suchym chlebie, od-

parł stary—ale mi pilno do mojej Anny. Sprawę też mam ciężką na barkach, nie miejcie mi za złe: muszę jechać...

— To choć co ciepłego, zawołała pocziwa gospośia: każę wam kawał mięsa podać.

— A post? nie głodnym już z łaski waszój! rzekł Krzysztof.

— Co do mnie — odezwał się z za pleców brata Baltazar—*titulo* podróży z panem bratem, domawiam się o jeden kieliszek wódki z lada jaką przekąską... choćby mięsną, bo mam dyspensę na całe życie udzieloną przez kapelana półkowego.

Uśmiechnęła się gospośia, na nosie grożąc bratu; ale ten nie zważając na groźbę, wskazał na klucze, i dostawszy czego pragnął, zasposobiony do podróży, po długich w ganku pożegnaniach, siadł na wózek z p. Krzysztofem. Ten od Bocianiego dworu do Wólki Brzozowej wciąż wzdychał, dumał i ani słowa się nie odezwał.

Nie lubiał mileczenia pan Baltazar, ale szanował smutek brata i patrzył po polach. Myśliwy, widział na nich, czego by inne nie dojrzało oko: zajęcze kotliny, tropy lisie, różne wskazówki łowieckie, z których w przyszłych wyprawach swoich obiecywał sobie korzystać.

Około południa dobrali się tak nareszcie do Wólki Brzozowej, i zdziwił się mocno p. Krzysztof z dala żony upatrujący, gdy ją w ganku zobaczył z mocno zaczerwienionemi oczyma, ale twarzą wesołą iżywioną. Jemu, co ją tak kochał, nietrudno było na pierwsze wejście odgadnąć, iż czy te płakać musiały, że Anna miała jakieś zmartwienie. Tknęło go zaraz, że się o synu dowiedzieć mogła, i spojrzeli po

sobie niespokojnie z panem Baltazarem; ale pogodny wyraz twarzy i uśmiech, z którym ich powitała, zbił ich z tropu.

— Ale co to jejmości, moja panno? spytał Krzysztof. Czy masz czerwone?

— Ja? chyba od dymu, bom w piekarni siedziała trochę — odpowiedziała małżonka wspinając się na palce, aby go objąć za szyję i pocałować, — a czegożbym ja płakać mogła?

— Alboż mówiłem, żeś płakała? podchwycił mąż niespokojny.

— Może mi się zdawało? po cichu szepnęła Anna. Jam tylko zobaczył oczy... ale...

Uśmiech nowy a serdeczny zupełnie uspokoił męża; ale pan Baltazar zimniejszy, ledwie się z pyłu otrząsnawszy, pobiegł co żywo do ludzi na folwark, aby lepiej prawdę zbadać.

Zastał ich w kuchni w podejrzany sposób coś między sobą szepejących.

— Héj, Janek! odezwał się na fornała—chodź ino tu! Kto jejmości powiedział o synu? He?

— Dalibóg, nie ja! zawołał przerażony fornał.

— Otoż masz! chwytając się za głowę, krzyknął Baltazar—mów mi zaraz, kto?

— Ja tylko mówiłem gospodyni, co mi powiedział mieszczanin, a Ustysia pobiegła i zaraz wyśpiewała jejmości...

Nie mówiąc już słowa więcej, Baltazar smutny powrócił do dworku. W izbie pierwszej siedzieli oboje przy sobie starzy; ale Anna widocznie kryła przed mężem, że wiedziała o synu, a oczami dała znak tylko bratu, domyśliwszy się powodu jego wycieczki na folwark, żeby jej nie wydawał.

Baltazar siadł, ale choć stary żołnierz, poczuł ciarki za skórą, tak mu żal było biednej kobiety. Im bardziej się w nią wpatrywał, tém mniej rozumiał spokój i niemal wesele, które na jej twarzy panowało.

— Ależ gra komedye! niechże ją! mówił sobie w duchu — już to do tego nie ma jak baby! Święta niewiasta... a patrzajcież jak męża zwodzi, anibyś się domyślił, że jej serce krwią płacze!

W istocie kobiecina prawie była rozpromieniona, czego już Baltazar pojąć nie mógł; zdawało mu się, że to małżeństwo tak zgodne, jedno mieć musiało uczucie.

Inaczej na ten raz los zrządził i wiele bólu odjął pani Krzysztofowej.

Wkrótce po wyjeździe męża, nadbiegła do niej Ustysia z plotką, w tak straszny sposób wypowiedzianą, że z razu padła od niej, jak piorunem rażona matka. Ale rzeczy się zaraz wyjaśniły: Ustysia wypowiedziała jacy to wielcy panowie wzięli Adasia, że pojechali w karecie z samą panią, że go pieścili, że list do ojca napisał bardzo piękny i t. p. Biedna matka tak dobrze rozpytywała, tak badała wszystkich pilnie, że z tych słów rozproszonych z opowiadań rozmaitych domyślić się potrafiła zdarzenia. Ale zamiast się niém strapić jak ojciec, uradowała się wielce. Widziała w tém zrządzeniu palec boży, który w rzeczywistość obracał jej najserdeczniejsze marzenia. Ona w cichości serca tak pragnęła dla swojego dziecka wielkości, blasku, bogaactwa, szerszego pola do życia; ona tyle razy śniła właśnie o podobnych dla niego losach; a tu traf jakiś dziwny, jakby Opatrzności rozkazem, zsyłał właśnie tych O..., którzy podejmowali się ukochanego jedynaka postawić na takim stanowisku,

na jakim matka widzieć go chciała. Najdziwniejszém w tém wszystkim było matki niewytłomaczone przecucie losu, jaki spotkał Adasia.

Pani Krzysztofowa często dumając o synu, wyobrażała sobie właśnie scenę podobną tej, jaka przed kilku dniami odbyła się przed kościołkiem w Białej. Mówiła sobie często: „Gdyby też który z tych bogatych O... przejeżdżał tamtędy, możeby go piękność dziecka uderzyła, spytałby co to za chłopiec? dowiedziałby się nazwiska, i podjął pokierowania jego losem.” Anna marząc, była sobie zupełnie taką powieść stworzyła, i bawiła się nią często, pragnąc dla dziecięcia tego, co się jej szczęściem dla niego zdawało.

Teraz, gdy opis wypadku ją doszedł, tknięta została podobieństwem jego ze swém jasnowidzeniem, upatrzyła w tém wyraźny cud, uradowało się jej serce, widziała bowiem wszystko dobre dla dziecka, wymodlone przez siebie, wypłakane u Boga: wielkie losy, świetną przyszłość Adasia.

Według niej, Adaś nie był stworzony do tej wsi i zagony ojcowskiego: jego piękność, żywość, dowcip, pragnienia dziecięce, które tu zaspokojone być nie mogły, kazały czego innego życzyć.

Rozplakawszy się najprzód łzami gorzkiemi, Anna padła potem na kolana, dziękując Bogu za to zrządzenie cudowne, ale zarazem opanował ją niepokój wielki.

Nieraz mówiła z mężem o przyszłości syna; pojęcia ich w tym względzie zupełnie były różne: ojciec chciał mieć z niego człowieka, ona jakiegoś jasnoskrzydłego bohatera.

Milczała, gdy o tém mówił, ale wdychała. Wiedząc co p. Krzysztof chciał mieć z niego, nie wątpiła

już, iż ten traf, który dla niej zdawał się tak szczęśliwy, dla niego będzie ciosem okrutnym; czuła że on syna oddać nie może, że poleci za nim, że go odebrać zechce, bodaj gwałtem.

Szło jej właśnie o to, by temu zapobiedz; obawiała się nie złą doli Adasia, którym sam Bóg zdawał się wyraźnie opiekować, ale ojca, mogącego Panu Bogu skrzyżować robotę.

Głowę więc łamała sobie: co począć z mężem, gdy przyjdzie? jak go uspokoić, ukołysać? czy mówić nawet z nim o tém i jak? Czuła, że on ten wypadek przed nią taić będzie. Gdy dwaj bracia powrócili do Wólki, Anna jeszcze nie była pewna, jak ma sobie postąpić? ale wesoło prawie, choć w duszy niespokojna, przyjęła męża, nie dając znać po sobie co się w sercu działo.

Pan Baltazar, który dopytał się już był, iż pani o wszystkiém powiedziano, patrzył na nią ciągle nie rozumiejąc, i powtarzał w duchu:

— Ależ gra komedję baba! Ależ gra! A takie to na pozór trusiátko... Każda z nich jak tylko do fałszu, nada się, gdyby do płodzenia go była stworzona! Oj kobiety! miał słusność ów Jezuita, gdy mówił: *Fe! mina!*

I kiwał głową mrucząc pod nosem: „Dobrze to, dobrze, że się człek nie ożenił!”

Oboje Krzysztofowstwo próżną w istocie grali z sobą komedję; on hamując niepokój, który go dręczył, a szukając powodu do wyrwania się z domu, nie spowiadając się żonie dla czego; ona tłumiąc w sobie chęć stanowczego rozmówienia się, aby nawrócić na swe przekonanie, pana i męża... Jako jedyny środek przekonania go, iż w tém jest wola boża, uważała

Anna swe przeczucia kilkoletnie, przygody z jej synem w Białej, swe pragnienie właśnie tego co się stało; myślała, iż gdy mu opowie szczerze co jasnowidzeniem wyśniła zawczasu, Krzysztof uzna w tém wyższą wolę i przeznaczenie Opatrzności.

Ale do szczerzej rozmowy o tém przyjsć nie mogło. P. Krzysztof chodził zadumany, opamiętywał się chwilami, uśmiechał półgębkiem; oboje z ukosa na siebie poglądając nieznacznie, milczeli.

Baltazar to w okna, to na panią bratową poglądał, Annie, policzki paliły się niezwykłym rumieńcem i oczy dziwnie błyszczały: miała gorączkę.

Gdy tak wszyscy siedzą pochmurzeni, rozdrażnieni, jakby w oczekiwaniu jednego słowa, które ma im usta otworzyć,—w dziedzińcu zrobił się hałas wielki... Najprzód wszystkie psy od strony wioski słyszeć się dały, potem dworskie zaczęły ujadać kolejno, starsze, młodsze, aż do szczeniąt, powybiegały do bramy z zakomórków, i ustawivszy się zastępem, czekały i wyły, krzyczały i skomlały najdziwniejszymi głosami.

Niekiedy na chwilę ustawał ten hałas, to znów zrywał się jeszcze głośniej i zapalczywiej. Było to raczej naszczekiwanie niespokojne niż zajadle, zwyczajne zresztą w Wólce, gdy ktokolwiek obcy, zwłaszcza pieszo przybywał; bo jak ludzie tak psy mało tu były przywykłe do odwiedzin, i nowa postać zawsze wielki sprawiała zamęt. Zarówno z temi domowemi stróżami wybiegała czeladź ze wszystkich kątów, byle choć bryczka kwestarza na dziedziniec się wtoczyła.

Ale tym razem hałasowi się nawet dziwić nie było można: najbardziej ostrzelane psy i konie miały się prawo nastraszyć,—zjawisko w istocie było niepospolite i dziwaczne.

Środkiem dziedzińca od bramy szedł wielkiego wzrostu, barczysty, czerwonej, szerokiej, pogodnej twarzy, z głową do góry podniesioną, mężczyzna.

Na nogach miał obówie proste wieśniacze, postoly lipowe, sięgające prawie do kolan, zręcznie rzemykami przypasane i niby rzymski koturn naśladowujące z daleka. Okrywała go szara z zielonemi sznurkami, krojem świt chłopskich siermięga, dosyć długa, której poły, aby mu w drodze nie zawadzały, pozarzucane były w kieszenie i układały się dosyć malowniczo. Na plecach miał czarne biesiagi podróżne, przerzucone przez ramię, czapkę lekką rogatywkę, kij pod pachą, a w ręku trzymał skrzypce, na których przygrywając, wszedł w dziedziniec, nócąc jakąś piosenkę głosem donośnym.

Postawę miał wielce uroczystą, czoło nieco wyśiałe, jasne i piękne, oczy niebieskie pełne jeszcze młodocianego życia. Z pozoru zdawał się mieć lat pięćdziesiąt kilka, siwiał już nieco, a wąs długi, spuszcisty na pół był szpakowaty, pół jasno żółty jeszcze. Szedł z wolna śpiewając i grając, jedną zwrotkę, której wyrazy z ganku domu dobrze dosłyszeć był można:

Pokój temu domowi
Niesie pielgrzym ubogi...
Dajcie spocząć gościowi,
Który wita w te progi...
Pokój temu domowi...

Wiersz ten wcale niewyszukany, śpiewany był na nutę prostą, a skrzypce mu wtórowały i wszyscy ludzie z oficyn i folwarku powylatywali patrzeć i słuchać; a choć znać było, że zjawisko to nie pierwszy już raz oglądali, na twarzach ich malowało się dlań mimowolne jakieś poszanowanie. Młodzi biegli psy odganiać, starsi zdjęli kapelusze, kobiety z ciekawością przestraszoną przypatrywały się z daleka. Pan Krzysztof wyjrzał oknem, a Baltazar zawołał:

— Hej! hej! tać to pocziwy nasz Dyogenes Kapustyński... ot w porę się przysunął!

— Tak, to on — dodał stary — ależ dawnośmy go tutaj nie widzieli.

— Chodźmy go przyjąć.

Ruszyli się. Dyogenes ze skrzypką tryumfalnie przeszedłszy podwórze, już stał w ganku, i głos jego basowy, mocny, rozlegał się, zawsze jedne powtarzając wyrazy:

Pokój temu domowi!

— I temu kto mówi — odparł wychodząc, z otwartymi rękami, p. Krzysztof.

Dyogenes już skrzypkę był pod pachę wziął, czapkę zdjął i czoło z potu ocierając uśmiechał się do gospodarza. Ścisnęli się, a przybyły odezwał się poważnie:

— A co, bratuniu, kopa lat! kopa lat! Panie Krzysztofie, wędrowało się, wędrowało, aż stare nogi do Wólki jeszcze raz przyniosły.

— Bóg zapłać.

— Oho! i szanowny pan Baltazar, brat w pieśni! rzekł postrzegając go Kapustyński. Jakże ty się masz, stary wygo?

Rzucili się sobie w objęcia.

— Jak się mam? jak widzisz! stary węgorz zawiędy!

— No! no! prosimy do izby — przerwał pan Krzysztof — a kosztur i skrzypkę złożcie w miejscu bezpiecznym.

— Kosztur przywykł stawać w kącie na spoczynek, choćby w sieni, bo to pokorna istota, odezwał się Dyogenes; ale skrzypka, to jejmościanka fertyczna, potrzebuje oka, aby mi jój kto nie zbałamucil: nie

odstępuję mnie ona nigdy. Ledwiebym ją porzucił, jużby jakie niezdatne ręce, ową kochankę Appolino-
wą zbezczeszczyły plugawym dotknięciem... Ze skrzypką wszędy, nawet do kościoła, i Pan Bóg się za to nie gniewa.

— Więc i ze skrzypką i z koszturem, panie bracie, do wnętrza...

W progu powitała ich uśmiechnięta gosposia, a na jój widok rozjaśniła się twarz Dyogenesa.

— Witaj mi gwiazdo poranna! zawołał. Jakże to się zaraz jasno a wesoło od twych oczu zrobiło! Jakaż bo świeża a śliczna zawsze jejmość dobrodziejka, jakby jój lata dotykać nie śmiały!

— O! pochlebca! zaśmiała się Anna zmieszana i zarumieniona: mów to młodemu, ale po co się starszym urągasz?

— Ja? pochlebca? jabym się śmiać urągać? odparł żywo całując jój ręce Kapustyński — toż obelgą placisz mi pani za dobre słowo! Nigdy nawet kobiecie nie cukrował prawdy; ale jejmość mi istotnie wyglądasz jak samo szczęście: wszak asińdzka dobrodziejka wiesz to dobrze, żem się w niej kochał i kocham...

— Słyszyciel! rzekł pan Krzysztof — przyznaje się...

— Otoż cała moja cnota, że do tego grzechu przeciwko przykazaniu: „Nie będziesz pożądał żony bliźniego twego”, szczerze się bijąc w piersi przyznaję. Gdybym był taką Annę znalazł... a! kto wie? i jabym był może wyszedł na porządnego człowieka, nie na takiego osmolonego włóczęgę...

Siedli tedy w izbie przy stole, a Dyogenes złożył przy sobie ostrożnie skrzypee, tchnął piersią szeroko

i zatoczył okiem w koło, jakby szukał, czy się tu co nie zmieniło?

— Otoż to mi — rzekł patrząc po ścianach — przykładne domowstwo! Lat tyle... a świeczka nie brak i nie nie przybyło; krzesło się nie ruszyło z miejsca ludzie nie postarzelili... jakbym wyszedł ztąd wczoraj... *beati, beati si bona sua norint...*

Na te słowa pan Krzysztof westchnął mimowolnie; spojrział nań bacznie Dyogenes, ale udał, że téj ci-chéj skargi nie posłyszał.

— Ot — rzekł — i Chrystus Pan wasz cudowny, ot i wianuszki z Bożego Ciała, i palma z Kwietniój niedzieli, i snopek N. Panny Siewnój... i toż samo nawet wonne w komnacie powietrze.

Zadumał się jakoś głęboko, głowę na piersi spuściwszy.

— Hej! hej! mówił dalej po chwili: oto są podobno ostatki takich doli szczęśliwych, jakich dawniej wiele bywało. Świat się mieni, burzy gdyby młode piwo, chce żyć nie w pokoju jak wy, ale we wrzawie odurzających: przychodzą takie czasy na ludzi, nie ma na to rady! Za sto lat już takiego dworu nie zobaczą na ziemi naszej.

I westchnął stary; ale w téj chwili przysiadł się do niego Baltazar, i poczęli szeptać z sobą. Powiedźmy tu słowo o Dyogenesie Kapustyńskim.

Sam on się przezwiał Dyogenesem, w istocie imię jego szlacheckie było Kapustyński. Przeszłość jego grubą jakąś okryta była tajemnicą.

Wiedzieli wprawdzie wszyscy: że pan Izidor pochodził z dosyć majątnój rodziny; że staranne odebrał wychowanie u kks. Pijarów w Warszawie; że później

podobno służył wojskowo; że kędyś latał z szabelką po za granicami, niespokojnemu charakterowi szukając przygód pożądanych i nasycenia; że potem powrócił do domu, miał przywdziać mniszy habit i rozpoczął już nowicyat u kks. Kapucynów w Lubartowie, ale prędko mu to w niesmak poszło, zrzucił suknię, zdał stryjecznemu majątek wcale piękny, i począł dobrowolnie jakieś życie tulące.

Raz w rok zjawiał się on w swoim niegdyś dworze, ze skrzypką i piosenką, zasiadał z bratem do stołu, przypatrywał się bardzo troskliwie gospodarstwu, zaglądał do rejestrow, rozpytywał ludzi, bo majątności nie zrzekł się był całkowicie na brata, ale mu ją puścił tylko warunkowo, wymawiając sobie kilkaset złotych na siermięgę, buty i kalafonię. Zrobiwszy dokładny przegląd swojego majątku w Durynie, wyruszył znowu na rok, czasem więcej, i wiódł takie życie swobodne, nie wiedzieć gdzie się podziewając. Niekiedy po kilka tygodni gościł w jakim dworze, gdy mu się ludzie upodobali; ale pracował, uczył dzieci, gospodarzył, posługiwał w tém i owém, był po swój woli a na sercu, nie z żadnego musu: to znów znikał z okolicy i z kraju, i nikt nie wiedział gdzie przebywał.

Lubiono go i szanowano powszechnie, bo był w istocie człowiekiem pełnym wielkich przymiotów, których tylko jakaś bujna fantazja wprzódz w karby regularnego żywota nie dopuszczała. Grzechem jego było dziwaństwo, któremu oprzeć się nie umiał.

W téj prawdziwój pielgrzymce żywota, wesoly humor nigdy go nie opuszczał; śmiał się niemal ze wszystkiego i ze wszystkich, czasem dla tego może tylko, aby nie płakać. Umiał on poszanować co sza-

cunku było warte, ale nielitościwie chłostał co się oń nie zasłużywszy dopominało.

Z chłopem się tak dobrze rozumiał jak z najuczeńszym człowiekiem, bo się o niego nieustannie ocierał, a w towarzystwie wieśniaczem nie zapominał wszakże i świata, i nauki, i języków, i młodocianego wychowania, tak, że w każdej chwili ów chłop nadunajski mógł przybrać łatwo jeśli nie postać, to mowę i obejście najwykwintniejszego salonowca.

Nieraz i rodzina Kapustyńskich, i familia jego matki, bo się rodził z Abdankówny, a wujowie wysoko się ze swém pochodzeniem nosili, wyrzucali mu jego włóczęgę, i żebractwo, i skrzypkę; ale na to jak się im odeiał z góry, nikt go już później i zaczepić nie śmiał.

— Wolny-m jest, mówił im: rachunek z tego co czynię Panu Bogu zdam; a że chcę być człowiekiem, to się do stada, które regularnie pastusi o jednej godzinie na paszę pędzą, poją i zaganiają do chlewa, nie łączę. Komu z tém dobrze... wszak nie bronie! Jestem sobie dziki wół, dziki koń, czy dziki osieł, ale mnie już w jarzmo nikt nie ujmie. Życiu mojemu nikt nie zarzucić nie potrafi; jam szczęśliwy i kwita, a że w koronkach nie chodzę i fryzury nie noszę, to dla tego, żeby się małpy w tych strojach lepiej wydawały. Dyogenes mi wzorem; *omnia mea mecum porto...* (ostatni wyraz przekręcał nieco, stosując go do ubrania). Nie mi od was nie trzeba; rozumu możebym jeszcze mógł ichmościom pożyczyć, a bez nauk od nich obejdę się wysmieniem... Ruszajcie wy na pokostowane posadzki, a ja do lasu, do Boga, do ptaszat, do drzew i gdzie mi serce poda... z pieśnią i sumieniem czystém. Imieniu krzywdy nie robię; patrzcie tylko,

abyście go sami nie opaskudzili, i bywajcie zdrowi! Co daj Boże—Amen!

Tak zwykle odprawiał natrętów: zamilkli też wszyscy wkrótce, i zostawili Dyogenesa, vulgo zwanego Kapustyńskiego, przy jego oryginalności. Rodzina matki wszakże wzdychała po cichu, dając do zrozumienia, że mu piątą klepkę brakło. Dochodziło to do niego, śmiał się mrucząc:

— A im czterech!

W szlacheckich dworach bardzo miłym gościem był Dyogenes, ale go się też obawiano niepomału dla strasznej prawdomówności; miał bowiem zwyczaj zjawiać się prawie zawsze po jakimś wypadku, i bez miłosierdzia dawać nauki. Gniewał się kto czy nie, to mu było wszystko jedno; napaści się nie obawiał, bo siłę miał olbrzymią, i raz dąbczaka wykreiwszy nade drogą, młynem się broniąc, sześciu ludzi, którzy nań naszli, sięciami ucęstawwszy, rozproszył. Na słowo miał zawsze dwie odpowiedzi, a z chyhotania się uragał; więc gdy mu się zdało rzeczą użyteczną powiedzieć *verba veritatis*, ciął je od ucha... a wiadomo jaka to czasem gorzka potrawa ta prawda, tak święta i piękna, gdy ją inni jedzą, a tak przykra, gdy nam ją podają.

Miał wszakże biedny Dyogenes jedną słabość; jak wszyscy ludzie:—dla kobiet wszystkich bez wyjątku był bez miary pociągający. Zdawało się jakby w nich się kochał z kolei, gdyż każda dla niego miała jakiś przymiot, jakąś zaletę, zasługę i cnotę.... Rozkaz kobiety był dla niego świętym, spełniał go z wielką gorliwością i rozkoszą.

Dla niego i matrona staruszka, i czternastoletni wyrostek zarówno miały urok, klękał przed jedną i dru-

gą, a niekiedy słowo, ruch, wejrzenie niewiasty wprawiało go to w szal gorączkowy, to w smutek milezący, to do łez go rozczulało, choć było wesołe.

Z niepojętych dla drugich przyczyn, rażony tak czémś dla innych niezrozumiałem, porywał się wśród rozmowy od stołu, bladł, wybiegał i uciekał, jakby go jakieś niezwyciężone ścigały wspomnienia. Dawalo to rodzinie tém lepszy powód do pomawiania go o obłąkanie, choć w istocie była to tylko słabość serca, nieumiejącego oprzeć się pamięci dawniej doznanych wrażeń.

— Cóż moi kochani państwo? ozwał się głośno po chwili: co u was tam słyhać? Obsieliście się już? tak, czy nie? z siewem jak z ożenieniem: ani się nadto śpieszyć, ani zbyt opóźniać potrzeba.

— Już się też u nas kończy... odparł p. Krzysztof.

— A w stodółce pełno, dodał gość,—brogi widziałem, czuby do góry... No! chwalić Boga, wszystko dobrze i po myśli, ptasiego mleka tylko brak... A w lesie panie Baltazarze co ze zwierzyną? jak tam stoją kuropatwie sprawy? co słyhać z zającami? czy wilcy bardzo sobie pozwalają? czy jest nadzieja skórek lisich, gdy się ci ichmość w zimową barwę ubiorą?

— Och! och!—przerwał gospodarz: u nas domatorów nie się nowego nie dowiesz; mybyśmy pytać powinni, co nam ze świata przynosisz?

— Ze świata? spytał Dyogenes; a wiecież ichmość co jest moim światem? Mój świat to cisza puszczy, to uroczysty spokój pól, to mruczenie rzek i szum wiatru, to cmentarnych dzwonów granie na wieczny spoczynek, lub dalekie echo pieśni weselnój... Z tego, co wy światem zowiecie, ja nie wiem. I po co

mi wiedzieć? I co się ma dzieć na tym świecie, co byłoby nowe i osobliwe? Na palcach znam wszystkie kombinacye możliwe tego żywota ziemskiego: rodzą się, kochają, nienawidzą, zdradzają, zabijają, kłamią, żenią się, rozwodzą, umierają; nie nowego pod słońcem, tylko że to, co wczoraj było tu, dziś jest tam, jutro będzie gdzieindziej. Proch i nicestwo!!

— Zkądże teraz idziecie?

— Ja? a zkądżebym szedł? odparł Dyogenes; z lasu, mój dobrodzieju, z lasu! Macie oczy ku patrzeniu, a nie widziecie może, iż las dwa razy do roku jest wcale inaczej piękny: na wiosnę, gdy się do życia rozpęka i wonieje jak młodość, gdy się zieleni jak nadzieja, gdy brzozy rozpuszczają na wiatr war-kocze, a deszcz je ciepły oplókuje miłośnie, a sosny zielonemi pęki strzelają... to pierwsza lasu piękność, ale widok to dla młodych nie dla nas; — w jesieni dopiero las mój! jak ja go kocham!... jest czém oczy nabawić a serce nakarmić. Drzewa jakby nie z tego świata... malowane, żółte, czerwone, fioletowe, pomarańczowe, brązowe, mieniają się, a co zawionie wiatr, to gra liść spadający dumkę śmierci... i tęsknoty... Och! och! aż się jęć wtórować pragnie, gdyby się znalazły słowa.

Otoż siedziałem w lesie słuchając deszczu liści jak spadał i śpiewał, a grałem też sobie ową piosnkę, którą zna pan Baltazar.

Tęskno, tęskno, nie wiem czego

Bije serce, lzy mi biega;

A téj złotój-

Bym tęsknoty

I lzy, co się z oczu leje,

Nie zamienił na ładziej!

I wziął Dyogenes skrzypkę od niechęcenia, i począł przy niej śpiewać z cicha, a tak rzewnie, tak od serca, że aż Baltazarowi łza spadła na wąsy siwy. Było w tém coś dumki rusińskiej rozwianej, rozmglonej, która jak chmurka na niebie czasem jedną stroną świeci niby gwiazda roztopiona, drugą obłoczkiem dymnym rozplywa się w eterach; coś krakowskiej pieśni, co sama z siebie szydzić przywykła, niby się wstydząc, że ma serce, coś rodzimój poezyi wioski i schorzonego smutku dworów.

Prześpiewał kilka strof, i jak rozpoczął po cichu, tak prawie niedosłyszany skończył szmerem.

Gdy podniósł głowę i spojrzął po słuchaczach Dyogenes, spostrzegł, że Anna znikła; poszła była widać przysposobić coś do stołu. Wstał żywo i zbliżył się do p. Krzysztofa.

— Nie ma, widzę, waszój, kobieciny, rzekł; więc wam powiem otwarcie, że do was przyszedł z Białej umyślnie, bom się o waszój przygodzie dowiedział. Idę z doborem słów i pociechą do starego przyjaciela; może z jaką nieudolną radą... co myślicie? powiedziecie.

P. Krzysztofowi nagle łzy zakręciły się w oczach; syknął, aby milczał Dyogenes, i pośpieszył obejrzeć drzwi, aby żona przypadkiem nie dosłyszała rozmowy.

— Poszła na folwark, przerwał Baltazar wskazując na okno; mówcie śmiało, ja będę stróżował.

— Cóż wy na to mówicie? spytał Krzysztof.

— Co ja? ale czekaj... z chorym i zbolalym potrzeba ostrożnie—rzekł Dyogenes,—a co wy?

— Ja? zabito mnie—odparł ojciec,—jedynemu dziecku dali się napić trucizny! Jestże wyraz, coby boleść moją mógł tłómaczyć!—Ale zwróciwszy się ku obrazowi Chrystusa, nagle zamilkł.—W rany Twe Panie!—rzekł.

— Dobrześ powiedział! na to łza ani gniew nie pomoże, zawołał Dyogenes.—Słuchaj ojcze!—daruj, że cię tak zowię, ale mam zwyczaj starych tępym starém imieniem pełném poszanowania nazywać,—słuchaj ojcze, nie wierzę ja w fatalność, ale jak Bóg da, że kto się urodzi do czego nie minie go dola... Widywałem ja wasze dziecko: pańska była dziecina! to darmo! Gdybyś go przebrał w siermięgę, jeszczeby z niego patrzył królewicz. Poszedł nieborak gdzie go wołały losy: żelazo za magnezem.

— Alboż to nie nasze dziecię? nie ubogi syn dworku?

— Ba! ba! są tajemnice we krwi, których nikt nie zbada! We dwieście lat ozwie się jakaś kropla, która spała w żyłach pokoleń przez wieki... Wieszże ty człowiecze, co w tobie krąży? syn to twój, czy twoich prapradziadów? Bóg tam wie, w którą tam praprabkę czy przepradiada się wyrodził! Na to nie ma rady!

P. Krzysztof ruszył ramionami.

— Co mi to mówicie! jest synem moim; pójdę i odbiorę go.

— A no, jedź; a no bierz; rzekł Dyogenes; to naturalna. Tylko patrz dobrze, czy ci się to na co przyda.

Ojciec potrząsł głową smutnie.

— Mamże zostać sierotą?—zawołał.

— A jeśli komu przeznaczone sieroctwo? zapytał Dyogenes.—Patrz na Chrystusa! patrz na Chrystusa! Jużci syn twój nie jest twém dzieckiem, kiedy was z dobrej woli porzucił; jużci go srogością nie przywiążesz do gniazda, grozą go nie odmienicie; nie wyjmiecie mu z duszy tego pragnienia innego życia, które z sobą przyniósł.

— Na Boga Ukrzyżowanego, nie mówcież mi tego zawołał Krzysztof. A toćby mi go już oplakiwać tylko trzeba. Ty człowiecze swobody i lasów, możesz nie uważać się nad dziecięciem, popełniłem w ten świat, gdzie Pana Boga nie ma?

— O! o! jest On wszędzie, jest i tam, ale siedzi za parawanem, rzekł Dyogenes.—Sroga to szkoła, jamci ją także przeszedł; ale szkoła! Wychodzą i z niej ludzie, choć ginie dużo jak wszędzie.

P. Krzysztof spuścił głowę.

— Co ma być, stanie się—zawołał;—a ja obowiązów ojca dopełnić muszę.

— Jejmość powraca! krzyknął od okna pan Baltazar.

— A no, cicho, bo ona jeszcze o niczym nie wie.

Dyogenes schylił się do skrzypki i zanótował coś niewyraźnie; milczeli posępni. W tém jejmość zwróciła się od gmachu na folwark, a rozmowa poczęła się znowu.

— Słuchaj stary—rzekł Krzysztof:—mało ludzi mnie pojmie, ale ty zrozumiesz może lepiej niż inni. Czy bogaństwo stanowi szczęście i przeznaczenie człowieka? czy mu się trzeba koniecznie piąć jak chmielowi na tyczkę? czy ma pragnąć wiele i mieć wiele? Mnie się widzi inaczej i świat i dola nasza. Żyjemy tu wierząc w inne życie, w lepsze, w nieśmiertelne: to świat próby, arena, wśród której gotujemy się na losy inne. Co mi przyjdzie z tego, że mnie w cynowej pochowają trumnie, gdy pod atlasem serce zgnile pójdzie do niej? Im większy świat, im szersze horyzonty, tém ciężiej podolać zawodowi, tém więcej pokus, tém sroższe męczarnie, tém większe duszę oblegają niepewności. Więc w cichym kącie przepopasać życie

na zagonie pod lip cieniem, nie lepiejże, nie święciej? powiedz? Na co mi dla syna wielka dola, kiedy z małąką przedź zostanie uczciwym? kiedy na szczyt wylazłszy, i o Panu Bogu i o sobie człek łatwiej zapomina? Otoż dla czego nie śmieje mi się ta protekcyja pańska dla syna, i świetne przyobiecane mu losy, ale mi wstręt czynią i obawę... Pomyślcież-no jeszcze i zastanówcie się, gdybym ja ubogi porwał tak pańskie dziecko? Sądziłiby mnie jako złoceńcę, raptora, jak publicznego gwałtownika. Ale że oni mi go uwieźli w pozłocistój karecie, więc to jeszcze łaska! Nie oburzająceż to zuchwalstwo złota? nie upokarzająceż to dobroczynność, o którą ich nie prosił?

— Słowa nie masz, odparł Dyogenes: panowie myślą, że gdy ku nam rękę wyciągną choćby dla porwania żony lub dziecięcia, to jeszcze wielką łaskę nam i honor czynią. Winien, kto się na tém szczęściu nie pozna! Ale stój, panie Krzysztofie, dopóty dobrze; cóż, kiedy w téj sprawie twoje dziecko podobno tyle winno co i oni; jakże ono mogło dobrowolnie odbiedz rodziców dla obcych, dla mamideł dostatku?

— Dziecko!... zawołał pan Krzysztof gwałtownie; ale wyrzekłszy to słowo nagle opuścił głowę. A! tak! rzekł głosem zmienionym—choć mi się serce krwawi, powiem wam spokojnie: dziecko to nie cieszyło mnie nigdy, — obawiałem się o nie i modliłem, — w duszę jego zakradł się niepokój od kolebki.

— Tak! tak! ja wam mówię, dodał Dyogenes, kropla krwi prapradziaduniów magnatów.

— Jedynek—rzekł ciągnąc dalej Krzysztof,—pieśśca macierz, a może i ojciec kiedy do piersi przycisnął chłopaka, że nadto poczuł bicie serca.

— Koniec końców—przerwał Kapustyński—jawna rzecz, że poszedł za skłonnością. Wicież co? nie ma co walczyć: różnemi drogi idzie człowiek; niech on swoją, którą mu instynkt wskazał, rusza.

— Nigdy w świecie nie pozwolę na to! zakrzyknął ojciec. Ja go odebrać muszę, i przełamie tę naturę, oddam go!...

— Ho! ho! a dokąd? spytał gość.

— Do wojska.

— Szkolę wybrałeś gorszą od dworu! zawołał Dyogenes. Już lepiej wsadź go do Kapucynów, to mu spać nie dadzą i głodem zamorzą buntowniczego ducha.

— Ha! to go przy sobie trzymać będę — zawołał ojciec.

— Nie lepsze i to: sobie przyczynisz boleści, a jemu okazyi do grzechu, bo się z nim nie zrozumiecie nigdy. Mówię wam; niech leci, niech leci; wy się módlcie.

— Jejmość idzie! z czatów od okna rzekł p. Baltazar: baczność!

— Cicho.

Zamilkli. Dyogenes znowu jął brzdąkać w skrzypce i nócić.

Po obiedzie, który przeszedł dosyć smutnie, ożywiany tylko kiedy niekiedy rzuconém słówkiem weselszém Dyogenesa lub Baltazara, siedli wszyscy w pokoju, gdzie wisiał obraz Chrystusów, i gwarząc przebyli czas do wieczoru, na urywaną, cichą, posępną rozmowę. Zmierzchać poczyniło, gdy widząc, że tu już nie do czynienia nie pozostaje, zebrał się Dyogenes do drogi, mimo usilnych zatrzymywań gospodarza; wziął swą skrzypkę pod pachę, a po długich pożegnaniach, przeprowadzony uroczyście przez Baltazara do wrot, wyszedł milczący.

— Ale gdzież pod noc iść myślicie? spytali go na rozstaniu; czy nie lepiejby wygodnie przenocować, a o brzasku puścić się w drogę?

— A jeśli ja wolę nocą?—rzekł Dyogenes. Księżyc mi świeci, mam z nim dużo do gadania. Noce takie lubię: człek się czuje śmielszy niż we dnie, i dusza swobodniej rozmawia z Panem Bogiem. Tu, gdybym najdłużej siedział, nie przekonam pana Krzysztofa ani go pocieszę; niech Bóg czyni co wola Jego: darmo-bym gębę studził sobie, a jemu serce krwawił.

P. Baltazar popatrzał za nim smutnie. Dyogenes szedł tak wolno i spokojnie, jak gdyby na krótką wybrał się przechadzkę, choć spełna nie wiedział gdzie i jak nocować będzie.

Po odejściu dziwaka, długo jeszcze rozmawiano o nim i jego życiu osobliwszém, aż i p. Baltazar, dawszy dobranoc, odszedł do oficyny, a małżonkowie zostali sami z sobą, i Krzysztof wedle codziennego zwyczaju ukląkł przed obrazem się modlić.

Potrzeba było żonie oznajmić wreszcie o projekcie podróży do Warszawy, a sam nie wiedział, jak do tego przystąpić. Jejmość gospodarzyła w sypialni, gdy wzmocniony i pokrzepiony na duchu modlitwą, wsunął się do niej powoli p. Krzysztof.

Oboje małżonkowie byli w położeniu bardzo szczególném: on przebolewał stratę syna, zmuszony ukrywać łzy, niepokój i strapienie przed żoną, tak, że kilka razy, gdy mu piersi zdusiło, wybiegł na świeże powietrze, aby jęknąć swobodniej; ona zapłakana a udająca nieświadomość, patrzyła mu w oczy i badała tylko, zgadując co się tam w duszy jego działo. Chodzili tak około siebie słowa do siebie rzec nie mogąc; ale przyszedł nareszcie kres temu udawaniu obojga, do którego nie byli przywykli: trzeba było lody przełamać.

Jejmość chodziła, układała, rozrzucała, powoli przybierała się do snu, a coraz spojrziała na blade oblicze męża; nareszcie ze złożonymi jak do modlitwy rękami, powoli, gdy Krzysztof usiadł w krześle, zbliżyła się doń, upadła na kolana przed nim i rozplakała się.

Łzy jej wypowiedziały wszystko. Stary pochwycił ją w objęcia po staremu, wziął jak dziecko na ręce tę drobną, biedną istotę, i przycisnął ją do piersi, a w tej

że chwili tak gwałtownym jękiem otworzyła się ta pierś, tak buchnął płaczem powstrzymywanym, że zlitowawszy się go, obie ręce na szyję mu zarzuciwszy, żona zawołała tylko:

— Krzysiu mój, nie płacz! o! nie płacz na miłość Boga! Jeśli ty płakać będziesz, ja chyba umrzeć muszę!

— Ty wiesz wszystko!

— A! wiem! wiem od wyjazdu twojego! nie pytaj.

— I tyłaś w sobie, o heroino moja!

— Krzysiu! mieliśmy przed ludźmi, przed obcymi tak się rozsłochać oboje, tak się do głębi serca wypowiadać z ciężkiego bólu?

— O! dziecię ty moje wstydlive, co i cierpienie ukrywasz dla sromu — rzekł Krzysztof — zkądżeś ty wzięła siły?

— Bóg mi ich użyczył?

Zamilkł. Stał złożywszy swój ciężar na krześle i długo, długo patrzył na nią z uwielbieniem.

— Anusiu moja! rzekł wreszcie — tak! tak! czuję teraz, dla czego mnie Bóg tak srodze karze i dotyka, bom ukochał stworzenie więcej może niż Stworzyciela samego; przywiązałem się jak żaden jeszcze człowiek; w tobiem widział życie całe i w tém dziecięciu, dla tego, że było twojem, dla tego, że na jego twarzy czułem śmiać mi się uśmiech twój młodości, i za to ukarany, bałwochwalca!

— Krzysiu — przerwała żona — nie oddawaj się boleści, mężu drogi! Myśl, rachuj, a pomyślawszy, uznasz może, iż Bóg srodze nas próbując, wie co czyni.

— Jak to? cofając się zawołał ojciec — jakto? ty to mówisz matko? ty?

— Krzysiu drogi! a! nikt pewnie nie oplakał i nie oplacze łzami gorętszemi tego dziecięcia; ale Bóg... ale Bóg, ale przeznaczenie...

— Kobieto! ty wierzysz w przeznaczenie?

— W Opatrzność!

— Opatrzność? nie: nie ona to, ale szatan chyba w to się wmieszał. Bóg takimi drogami do dobrego nie wie dzie; idzie się niemi do zguby.

Anna spuściła głowę zasmucona, i była chwila ciężkiego milczenia.

— Pomyśl tylko, rzekła: to dziecko było stworzone do tego ubogiego gniazda naszego? nie przyszło ci nigdy na myśl, że Adaś miał napisane na czole, iż musi pójść wysoko, iż los musi go między ludźmi postawić na świeczniku?

— Dziecko ty moje, przerwał poważnie Krzysztof jeszcze szczęście błyszczeć na świeczniku? nie jest-li raczej męczeństwem dola złocona? Jam się właśnie tego lękał, od tego chciałem ustrzedz dziecinę, drżał o to.

— Alboż i tam nie można być miłym Bogu, a pożytecznym ludziom? spytała Anna nieśmiało.

— Tak! wszędzie, bez wątpienia, odpowiedział Krzysztof, ale tam i trudniej i niebezpieczniej. Dym szczęścia i kadzideł upaja: nie pragnąć ich należy, ale od nich uciekać. Powiedźże, nie wolałaśbyś go widzieć tu, w tym dworku, z pocziwą żoną jak ty, jak ja w szarój ubranego opończy, ogorzałego od pracy, niż zbladłego od trosk, na cudzych pałacach, służką uniżonym pańskich kaprysów, dworakiem? O! myśl ta mi serce rozdziera.

— A, Krysiu! Adaś nie jest stworzony na poehlebę i dworaka: on się nie spodli; on się wyniesie wysoko.

— Daj Boże, ale się nie dochodzi wysoko, nie zginając nisko: wiesz co mówi Pismo o uchu igielnym?

— A! nie patrz na to tak czarno!

— Jabym się spytać powinien, dla czego ci to wydaje się tak jasnym? Nie poznaję ciebie: nie widzę miłości twój dla dziecięcia.

— Panie mój! mężu drogi! ja ufam Bogu i Jego Opatrzności.

— Ale Bóg dał ludziom rozum i wolę, aby nie szli ślepo na hazard, rzekł Krzysztof. My mamy obowiązki rodzicielskie: ja jako ojciec ratować go muszę.

Twarz Anny pobladła.

— Cóż myślisz czynić? spytała nieśmiało.

— Nie mam ci już co taić, zawołał ojciec: — jadę natychmiast po niego. Jeżeli ci wydziercy nie zechcą mi powrócić dzieciaka mojego, pójdę do króla, król mi je oddać każe. Dobiję się do Poniatowskiego przecię, narobię krzyku: odbiorę go im z gardła.

— Panie mój, posłuchaj jeszcze matki... zaczęła cicho Anna: namyśl się. Wiesz jak kocham to dziecko, wiesz jak jego szczęścia pragnę. Otoż wyznam ci, że od najmłodszych lat jego miałam przeczucie, widzenie prawie tego losu, który go spotkał; sto razy stawało mi przed oczyma to, co się teraz ziściło! Więc Bóg chciał może tego; godzi się sprzeciwiać Jego woli?

P. Krzysztof milczący, surowo spojrział na nią.

— Bóg ostrzega przeczuciami częściami o klęskach niż o szczęściu!

— A! namyśl się! namyśl—mówiła coraz żywiej Anna—a nuż to dziecię potem na los przez cię złamany, na wydarte mu szczęście płakać i narzekać będzie? Wszak-ci Adaś ma już rozum i nad wiek jest roztropny.

— O! matko, którą miłość zaślepia!—zawołał z goryczą stary: przejrzyj! pochyl się nad tę przepaść i rzuć w nią okiem. Cóż dziecię to o przyszłości swęj wiedzieć może?

— Tyś nigdy nie chciał tego uznać — szepnęła Anna prawie z wymówką,—że on ma roztropność nad wiek; tyś był dlań za surowy, niesprawiedliwy. Przecież on z własnej woli pojechał, dobrowolnie.

Krzysztof westchnął tylko.

— Jużciżby oni gwałtu nie użyli, mówiła matka, nie śmieli, nie mogli. On jak ja miał przeczucie przeznaczenia, dla czegożbyśmy inne mu narzucać mieli? Cóż on nauczy się w Białej? jakie my możemy mu dać wychowanie?

— Takie, któreby starczyło na życie, do którego Bóg w istocie go przeznaczył, dając mu się z ubogich urodzić rodziców.

— Małoż ubogich wznosi się o własnej sile? Dla czegożbyśmy naszą dolą jego przyszłość mierzyć mieli? szepnęła matka.

— A! zawołał pan Krzysztof: nie pragnąłem nic dla niego nad to, com posiadał; bom nad moje szczęście większego na ziemi nie widział. Ot! taki kąt cichy, ot takich serc dwoje jak nasze, i taka miłość do siwego włosa, czyż nie dosyć? Cóż da lepszego świat, oblekając w sajety i atlasy? Moja droga! tyś nie wyjrzała tam i nie wiesz co się kryje w tych złocistych pałacach. Tam nie ma Boga, tam milczy su-

mienie, ztamtąd i świat i ludzie wydają się inaczej; tam wszystko co nie białe i nie pieszczone, nie jest już człowiekiem; tam w postaciach aniołów śmieje się szatan zwycięzca. Tyś przeżyła wiek nie zbliżywszy się do tych mamideł, i dobrze ci z twoją niewinnością, bo ci się świat lepszym wydaje; jam go trochę więcej najrzał i brzydzić się nim nauczył. Tam fałsz, tam kłamstwo, tam samolubstwo, tam pycha i rozpusta królują: tam zguba. Jeżeli z tego ognia próbierczego wynijdzie czystym człowiek, o! to wielki! ale iluż ocalonych? a zgubionych tysiące!

— Ale Adaś wyniósł z domu...

— O! ten węzelek cnoty — przerwał Krzysztof — wyniesie jak ubogie człeczę, co idzie na służbę do dworu, i rzuci go w kąt, przywdziewając liberyę nową.

— Mój panie — odezwała się po chwili Anna, widząc rozgorączkowanie męża i smutnie łamiąc ręce,— ja nie nie mówię, proszę tylko i błagam ciebie: pomysł, nie wyrwyj się gwałtownie, nie obrażaj ich. Oni dla Adasia tyle mogą: wiesz, że są bezdzietni, może dla imienia przybiorą go za syna, oddadzą mu majątek.

— A! na Boga! tego właśnie nie chcę! na myśl samą się wzdrygam! rzekł surowo pan Krzysztof. — Wiem czém to okupić potrzeba. Będzie się później wstydził ubogich rodziców, będzie się pysznił swą wielkością jak dziecko szczęścia, wzbije się w dumę i pycha go zgubi. Nie! na czystej duszy siermięga, tak go wolę!

Wielkim był w istocie p. Krzysztof, wyrzekając te słowa z zapalem poezji duszy; a tak bohatersko jaśniała mu skroń, że zapal podbił wreszcie słabą niewiaścę. Anna znowu przed nim uklękała.

— Panie mój! zawołała: czyn jak chcesz. Tyś ojcem, tyś panem jego losu: jam matka, bym cierpiała i kochała, bym była posłuszna. Ale zaklinam cię, znijdź w serce twe, zastanów się, nie porywaj zbyt szybko, abyśmy tego później nie żalowali.

Ta pokora, te złożone ręce i lzy niewiasty, na które słabym był p. Krzysztof, bo ją kochał więcęć może niż dziecię, wzruszyły go do głębi. Przebojem idąc, nie byłaby go zdobyła; zachwiał się widząc ją upadającą przed sobą, przestraszona, błagającą. Syn znikł mu z oczu.

— Bądź spokojna, rzekł po chwili trąc czoło — bądź spokojna, uczynię sobie gwałt. Jeżeli tam znajdę lepiej niż się spodziewam, jeżeli dziecko samo zażagne pozostać, stań się wola boża! Ja żal mój i obawy złożę na ofiarę Ukrzyżowanemu, nie wyrwę go gwałtownie: bądź spokojna!

Anna ścisnęła go za kolana, i znowu on ją podniósł z ziemi silnemi ramionami, i tak wzięwszy usiadł trzymając na ręku w szerokiem krześle, a lzy, bo mówić już nie mógł, toczyły się po bladych jego policzkach.

I milczący, zapłakani, przesiadzieli tak długo w noc, aż zaglądający przez gałęzie bżów księżyc, przypomniał im godzinę spoczynku.

Ręką drżącą wskazał bladą twarz stróża nocy p. Krzysztof.

— Anno moja — rzekł — byłoż życie szczęśliwsze nad nasze pod tą słomianą strzechą, z tą naturą otaczającą nas i otulającą pieczętliwie? A tam! tam ani ciszy, ani widoku bożego świata nie ma; tam się zapomina w gorączce, że człowiek jest

istotą na próbie, tam... a! Boże... stań się wola Twoja...

Gdy łzami zalaną twarz do poduszki przyłożyła Anna, mimowolnie serce jej uderzyło.

— O! jestem pewna — rzekła w duszy — że tam Adasia kochać muszą, że tam go ocenić potrafią. Krzysztof mi dał słowo, że go gwałtem nie porwie: więc sny moje ziszczone.

Nazajutrz rozpoczęły się powoli przygotowania do podróży; a była to rzecz niemała komuś, co całe życie siedział zamknięty, w taką drogę się wybierać aż do stolicy... P. Krzysztof od dawna już, bo od ożenienia swego, nie bywał nigdy dalej od pobliskich miasteczek: Łosic, Kodnia, Białej, Łomoz, lub na jarmarku we Włodawie. Za wielką wyprawę uważała się przejażdżka na odpust do Chełma... Cóż dopiero gdy się przyszło sposobić do Warszawy, do króla, do tych panów, przed którymi choć skromnie, chciał się wszakże szlachcie pokazać nie ostatnim!

Z razu myślał w szarą swą kapocie pójść przed króla i z dumą pocziwego ubóstwa stanąć przed nim; ale i on był człowiekiem! Powoli zachciało się dobyć prapradziadowską demeszkę kutą ozdobnie, jedyny klejnot familijny; potem spinę bogatą, co może pół Wólki Brzozowej była warta, bo w niej siedział szmaragd niemal tak wielki jak pół włoskiego orzecha, zabytek jakiś przedwieczny, bo kamień w oprawie staroświeckiej ani był nawet szlifowany; później przypomniał się i pas lity, gdzieś z lewandą i pieprzem zapakowany na dno cedrowej skrzyni, i jakiś lamowy

żupan, który do figury p. Krzysztofa doskonale przypadł.

Gdy on tak myśląc, wahając się, wybierał a walczył z sobą,—jejmość z drugiej strony biegła, głowę łamiąc co przysposobić, aby na niezem w drodze nie zbywało.

Bo to podróż w owe czasy swojemi końmi, z popasami i noclegami, pościelą i kuchnią, niemałą była rzeczą; a te przestrzenie, które dziś przebywamy w kilku godzinach, trzeba było przebywać po dni kilka i kilkanaście.

Baltazar zajął się stajnią, bo konie i wózek do dalekiej podróży były rzeczą kapitalną. Mocniejsza bryczka trzęsła okrutnie; ta, co lżej nosiła, osie miała niepewne, a pakunku w niej nie było gdzie pomieścić. Pierwsza też na trzy konie zdawała się za ciężką, a czterech dla zbytniego kosztu nie chciał brać pan Krzysztof, bo co to czwórkę wyżywić w Warszawie? Do tego trzeba było sprzedać konie dobre i wypróbować je wprzód, a uprzęż i postronki opatrzyć, aby się potem w drodze co chwila nie psuły. Naostatni wybór woźnicy niemałą także był rzeczą, bo ten razem być musiał furmanem, sługą, stróżem i po trosze przyjacielem.

Napraszał się totumfacki ów Jermaszka, który wszystko umiał, a miłością dla państwa przechodził innych; ale pan Krzysztof ani mu dał mówić o tém, chcąc przy nim dwór zostawić. Z dwóch woźniców z powołania, jeden woził wprawdzie doskonale i był przytomny, ale pił jak gąbka, a upiwszy się bywał zawadyką; trudno go było pilnować przy tylu karczmach po trakcie. Drugi pocziwy i trzeźwy, oleju miał za mało, do miasta trudno się z nim było pokazać,

boby go obrał do koszuli kto chciał. Była mowa o dodaniu osobnego chłopca do posługi, ale p. Krzysztof ani dał sobie mówić o tém.

— Co to ja wielki pan, żebym miał z sobą dwór wozić cały? zawołał. Byle było komu konie opatrzyć a tłumok znieść, czy ja sam sobie nie potrafię usłużyć?

Długo zasiedziawszy się w domu, zawsze tysiące takich trudności, gdy przyjdzie się ruszyć; najmniej-sza rzecz naówczas ogromnie wielką się robi. A tu troskliwość jejmości pomnaża jeszcze turbacyi i wymyśla potrzeb tysiące: jakże się tu oprzeć téj czulości? jak znowu poradzić, aby to wszystko zabrać, czémby chciano obładować, począwszy od bigosu, do kropel i balsamów?

Tarł dobrze czoło p. Krzysztof, ale to zakłopotanie przyszło mu w porę, bo nie dawało sereu zbyt nie się z żalem pasować. Każde prawie ludzkie strapienie przymnażając roboty, wiedzie z sobą za rękę lekarstwo — roztargnienie mimowolne; zmusza do odcierwania się od nużących myśli. Pan Krzysztof mniej czuł cierpienie, bo więcej pracować był zmuszony.

Nie był stary bez grosza w domu, ale gdy przyszło obrachować, ile go wziąć? ciężko musiał głowy nałamać. Któż wie co stolica kosztować może? co droga przyniesie? a nuż choroba? a przypadek? a pańscy lokaje? a królewska dwornia? a podarki? Jejmość była za tém, aby wziąć jak najwięcej; on chciałby był jak najmniej. Sam ówczesny sposób wożenia pieniędzy w brzęczącej monecie niemal przyczyniał kłopotu. Złoto brało się jeszcze w trzosik na siebie, ale srebro ciężkie, talary, trzeba było kłaść do tłumoka i czuwać dobrze nad niemi. A złodzieje po gościń-

cach? a rozboje nocne? a filuci warszawscy? Przechodziło to wszystko i po głowach i w rozprawach między państwem. Pan Baltazar *ad hoc* przytaczał różne swe przygody, słyszane dykteryjki, przykłady różnych awantur, nie zawsze je dobrze dobierając w dodawaniu męstwa, więcej na zrodzenie niepokoju.

Jejmość chciała dać cały arsenał na obronę, ale znowu nie wypadło się nazbyt uzbrajać, aby się nie wydało, że grosz jakiś się wiezie. Spływały tak na różnych sporach dni wyjazdu.

Nazajutrz, gdy się go najmniej spodziewano, Dyogenes o południu powrócił ze skrzypką... Trafił już na uspokojone twarze i umysły, co go wielce uradowało. Gdzie był, nie mówił, ale powrócił chmurniejszy, z czołem dosyć posępném, i szepnął Baltazarowi po obiedzie, aby z nim wyszedł na przechadzkę.

— Wiesz, poruczniku, gdzie to ja był wczoraj?— szepnął mu do ucha.

— A no? w lesie—rzekł Baltazar.

— Gdzie zaś! O dwie mile ztąd mieszka dawny dworzanin i faworyt tych O..., co to wam dziecko ukradli; pomyślałem sobie, że się coś przecie od niego dowiem o nich bliższego. Znałem go dobrze, bo choć niedawno odstał od nich, ale się go dawniej po świecie spotykało. Z wielkiego zucha i zawady, mój miły Boże! co się to teraz zrobiło! ledwie nogami suwał! Na dożywociu, w kącie, dogorywa ów dawny elegant... myśląc o ziółkach i kleiku... O mój Boże! jakże się zdziwił, gdy mnie zobaczył! ale ja więc, przypatrzywszy się niedołędze, a przymierzywszy go w myśli do tego, któremu znałem dawniej. Wystawcież sobie — mówił dalej Dyogenes, — stary ów mój przy-

jaciel... ów Zwinkowski, — a może go i znacie lub przynajmniej o nim słyszeliście?

— Nie — odparł Baltazar.

— Był to niegdyś faworyt pana i pani kasztelanów, jedyne oko w ich głowie, flut, kawał dworaka, gładki i choć go przyłóż do rany. Póki sił stawało, posługiwali się nim, kochali, pieścili, obiecywali mu złote góry; Zwinkowski też żył całe sobie nie żalując, a o jutrze niewiele myśląc... Tymczasem licho, które nie śpi, poczęło mu w kościach łamać; stare grzechy dopominały się o skrucę... Gdy zaniemógł, gdy mu się kręcić było ciężko, a minę i rezon stracił, powoli się go pozbywać zaczęto, a owe złote góry i wielkie fawory zmieniły się w dość lichy dożywocie. Dworak ów, który tak głowę górą nosił, co mu się zdawało, że bez niego kroku stąpić nie potrafią, nazajutrz przez kogoś młodszego i ruchawszego został zmieniony i rzucono go za drzwi jak sprzęt niepotrzebny. Ale mu to posłużyło do opamiętania. Gdym go teraz zobaczył nie poznałem z razu. Brodę do pasa zapuścił, o kuli się włóczy, zabrukał się, stetryczał, a znabożniał okrutnie. Miłość jego dla panów wielkich, co mu ją tak odwdzięczyli okrutnie, zmieniła się w nienawiść. Nie może im darować tego, że się bez niego tak łatwo obejść potrafili.

— Dowiedziałeś się pan co o nich?

Nie było mi trudno dobyć z niego com chciał, bo z żalu człek prawi, i co jest, i czego może nie było, a zna ich dobrze, bo lat dwadzieścia przeżył na ich dworze. Otoż dla czego wczoraj tak nagle wyruszył ze skrzypką, i dla czego dzisiaj powracam, i dla czego pochmurniałem, dodał Dyogenes. Żle się świecił!

— Cóż znowu? zapytał Baltazar.

— Jam to wczoraj nieco inaczej rozumiał—mówił Dyogenes powoli—ale będziesz ty język za zębami trzymał?

— A no! toż się rozumie.

— Otóż powiem ci, że Krzysztof ma rację się niepokoić: trzeba chłopca odebrać, bo tam... Sodoma i Gomora.

— Och! och! co zaś?

— A no! któż ich lepiej zna od kamerdynera i dworaka, który tylnych drzwi pilnował?.. Jejmość jak anioł piękna, dotąd nie stara i wcale się jój zesterzyć nie chce; chora na miłość, co rok to nowe marzeńko, coraz to młodszego wybiera, a nuż jój djabli podszeptną bałamucić to dziecko!

— Pfe! zakrzyknął Baltazar: a toćby była zgroza.

— Alboż to niewidziane rzeczy! Cóż dla takiej pieszczonój pani znaczy poświęcić jednego chłopaka, żeby sobie młodość przypomnieć? Sama jejmość żyje tylko schorzałemi pragnieniami; nawykła do dworu i stolicy, patrzy na świat przez swoje serce i namiętności. Sam pan, safandula, pod pantoflem, byleby mu nie przeszkadzano grać w karty i ciągnąć pasyanse, włóczyć się i ziewać coraz gdzieindziej, na wszystko pozwoli. Co tam dobrego z takimi ludźmi może się dziecko nauczyć, i po co oni je wzięli? O! o! ma słuszność pan Krzysztof niepokoić się i co prędzej chcecie dziecko odebrać... *Periculum in mora...*

Baltazar się wziął za wąż i szarpał go ku dołowi, co zwykł był czynić, gdy go mocno dolegało.

— Szanowny panie—rzekł—widzicie: jam prosty żołnierz, wyście rozumniejsi odemnie; ale pozwólcie

sobie przypomnieć, że informacyi téj zasięgaliście od zażalonego człowieka, którego serce boli... Nie najlepsze to źródło, aby się prawdy dowiedzieć.

— Macie słuszność, odparł stary, ale ja też odra-
chowuję dużo, licząc na to, że ból jak strach ma wielkie oczy. Włosy mi na głowie powstały, gdy gadał stary. I jam też dużo świata widział, ale takich ludzi, coby sobie ze słabości swych cnoty robić, chcieli, nie spotykałem za młodszych czasów. Ha! namiętność i krewkość przemogły nieraz, człek upadał, ale się płacząc podnosił i żałował; padł znowu, to się jeszcze dźwigał i czuł, że pobłądził! A tam! tam już nie ma skruchy ani pomiarkowania: upadek wszedł w powszechny porządek, a cnota się stała śmiesznością.

— Nastraszyłeś mnie Wpan, zawołał Baltazar; ale już chyba strachu im więcej nie napędzajmy: co to pomoże, iż się ludziska nagryzą?

— Tak, alem ja wczoraj inaczej mówił, a dziśbym chciał to naprawić: bo: bądź co bądź, chłopca odebrać potrzeba.

— Ale koniec końców, czegożes się jegomość dowiedział?

— Zdaje mi się, że nic dodać nie mam, bo wszystko wiesz lub się dorozumieć możesz. Niczego na świecie nie wielbię nad kobietę, ale nikogo nad nią więcej się nie lękam: gdzie dyabeł nie może tam babę poszle... Są anioły między niemi, żadnej nie potępiam, żadnej nie winuję, ale są to często narzędzia siły nieczystej, a taka kobieta jak kasztelanowa, ze-
starzała w czułościach, dla takiego dzieciaka jak Adaś... to... może być zguba. Całe życie mu zatruje, gdy się doń zbliży.

Westchnął Dyogenes.

— O! kobiety!—rzekł—kobiety! bez nich żyć niepodobna, a z nimi żyć tak trudno! Gdy człek je przeklina, jeszcze po nich płacze.

— Cyt, idzie stary! szepnął Baltazar.

— Ja mu też muszę coś powiedzieć, dodał Dyogenes, biorąc się do skrzypki — tylko oględniej... Jegomość milcz... obróć to po mojemu, już wiem jak...

Stali we wrotach, gdy nadszedł pan Krzysztof. Dyogenes począł nócić, Baltazar mimowoli czy z tej ochoty, jaką zawsze miał do śpiewu, z cicha mu basem wtórował:

Ej tam na górze, stoją ryecze...

P. Krzysztof, któremu w duszy nie było do śpiewu, stanął i słuchał uważnie, gdy Dyogenes po chwili porzuciwszy skrzypki, odezwał się:

— Ja myślę, że jegomość musiałeś znać oboje kasztelaństwo, lub przynajmniej gdzieś ich spotkał w życiu?

— Ja? odparł pan Krzysztof — nigdy, ledwie o nich coś zasłyszał. Drogi nasze po świecie były różne, nie mogliśmy się zejść z sobą...

— Ależ to zawsze jakieś tam pokrewieństwo...

— Nie! zawołał Krzysztof — nie! rody nasze od wieków się rozeszły i dawno się siebie zaparły. Oni nas nie uznawają za swoich, my ich uważamy za obcych... Bóg z nimi! bodaj się było i teraz nie kumać...

— E! e! u was tu na jałowém Podlasiu, tego, co ja powiem, niełatwo zrozumieć; ale co się tyczy rodów, to się dzieje z ludźmi, nie przymierzając, co ze zbożem. Gdy rola nadto żyzna a ziarno się rzuci, mosenie, niezbyt głęboko, na wiosnę aż miło spojrzeć

jak ci to buja; śliczności! rzekłbyś ogromna na tém nadzieja. Ale poczekaj, poszło wszystko w trawę, w liść wybujalo, i nim do żniwa, położyło się i gnije... Otoż tobie bujanie! Tak i z ludźmi, wiercie mi: na dobrym gruncie bogactw, dostatków, wszystko buja, zwłaszcza gdy orka niegłęboka... a potem polegnie i zgnije... Bodaj czy to nie tak z tymi waszecinyimi imiennikami—wybujali... a kto wie? może zgniją.

— O tak! o tak! rzekł nieco rozweselony dobrém porównaniem Krzysztof, leżą i gniją!

— Tak! gniją! dodał raz jeszcze Dyogenes. Ale na zgniliźnie, na gnoju, często coś pożytecznego wyrośnie, gdy przyszłość ziarno zasieje. Znaszże Wpan historię tych, co jegomości syna ukradli?...

— Ale wcale nie... przerwał gospodarz: ledwie wiem, że żyją. Co mnie oni tam dawniej obchodzili! Byłem pewien, że się nigdy w życiu nie zetkniemy... nieszczęście inaczej chciało... Coś tam się może słyszało, ale to jedném uchem weszło, a drugim wyleciało.

— Jam to tam trochę świadomszy tych nieciekawych dziejów—dodał wolno Kapustyński, — tylko że nie ma co powtarzać. Jejmość, Wenus, sławna piękność swojego czasu, i po dziś dzień jeszcze z daleka bardzo się wspaniale prezentuje; kochało się też w nią co tylko było przedniejszego w Koronie i Litwie. Przekochała tak sobie życie na erdredonowych wezglowach, rozpieszczona pochlebstwy, nigdy surowszych nie nabywszy pojęć o świecie. O jegomości długoby było gadać.

— Ale mów, choćby długo! zawołał p. Krzysztof, — dobrodziejstwo mi uczynisz... Trzeba wiedzieć do kogo się idzie, aby zmiarkować, jakim tam gadać językiem.

— Krótko a węzłowato, dodał Dyogenes: jegomość pantofel... młodość wyhulał za granicami, ożenił się dla tego, aby się pochlubić piękną żoną, i zaraz też dostał krzesło w senacie, bo naówczas pono Ciolek się miał do Wenery. Nie przeszkadzał dobry pan żyć jejmości jak chciała... bo to należało do tonu wielkiego świata, aby sobie wzajem nie zawadzać. Gracz po nocach, we dnie dworak giętki, nigdy też wielkiego nie miał kasztelan znaczenia, ani zajadłych nieprzyjaciół... Dziś obojętny na wszystko prócz kabały, dojada fortuny, nie mając dzieci, i nie troszcząc się co po sobie zostawi. Dom pański, ale na wychowanie dziecięcia możnaby stosowniejsze wybrać miejsce, — rzekł w końcu Dyogenes, — nie taję.

— Tak! widzisz sam! przerwał gorąco Krzysztof — i chcecie, żebym w tym ogniu piekielnym zostawił dziecię nie ratując?...

— Czekaj-no, czekaj, nie rąb i nie strzelaj! ofuknął Kapustyński biorąc go za rękę. Największa część złego już się stała. Dziecko napiło się trucizny, i cierpieć będzie pragnienie przez życie całe; bo (po-czał brzdąkać w skrzypce i podśpiewywać):

Kto pił z tego kielicha,
Wiecznie wargę zasycha.

Hej! hej! wiem i ja coś o tém: i włosiennice, i dyscypliny nie wypędzą z duszy tego szatańskiego ja-du. Więc słuchaj, pobożny i prawy człowiecze, coś nie pił nigdy nie krom czystych rozkoszy spokojnej doli... słuchaj i wierz, bo ci na Ukrzyżowanego przysięgam, mówię prawdę: dziecko już chwyciło zarazy! Odbierzesz je, to ci zeschnie od snów, widziadeł, tęsknoty i żalu... Kto wie, może gdybyś je zostawił, ra-

tunek znalazłby się w samą truciźnię. Tak! w prawej duszy rodzi ona nareszcie obrzydzenie, wstręt i zabija się sama własną siłą...

Dyogenes wyrzekłszy to, aby być logicznym z wczorajszym swym twierdzeniem, zapierał się dalej mówić, gdy p. Krzysztof mu przerwał ruszając ramionami:

— Przyznam ci się, że tego argumentowania twojego wcale jakoś nie rozumiem, i nie wierzę w zasadę.

— Bo świata zdradliwego nie znasz — zawołał pocąc się Dyogenes, któremu kłamstwo zawsze szło ciężko. Świat ten... tam dość wniść, spojrzeć; niech cię jego woń obleci, niech ci jego powietrze wciśnie się do piersi, niech ci zagra muzyka onych pieśni Sardanapalowych, próznobyś się żegnał i zażegnywał: jesteś zgubiony. Rozumowanie, groza nie pomogą, ale czasem rodzi się wstręt z nadużycia, które prędko przychodzi, rodzi się tęsknica do natury, do prostoty, do prawdy, do cnoty, do spokoju i człowiek wówczas jest uleczony, a dobrze uleczony, bo sam pragnie lekarstwa...

— Może to wszystko być, przerwał pan Krzysztof zimno, — ale się na takie cuda spuszczać nie godzi, i czekać aż złe wyrodzi dobro, bo to genealogia nie prosta...

— Czekajże, aż mnie zrozumiesz, rzekł Kapustyński. Będziesz miał w samym dziecku najlepszy znak tego, co ci zostaje do czynienia... Jeżeli ono rzuci ci się w objęcia z tęsknotą do was, z miłością wielką, a powie ochotnie: „Powracam!” o! niech wraca, przytulcie je, zabierzcie... Będzie to uczta jak na przyjęcie syna marnotrawnego... Lecz jeśli chłopiec ze łzami opuszczać będzie te progi wyszlifowane, jeśli odwró-

ci się ku nim, a tęskno westchnie do świetnych szat które zrzucić będzie musiał: — nie bierze go ojciec! bo zabijesz może na ciele, a pewnie na duszy. Syn powróci, ale ci uschnie jako roślina w ciemnicy, albo wyrwie ci się może drugi raz na gorsze jeszcze swobody i zginie bezpowrotnie. O tak! Bóg łaskaw i są cuda...

— O źleż jest z nami — westchnął ojciec składając ręce—gdy aż cudu prosić potrzeba... A któż z nas u Boga na cud zasłużył?

— Wy! wy! podchwycił Dyogenes, ściskając i całując w ramię starego. Jam nigdy nie był pochlebcą; wiecie, że mnie zowią werydykiem, a nienawidzą jak wszystkich niedyskretnych papłów; a ja ci mówię z duszy: wyście na cud zasłużyli!

P. Krzysztofowi łza z oczu pociekła, ale nie odpowiedział. Dopiero po długim milczeniu rzekł:

— Wiecie: uderza mnie to coście natchniony może powiedzieli. Macie słuszność: jeśli mi ręce wyciągnie, niech powraca; jeżeli zwróci się ku nim, wola boża!

Tu łzy mówić mu nie dały, i nie dokończył stary.

Dyogenes odwrócony w drugą stronę, brzdąkał po skrzypcach, ale posądzić go było można, iż łza zbiegła marszczkami jego twarzy, bo coś rękawem ocierał a p. Baltazar także patrzył gdzieś w inną stronę kręcąc węsą, i wszyscy trzej poszli już milezający powoli ku dworowi, gdzie w ganku na nich czekała Anna uśmiechnięta smutnie, blada, biedna, a oczyma szukająca swego pana i męża, na którego licu myśl chciała odgadnąć. Drżała miotana dwoistém uczuciem: pragnąć i odzyskać dziecko, i ofiarą zaparcia

się go świetną mu przyszłość okupić. Macierzyńskie jej serce gotowe było stłumić w sobie miłość, zataić ją, byle Adaś był szczęśliwy, byle mógł się wynieść wysoko.

O biedne sny ludzkie o szczęściu! gdzież one go czasem szukają!

Przyszędł nareszcie przyśpieszony pragnieniem, zwlekany jakimś strachem, dzień wyjazdu p. Krzysztofa z Brzozowej Wólki... chwila w ich życiu uroczysta.

Od czasu jak się państwo Krzysztofowstwo pobrali, nigdy jeszcze na hazardy tak dalekiej podróży nie ważył się on, nigdy od tej słomianej strzechy, co tuliła jego szczęście, nie odbiegł tak daleko... Odziany do drogi, siedział już p. Krzysztof smutny na jednej ławce, na drugiej pocziwy Baltazar, który coraz to nowe dyspozycje odbierał i dobrze je sobie notował; ze drzwi co chwila wybiegała zapłakana Anna z nowym jakimś węzełkiem do bryczki, która stała wyladowana przed gankiem, ale jeszcze nie zaprzężona... Za każdym razem przechodząc tuliła się do piersi mężowskiej, a p. Krzysztof w milczeniu węsą pokrecał, a węs siwy nie był suchy... A ileż to zaleceń ostrożności! ile coraz nowych przestróg kupiło się w tej ostatniej chwili!

Nareszcie parobczak Jędrus wybrany na woźnicę, któremu dosyć smakowało, że miał z panem do Warszawy aż jechać, wywiódł ze stajni parę ubranych koni i począł je powoli zaprzęgać z pomocą bosego

chłopaka, który mu mocno zazdrościł i wzdychał. Jędrus miał też wyladowane kieszenie tysiącem węzełków, bo jako człek nieprzywykły do dalekiej drogi, pozabierał wszystko, co mu najniepotrzebniejsze być mogło, zapomniawszy o koniecznym.

Gospodarz patrzył na przygotowania suchém okiem. Teraz, gdy się zbliżyła godzina, stawiała mu na myśli coraz dobitniej cała trudność zadania. Jak tu sobie dać rady z tymi ludźmi innego świata, może z samym Królem Jegomością? zkąd wziąć słowa dla nich zrozumiałe? jak do nich przemówić? jak wreszcie znaleźć się z synem?...

Łamał sobie głowę, aby odgadnąć, co go tam czekało.

Tysiące drobnych zawał nasuwały się na myśl natrętnie, ani ich było odepechnąć.

A w domu ta biedna Anna, tyle drobnych rzeczy, na które zwykł był od rana do wieczoru czujnym okiem sam patrzeć? P. Baltazar dobry człek ani słowa, ale czy on przy swych pieśniach i myśliwstwie zechce tak ślęczeć nad gospodarstwem, które było do dozoru przywykłe?... A nuż wszystko wyjdzie z karbów.

Ale to była fraszka, *cura posterior*, jak się wyrażał pan Krzysztof: główna, co Anna pocnie usychając z niecierpliwości i niepokoju?

Jędrus się oczywiście śpieszył; ostatnie chwile leciały jaskółczemi skrzydłami; słońce podnosiło się ku górze, a ten kąt, który potrzeba było opuścić, w barwach ciepłego spokojnego jesiennego poranka tyle miał uroku!

O! wybrałbo się dzień smutku na przekorę: jedynym z tych dni wesółych, jasnych, cichych, w których człowiek dziwi się naturze, że gra nie do jego

pieśni, że mu się przedrzeźnia swém weselem... W dali stały lasy złote i purpurowe, gdzie niegdzie przetykane zielenią, tak śliczne, tak jeszcze wonne jak na wiosnę od rosy poranniej. Pola już ruń zbóż okrywała, i szedł z nich zapach świeżej orki, tak miły dla wieśniaka. Reszta ptactwa pozostałego w domu, zwija się złudzona tém ciepłem i pogodą, jakby drugą wiosnę poczuła; począwszy od gadatliwych wróblu w strzesze, aż do srok i kaczek—pełno było wrzasku w powietrzu. Z dala po nad ruczaje i błota wznosił się jeszcze sinawy opar poranka jesieni, przejrzyście osłony tulący dalekie horyzonty; chmurki sinawe kołysały się po nad ziemią powolnym wiatrem rzucane, dziwne przybierając kształty: to gęstniejąc, to roztopiając się w powietrzu, to jak dym lekki żeglując ku górze...

We dworku tak czegoś było ślicznie i miło... a gaj po za nim szumiał cicho tak tęskną pożegnania pieśnią!...

Widząc konie zaprzężone, czeladź cała wyszła do drzwi, do okien, na progi, aby pana choć oczyma pożegnać. U wrót w dali stała nie śmiejąc się jeszcze przybliżyć część wiejskiej gromadki, bo i ona trwożyła się odjazdem starego pana... Wszystka ludność dworu i część wiejskiej zalegała dziedziniec.

Z odkrytą głową stary Hordiej, wójt wiejski i starszyzna gromady, powołany przez pana zbliżył się narazie niosąc czapkę w ręku, i życzył mu kłaniając się nisko, szczęśliwej podróży i prędkiego powrotu.

— Mój stary—rzekł wstając pan Krzysztof i zdejmując czapkę przed gromadą—zostawiam na gospodarce pana brata, on mię tu wam zastąpi; ale na ręce wasze zwierzam wszystko. Pilnujcie mojego jak swego, wszakci to tyle wasze co moje. Nigdy się

przecię podzielić z wami nie wahał ani chlebem, który Bóg daje, ani bydełkiem, które się wychowa, ani groszem, co go wasza praca przysporzy...

— Bądźcie panisko spokojny, odparł Hordiej: już my tu nie zaśpimy. Jeszcze jak wy tu sami pilnujcie, no! to tam człek człekiem, czasem się co i przesłepi; ale gdy was nie ma, a jedziecie z tą wiarą w nas, że my tu pilnować powinni, no... toć i sumienie, i miłość każe nie dospać a zrobić co Bóg przykazał... Już ja to na moją głowę biore...

Stary aż się rozezulił. Podano wódkę i przepił p. Krzysztof po dawnemu do gromady. Pożegnali się serdecznie, a ludek odszedł powoli i stanął znowu u bramy, chcąc jeszcze pana oczyma przeprowadzić i pokłonić mu się gdy wyruszy.

Pożegnanie z Anną chciał skryć przed oczyma ludzi p. Krzysztof: ciężkie bo to dlań było przejście. Gdy wszedł do dworku i zastał ją klęczącą przed Chrystusem, rozpromienioną taką strzelistą modlitwą, że go z razu nie zobaczyła i nie posłyszała, — dwa strumienie łez już zaschłych na bladą widać było twarz.

P. Krzysztof nie nie rzekłszy, pokłękł obok niej i modlił się podniósłszy ręce do góry, a dokończywszy modlitwy, rzekł:

— Stań się panie wola Twoja!

A gdy Anna ruszyła się ku niemu, wziął ją na ręce i przycisnął do piersi.

— Bądź mi zdrowa a módl się, rzekł; jakkolwiek powrócę sam czy z nim, przygotuj się na oboje, i przyjmij starego twego sercem twém starém... Anulku.

Ucałowawszy ją, postawił na ziemi...

— Duszycko moja, rzekł: nie wychodź, ja siadam i jadę, niech ludzie nie liczą łez naszych... Do widzenia! dobrój bądź myśli!

To rzekłszy i nabrawszy odwagi, nasunął czapkę na głowę i wyszedł; pocałował Baltazara w milczeniu, weiskając mu kilka talarów do ręki, pożegnał ludzi i wskoczył do bryczki.

— Jędrus! z kopyta! zawołał.

Konie aż poskoczyły, i bryczka się lekko zerwała z przed ganku. W tej chwili właśnie Anna nie mogąc wytrzymać, wyszła z krzyżem i relikwiami, aby nimi jeszcze pożegnać odjeżdżającego.

P. Krzysztof machnął tylko ręką na znak pożegnania.

— Jędrus! a żywo z kopyta! powtórzył.

Trzema dzielkami chwycona mierzynami, bryczka toczyła się żywo po piasku, a tuman kurzu, którym wiatr plątał po drodze, zakrył ją oczom patrzących...

Pierwsze dni podróży Adasia były dlań jakby snem rozkosznym. Po nudach owój szkoły, po niewoli studenckiej karności, po suchym chlebie i fasoli Zamszyca... coś jakby raj, odsłaniało się oczom chłopięcia zdumionym, sercu rozkołysanemu. Siedział obok ślicznej pani, która go pożerała oczyma, która tysiące mówiła mu rzeczy nowych i dziwnie pieszczotliwie kochać się go zdawała... A patrząc nań rumieniła się i drżała; ręce jej dotykając go, wlewały weń jakby strumienie ognia, a na ustach jej marły w uśmiechu niedokończone wyrazy.

Pamela, która od bardzo dawna знаła hrabinę i widywała ją w rozpaczach i w rozplamienieniach różnych, nigdy jeszcze nie pamiętała jej tak młodą, tak wesołą, ożywioną, pełną nadziei oczarowania. Wróciło zdrowie, pragnienie życia, uśmiechy, nawet rumieniec lat dawniejszych, i blask oczu, i ta młodość, która zawsze opromienia uczucie.

Na drugim noclegu, gdy chłopak odszedł, a dwie kobiety zostały sam na sam. Pamela trochę szydersko wyznała hrabinie, która dla niej nie miała tajemnie, że jej poznać nie może.

— A! bo ja sama siebie nie poznaję! zawołała stając naprzeciw zwierciadła piękna pani: Patrz: jam

przynajmniej lat dziesięć zrzuciła z siebie! ja się dziś tak czuję szczęśliwą, tak wesołą, tak lekką jak to dziecko! Tak! bo dziecko to kocham do szaleństwa!

Już go pani kochasz? spytała z półśmiechem powiernica.

— Już, i na zawsze! i czuję, że jeszcze nigdy nie kochała! Patrzę nań jakbym patrzyła na nierozwinięty pączek róży, który mam moim oddechem rozkwiecić. Ja go wychowam, ja go ukształcę, ja z niego uczynię istotę, jakiej świat jeszcze nie widział, bo miłość wiele może... Czyś ty postrzegła Pamelę, jaki ogień gra w jego oczach, jaki zapal jest w tém wejrzeniu, jak on zgaduje wszystko, jak to dziecko wsi przeczuwa świat lepiej od wychowanych wśród największego świata! Co za instynkt cudowny! co za wdzięk w każdym jego ruchu! jaka bystrość pojęcia!

— Pani! zawołała Pamela: ależ to dziecko...

— A! ty nie rozumiesz mnie! to właśnie stanowi urok jego: to chłopię, które dojrzeje na cudownego młodzieńca!

Pamela zmarszczyła brew, zagryzła wargi i odważyła się wyrzec powoli:

— Pani droga, jako stariej słudze wolno mi może...

— Przyjaciółce—przerwała w zapale hrabina, która z miłości dla jednego człowieka kochała teraz świat cały.

— Wolno mi więc uczynić jedną uwagę... Tyleś pani przecierpiała, tyle zawsze każdy zawód odboleć musiałas... A to tak młode... kto wie co tam kryje się w sercu i duszy?... pani możesz sobie tém przywiązaniem zgotować ciężkie strapienie.

— Strapienie! boleść! śmierć! cóż mnie to dziś obchodzi? podchwyciła gorąco hrabina. Ja całe życie

marzyłam o takiej miłości; ja dla niej umrę z rozkoszą! Myślisz, że nie przeczuwam co mnie czeka? Byłabym tak ślepą! Ja wiem, że każdą z tych chwil okupię gorzkimi łzami, jękiem każde serce uderzenie, każdy dzień rokiem rozpacz; ale dam życie z ochotą dla takiego snu, dla téj chwili marzenia. Jam nigdy tak nie kochała!

— Pani mnie przestraszasz doprawdy! szepnęła przyjaciółka z pewną zazdrością, którą zawsze witają uczucie cudze ci, co go już mieć nie są zdolni.

Hrabina chodziła żywo po pokoju.

— Tak—rzekła po cichu—życie moje upłynęło w zawodach... Szukałam kropli czystego uczucia, aby niem ochłodzić spalone usta, a pojono mnie żółcią przyprawą... Cóż byli warci ci ludzie, co mnie otaczali? Sterani za młodu, bez sere w piersi, kochający, ażeby się chwalić, pragnący, aby porzucić, zimni, nieszczerzy i znużeni więcej niż zużyci... Do któregoż z tych ludzi, com nimi rzuciła jak piłką, przywiązać się było można? To moja pierwsza choć u schyłku dni miłość — i ostatnia... Potém zawińcie mnie w biały całun, połóżcie w trumnie, a na wieku napiszcie:

„I ona była w Arkadyi!”

Z tych kilku słów można już wnosić, co czekało Adasia; ale myliłby się ktoby z nich sądził, że hrabina była prostą namiętną zalotnicą. Wśród tego zepsucia powszechnego, które nie miało granic i nie znało wstydu, w duszach jak ta gorących, rodziło się pragnienie czystej jakiejś miłości, idealniejszego przywiązania. Taką miłością właśnie żyła stęskniona hrabina, pragnąca kochania, któreby ją nad ziemię podniosło. Adaś stał się dla niej nadzieją, postanowiła go wypieścić dziećciem, wykształcić, przywiązać,

aby odpalić tę chwilę, w której mógł zawód ją spotkać i sprowadzić nieuchronne gorycze.

Ta piękna pani, która nieraz po trzech odwiedzinach Paryżanina, co się jej podobać umiał, rzucała mu się w objęcia z naiwnością tamtemu wiekowi właściwą, postanowiła teraz być enotliwą z Adasiem: chciała być czystą, aby uszlachetnić swą namiętność, i ledwie miała odwagę z daleka ścigać go wejrzeniem gorącym. Czyniła się poważną, w myśli powracała do młodości niewinnej, odtwarzała ją w sobie. Niestety! była to w istocie pierwsza jej miłość na jesiennych latach, najniebezpieczniejsza, bo spóźniona, jak owe choroby, które gdy się młodo przebywa, nie groźne, gdy się je nabędzie w starości, śmiertelne.

Pamela dojrzała wprędce na co się to zanosilo: chłopiec nie był faworytem pani, był jej bożyszczem. Kryjąc się prawie ze swą namiętnością, hrabina otaczała go troskliwością niewypowiedzianą, bała się o niego, nie spuszczała go z oka, niecierpliwiła się gdy wyszedł, niepokoiła gdy powracał wrażeniem, które z sobą przyniósł, śledziła go, posyłała gdy się oddalił. Hrabia sam nie na to nie zważał, ale szczególnego affektu nie okazywał dla przybranego wychowanka: czuł jakimś instynktem, że jejmość nadto się nim zajmowała.

Choć pani żadnej mu w tej mierze nie dała wskazówki, Adaś stworzony na dworaka, sam się domyślił, że ważną dla niego było rzeczą, choć na pozór nie nieznaczącego i obojętnego pozyskać sobie kasztelana. Bystre chłopię śledziło z początku czém go zjednał, zachowując się ostrożnie... wyszukało słabostki i umiało się do nich zastosować.

Kasztelan, którego nikt w domu tak dalece nie słuchał, tylko pozornie, lubił, aby się go obawiano dla tego, że się go nikt nie lękał. I tém go sobie najprzód kupił Adaś, iż mu służył i był dlań pełen poszanowania, gdy właśnie służył weale się o niego nie troszczyli... Powoływani, słuchali z powagą rozkazów, odchodzili z ukłonami, ale nigdy nie robili co im polecił, póki pani nie stwierdziła dyspozycyi męża.

Ta powolność Adasia malowała niezbyt obiecujący charakter chłopięcia: bo nie tak nie kala jak ponizienie chytre. Ale hrabina widziała w tém tylko niezmierny talent, niesłychaną zdolność do życia i świata w swoim faworycie. Kasztelan, jak wszyscy ludzie sponiewierani, dał się ująć chłopcu służbiestnością jego, nadskakiwaniem, pokorą. Raz go już nawet w policzek uszczypnął, co postrzegłszy hrabina, nie posiadała się z radości.

— Wiesz — zawoła przybiegłszy do Pameli — to cudowne chłopię!... Wszakże potrafił tego lodowatego, zimnego, niecznośnego kasztelana rozkrochmalić... O! to coś niepojętego! on pójdzie daleko!...

— Byle nie za daleko! szepnęła powiernica.

Kasztelan, który w istocie był najciemniejszym z ludzi, bo do dna wyżytym, zużytym i niezém się już niemogącym odżywić; który chodził jakby nie wiedział czy się rusza, mówił nie zawsze bardzo przytomnie i wiekuiście był roztargniony; który się nie gniewał, nie śmiał, nie płakał, nie cieszył i nie umiał nawet niecierpliwić; któremu z funkcyj cielesnych jedno tylko poziewanie zdawało się robić jaką przyjemność: miał zwyczaj nawet w drodze na popasach i noclegach po karczmach, gdziekolwiek się zatrzymali, zasiadać zaraz nad talią kart francuskich, z których go-

dzinami układał pasyanse. Milczący, zadumany, do tej pracy przywiązywał taką wagę, jakby od niej losy państwa zawisły. Czyniło go to niezmiernie śmiesznym, a plosi ludzie albo mu się w oczy śmieli, albo wcale nie zważali na to co robił. Trafiło się sługom potrącać karty, lub zażądać na coś tego stołu, na którym się ów pasyans nieśmiertelny układał. Naówczas przeciwko swemu obyczajowi, kasztelan rzucał z gniewem karty i odchodził milczący ze wzgardą widoczną dla tych istot, które wielkości jego posłannictwa pojąć nie były w stanie. Ze wszystkich przykrostek życia, lekceważenie pasyansu było dla niego najboleśniejsze. Ilekroć żona potrzebowała go sobie zjednać, zawsze wprzód stawiała nad jego kabalą, udawała, że jej losy niezmiernie ją obchodzą, odzywała się z półsłówkiem współczucia dla tej wielkiej pracy męża, a kasztelan wpadał naówczas w taki humor, że już z nim można było co chcieć uczynić.

Adaś czy przez wrodzoną przebiegłość, czy przypadkiem, powziął wielkie uwielbienie dla kombinacyj kasztelana, dla zręczności, z jaką wielki kładł pasyans. Przypatrywał mu się godzinami, spytany wyznał, że nie ma dobrego pojęcia tego zadania tak wielkiego i pięknego, ale że pragnąłby bardzo zostać wtajemniczonym. Kasztelan, który się dawał ująć łatwo, obiecał mu, że gdy podrośnie, to go nauczy wielkiego pasyansu.

Ale przez to jedno życzenie Adaś stał się w jego oczach chłopcem wielkich nadziei i zdolności: obiecywało to najdowodniej powołanie jego tak wcześnie się objawiające do kabali.

— O!—rzekł lakonicznie do żony—to chłopak! to tego—chłopak... Jak on to wie! jak on się domyśla! To może być z niego człowiek!

Na kasztelana i to już było wiele.

— Ja go później nauczę pasyansu! dodał z uśmiechem do żony, która naturalnie nie mogła się nadziękować za dobroć kochanemu Jasieńkowi.

Podróż do Warszawy szła dosyć powolnie a tymczasem Adaś rozkwitał wśród tych pieszczot rajskich, i rozbudzony do nowego życia, okazywał do niego niesłychane zdolności.

Najmniejsze słówko nie było dla niego stracone: patrzył, naśladował, domyślał się, zgadywał.

Hrabina, której pilno było popisać się ze swoim wychowawcą, a szczególnie z jego nadzwyczajną pięknoscią, bo wówczas powierzchowność stanowiła jedną z najglówniejszych zalet nie tylko kobiety, ale nawet mężczyzny,—zatrzymała się umyślnie w Siedlcach pod pozorem odpoczynku, a jednego z ludzi posłała do Warszawy z bilecikiem do krawca Francuza, co dostarczał garderoby kasztelanowi, dając mu miarę Adasia, informację i żądając przygotowania dla niego kompletnych ubrań i zupełnie dworskiej toalety. Szło jej o to, aby się pokazał ubrany, aby ten brylant przybył w oprawie i lepiej się wydał od razu. W istocie, potrzeba było i wdzięku chłopaka, i trafnego oka znawczyni jak kasztelanowa, aby w bardzo skromnej odzieży przeczuć czém ma być ta istota wybrana, wydająca się dosyć dziwnie w powozie wytwornym hrabiny.

Siedząc w Siedlcach u pani hetmanowej, hrabina niecierpliwiła się. Potrzeba było Adasia zamykać, nie wypadało go pokazywać nikomu, i dla stroju, i dla ledwie rozpoczętego wychowania. Dzień cały spędziwszy bez niego, wieczorem powracała do swojego mieszkania, i już w pokoju czekać na nią musiał chłopak, tak niecierpliwie widzieć go pragnęła... Na

spędzenie dnia w samotności, zostawiono mu książek trochę nedorzeczných, łakocie i dozór daleki, ale surowy panny Pameli. Chłopak marzył o swęj pani tylko!... W wieku jego, gdy wszystko się dopiero rozbudza do życia, potężne wrażenie czynić musiała ta kobieta tak jeszcze piękna, a tak gwałtownie, namiętnie, szalenie rozkochana w wychowanku.

Powiecie może, iż namiętność taka jest niemożliwa w kobiecie wyżytej, w sercu zwiędłym; ale wiek ów i nasz, codzienn widzą podobne anomalie, które są płodem epok rozpasanych na użycie nienasyconych niczem, pragnących i rozpragnionych do końca. Co gorsza, ilekroć trafi się u człowieka ta późno rozhukana miłość dla istoty nierównęj mu wiekiem, jest ona zawsze szalem, jest rozpaczą, ale niepohamowaną na siłę.

Jest to coś mitologicznie poczwarnego, ale tém dzikszego, że się upędza za niemożliwem. Miłość pięknej pani miała też charakter trudny do określenia: było w nięj coś macierzyńskiego prawie, czystego, a zarazem namiętnego okrutnie, bezlitośnie. Płakała myśląc o nim, drżała i rumieniała się, gdy się przybliżał; co chwila przychodziło jęj na myśl, że traf, los, szatan, mógł jęj ten skarb odebrać, uszkodzić... Bała się, by kogo nie zobaczył, by nie pokochał; starała się dla niego być piękną, a wydawała się okropną, choć w istocie ogień, co ją przejmował, nowym otaczał ją blaskiem.

Nie było to poważne przywiązanie, zdolne do zupełnej ofiary z siebie, ale nie była też namiętność ślepa, i serce budziło się już zdziwione miłością czystszą, silniejszą, niż kiedykolwiek doznało.

Hrabina całe godziny spędzała na rozmowach z chło-

pięciem. Rada mu była okazać swe przywiązanie i wstydziła się jego gwałtowności, chciała go zbliżyć i spoufalić z sobą, obawiając się tego zarazem. Często rozpoczynawszy dosyć trzpiotowało i nierozważnie, piękna pani kończyła z powagą, na jaką się zdobyć mogła, ucząc go, jak się ma w świecie zachowywać, czego się chronić, czém jest życie w stolicy, jak wiele umieć potrzeba i jak należy być ostrożnym.

Adaś słuchał z zajęciem, pożerał słowa i obiecywał co chcianno... Każdy wyraz otwierał przed nim nowe i nieznane horyzonty. Potrzeba było jego bystrości i usposobienia, aby z tęg dziwnęj często mieszczaniny czułości, szyderstw, półsłówek skorzystać. Hrabina płała się mówiąc po polsku, mieszała nieustannie francuzczyznę, w zapale zapominała o czém mówić poczęła, wpadała we wspomnienia własne, w historye mnóstwa osób nieznanych, w epizody mniej właściwe dla młodego chłopaka... które później, opamiętawszy się, usiłowała osłonić, przybrać i na naukę moralną przemienić. Pierwszy raz w życiu będąc w takim położeniu, uczyła się przynajmniej tyle sama co wychowaniec od nięj.

Hrabina tak była przywykła patrzeć na świat z siebie, widzieć go w sobie i zastosowywać do siebie, tak się żyła z tą rolą bóstwa, którą odegrywała od dzieciństwa, że z niezmierną trudnością przychodziło jęj, na chwilę nawet, zmusić się do zaparcia tego pieszczotliwego egoizmu. „Ja” wytryskało z ust jęj co chwila mimowolnie.

A dzieje kobiety, były to metamorfozy jednego uczucia: tylu miała wielbicieli, tylu ją zdradziło, tylu ona zdradziła, tyle przecierpiała.

Adaś słuchał i pożerał. — Wprawdzie pod koniec

dodawala zawsze, iż o tych rzeczach *jeszcze* mu wiedzieć nie pora, że ich *jeszcze* zrozumieć nie może; ale po téj poprawce wpadała znowu w błąd pierwszy, i wracała do swych powieści. Chciała, żeby ją poznał, czuła jakąś potrzebą wylania się i rumieniała się potem, i sama sobie wyrzucała, że się téj żądz oprzeć nie mogła.

Krawiec nadworny kasztelana, Francuz Lenepreux, który miał zawsze świeżuteńko z Paryża sprowadzone garderoby męskie wytworne, u którego ubierało się co w Warszawie było najwykwintniejszych elegantów, odebrawszy polecenie kasztelanowej, nietylko dla tajemniczego młodego człowieka wybrał co miał w magazynie najparadniejszego, ale sam wziął konie pocztowe, zapakował pudła i pudelka, domyślił się że mnóstwo dodatkowych rzeczy potrzebować mogą, i przyleciał do Siedlec z całym zapasem, któryby dla dwóch okradzionych elegantów mógł starczyć.

Biegł dniem i nocą, i przybył, gdy się jeszcze nie spodziewano. Gdy hrabinie dano znać o tym heroicznym czynie Paryżanina, zarumieniała się z radości, klasnęła w dłonie i zawołała ściskając Pamelę, że tego nigdyby żaden krajowiec nie zrobił, że tylko grzeszny Francuz do takiego poświęcenia był zdolny. P. Lenepreux wiedział dobrze, iż mu się fatyga i usługa sownie opłaca.

Piękna pani kazała natychmiast przypuścić przed swe oblicze zacnego Francuza, przyjęła go najprześliczniejszym uśmiechem, uwiadomiła, że młody chłopak jest krewnym tego samego imienia, którego hrabia szczególnie kocha i postanowił wychować, że biedne dziecko wzięte było ze wsi i potrzebuje być przyodziane od stóp do głowy, aby się mogło przyzwoi-

cie i odpowiednio swemu nowemu położeniu pokazać w stolicy...

Francuz słuchał bardzo uważnie, seryo, domyślił się od słowa, zobaczył swego klienta, obejrzał go z głębokim zastanowieniem, i uśmiechając się rzekł:

— Z prawdziwą przyjemnością biorę młodego panieza w ręce moje... *Il y a de l'etoffe*, niewielu podobnymi młodymi ludźmi pochlubić się może stolica... dla artysty *un sujet pareil* jest szacownym nabytkiem.

Hrabina zarumieniała się, słysząc pochwały; była cała drżąca, oddając swego faworyta w ręce p. Lenepreux'a.

Nie potrzebujemy tłómaczyć, że Francuz był artystą, że czuł całą wielkość swojego powołania i misji cywilizacyjnej, jaką spełniał w Polsce; kunszt krawiecki był dlań nie prostym zarobkiem, ale wyższego znaczenia pracą, której lekceważeniem uwłaczać nie dał. Kto się u Lenepreux'a ubierał, musiał wiedzieć sukni znaczenie i mistrza, co ją do jego charakteru i fizjonomii zastosowywał.

Zamknawszy się z Adasiem w osobnym pokoju, do którego zniesiono pudła, p. Lenepreux dał mu lekcję chodu, postawy, trzymania się i ruchów, postrzegłszy zaraz, że miał do czynienia z młodzieńcem niepospolitych zdolności i przymiotów. Francuz pracował z przejęciem i wewnętrzną pociechą, bo żadne jego słowo nie szło marnie; razila go nieco zła francuszczyzna Adasia, ale czuł w nim inteligencję... i przebaczał mu ją wspaniałomyślnie.

Zdejmując z niego suknie, domyślił się zaraz, że nigdy innych nie nosił, i począł od zasad głównych, układając co, kiedy, z czém i jak nosić się powinno. Czynił to z profesorskim namaszczeniem.

Konferencya ta, prelekeya i po niej egzamin ucznia trwały dobrych godzin kilka; ale Adaś się nie nudził, czując, że ta próba miała zeń nowego uczynić człowieka, że nie obojętne, ale pełne znaczenia było zrzucenie skromnego kubraczka szaraczkowego, a przywdziewanie odzieży zbytku, próżnowania i przepychu.

W sukni takięj niepodobna było pracować, ani być swobodnym w ruchach: wkładając ją, wdziewało się kłamstwo; były to uroczyste obłóczyny do zakonu fałszu wielkiego świata.

Zdziwił się Lenepreux chociaż miał dosyć wysoką opinię o zdolnościach polskiego narodu, a lubił powtarzać, iż Polacy są *les Français du Nord*, gdy ujrział Adasia w nowym ubraniu swobodnego, jakby się w nim urodził.

Na pierwszy raz, przenikając i to nawet, że zbyt wytworny strój razić może po nazbyt skromnym, szczególnież oczy kasztelana, Francuz ubrał go bardzo prosto, ale z wielkim smakiem, w aksamitną suknię czarną, perłową westę i resztę stosowną. Włosy musiał mu sam jako tako przyrządzić, bo ani fryzjera, ani peruki w Siedlcach nie było.

Po przebrańiu trudno było poznać Adasia, i gdy hrabina posławszy na wzwiady kamerdynera, weszła do pokoju zniecierpliwiona długim oczekiwaniem, cofnęła się zdumiona przed tą nową dla siebie postacią.

Dla czego? bo Adaś wydał się jej może mniej pojętnym, mniej pięknym niż wprzód... tego się wcale nie spodziewała. Oczy jej nawykły były w tych sukniach widzieć świat, co jej serca nie nasycił, który już znała do zbytku, po którym szukała wytehnienia przy świeżym wiejskim pączku różanym... W istocie Adaś

niemniej pięknym się zdawał, ale pospolitszym: ledwie nie pożałowała, że go tak prędko przebrała.

Francuz odkrył to wrażenie przelotne w twarzy kasztelanowej, i uczynił jej po cichu uwagę, że musi stopniować dla młodzieńca ubranie, że ma daleko wytworniejsze, ale to nie jest właściwe w podróży.

Wpatrzywszy się weń baczniej, hrabina znalazła wdzięk dawny w jego twarzyczce, i uspokoiła się; ale przykre jakieś wrażenie, jakby przeczucie przyszłości, pozostało w sercu. Miałże ten przeistoczony młodzieniec także przynieść jej gorzki zawód z sobą?

Chmurna i zamyślona pożegnała Francuza, odsyłając go z rachunkami do Cabrit'a, a małym tylko prezentem zawdzięczając mu pośpiech jego. Adaś poszedł za nią do pokoju, w którym już na nich czekał kasztelan.

Rzucił i on ciekawem okiem na chłopaka, popatrzał, wziął nawet w rękę próbując przez roztargnienie aksamit jego sukni, pokiwał głową i dodał:

— Z Warszawy? paryzkie?

I na tém się skończyło, gdyż pilno mu było usiąść do pasyansu.

Hrabina przyglądała się temu dziełu rąk swoich, niedowierzając prawie wielkiej przemianie wieśniaka na eleganta... Adaś postrzegał powoli zdziwiony, że nie czyni wrażenia, jakiego się spodziewał...

W istocie piękność jego straciła w tym stroju wyśzukany, tak jak nieraz wdzięczna wieśniaczka traci, gdy ją za panią przebiorą.

Kasztelaństwo mieli swój własny pałac w Warszawie, ale ten się restaurował, i kasztelan życzył go sobie sprzedać, bo mu zań dobrą cenę dawał jeden z bankierów stolicy; zajmowali więc najęty, pod nie-

bytność właścicieli, pałacyk na Krakowskim-Przedmieściu, należący do jednej ze świeżo zubożonych rodzin szlacheckich, która naówczas nowicyat swojego państwa odbywała za granicą.

Tu oczekiwał już na JW. Państwa marszałek dworu, uwiadomiony o ich przybyciu przez posłańca wyprawionego z Siedlec, przestrzeżony zarazem, że państwo przywożą z sobą młodego krewniaka, który ma z nimi zamieszkać. Panna Pamela, która była w blizkich stosunkach, mających się uwieńczyć dożgonnemi ślubami z p. marszałkiem, napisała do niego karteczkę także pełną znaczenia, kropek, znaków tajemniczych, napomykającą o wychowaniu i rozmówianiu się w nim samej pani.

Gdy powozy przebywszy ówczesny wjazd do stolicy, wcale niezachwycający, stanęły u wrót pałacu, wszystko aż do wieczery było gotowe na ich przyjęcie. Na kominach paliły się ognie, we wszystkich kandelabrach gorzały światła, a cały dwór w pogotowiu na usługi, rozstawiony był w podwórzu, na wschodach i po przedpokojach.

Z bijącym sercem ujrzał Adaś cel swoich pragnień, stolicę. Z daleka wydała mu się ogromną, dziwnie majestatyczną i piękną; bliżej straszną, pełną wrzawy, odurzającą. Nieprzywykły do tego życia miast większych, tak gwarne i ruchliwe, Adaś osłupiał; zdawało mu się, że trafić musieli na jakąś chwilę niezwykłego zamieszania. Tymczasem był to wieczór bardzo pospolity dnia powszedniego, ale na małym kawałku Krakowskiego-Przedmieścia, które przebyli nim się dostali do pałacu, powoli mijając się z mnóstwem bryk i powozów,—tyle skrzyżowało się z nimi udzi, ekwipażów, laufrów, wojskowych, konnych, stroj-

nych pań w kwiatkach i panów w orderach i perukach, że chłopak wziął to za jakąś uroczystość, co było zwykłą poobiednią godziny fizyognomią.

Wśród gwałtownego bicia serca, coś mu jednak szeptało do ucha, powtarzając:

— I ty zajmiesz miejsce w tym tłumie...

Mileżący, blady, pomieszany, wszedł na pokoje za kasztelaństwem nieśmiało i bojaźliwie, uśmiech tylko na ustach igrający przybraną odwagę źle starał się naśladować.

Hrabina do życia miejskiego przywykła jak ryba do wody, cheiwa swego żywiołu, od chwili jak na bruk wjechała, była jakby w gorączce. Podowiadawała się już nie dojechawszy do domu mnóstwa rzeczy, których się nauczyła z jednego wejrzenia na ulicę. Mówiła, śmiała się i przeglądała we wszystkich zwierciadłach, rozpytywała marszałka domu, ludzi, przerywała opowiadania ich rozkazami, była zmieniona i ożywiona do niepoznania. Nawet czułość jej przybrała inny jakiś charakter.

Na jutro były już tysiące projektów i uzaleń na nawał oczekującej pracy, na znużenie podróży, na natręctwa, które ją niechybnie czekać miały.

Kasztelan, ziewnąwszy parę razy i przeszedłszy się po salonie, wyszedł zaraz do swojego pokoju, gdzie już znalazł bilecik, który go do miasta powoływał. Wymknął się po cichu i znikł niepostrzeżony. U hrabiny także leżały bilety na stole, listy z poczty, zaproszenia, pełno różnych interesów pilnych lub opóźnionych.

Adaś trochę zapomniany i smutny, stał we framudzie okna, patrzył na to, i tęskno mu się zrobiło po raz pierwszy: tak się uczuł zapomnianym i opuszczo-

nym. Dawnego życia wspomnienia opanowały hrabinę, która na chwilę straciła z oczu nawet nowego ulubieńca. Litościwa Pamela wiedząc, że tém pani swęj zrobi przyjemność, skinęła na chłopaka i wysliznęła się z nim przez małe schodki, wiodąc go do dolnych pokojów dla niego przeznaczonych, wprost pod apartamentem hrabiny. Adaś zastał i tu gościnny ogień w kominie, lokaja we drzwiach i wszystko czego mógł potrzebować, aż do papieru, kałamarza i kilku rzuconych trafem książek.

Z pokoiku Adasia jedno tylko okno patrzyło na ulicę. Pamela zainstalowawszy więźnia w jego celach zostawiła go z uśmiechem, życząc mu odpoczynku po podróży, dopóki nie dadzą znać, że wieczera gotowa.

Adaś podziękowawszy jęj, spojrzał ledwie na przepychy otaczające go i pobiegł do okienka, przez które widać było część ulicy, oświeconej zapaloną przed pałacem latarnią. Migaly mu przed oczyma powozy przelatujące w całym pędzie, przesuwające się coraz nowe postacie, i ten kalejdoskop uliczny, który w nocy jeszcze fantastyczniejsze przybiera oblicze. Patrzył i zadumał się.

Cóż mu było? Oto nie wiedzieć dla czego ścisnęło się serce, uczuł się w tém morzu kropelką, a pycha i żądza jakaś już mu rozrywała piersi, pragnąc czegoś nieokreślonego... wielkiego...

Tymczasem na górze hrabina biegła, śmiała się posyłała; wychowaniec przyszedł jęj na myśl parę razy, spytała nawet o niego, ale uspokojono ją tém, że poszedł odpocząć na dół.

Nazajutrz potrzeba jęj coś było mieć od Łazarewiczów, brakło wstażek, trzeba się było rozpytać o ekwipażę, a nadewszystko przed wyjazdem z domu

musiała się kogoś rozpytać, z kimś zobaczyć, aby dostać języka. Nie mogła wyruszyć, nie będąc wtajemniczoną: kto w téj chwili się w kim kocha, kto kogo porzucił, kto zdradził, kto się przemienił, kto zrujnował, przybył, wyjechał?—bo jutro musiała piękna pani na pytania przyjaciółek odpowiedzieć:

— „Ale ja wiem to wszystko!” bo należy zawsze do dobrego tonu wiedzieć największe tajemnice.

Posłano więc zaraz najętą karete, pochodnie i lokaja z biletem do pani de Rive.

Chociaż ta postać bardzo małą gra rolę w naszej powieści, należy wszakże do obrazu wieku, i minąć jęj bez narysowania nie można. Musimy ją, radzi nie radzi, wprowadzić wprzód przed czytelników, nim na salon kasztelanowej wnijdzie.

Nazwisko nic nie mówiące, bez tytułu, nie może dać żadnego wyobrażenia miejsca, jakie w społeczeństwie zajmowała osoba, zwana krótko Mme de Rive... Różnie mówiono o jęj pochodzeniu; ale z samęj rozmaitości opowiadań wnosić było można, że mgłą tajemnic pokryta była jęj kolebka. Mówiła często o Paryżu, czasem o pobycie swym w Wiedniu i Berlinie, podróżowała wiele, mąż jęj także miał jakąś zagadkową egzystencję, i nigdy się obok nięj nie pokazywał, a w ogóle nikt prawie go nie znał.

Pani de Rive bywała u dworu, znała całą Warszawę, jeśli nie całą Polskę; przyjmowano ją wszędzie, bawiła w stolicy dla własnej przyjemności, dla jakiegoś procesu nigdy się niekończącego, zresztą nikt nie pytał i nie wiedział dla czego. Trzymała dom nie pański, ale otwarty; dawała czasem kolacye i obiady bardzo wytworne dla niewielkiej liczby znajomych, a wszyscy szeptali sobie na ucho imiona dwóch książ-

ząt zaprzężonych do jęj rydwanu. Jeden szczególniej ciągnął ten rydwan aż do zdechu...

Pani de Rive mogła mieć lat dwadzieścia kilka, tych kilka dosięgało dziesięciu, i dawali jęj złońscy bezwstydni nawet całych trzydzieści. Była maleńka, zręczna, biała jak alabaster, z czarnemi jak kručze skrzydła włosami, czarnemi ogromnemi oczyma; miała rączki precudne, nóżkę kilkoletniego dziecięcia, głos miódowy, uroczy, śpiewała włoskie arye przedziwnie, i była niezmiernie miłą, dopóki nowego człowieka nie wplątała w swe sidła. Raz złapawszy, obchodziła się z niewolnikami swymi jak z niewolnikiem obchodzić się zwykło: komu kazała się kochać to musiał, a kto kochał, tracił rozum i wolę.

Pani de Rive nie miała nieprzyjaciół; co dziwniejsza, nie miała nieprzyjaciółek nawet: jakoś się tak urządziła, że unikała zazdrości, rozbrajała uprzedzenia i niechęci...

W dodatku była niesłychanie dowcipną, a bez żółci, i dowcip jęj był na zawołanie, jak muzyka w szejnekatrynce: pokręcić tylko było, grała ślicznie; przestać, zamilkła.

Tyle tylko daje się z pewnych źródeł o tęj pani powiedzieć. Z hrabiną była naturalnie w przyjaźni namiętnej; gdy się widzieć nie mogły, pisywały do siebie po kilka razy na dzień w mieście, a na wieś co dwa dni regularnie.

Pani de Rive nie mówiła prawie po polsku, ale to naówczas w salonach, w których język francuzki był nadzwyczaj rozpowszechniony, nie zawadzało bynajmniej. Używano tylko polskiego języka, gdy komu nieumiejętnością jego dokuczyć chciano, naprzykład u starościny małogoskiej, gdy przyszła pani Lucche-

sini; za co się ona jak za impertynencyę gniewała... a poeciwy Niem..... musiał na klęczkach przeproszać...

Pani de Rive, rzecz prosta sama z siebie, wiedziała o wszystkim, i dla tego do nięj najprzód posłała hrabiną, zaklinając ją, aby przybyła choć na chwileczkę. Musiała się przecie dowiedzieć, że się na świecie dzieje...

Niespełna w pół godziny po odprawieniu tego poselstwa, zaturkotała karetą, zaszeleściły suknie jedwabne, i dwie serdeczne przyjaciółki rzuciły się sobie w objęcia z namiętnością niesłychaną.

— A! jakżeś ty cudownie piękna! zakrzyknęła najprzód ręce łamiąc pani de Rive. Masz więc chyba od hr. St.-Germain wodę odmładzającą!

— Chciałam ci właśnie toż samo powiedzieć—zaśmiała się hrabina. Wyglądasz jakbyś była szczęśliwa!...

— A! to twarz moja kłamie bezczelnie, a ty mi pochlebiasz niegodziwie: czuję to, żeś szkaradna!... Książę nawet ostyga, to najlepszy dowód!

— O! ci mężczyźni!—odparła hrabina,—dla nich niczem są wdzięki, im potrzeba nowości.

— Ale ty! ty... jesteś mi dziwnie rozpromieniona, przerwała p. de Rive. A! czy ci serce drgnęło?

— Sza! sza! kładąc palec na ustach, odpowiedziała hrabina. Jest to cała historia, o której mówię nawet nie śmiem: coś nadzwyczajnego, bajka z tysiąca nocy...

— A! to cudownie! Ja tak bajki lubię!

— I tajemnica najświętsza!

— Więc mam się nawet nie pytać?

— Masz nie pytać, lecz odgadnąć...

Dwie przyjaciółki po tym wstępie usiadły na sofie obok siebie. Podano kawę i ciastka, zaczęła się już nie rozmowa, ale co chwila wybuchami przerywane szepty.

— A król?

— Wierny... jak... jak któż? Nie mam do kogo porównać...

— Filemon...

— Filemon! tak! pasterz sielankowy! starzeje widocznie!

— A książę?

— Niepojęty! nieodgadniony!

— A Celadon i Rozyna?...

Wszyscy naówczas mieli nadawane sobie imiona romansowe, *noms du guerre!*

— Już się rozstali i w sposób tak głośny...

— Jak była miłość!

— Cóż z Celadonem?

— Poszedł szukać pociechy w rynsztoku...

— A Rozyna?...

— Miała ją wcześniej w zapasie przysposobioną... Kobieta, która się nie da podchwycić nieprzygotowaną!

Zaczęły się śmiać żywo i serdecznie!

— Wystaw sobie—dodała p. de Rive—Tulipan porzucił tę nieszczęśliwą Huryskę: płacze po nim i miźernieje okrutnie. Młody poseł usiłuje lzy z pięknych otrzeć oczu, ale dotąd nie spojrzała nawet na niego... Tulipan ma się żenić, *il faut faire une fin*.

— Mógłby to być i początek! szepnęła hrabina,—ale dla kogoż ją porzucił obrzydliwy Tulipan?

— Dla kogo? dla najszykaradniejszej, cytrynowej jak on, suchej, bezzębnej wojewodziny, która się o niego niewstydliwie dobijała, choćby go miała tylko na godzinę sobie pozyskać... *affaire d'amour propre*.

— A dawny jój amant w sutannie?

— O! ten w nadziei infuły dał za wygraną światu.

— Cóż robi starosta modrooki?

— Ten ma jakiegoś koczkodona na Krakowskim-Przedmieściu, przywiezionego ekstrapocztą z Paryża:

— Cóż się tu u was dzieje!

— Nic nowego, świat stary! Ale... książę Władysław bił się z hrabią Ksawerym,—o kogo myślisz?... o aktorkę!

— To zgorszenie! ale któż zwyciężył?

— Podrapali się oba, zapito sprawę szampanem, i porzucili Florę, którą nazajutrz wziął po nich w spadku stary... wiesz, co my go nazywamy Szenapanem...

— Jakto? jeszcze mu w głowie miłości!

— O! tylko w głowie!... odparła śmiejąc się pani, de Rive.

Śmiech był zaraźliwy i trwał kilka minut; hrabina niespokojna nagle zadzwoniła. Wszedł kamerdyner.

— Prosić z dołu młodego hrabiego, co z nami przyjechał—rzekła sucho i zimno.

De Rive szybko, wielkimi oczyma rzuciła na przyjaciółkę:

— A któż to taki?

— O! to młody dzieciak! krewny mego męża i imiennik, wieśniak, którego kasztelan uparł się wziąć na wychowanie: nudny chłopak, nieokrzesany.

Hrabina mówiła to tak chłodno, poprawiając loki przed zwierciadłem, że p. de Rive mimo swój, przenikliwości kobiecej domyślać się nie nie śmiała!

Domawiała tych wyrazów, gdy na zawołanie ukazał się we drzwiach Adaś, ze swą pięknością wypieszczonego adonisia. P. de Rive ujrawszy go, podniosła oczy na hrabinę, i parsknęła śmiechem stłumionym:

za jedném wejrzeniem odgadła wszystko. Kasztelanowa udała, że tego nie widzi; posadziła chłopaka przy stole, dając mu kawę, uśmiech i ciche słówko serdeczne; potem zwróciła się prawie z tryumfującą miną do przyjaciółki, która jęj szeptała do ucha:

— Otóż i po tajemnicy! odkryć ją bardzo łatwo...

— Jaką? udając zdziwienie spytała hrabina.

— O! nie kłam, boś do tego niezręczna. Taki chłopak, taki kwiatek, cherubinek, choćby był sto razy nieokrzesanym niż ten jest, nie może być dla kobiety obojętny... to prze cudny obrazek.

— Ale to dziecko!

— Dzieci wyrastają! Cicho! nie nie mów, bo nie uwierzę... tylko pozwól żebym ci powiedziała słowo... Czy on rozumie po francuzku?

— O! rozumie i mówi już trochę.

— Chodź do okna...

Wzięły się pod ręce i pociągnęły powoli, rzucając oczyma na siedzącego Adasia; twarz hrabiny płonęła.

— A! spojrz de Rive moja! zawołała nie mogąc się powstrzymać... *ile est adorable!*

— Cudowny! *un marbre antique!* Ale Julio droga, żał mi ciebie: niech cię Bóg uchowa od podobnej miłości.

— Któż ci mówi o miłości! Kocham go prawie po macierzyńsku.

— Wstydz się! oczy twoje zadają ci kłamstwo.... Ta miłość to zguba, to śmierć dla czulego serca jak twoje... Więc przygotowałaś się na nieuchronne męczarnie?...

— Ale to dziecko! szepnęła hrabina ruszając ramionami i niebardzo wiedząc co mówi.

— Julio! posłuchaj mojej rady: wypędź go ze swego domu. On wniesie z sobą łzy, rozpacz, śmierć: to po-

netny kielich trucizny... na dnie jego—ostatnia życia kropelka.

— Tobie się śni, nie wiedzieć co! odparła kasztelanowa zmieszana, ciągle trzymając oczy wlepione w Adasia.

— Śni mi się! bodajby się nie wyśniło! sny często bywają prorocze. Śni mi się! ha! dobrze! pozwól więc, pójdę i spróbuję dla zabawy zawrócić mu głowę: co ci to szkodzi? Jam bezpieczna, bom chłodna!

P. de Rive postąpiła krok ku Adasiowi, spoglądając na przyjaciółkę, która poczyniała błędnąć i śmiała się sucho, gniewliwie prawie, straszno.

— Na to nie pozwolę nigdy! wybuchnęła nareszcie chwytając ją za rękę,—nie chcę tych żartów; mógłby oszaleć... Tak młody jeszcze, tak niewinny, tak prostoduszny i pełny wiary... a tyś taka Syrena!

— Cóż ci to szkodzi!

— Ale nie chcę! stanowczo odezwała się hrabina, błędniejąc coraz mocniej, tak ją myśl sama dręczyła.

Spojrzały na siebie, zrozumiały się; dla p. de Rive nie było tajemnicy.

Chłopak tymczasem siedząc u stolika pił kawę, ale oczy jego wlepione były w tę drugą kobietę prześliczną, jakiej jeszcze w życiu podobnej nie widział... Przez jęj źrenice czarne, rozognione, tryskał na niego ogień, sypały się iskry.

Ta druga wydała mu się w tęg chwili—któż wie!—może piękniejszą od pierwszję. Była tak na oko młodziutka, tak wesola, trzpiotowata, a usta jęj tak wiśniowemi uśmiechały się wargami, a czarne źrenice takim ogniem paliły, dobijały się tak chciwie i ciekawie do głębi jego serca! Zniecierpliwiony Adaś nie wiedział co począć z sobą, gdy hrabina, której pilno

z razu było pochwalić się nim, a teraz jeszcze pilniej go schować, szepnęła mu, ażeby szedł na dół odpocząć.

Adaś posłuszny rzucił jeszcze wejrzenie ciekawe na goniącą go oczyma małą czarodziejkę, i wyszedł strwożony a pomieszany.

Julia ściagała go oczyma także aż do drzwi, i nie uspokoiła się, aż zniknął.

Po odejściu jego padła na kanapę, jakby przebywszy wielką próbę; pani de Rive zbliżywszy się na paluszkach, pocałowała ją w czoło.

— Biedna istoto! szepnęła po cichu: ty zawsze szukasz na ziemi, czego ona ci dać nie może:—nieba, aniołów, wiekuistości uczucia, nieśmiertelności szalu... A wszystko jest chwilą, kwiatem, co więdnie, promykiem, co gaśnie, piosnką, która przebrzmiewa... Im piękniejszy kwiat, jaśniejszy promień, słodsza piosenka, tém sroższy żal po nich...! Dla naszego szczęścia powinniśmy być pszczołami, i pić z każdego kielicha, ale na żadnym nie siadać... i nie kochać żadnego.

Hrabina słuchając jęj, spuściła oczy, lży w nich błyszczały...

— Nie mów tego, odparła po chwili. Potrzeba kochać, kochać koniecznie, bo tylko miłość jest życiem: kochać, marzyć, cierpieć, i nie ostygnąć, i nie zwątpić... nigdy.

— Jakże nie zwątpić—szepnęła Francuzka—kiedy się co dzień rozbijamy o piersi bez serca, lub serca z kamienia?

— Gdzieś jakieś jedno jest dla nas przecięż: przytulić się do tego jednego i umrzeć!

— Dziecko! ruszając ramionami zawołała Francuzka: jakże mi ciebie żal! jak mi cię żal za wezasu!

Próżnobyś już kłamała przedemną: ty kochasz znowu, tak jak kochałaś Alfreda... Stasia... Micia...

— Nigdy! nikogo! wybuchnęła porywając się hrabina,—to bluźnierstwo! Tak jak ja kocham dziś, raz w życiu kocha się tylko... weześniej, później, ale raz! Tam były to próby gorzkie... to...

Al więc się przyznajesz?

Hrabina zakryła twarz dłońmi białemi, ręce jęj drgały konwulsyjnie.

— Na Imię Boga! cicho! ostrożnie! odezwiała się de Rive: ty się jutro zdradzisz sama, i staniesz celem plotek całego miasta, a w dodatku skarb ten ci wydrą okrutnie.

— Wydra! zawołała hrabina, odsłaniając twarz nagle; nie! bo nim mi go kto pochwyci, zabiję jego... i siebie.

Gdy to mówiła, tak sztraszna namiętność gorzała w jęj oczach, że pan de Rive, która to wszystko na pół jeszcze żartem mówiła, przelekła się na prawdę. Wyraz jęj twarzy opamiętał Julję, która pomiarkowawszy, że za daleko zaszła, oprzytomniała nagle, i usiłowała zwrócić rozmowę na inny przedmiot; ale w ustach brakło wyrazów i myśli jęj się plątały.

Dwie przyjaciółki, wśród tysiąca wzajemnych zakłęk i przyrzeczeń dochowania tajemnicy, rozstały się pełne rozczulenia i serdecznych wyrazów.

P. de Rive wsiadła do karety, ruszając ramionami.

— Oszałała biedaczka! rzekła do siebie.

Nie ma straszniejszych pożarów w lasach, niż wtedy gdy wśród jesiennęj posuchy, ogień w nie ręka nieostrożna rzuci: naówczas płomień leci, szerzy się, pożera, niszczy wszystko, dopóki brzeg rzeki, albo go przepaść nie wstrzyma. Na wiosnę żywe soki same gaszą płomienie, waleczą przeciwko sile ognia; przed zimą nie

ma nie coby bronilo... chyba lzy... owa ulewa, po której następuje zima... Takie też są namiętności jesienne stokroć straszliwsze niż młodociane, choć od nich wstydliwsze i skryte.

Hrabina była szalona, była szczęśliwa, ale w tym szale i szczęściu jednodniowém łatwo już było odkryć nasienie rozpacz i śmierci; namiętność była nierozsądna, potworna bez przyszłości,—po za nią widniały już jój koniec i skutki.

W płochój kobiecie, przywyklėj igrać z sercem i tém co dla niój nazywało się miłością, a było tylko pragnieniem rozrywki i chwilowego roztargnienia—poczucie prawdziwego przywiązania, nowego życia było objawem. Hrabina zdumiewała się, nie poznając samėj siebie, tak się codzień stawiała mniej śmiała, czystsza, mniej fałszywa, szlachetniejsza.

Dziwiło ją, że jak dotknięcie różeczki cudownej, miłość mogła ją przetworzyć i odziać tą białą szatą, której na sobie nie pamiętała nawet w tych latach, gdy ją człowiek z kolebki wynosi. Dla niego pragnęła się stać tak wielką, czystą, świętą, tak heroiczną.—Zkądże, spytacie niedowierzająco, taki zapal w kobiecie zepsutej, życiem zmęczonej i rozczerowanej?... Zkąd?... Serce ludzkie to bezdnia tajemnic: w najzepsutszém, jak na zgniłych kłodach obalonych drzew, rozkwitają orchidee z młodzieńcami barwy i wonią... Braknie im zielonych liści, ale jaśnieją wszystkimi barwami tęczy i całym zapachem raj! A im później zjawiają się te cuda, tém kwiaty bujniej strzelają ze zgnilizny. W życiu enoty i prostoty, namiętność taka mogła się była wydać czarną, występłą, poczwarną: postawiona obok przeszłości téj kobiety złożonej z komedyi i fałszów, była jeszcze jasną i świętą...

— Julia czuła się nią szczęśliwa razem i upokorzona; czuła, że walczyć z nią nie potrafi. Nie pragnęła nie, tylko pozyskać sobie to serce młode, świeże, niezepsute, i jak ona sądziła, otwierające się uczuciu! Niestety! nie rachowała na to, że okrutna sprawiedliwość losu ciągnie zawsze człowieka powabem i urokiem ku temu, co mu ma karę za jego przeszłość wymierzyć; nie chciała zrozumieć, że chłopak, który tak łatwo, tak obojętnie porzucił rodziców dla widziadła jakiegoś świetnego losu, już miał serce przez robaka nadtozone.

Może ta myśl przyszła jój przelotnie, ale jak zawsze; była ślepą na to, co gotowało boleść, co ją przepowiadało. Kłamała sama przed sobą, była pewna, że gorąca jój miłość, gdyby w téj piersi serca nawet nie było, stworzyć je musi.

Szczęśliwa była, bo życie, które już dla niój cały powab straciło, nabrało go znowu; ale zarazem biedna bo na téj nici pajęczej, której słabość niekiedy ją przestraszała, zawiesiła ostatni skarb—a pod nim była tylko przepaść czarna. Ale się czuła odmłodzona, a młodość druga jest jak pierwsza, może więcéj niż ona, najdroższym skarbem, za który nie ma człowiek czegoby nie oddał—a! aż do wstydu, aż do godności, aż do resztki swój duszy.

W pojęciach Julii, która postrzegłszy Adasia, widziała w nim tylko z początku ślicznego *cherubino d'amore*—od czasu jak go pochwyciła i uwiozła, zaszły wielkie zmiany: z głowy namiętność przelała się do serca, a serce oczyściło ją i wskazywało nowe drogi. Chciała go ku sobie przywizać już nie temi białemi rączkami, ani tém wejrzeniem uroczém, którym pierwszój chwili wabiła go ku sobie, ale dobrodziejstw,

ale miłością czystą i świętą, ale poświęceniem dla niego bez granic.

Osnuła więc cały plan wychowania dla ulubieńca, macierzyńskiej troskliwości i czuwania; potem wszystkimi stosunkami i środkami zamierzała go popchnąć na drogę urzędów, bogactw, zaszczytów, aby jej tylko winien był wszystko, aby związany tém poświęceniem i przywiązaniem bez granic, oddał jej siebie, swe, serce i życie.

Nie wiedziała tego biedna, że dobrodziejstwa zawsze rzucają się w przepaść, a gdy po nich przejdzie ten dla kogo stały się kładką, nie ogląda on się na wet jak ją przebył... Któż kiedy o dobrém pamiętał! kogo ono przywizać potrafiło! Dobrodziejstwo upokarza zawsze: chcielibyśmy pozbyć się nawet pamięci, żeśmy go doznali, i myśli, żeśmy czyjś potrzebowali pomocy. Miłość wreszeie, której pragnęła hrabina od niego, przychodzi jako złodziej, niespodziewana, bezprzyczynna, nikt nie powie, którędy się wśliznęła, ani zapewni, że nie uleci: ona nie rozumuje, jest szalona, jest nie logiczna—jest... jedném słowem namiętnością... Szczerściem, zakochani wszystko umieją obrać na korzyść swoją, pozornie tłómaczyć jak pragną. Tak i tu było. Hrabina tonąc w marzeniach, nie nad nie dalej nie widziała.

Nazajutrz kazano Adasiowi nie ruszać się z domu, odpoczywać, czekać nauczycieli... Hrabina musiała wyjechać z wizytami; świat wielki wołał swą poddaną do odrobienia zaległej pańszczyzny, nie było chwili do stracenia.

Mimo tysiąca zajęć, które w mieście czas pochłaniały. Julia znalazła rano chwilkę na posłanie po dawnego swego domownika, Francuza, p. Merlon'a dla umówienia Adasiowi lekcji języków, tańca, muzyki, fechtunki—i trochę geografii i historii. Jak wszystkie wychowania ówczesne, tém bardziej tak opóźniona i zaniedbana edukacya młodego chłopca, musiała być oranżeryjna i powierzchowna, byle z niego uczynić mogła człowieka do salonu.

To, czego się Adaś nauczył w szkołach, było rzeczywiście jaką taką podstawą: reszta obrachowywała się na pozory, na formy, na powierzchowną poślotę... Komukolwiek trafiło się z téj opieki, o której mowa, czytać listy i rękopisma ludzi najpierwszych rodzin i najstaranniejszego wychowania, westchnie ze smutkiem, przypominając sobie, że w nich na każdej kartce spotykał dowody, iż potomkowie najznakomitszych

rodzin w kraju, żadnego języka ortografii i grammatyki nie znali gruntownie.

Listy pań i panów rzadko są pisane w polskim języku, a po francuzku bazgrane są bez ortografii i stylu: znać w nich nabyty żargon, przy zupełnej nieumiejętności prawideł.

Toż samo przebija się w pojęciach, które są płytkie i mają jakiś pozór logiczny, ale im brak głębi: są to malowane nieźle dekoracye, po za któremi sterczą kije i nieociosane drewna.

W salonach wyżyna pojęć nie była tak wielka, by jej lada trochę otarcia i sprytu nie dozwoliło osiągnąć. Zналиśmy resztki tych ludzi, co świetnie nigdyś na dworze Stanisława Augusta, a byli straszliwego i osobliwszego na dworaków tak światłego pana, nienetwa; ale za jednym mówiła młodość i świeżość, za innymi potulność, usłużność, dworactwo, za wielu stosunki, imiona, urodzenie: świat nie był wymagający. Takich postaci jak Jan i Ignacy Potoccy, jak Czacki i Kołłątaj, niewiele się spotykało.

W listach ks. Adama Czatoryskiego do Juliana Niemcewicza (niewydanych) (*), znajduje się wzmianka o kierunku wychowania wieku, charakterystyczna, jako nauka dla młodzieńca...

„Dzisiejszy wiek — powiada książę wojewoda — chce liźnąć wszystkiego, a nie zgłębić nie umie: strzeż się WPan, byś nie poszedł jego torem, do czego może nawet masz skłonność, której się bronić potrzeba.”

Książę doskonale oceniał charakter wieku.

(*) Przeszły one od autora tej powieści do Świdzińskiego zbiorów.

Kasztelanowa, jako kobieta i córka swojego czasu, inaczej też wychowania dla swego ulubieńca pojmywać nie mogła: chciała téj rzeźbie, którą wykonała natura, dać tylko zwierzechną pozłotę. W XVIII wieku dużo rachowano na tę naturę. Wiemy, jaką rolę przeważną w wychowaniu naznaczał jej J. J. Rousseau, który w tém także był tłumaczem ogólnych przekonań; cóż dopiero inni, dla których natura zdawała się źródłem odradzającym i przeciwniejką cywilizacji złe podjętej? Czuając, że trochę zblądzili z drogi, zdawało im się, że przez ten wymarzony stan natury, wynalazek wyobraźni rozkołysanej wspomnieniami złotego wieku, powrócą na prawy gościniec. Gniewano się na cywilizację, jak gdyby ona do czegokolwiek im przeszkadzała, na formy, na zepsucie przez nie niby zrodzone; gwałtem szukano poprawy w stanie natury, nie wiedząc, że owa natura filozofów podobna do krajobrazów Bouchera z fioletoiwymi drzewami, karmazynową ziemią i niebem zieloném, istniała tylko na palecie artystów, którzy się jej nigdy nie przypatrywali.

Zdziwił się mocno Adaś, gdy p. Merlon, przyjaciel domu, nigdyś sekretarz hrabiny, staruszek mały, blade, chudy, kaszlący, ospowaty, zaczął mu od pierwszego ranka sprowadzać nauczycieli jednego po drugim. Musiano nagle i pilno zaraz umawiać się o godziny, znaleźć czas na wszystko, więc i na fechtmistrza, i na konną jazdę w rajtszuli, bo Adaś oklep tylko na siwój ojca kobyłę w czasie wakacyj instynktem wrodzonym uczył się trzymać nieco... i na język francuzki, klucz wszelkiej mądrości, i na włoski, i na niemieckiego trochę, a w końcu na geografję i historję.

Nawał tych lekyj przestraszał nieco chłopaka, dla którego życie w Warszawie coraz się jakoś groźniej

wystawiać zaczynało; ale czuł on sam, że potrzeba było nastroić się do świetnej przyszłości, i postanowił w duszy pracować ogromnie, aby dokazać cudów. Jednak poranek ten był straszliwie męczący, a gorzej pytania i odpowiedzi, które go przekonały, że mało umiał bardzo wielu rzeczy, a innych wcale nie umiał.

Hrabina wróciła bardzo późno z objazdu swych znajomych, i natychmiast posłała po wychowawcę.

Nigdy jeszcze nie widział jój tak piękną.

Była taką w istocie w tej chwili. Miłość i nadzieja cudownie odżywiają człowieka! Hrabina też ubrana była z niezmierną wytwornością choć zarazem z prostotą. Ranny ten ubiór biały, świeży, lekki, podnosił jeszcze wdzięki, które brak uczuć głębszych i gwałtowniejszych (bo miłości to były zabawki dziecięce) zachował dziwnie do jesieni życia. Hrabina z tą twarzą ożywioną, wesołą, lekką, zdawała się być prawie młodą dziewczką. Dodajmy, że strój epoki nie nie okrywał, i zbliżał, wedle systemu wieku, kobietę do natury... Suknia dawała się więcej niż domyślać wszystkich kształtów postaci: ręce były odsłonięte, pierś ledwie przysłonięta, każdy ruch faldował malarzko te draperie powiewne i przejrzyste. Julia miała ubranie białe z ponsowém, na ramiona narzucony tylko przepyszny perski szal szkarłatny, we włosach kwiaty tegoż koloru, koralowe ozdoby na szyi i prześlicznych rękach.

Adaś stanął przed nią, a w jego twarzy widać było, jak wielkie na nim uczyniła wrażenie. Poznała to, uśmiechnęła mu się szczęśliwa, i poczęła go rozpytywać... Chłopak był zmieszany, dotknięcie jój ręki za każdym razem falami krew pędziło mu od serca do głowy i od głowy do piersi. Miłość, którą tętniła cała,

nadawała jój urok niewysłowiony—bo potęga uczucia prawdziwego jest czarodziejska.

Długą rozmową starała się zapłacić sobie za stracony poranek, a gdy służący przyniósł na tacy korespondencję, zasiadając do listów *niecierpiących zwłoki*, położyła przed Adasiem stos wielkich ksiąg z rycinami do przeglądania, by mógł zostać, by go przez ten czas z oczu nie tracić.

Niedaleko od Wólki Brzozowej, a przynajmniej w tej samej okolicy, mieli kasztelaństwo klucz jeden, posagowy samą pani, z domu księżniczki S.... w którym zarządzał ów niegdyś *anima damnata* hrabiny, młodości jej powiernik usłużny, wielki myśliwiec, niegdyś za Augusta III i pierwszych latach panowania Poniatowskiego wszystkich pańskich hulank stręczyciel i uczestnik,—staroście chełmski pan Wojciech Kuna, zwany przez dawną młodzież onych czasów Waligórą. Przydomek ten winien był pan Wojciech niesłychanej sile i równie żelaznemu charakterowi swojemu.

Staroście, który tu zresztą jest całkiem epizodyczną postacią, przejechał był najprzód szczątki majątności po rodzicach, potem po dworach się czepiał, a że wszędzie był użyteczny, był też i widziany mile, w Warszawie miał kilka głośnych awantur, a że rodzice jego służył w domu rodziców hrabiny, i on też spadkowo do niej przyłgął, gdy nie wiedział co począć z sobą. Umiał się tu stać potrzebnym. Wowych czasach rozbijano się u drzwi pięknej Julii, tysiące intryg snuło się koło niej: Wojciech po przyjacielsku

jej służył, jednych odpędzając i strasząc, drugich naganiając w sieci,—niedarmo był myśliwym.

Ale wszystko się na świecie kończy; nawet hulać i dworaczyć do starości niepodobna. Przyszła podagra, łamanie w kościach, ociężałość, siwizna, nos się brzydko czerwienił, po swojemu dając świadectwo prawdzie, i p. Wojciech poczuł, że należy z placu boju wycofać się ostrożnie.

Tandem tedy, choć nie było ciężarów, bo ani żony, ani dzieci, ani żadnej rzeczy tego rodzaju,—ale było życie na starość do utrzymania, ciężkość do pracy i w kieszeni bardzo szczupło grosza. Wyprosił więc sobie ostrożnie i za wezasa u hrabiny zarząd tego klucza, który nigdy wiele nie przynosił, i osiadł sobie w Lisowie na emeryturę i spoczynek. Nie było mu tam tak źle, bo owe lekceważone przez panów dobra, po przypatrzeniu się im z bliska, nie były do pogardzenia; ale u nas jak nie ukraińska ziemia, jak trochę piasku, to się już majątkiem rzucano. Lisów leśny, otoczony rzekami, miał miejscami pszeną nawet ziemię, i wygod do sytu, choć grosza dawał niewiele.

Dla życia w ogóle nie było jak poleski kąt leśny gdzie ani ryby, ani grzyba, ani kłody do komina, ani przysmaków na talerz nie brakło nigdy. Opuszczony, ale obszerny i wygodny stary dwór, dużo sług emerytów, dozwalały otoczyć się prawie pańską ciżbą, a siedzieć jak u Boga za piecem w tych lasach. Że zarząd w dobrach hrabstwa był w ogóle niedbały, p. Wojciech jeszcze uchodził za wcale dobrego gospodarza, choć się bardzo nie wysiłał.

Że grosza cudzego nie poruszył to pewna, bo był człowiekiem uczciwym; ale co do gęby własnej i wygo-

dy, nie widział wcale sobie potrzeby żalować, i piwnię miał zasposobioną gdyby dziedzic, i powozy, i konie, i co się patrzy do tego.

Za co zaś lubiło go oboje kasztelaństwo, którzy wiecznie pieniędzy potrzebowali, w pewnych zwłaszcza roku terminach, że p. Wojciech nie czyniąc im próżnych uwag, nie troszcząc się zbyt o przyszłość, gdy do niego napisano: „Dawaj pieniędzy!” na ów klucz Lisowski brał u szlachty co wlało, i tak się kręcił, że mu procesów o wypłaty nie robiono. Gdy bardzo było pilno, staroście przez stosunki swe ze szlachtą, parę tysięcy dukatów w najgorszą posuchę zawsze umiał wynaleźć.

Ten tedy p. Wojciech Kuna, mieszkający niezbyt odlegle od Wólki i Białej, był naturalnie w położeniu, z którego łatwo mógł dostawać języka. Dowiedział się on wprzód o tém, jako sobie kasztelaństwo Adasia przywłaszczyli, na co dużo głową kiwał; potem doszedł doń rozgłos alarmu, jaki podniósł p. Krzysztof z powodu utraty syna; w ostatku p. Melchior, który z nim żył dobrze, doniósł mu, że brat jego stryjeczny wybrał się do Warszawy, z głupim, jak powiadał, projektem zrobienia wrzawy o gwałt i odebrania syna.

Zasłyszawszy o tém wszystkiém, bo się to jakoś bardzo rozbębniło po sąsiedztwie, p. Wojciech zaniepokoił się wielce: zawołał bojara Seredę, który zwykł był do Warszawy z listami i pieniędzmi jeździć, dał mu konia skarbowego i biedę kutą, a kazał co najrychlej dążyć do stolicy, z pilnym do rąk samą pani skrytem.

List p. Wojciecha, jako dokument współczesnego stylu, pozwalamy sobie umieścić w całości, dosłownie go przepisując z oryginału:

„Excellence!

„Przebaczyć mi raczy niewyczerpana łaskawość JW. Pani a Dobrodziejki, że niepytany narzucam się z gorliwością moją o dobro JW. Państwa, które mi wydziedziczonemu ze wszelkich nadziei i węzłów serdecznych, nad wszystko na świecie jest najdroższe. Rozmaite krążące tu pogłoski, jako zawsze na parafii bywa, zwiększone przez niechętnych i inwidyę, głoszą, jakoby JW. Państwo w powrocie swym do Warszawy *primis octobri*, w miasteczku Białej, bez wiedzy rodziców zabrać mieli i uwięzić z sobą małoletniego synaczka JMP. Krzysztofa O..., jedynaka, niemajątnych rodziców. Widzę w tém *ex primo aspectu*, pełne ludzkości serce Dobrodziejki mojej i czułość Jój prawdziwie anielską dla biednego dziecka szlacheckich rodziców i pięknego imienia; lecz ludziska gdy chcą, najmonstrualniej tłómaczą sobie choćby najheroiczniejsze czyny.

„Więc i to ich dobrodziejstwo, któreby uszczęśliwić mogło biednego chłopaka, staje się przyczyną nie-malego rumoru, że ojeiec JMP. Stolnikowicz w swój sprawie udaje się do Warszawy, aby *coûte que coûte*, syna sobie *raptó* uwiezionego odzyskać, chociażby mu aż do JKM. po protekę uciekać się przyszło.

„Nie wątpić, że JW Państwo łatwo inne dla uszczęśliwienia dziecie znajdziecie, ba! i sta ich do wyboru, gdyby wola była adoptować i protegować;—mam sobie za *debitum* oznajmić o tém, aby JW Pani w głębokim rozumie zaradziła złemu i postanowiła wcześniej, jak postąpić zechce. Wedle mojego zaś poziomego rozumienia rzeczy, za oddaniem *cui pertinet* dziecka, wotowałbym *non sine gravi ratione*. Wysyłam umyślnie Seredę, przyłączając niektóre dla domu po-

trzebnymi być mogące zapasiki, aby co rychlój uprzędzić i jakiemu w przyszłości despektowi lub grawaminom zapobiedz. Mam sobie za nieskończone szczęście, iż przy tój zręczności mogę powtórzyć to, co wiekuiście *ex corde plenissimo* radbym głosić *urbi et orbi*, iż jestem i na wieki ślubuję pozostać JWPaństwa Protektorów i Dobrodziejów moich najłaskawszych i t. d."

Przylączony był przypisek jeszcze:

„*Unizone potscriptum*. W gospodarstwie wszystko po staremu, a złe jakoś Lisów omija. Na Nowy Rok lub *circa* spodziewam się złożyć sam wierny respekt *cum solutione percepti*, która się nieźłą obiecuje, jeśli ceny dopiszą."

List ten pomiędzy innemi na tacy znalazłszy hrabina, przeczytała go szybko, serce bić jej zaczęło żywo, twarz pokraśniała: musiała wstać i zebrać myśli tak się uczuła przestraszona. Zdawało się jej, że groźny ojciec jest już w progę... Machinalnie zadzwoniła na kamerdynera, aby mu wcześniej dać rozkazy, na wypadek przybycia jakiego nieznajomego szlacheica, żeby go niedopuszczono, choćby się najmocniej dopraszał i hałasował... Na ucho dodała kamerdynerowi, że ten rozkaz stosuje się i do młodego wychowanka, jeśli by kto o niego pytał, lub się do niego usiłował docisnąć. Kamerdynier, któremu się zdarzało natrętnych wierzyieli za bramę wyrzucać lub suszyć po dni kilka na wschodach, od razu pojął wydane rozkazy; mniej mu się one wszakże stały zrozumiałe dodatkiem dotyczącym się młodego człowieka... święcie jednak dopełnić je przyrzekł.

Hrabina policzywszy dni, łatwo obrachowała, że ojciec Adasia może lada chwila nadjechać, że potrze-

ba, zapobiegając, wcześniej coś radzić, czynić, obmyślić aby syna nie pochwycił niespodzianie.

Pobiegła pośpiesznie do męża, który jakimś cudem był w domu. Trzeba wiedzieć, że dostojne to stadło, w mieście zwłaszcza, wiodło życie, które mu czasem całemi miesiącami zbliżyć się do siebie nie dozwalało.

Był to tryb życia i innych małżeństw wielkiego świata. Pan i pani mieli w jednym pałacu dwa odrębne apartamenta i dwory, pan swych gości i znajomych, pani swe przyjaciółki i wielbicieli, pan godziny różne od pani. Trafiało się, że czasem po miesiącu w oczy się nie widząc, spotykali się dopiero gdzieś w gościnie, i witali z sobą jak dobrzy starzy znajomi.

Chociaż wedle prawidła na obiad zawsze mieli się zbierać razem, najczęściej albo pani brakło, albo pana, lub obojga; w uroczystych tylko razach, gdy kogo przyjmowano, stawili się w roli gospodarzy, a kasztelan swoją, chrząkaniem i potrząsaniem głową wcale nieźle, acz milcząco odegrywał.

Gdy jedno z nich miało interes do drugiego, posyłali kamerdynera w przeddzień, aby audyencyę sobie i rozmowę wyjednać.

Trafem nader szczęśliwym, hrabina zastała męża, który się właśnie ubierał na obiad do księcia ex-podkomorzego, gdzie był zaproszony, aby uniknąć niefortunnej liczby trzynastu. Przyjął ją zagniony w puder-mantlu, gdyż właśnie odbywała się operacya około głowy i peruki. Zdziwił się niepomału gwałtownemu pośpiechowi małżonki; tknęło go w serce, że sprawa pieniężną być musi, choć nie zgadł tym razem. Z gorączkową wbiegłszy prędkością, hrabina mimo przerażenia męża obawiającego się o perukę i puder, zbli-

żyła się do ucha i szepnęła mu co im grozi. Kasztelan nie zrozumiał niebezpieczeństwa...

— A to go im oddać! zawołał obojętnie,—niech go sobie biorą.

— Mój drogi, ale jakieżby to żal było chłopaka...

— Żal... tak, istotnie żal... miałem go pasyansa nauczyć, mógłby przy mnie wyjść na człowieka... Chłopiec zdolny... spryt do kombinacyi... kombinacya do sprytu... czy jak tam...

— Widzisz, sam czujesz jaka szkoda.. To uboga szlachta, cóż oni z nim zrobić mogą?

— Ale ojciec? rzekł kasztelan:—ojciec jak tuz... starszy nawet od króla...

Zebrało mu się na doweip... Hrabina nie oceniła go wcale.

— Ja go schowam! zawołała—nie oddam!

— He? gdzie? jak? spytał kasztelan.

— Powiem żeśmy go wysłali do Paryża.

— Jak sobie chcesz... ale... Tu kasztelan zamyślił się mocno. W gruncie rzeczy było to dla niego obojętne, czy chłopiec pojedzie czy zostanie, umrze czy żyć będzie; chciał się tylko pozbyć żony i ocalić perukę, narażoną przez szeptki na ogłoszenie z pudru i utratę świeżości.

— A gdybyś ty sam poprosił króla, gdybyś mu powiedział, że go chcesz wychować i jakiś mu los zapewnić?

— Ja? albo ja mu chcę los zapewnić? odparł kasztelan zdziwiony. To jejmość, jeśli wola, pogadaj sobie o tém królem, bo z nim jesteś lepij...

— A jeśli się ciebie spyta?

— No, to się uklonię jak zawsze...

— Nie zaprzeczysz? nie zapomnisz?

— Nie... nie, ale nie!—rzekł kasztelan, tupiąc nogą.

— Więc mi do téj sprawy dajesz moc zupełną?

— Ale zupełną, rób sobie co chcesz...

— I poprzecz mnie?

— Ale poprę!—odparł kasztelan, ze strachu przytrzymując perukę i cofając się nieco; a potem jakby przypomniawszy sobie, że powinien był skorzystać z okoliczności, dodał:—Ale *chère Julie*, pożyczysz mi ze swój szkatuły trzysta dukatów na dwa miesiące?

Dobrze... jak się to tylko skończy...

— Mnie trochę pilno... dług honorowy. Wystaw sobie, że Cabrit, do którego chodziłem, bokiem stanął do mnie i nosa zadzierał... Ja tego nie lubię... ale co to gadać! to osieć... Pożyczysz mi trzysta dukatów?..

— Pożyczę...

— A ja się uprę o tego chłopca i nie dam... nie zapomnę; chcesz, to sobie zrobię węzelek?

— Zrób węzelek, to bezpiecznie.

Kasztelan kazał natychmiast podać sobie chustkę, począł kręcić końcem, dumał, plątał, wzdychał, i spojrzawszy na dzieło rąk swoich, zapytał jakby przestraszony:

— A! na cóż to ja wiązę węzelek?

Hrabinie ręce opadły.

— *Cher ami*... jak to? już zapomniałeś?

— A! wiem, na trzysta dukatów!

— Na tego młodego chłopca...

— *Ah! parfaitement!* jestem dziwnie roztargniony. Mam więc zaraz powiedzieć przy obiedzie księciu ekspodkomorzemu.

— Ale nie! nie! nie masz do mówienia, tylko mnie poprzecz w potrzebie.

— A! otoż jest... poprę! niezawodnie i oddam trzy-sta dukatów! Słowo się rzekło...

Kasztelanowa uśmiechnęła się z politowaniem, ruszyła z lekka ramionami, a mąż jej uwolniony nareszcie, musiał na nowo rozpocząć pudrowanie, gdyż świeżość peruki była nadwreżona.

Pani żywo pobiegła na górę, posłała na dół żadaną sumę i zamyślona poczęła się przechadzać po pokoju.

Godzina obiadowa się zbliżyła, na obiad była proszona pani de Rive, dwie przyjaciółki już tęskniły do siebie.

Po krótkim namyśle hrabina przystąpiła do Adasia, który roztargniony sztychy przewracał, pocałowała go z lekka w czoło i z uśmiechem szepnęła:

— Idź do swego pokoiku, nie przyjmuj nikogo i nie oddalaj się nigdzie. Ja ci tam obiad przeszlę, bo będę miała tu kogoś, z kim muszę rozmówić się sam na sam.

Wyrzekłszy te słowa, tknięta myślą, że chłopak może ją posadzić o jakieś *tête à tête* z mężczyzną, do-dała zaraz:

— Przyjdzie tu ta pani, którą widziałeś wczoraj... dość ładna i trzpiotowata, nie chcę, żeby ci zawracała głowę.

Uśmiechnęła się obracając to w żart. Adaś posłuszny, ale zarumieniony, zbiegł do swojego pokoiku. Dobrze już nie rozumiał co się z nim działo; czuł tylko, że nim jak piłką rzucano.

I zamknął się w swój izdebce dosyć smutny, z uczuciem jakiejś niewoli.

Jadąc do miasta, marzył o zabawach, o wielkim świecie, a tu klauzurę surową, naukę ciężką i tęskne cztery mury dwóch izdebek ciemnych miał przed sobą

Trzeba przyznać, że choć z najlepszą chęcią dogodzenia mu te dwa pokoiki wybrał dla niego pan marszałek dworu po liście panny Pameli, nie należały one wszakże do najweselszych. Okno jednego z nich wychodziło wprawdzie na Krakowskie-Przedmieście, ale było obwarowane kratami jak więzienie, a siedział głęboko we framudze. Światła w mieszkaniu było mało, ściany na marmur jakiś szary były ciemno pomalowane, sprzęt w nich stary, nie coby oczy chwytalo... Adaś się nudził w tém mieszkaniu więzienném; napróżno dla rozrywki siadł we framudze i patrzył w ulicę;—widok ten zamiast go uspokoić rozgorączkował. Coraz nowe migaly mu postacie, a nim je mógł rozpoznać przypatrzeć się im, znikaly bezpowrotnie. Jedne następowały tak po drugich, coraz inne, coraz dziwniejsze... Dla Adasia były to wszystko nierozwikłane zagadki. Takich ludzi weale na wsi nie widywał, ani twarzy podobnych, ani tak namiętnego i śpiesznego chodu, ani tak dzikięj wrzawy i tłoku. Ciagle mu się zdawało, że się coś stać musiało, że jakiś wypadek pędzi tak ludność... i nie rychło się przekonał, że to, co mu się widziało nadzwyczajném, było tutaj powszedniem.

Nikt mu nie pomagał do zrozumienia tych tajemnic stolicy: był sam, zostawiony własnym siłom... a co roilo się w młodej głowie, trudno powtórzyć.

Przyniesiono mu jedzenie, a choć było podostatkiem i wytwornego jadła, choć deser piękne rączki hrabiny same ułożyły osobno i przysłały z karteczką: *Pour mon cher Adam*,—choć łakocie były wabiące, nie szło to w smak chłopakowi, przywyklemu do swobody, do wolniejszych ruchów, do młodzieży rówieśniczój, do życia wiejskiego, którego tak ostre nie ścisają kluby.

Okrutnie mu się wyjść chciało, popatrzeć, wmieszać się w tę ciżbę; ale hrabina poleciła go pilnować, prosiła sama, aby przez kilka dni nie ruszał się nigdzie: musiał siedzieć jak na pokucie i nudzić się nieborak.

Książki tylko ze sztychami przybyły wieczorem z góry do mieszkania wychowanka; Ale Adaś nie miał weale usposobień artystycznych: piękne widoki, twarze, budowy, nie go nie porywało, nie nęciło; czuł już na ustach przedsmak życia, rwał się do niego i marzył. Wstręt nawet czyniły mu te obrazki, któremi go karmiono jak dziecko.

I gdy nadszedł smutny, ponury wieczór, lży puściły mu się z oczu.

Tymczasem na górze dwie serdeczne przyjaciółki gorącą wiodły rozmowę. Hrabina przyznała się do wszystkiego, i prosiła o radę pani de Rive, która uśmiechała się dziwnie.

— Droga moja, odpowiedziała Francuzka: radą prawdziwie sumienną i szczerą byłoby oddać to dziecię rodzicom póki czas, aby zapobiedz większemu złemu, większym a nieuchronnym nieszczęściom. Tyś tak nim zajęta, tak, powiem, rozkochana, że zrobisz głupstw tysiące, zaafiszujesz się... będzie skandal... a potem, taki chłopak! nie wyrachować niepodobna, to nie jest człowiek seryo...

— Ale cóż dozwala przypuszczać skandale? Ja jak najdłużej chcę dla niego pozostać matką... siostrą,—poprawiła się hrabina rumieniąc,—chcę się nim zająć, wychować, chcę, by ta miłość czysta trwała wieki. Nie—tylko go widzieć, marzyć, a potem...

— A potem? spytała z niegodziwym uśmiechem pani de Rive.

— A potem... choćby umrzeć! zawołała hrabina.

— O! to coś bardzo seryo!

— Tak! to moja pierwsza i ostatnia miłość!

— Jakże? nieodwołalnie?

— Nieuchronne to jak fatum... Ale co począć? radź! co począć, gdy ten nieszczęsny ojciec przybędzie? ja głowę tracę! Za nie go oddać nie mogę! Chodziłam do kasztelana, aby pomówił z królem; on mnie samą odprawia do niego. O! nie mówmy o tém: ten kasztelan! mój Boże... z takim mężem miałamże być wierną i cnotliwą!

— Zalała ręce!

— Moja droga—odezwała się patrząc jęj w oczy de Rive,—mąż choćby najdoskonalszy, ma zawsze grzech pierworodny: jest naszym mężem... Kochamy cudzych, swojego... całe życie, *cela depasse non forces*... to niepodobieństwo! to było nienaturalne... Przekonywam cię, że skarżyć się nie masz czego, i owszem, masz wymówkę daną ci przez Opatrzność... gdy innym jęj braknie! Jesteś szczęśliwa! Z każdym innym byłoby toż samo.

A! może i nie! wzdychając odpowiedziała hrabina.

— Ale proszę cię, przerwała Francuzka: popatrz na piękną Helenę, która trzy razy próbowała iść za mąż i trzy razy się rozwodziła przecięż.

— Nie mówmy o tém.

— Tak, to najlepšíj.

— Chyba więc sama z królem szczerze pomówię. Król mi pomoże.

— Mów, ale nieszczerze... Na miłość bożą, niechże się nie domyśli! Nie pokazuj mu nie po sobie, bądź zimną; lub co lepsza, mów o tém przez Lulię... przez kogo innego... nie sama.

— Masz słuszność, powiem hetmanowój.

Chcesz? ja ci się tego podejmę

— A! ty jesteś samą dobrocią! Ale szlachcie już może nawet przybył do Warszawy... potrzeba pośpiechu...

— Ja dziś jeszcze pojedę do hetmanowój, ty jedź do generałowój. Mówić potrzeba... *que c'est un intérêt dynastique*, że nosi wasze imię, że wy dzieci nie macie i t. p.

— O! tak! nieinaczaj!... Ale jeżeli go ojciec pochwyci, nim się opatrzymy... mrę ze strachu.

— Więc postawić strażę... zabarykadować dom... masz ludzi.

— Jedziemy więc zaraz.

— Zaczekaj! nie pora jeszcze...

— A! prawda!—spoglądając na zegar, zawołała niecierpliwa hrabina łamiąc ręce—trzeba czekać. Patrz, dodała po chwili: sama siebie nie poznaję; ja, com się tak śmiała nieraz z szalów podobnych, co zimną wytrwałam całe życie... szydząc z tych co serce mieli... A! co to jest? co to jest?

— Ktoś cię przeklął! odparła śmiejąc się de Rive—zapewne który z kochanków... Nadchodzi zemsta opóźniona, a tém straszniejsza, że późna. Miłość w naszym wieku—dodała grzecznie stawiając się na równi z przyjaciółką—śpieszyć się musi... Jesteśmy jak podróżny, który się lęka, aby go noc nie zaskoczyła w drodze: nie zważa że konie pozabija, byle do gospody dojechał.

Julia spuściła głowę smutnie, łez para dobywała się z pod powiek, ale byłyby zostawiły ślad po sobie przebiegając twarz nieco pobieloną, i batystowa chusteczka przyjęła je na łono swoje. Przyjaciółki, po oświadczeniach i uściskach gorących, rozjechały się każda w swoją stronę.

Wyjeżdżając wszakże, Julia nie zapomniała raz jeszcze nakazać kamerdynerowi, aby nikogo nie wpuszczano do wychowanka, nikomu bez jego wiedzy widzieć się z nim nie dawano, postawiono nawet umyślną straż u drzwi, aby się chłopak przez jaką dziwną ciekawość nie wyrwał.

Dwór kasztelaństwa, jak każdy, w którym sam pan o niczym nie myśli, był dosyć rozprzężony: spełniano rozkazy dawane przez panią, pan uważał się za osobę wcale podrzędną... Często jednak starszyzna spychała na niższych dane sobie polecenia, a niżsi zrzucaли je na barki najostatniejszych.

Hierarchia dworu zaczynająca się od kamerdynera Francuza, rywalizującego z marszałkiem dworu powagą i próżnowaniem, schodziła dalej po szczeblach na lokajów, lokaików, chłopców kredensowych, a kończyła się na stróżach, co palili w piecu. W istocie oni tylko tu pracowali.

Dwór był liczny i dzielić się mógł na dwoje: na widoczny i niewidoczny. Pierwszy był bardzo pokaźny, drugi zaniedbany, z wiejska, w łachmanach i siermięgach. We dnie występowała służba od parady; o zmierzchu i po nocy, pracowiciele biedacy, co we dnie spali po dziurach pochowani jak nietoperze.

Lokaje starszyzna tak prawie zepsuci jak panowie, potrzebowali wyręczenia, a ciężar wszystek ostatecznie spadał na biednych stróżów, którzy jak widma w pewnych godzinach krążyli po domu, począwszy od kuchni do salonu. Oni to przededniem zapalali w piecach, gotowali obiad, rąbali drwa, przynosili wodę i froterowali posadzki.

Stróże ci corocznie na stójkę miejską przysyłani z dóbr różnych byli to biedni wieśniacy, stęsknieni

wygnaniem, przygnieceniem despotyzmem całej zgrai służalców. Nowe zajęcie nawet im nowój nie dawało odzieży: kożuch w zimie, latem siermięga, nogi bosc lub łapcie lipowe, szara koszula własnymi prana rękami u studni... stanowiły strój tych paryów. Wśród wytworności pałaców, te postacie dzikie, blade, zasmolone, zjawiały się jakby przynosząc *memento mori* zbyt komu i roztrzęsieniu. We dnie ukrywali się stróże tam, gdzie nikt ich nie mógł spotkać; ale w zakątkach jeszcze pracowali za drugich.

Gdy Adasia polecono pilnej straży marszałka dworu i kamerdynera, pierwszy zlecił jeszcze raz nadzór drugiemu, sam idąc na gawędkę do p. Pameli; drugi obrażony nieco złożył to na lokaja; lokaj zakręciwszy ucho chłopcu, przykazał mu najsrożej, aby ode drzwi nie odchodził; ale chłopak mający żylkę do kart i potrzebując dokończyć halbecwelbe, poczętą pod wschodami z posługaczem od cyrulika, zbiegł do kuchni, wyciągnął z niej stróża, i najsurowiej mu zalecił, aby się krokiem nie oddalał od paniecia a pilne miał nań oko...

Chłodnawy był wieczór jesienny. Iwan rozespany, zbudzony rozkazem chłopca, wziął wiązkę drew na plecy, i o mroku zaraz poszedł za jednym zachodem zapalić w piecu u Adasia.

Pierwszy to raz od przybycia do Warszawy, ta znana mu postać wiejska zjawiała się przed oczyma zdumionego chłopaka, który w mieście nie spodziewał się z nią spotkać.

Stał zdumiony, gdyż ta siermięga, te łapcie nawet twarz blada i smutna starego Iwana, żywo mu jakoś Wólkę Brzozową przypominały.

Stróż ów godzien był zaprawdę, aby mu się ciekawie przypatrzyło oko... Był to chłop rodem z Lisowa właśnie, Podlasiak, dawno owdowiały, bezdzietny, niegdys flis na Bugu, bywalec wielki, na pierwszy raz już kosztujący miejskiego, życia... i jak wszyscy, którym brak węzłów wiążących ich ze światem, zobojętniały i zakrawający na filozofa. Barczysty, silny, z włossem bujnym na podgolonej głowie, z twarzą posępną, wyrazistą, podobny był do owych posągów królów barbarzyńskich, które z poucinanemi rękami świadczą w podwórcach Kapitolu o okrucieństwach cywilizacyi Romy.

Jak ów wieśniak naddunajski, Iwan nie był bez wymowy gdy mówił, ale dawno się przekonawszy, że mówić tu ani z kim, ani do kogo nie ma, obwinał się milczeniem upartém, którego nigdy prawie nie przerywał. Znano go za mruka, i mrukiem też przezywano. Pracował nie wymawiając się od żadnej roboty, cierpliwie, bez zbytku gorliwości, ale bez skargi, i los swój znoślił z jakąś godnością stoicka.

Największa nędza i najostatniejsze poniżenie potrafi stać się poszanowania godném, gdy człowiek je znosi z poczuciem własnego dostojęstwa. Iwana też nikt nigdy nie tknął, nikt nie połajał, nie dla tego, że nie było za co, ale że za spojrzeniem nań mrowie przechodziło po człowieku, taki straszny był ten olbrzym w lachmanach, milezący, posępny, którego wzrok z pod brwi nawislój przesywał jak niezrozumiała groźba.

Nieraz o szarym mroku, gdy w piecach palił, zastawali go lokaje w pokoju pana lub pani, wśród fraszek wytwornych i zbytkownych, nad stołem pełnym bogatych świecideł, stojącego z rękami na piersiach,

założonemi i poglądającego w milczeniu długiem na te życia pańskiego przybory błyszczące: naówczas brew jego namarszczona, czoło zasepione, wargę odęta, i lekki wyraz szyderstwa, czyniły go dla nich prawie strasznym. Obchodzili go po cichu, nie śmiejąc mu przerwać zadumy. Iwan naówczas przydybany niespodzianie w kontemplacyi, podnosił głowę powoli, uśmiechał się i szedł dalej spokojnie.

Choć się nigdy w rozmowę nie wdawał, stary gdy mu się trafiło przebaknąć, okazywał, że widok dworu i tego życia nie przechodził dlań daremnie: słowo jego znamionowało zdrowy sąd, a niekiedy wzgardliwe prawie szyderstwo. Rzadko gdy w święto się napił,—bo w powszednie dni wódki nie brał w usta i swoją porcję drugim oddawał,—mleczące te usta rozwiązywały się swobodniej, i nie zbywało mu na dojmującym dowcipie. Ale niewola nauczyła go tak osładzać wyrażenia, że słuchacz nie wiedział często, czy dziwować się czy gniewać. W tej pokorze przesadnej ukryte było złośliwe szyderstwo, w uwielbieniach ironia gorzka, w pozorniej gburowatości pogarda dla rozpieszczanego i zepsutego dworactwa. Mimo to lubiono Iwana, a Iwan, który już od wsi odwykł i na ementarzu wiejskim więcej miał krewnych i przyjaciół niż po chatach, wołał dla roztargnienia służbę w mieście, niż życie w domu, które łzami mu płaciło za trochę dawnego szczęścia.

Za długo może zatrzymujemy się przy tak nieznaczącej postaci, jaką był jeden ze stróżów pałacowych; nieby nas nie usprawiedliwiło, gdyby powieść dla nas nie była daleko więcej obrazem niż dramatem. Malujemy więc i dalszych planów choć zamglone nieco postacie.

Iwan wszedł do pokojów Adasia, rzucił drzewo przy piecu, wyciągnął się powoli, popatrzał wkoło i począł z zajęciem przyglądać się siedzącemu u stoła chłopakowi.

Adaś postrzegłszy go, zmieszał się; wzrok stróża był przeszywający.

Po dłuższej chwili milczenia:

— A zkąd to panicyku? — odezwał się Iwan łagodnie.

Adaś był dumny, był szlachetka i panicyk: może innym razem byłby nawet nie odpowiedział na pytanie; ale w obcym miejscu, znudzony, zateśkniony, wolał już rozmowę ze stróżem niż milczenie.

— Ja?—odparł — o! z daleka.

— Z daleka? rzekł zażywając tabaki z rożka Iwan,—z daleka? O! o! a taki młody i ładny! Gdzieś ty się nie w mieście chowałeś, że taki masz rumieniec. Tuby już z ciebie zgniłe powietrze wyssało krew. Héj! héj! nie gniewaj się, panicyku, ja mówię z dobrego serca.

— Ja się też nie gniewam! rzekł uśmiechając się z jego prostoty Adaś.

Stróż bez ceremonii usiadł na podłodze, i powoli wkładając polana do pieca, mruczał na pół głośno, jakby sam do siebie:

— „To tak jak to oni i z kwiatkami robią: natną ich sobie, nakładą do szklanki, a nazajutrz na śmieci, won! Ot i tyle tego szczęścia, co pośmierdziały trochę w salonie, a w ogrodzie toby sobie kwitło Panu Bogu na chwałę, pszczołom na pożytek, a ludziom na oczu pociechę... héj! héj!”

Czy ty panicyku jaki krewny jegomości czy jejmości? dodał znów zażywając tabaki.

— Tak, samego pana.

— Dobrze to panisko, mruknął stróż, ale bardzo go przypląszczyło i zmizerowało to życie: jak koń woźwody ledwie już nogami włóczy. Jejmości jeszcze nie, bo kobiety zawsze wytrzymałsze. U nas bywało nieraz, że ludzie się grzybów niezdrowych objęli, bo to tam dzieci zbierały, a głupie dziewczęta warzyły: pomarło z nich dużo chłopów, a kobiety tylko się następowały—żadnej nie się nie stało.

Mówił to sobie półgłosem, a Adaś ledwie chwycił niektóre słowa, i te nie dobrze rozumiał.

— A masz ty ojca i matkę, czyś sierota? zapytał stróż obracając się ku niemu.

— Mam rodziców, mój kochany... szepnął cicho prawie zawstydzony chłopak.

— O! to tobie ich żal być musi! zawołał Iwan—he?

Adaś tylko głową pokiwał, zawstydzil się własnej nieczułości, ale stróż to inaczej zrozumiał.

— Oj! to tu tobie będzie nudno, panicyku miły... rzekł. Już to darmo, ojca a matki rodzonych nikt nie zastąpi, nikt, ani téj chaty, w której się człowiek urodził, ani zagona, który potem polewał; ale człowiekowi nie tak żyć jakby pragnął, ale jak nabieży... ot co!

A po co oni tu ciebie przywieźli, panicyku? dodał po chwili podnosząc głowę—po co?

— Nie mają dzieci, rzekł chłopak z pewną dumą: więc....

Iwan głową pokiwał smutnie.

— To to ja rozumiem:—odezwał się:—pożyczyli sobie jak lalki. Ot, dla was niewielka łaska: dobre to ich serce, ale szkoda, że to na was padło... Już to kot kiedy się z myszą bawi, nie po tém dla myszy, albo

smarkacze gdy chrząszcza złapią: zawsze taki w końcu kot schrupocze, a dzieci zادةczą. Jak się tobie zdaje, paniczku — mówił dalej podpalając w piecu z wolna — czy to tobie dola czy niedola?

— O! ja nie wiem... rzekł Adaś.

— Toście dobrze powiedzieli, bo to tylko Bóg wie; ale taki pewniój bieda niż rozkosz... Co oni z ciebie jeszcze robią, czy człowieka czy cacko? Widzieli wy, co to tam u nich na górze po stołach, po półkach, po ścianach, tych świecideł, tych błyskotek? Aby no i was nie wykierowali na tego papuga-ja zielonego, co tam w klatce gada, albo na tę małpę, co ją jegomość trzyma na łańcuszku.

Adaś się zaczerwienił, ale stróżowi rozwiązały się usta i gadał nie nie zważając.

— A ty wiesz paniczku, że mnie ciebie kazali pilnować? Już ja taki dopilnuję, ale czy tyby chciał uciekać? Miałby ty rozum póki czas; jabym za ciebie w skórę wziął z ochotą; więcej jak dwadzieścia nie dadzą, bo ręce mają słabe i wprzód ich zaboli bić, niż mnie wytrzymywać.

— Ja? uciekać — zawołał zdumiony Adaś — ale mnie się to i nie śni! Ja przecie przyjechałem z dobrej woli.

— A gdzie twoi rodzice? daleko?

— O! daleko! aż pod Białą, het! ku Łomazom.

— Oj! oj! zakrzyknął stróż: to ty z Podlasia!

— A tak!

Iwan się aż zaczerwienił: zdało mu się, jakby nagle swój rodzony kraj zobaczył.

— Wy nie wiecie, że ja też z Lisowa, to tam niedaleko. A gdzie rodzice mieszkają?

— A w Brzozowej Wólce.

— Te! te! ja tam był! o dawno temu! Byłem raz, to ładna wioszczyna a cicha, ale mała. Oj! oj! paniczku! albo to nasze lasy i pola i łąki nie więcej warte niż te obmierzłe ich kamienie? Czy to u nas nie sto razy weselój? Prawda? A wiosną to to raj! Tylko to teraz tam już nie ma takiej wiosny jak bywało.

I spuścił głowę i zamyślił się, a podpaliwszy w piecu łuczywem i korą brzozową, wstał powoli, zbliżył się nieco z twarzą jakąś litości pełną, poglądając na Adasia.

— Paniczu, rzekł: ja tu położę się w drugiej izbie pod piecem na ziemi, nie będzie tobie tak nudno. A no! wierz mi! jakbyś zechciał... Ej! ej! ja tobie nie powiem: „Nie uciekaj!” Tu będzie ci niezdrowo, tu ciebie wyssą i wylamią. Jak będzie można, wracaj ty do domu, powracaj do domu!

Adaś słuchał tego przerywanego monologu zdziwiony, prawie trwożny; ale nie trafiły mu do serca wyrazy, którymi Iwan dokończył... Stary wydał mu się prawie strasznym ze swą mową ciemną, smętną, proroczą jakąś i złowrogą.

Mimo tęsknoty, ucisku, wszystkich przykrości, jakie przewidywał tutaj, Adaś wszakże ani myślał, ani chciałby był uciekać: wszystkie jego nadzieje były tutaj. Wprawdzie ścigało go tu matki wspomnienie, ale widział ją przed sobą z uśmiechem łagodnym, z anielską twarzą rozkochaną, błogosławiącą mu do nowego życia. Lękał się tylko ojca, drżał na samą myśl, że może stanąć przed obliczem tego nieubłaganego sędziego.

Nie wiedział on jeszcze, jakie ucieczka jego uczyniła tam wrażenie, ale się go mógł domyślać: czuł, że

matka mu przebaczy, że ojciec zachmurzy się i zagniewa.

Gdy tak dumał, drzwi skrzypnęły powolnie. Pierwój jeszcze niż Adaś, ruszył się Iwan z gołęb podłogi, na której spoczywał, i zawołał:

— Kto idzie?

Śmiejący się głos niewieści mu odpowiedział:

— Śpij sobie stary!

— A to wy pannuniu! mruknął kładąc się na nowo Iwan.

We drzwiach stała przyjaciółka pani, panna Pamela.

— Nie śpisz pan jeszcze? zapytała wchodząc i oglądając ciekawie po pokojach: a! to dobrze! Przybyłam pana prosić do pani; kilka słów chce mu powiedzieć, proszę ze mną... Chodź pan prędko.

Adaś nie wiedząc co tak późno powołać go tam mogło, ruszył się zaraz, i przeprowadzony małemi wśchodkami, znalazł się w sypialni hrabiny.

Buduary owego wieku były to najwykwintniejsze zwykle zakątki pałaców, przybytki i świątynie. Jak dziś jeszcze we Francyi, na ten pokój, który jest niszą kryjącą w sobie bóstwo domowe, wysiliła się sztuka, bogaćstwo, smak, aby konchę uczynić godną perły, która w niej spoczywać miała. Każda z wielkich i sławnych piękności wieku wysadzała się na swój przybytek, a wierni przyozdabiali ołtarz ofiarami.

Tu tylko przyjmowały się przyjaciółki, aby zazdrościły; kochanek, aby oszalał; piesek faworyt, dla rozrywki, i czasem domowi.

Pokój kasztelanowej był przecudny; ale znać było na nim jakieś chwilowe zaniedbanie. Sprzęt wytworny nie był już tak świeży, tak dobrany, jak naówczas, gdy do marzeń kołysał. Sama pani wpół rozebrana,

albo raczej ubrana na noc w białe muśliny i koronki, stała naprzeciw wielkiego zwierciadła, rękami białemi poprawiając kruczych włosów fale, gdy Adaś wszedł wprowadzony przez Pamelę, która natychmiast znalazłszy pilne jakieś zajęcie, wyszła, za co surowém wejrzeniem pani skarcona została.

— Mój drogi Adasiu — rzekła poważnie pani kasztelanowa, — chciałam cię spytać: jak myślisz postąpić, jeżeli tu twój ojciec przyjedzie? To bardzo być może.

Głos jej drżał, choć mu się starała nadać spokój i powagę. Spojrzała na Adasia, który pobałdł.

— A! pani!... rzekł...

— Możesz mnie nazywać... ciotką... jeśli chcesz... lub wujenką... lub... jak ci się podoba... Nie chcę, żebyś mi mówił: pani.

— A! pani... powtórzył mimowolnie mieszając się chłopak — mój ojciec jest bardzo surowy, ja się go lękam.

— Ale, mówmy otwarcie: gdyby cię z sobą nazad chciał zabrać, bo widzisz, mój drogi... choć oboje życzymy sobie coś uczynić dla ciebie... to jest, co tylko będziemy mogli — nie możemy nic zrobić przeciw twój i jego woli... zwłaszcza twojej...

— A! pani! ja chcę zostać!... rzekł Adaś.

Kasztelanowa zarumieniła się z radości.

— Dziecko! — dodała z czarującym uśmiechem Syrena — coby ty tam robił na wsi? Tyś stworzony do innego życia, my cię do niego wprowadzimy. Trochę pracy, nudów trochę, a staniesz się gwiazdą młodzieży, pójdiesz wysoko, jeśli zechcesz... Wszak na tém i rodzice twoi zyskają... Dziś oni mogą być przeciwni, później się przekonają...

— Pani, czy ojciec mój już przyjechał? spytał z obawą Adaś.

— Nie, ale być może co chwila.

Adaś spuścił głowę, hrabina promieniała radością.

— Więc posłuchaj, dodała: unikając przykrój dla siebie sceny i dla nas, czy nie lepiejby...

Ale nie! przerwała nagle: ty musisz się widzieć z ojcem. Będzieszże miał siłę powiedzieć mu stanowczo, że chcesz pozostać z nami?

— Ja?... ja... zdaje mi się!.. bąkał Adaś.

— Trzeba być pewnym siebie! trzeba być śmiałym, dodała kasztelanowa.

Chłopeu zadrgało serce, obraz ojca go przerażał więcej niż sądził z początku: im żywiej go sobie przedstawiał, tém bardziej się nim trwożył.

— Trzeba być pełnym uszanowania dla niego — mówiła hrabina, — łagodnym, pokornym nawet, ale oświadczyć... Jakże to powiesz? potrafiszże ty to powiedzieć?

— Powiem—śmielój nieco odezwał się Adaś — że chcę się uczyć, że pragnę i im później być użytecznym.

— Tak! bardzo dobrze! tylko śmiało, odważnie, stanowczo! O! wierz mi — dała zbliżając się doń i drżącą ręką dotykając jego świeżej twarzy, która ognistym gorzała rumieńcem,—wierz mi, nie pożałujesz tego! Serce matki znajdziesz we mnie... i więcej niż serce matki: troskliwość ojcowską, przywiązanie siostry... Życie twe, mam przecucie, będzie szczęśliwe, będzie świetne... bylebyś sam chciał...

Zamilkła, czując, że i za wiele, i nie to co chciała mówiła: usta poddawały jej dziwne wyrazy. Adaś rozczulony, przejęty, pochwycił po raz pierwszy sam jej rękę białą, i zaczął ją całować, pożerać. Hrabina

strwożyła się, pobladła, i zwolna wyrwała mu ją, bo czuła, że mogłaby omdleć z wrażenia, jakie na niej czynił pocałunek wychowanka.

— Idź, rzekła, idź... a pamiętaj... jeśli by ojciec przybył, powiesz mu tak jak mówiłeś.

Chwyliła się za głowę... czoło jej gorzało ogniem, serce biło.

— Pamel! zawołała: bądź łaskawa poświęcić Adasiowi na wschody.

Z podedrzwii, pod któremi pewnie stać musiała, wybiegła powiernica i przeprowadziła chłopaka, który zszedł uspokojony, szczęśliwy, pełen znowu ufności w przyszłość swą jasną.

Hrabina ze złożonemi rękami rzuciła się na sofę, zakrywając twarz. Dwa strumienie łez biegły po niej.

Nie śmiała z modlitwą obrócić się do Boga, bo o cóż prosiłaby biedna grzesznica? o opiekę nad uczuciem występniem, nad szaleem nieprzebaczonem?.. A jednak serce jej chciało się modlić, chciało aż do niebios się podnieść, aby litość ściągnąć na ziemię.

— A! tylko raz być kochaną, być szczęśliwą, mieć jedno serce czyste, nieczepsute, przywiązać je do siebie... otoczyć ukochaną istotę staraniem, miłością, poświęceniem, żyć dla niej tylko... i marzony raj zobaczyć, choć z daleka, i umrzeć u wrót jego ze słodką myślą, że i ja była kochaną!... Co mi świat? Oni mnie straszą ludźmi? co mi ludzie? Niech mnie pokazują palcami, niech ze mnie szydzą, niech kamienują, niech zabijają; ale ja będę kochana! ja będę kochała, ja kocham! To co się dla mnie zwało miłością, było sztyderstwem: to były męczarnie szatańskie... Ta mi za wszystko nagrodi... A jeśli mi go odbiora? Nie!

jak lwica bronić go będę; nie oddam rodzicom nawet... Jest mój... był mi przeznaczony.

Z tém postanowieniem hrabina rzuciła się na łóżko; ale płakała gorzko, a lzy te były jeszcze rozkoszą. Cała noc zbiegła na gorączkowych dumaniach: co chwila ojciec, ten straszny ojciec, mógł nadjechać.

Pan Krzysztof, jadąc do stolicy, nie miał w niej nikogo, coby go tu mógł poprowadzić, dopomódz, jednem słowem zaopiekować się wieśniakiem. Nie lubił on klaniać się i prosić, a miał to pocziwych ludzi wyobrażenie, że dobra sprawa nie potrzebuje wszędzie ani pokłonów, ani produkeyi. Ale po wszystkie czasy i zawsze niewygodna to rzecz spuszczać się na samą dobroć swęj sprawy i na prawa swoje, bo wszędzie drogi są szczerlnie strzeżone od napływu natrętów przychodzących z niepokojącemi skargami, i od wszelakiej gawiedzi, co się ciśnie nie dając panom używać błogiego wczasu.

Nielatwo więc przychodzi i temu, co miasto łaski potrzebuje tylko sprawiedliwości, dostać się do źródła, z którego ona płynie.

O tém albo nie wiedział p. Krzysztof, albo wierzyć nie chciał, silny przekonaniem, że rzeczy w świecie najsluszniejszėj domagać się miał, że mu jēj odmówić nie było podobna.

Podróż trwała dosyć długo. Samotnemu i zbolalemu człowiekowi myśli jedne a jedne krążyły po skołatanėj głowie, rozbijając się o najrozmaitsze przypuszczenia.

Wielekroć tego każdy na sobie doświadczył, że usi-

lując odgadnąć przyszłość, wyczerpując wszelkie jej możliwe kombinacje, nigdy przecie trafić nie można na tę, jaką mu los zgotował.

Człowiek morduje się napróżno, aby przewidzieć wypadki i przeciwko nim uzbroić się zawczasu: jedno „nie po tém” łamie szyki i przedstawia coś całkiem nowego i niespodzianego.

P. Krzysztof tém mniej umiał tę przyszłość odgadnąć, że w zapasy z niespodziankami losu nigdy prawie nie chodził, życie jego powszednim bardzo płynęło trybem, a największym w niém wypadkiem była burza z gradem na wiosnę, mróz co przedwcześnie zwarzył hreczkę późno posianą, lub ulewa, która zboże dojrzewające wykładła.

Cała ta wyprawa przedstawiała mu się jako rzecz niezmiernie prosta i łatwa: — Jechał po swego syna... Gdyby mu go dobrowolnie oddać nie chciano, gotów był stanąć przed królem i żądać odeń wymiaru sprawiedliwości... Król naturalnie odmówić jej nie mógł... Zabierał więc Adasia — i powracał do domu.

Wszakże po drodze, gdy się gubił w myślach, przychodziły mu już niejaki wątpliwości, których nasiona rzuciła żona i Dyogenes Kapustyński: — Czy godziło się z téj świetnej drogi spychać dziecię, któremu los szeroko wrota do zaszczytów i bogactw zdawał się otwierać? czy koniecznie to, co starczyło p. Krzysztofowi, miało jego syna zadowolić? czy należało uporem, przebojem, siłą wyrwać dziecię z téj jaskini zepsucia?... Mimo wszakże tych wątpliwości, jechał pan Krzysztof niezachwiany w przekonaniu, że obowiązek swój powinien spełnić, choćby narażając się na największe przykrości.

Jemu i woźnicy zarówno, na myśl o strasznym

potworze stolicy, dreszcze przechodziły po skórze. Z powieści o niej, o dworze, o zepsuciu miast wielkich, o wszelkiego rodzaju podstępach, pułapkach i lisich jamach zastawianych tam na prostoduszność wieśniaków, wystawiał sobie stolnikowicz Warszawę jako istną *spelunca latrorum*.

Widział nawet potrzebę podsyceania jeszcze niedowiarstwa swego woźnicy i umocnienia się we własnej niewierze względem ludzi tamtejszych.

W istocie, prawie cały kraj naówczas, czy to z jakich próbek sądząc, czy instynktowo, jakoś ze złej bardzo strony wyobrażał sobie stolicę, jako pełną czyhających na kieszeń, spokój, na dobrą wiarę uczciwych ludzi, przywykłych do ufania każdemu. Opowiadano przygody straszliwe, nietylko o mordach nocnych na ustronnych uliczkach, ale o dziwnych kradzieżach po gospodach, o szulerskich zasadzkach, o filuteryach wszelkiego rodzaju, przeciwko którym potrzeba się było mieć nieustannie na baczności.

Biedny Juraś obiecywał sobie za wczasu, że od nikogo kieliszka wódki nie przyjmie, aby w nim szaleju lub śpiączki nie wypił, co by go na dwadzieścia cztery godziny bezprzytomnym uczyniło; przyrzekał, że ze stajni od koni i jegomościnego tłomoka krokiem nie odstąpi, że się z nikim nie wda w nieostrożną rozmowę, i żadnych nie zrobi znajomości męzkich ani niewieściech, choćby się mu najponętniejszymi wydawały.

Ostatnich zwłaszcza, jako bardzo niebezpiecznych, Juraś szczególnie unikać sobie przyrzekał, gdyż czuł że mu się im najtrudniej oprzeć będzie. Cuda mu prawiono o piękności kobiet warszawskich i o ich zdradziectwach; okrutną też miał chętkę własnymi je

zobaczyć oczyma, a cierpiał na tę myśl, że się gotów do śmiechu i gawędy dać spokusić, to zaś Bóg wie do jak straszliwych następstw doprowadzić mogło. Co chwila powtarzał dane sobie słowo, i popierał je częstemi zaklęciami, że wyjdzie z Warszawy zwycięzko, że się ująć nie da zastawionym siłom, że zedrze maskę z szalbierzów, którzyby się do niego przystąpić ważyli.

Ze swój strony p. Krzysztof nie był bez obawy o własne niedoświadczenie i nieobycie się z życiem miejskiem; ale spokojniej jechał w przekonaniu, że gdzie braci szlachty nie brak, tam szlachcie jak w domu być powinien.

Obaj podróżni, gdy po dłuższej i dosyć nużącej drodze wyjechali z lasów otaczających stolicę, i ujrzeli ją jak w obłokach, owitą mgłami nadwiślańskimi i dymami tysiąca kominów; gdy na niebie przed nimi zarysowały się długim pasem sterczące wieże kościołów, szczyty pałaców, gmachy i mury; gdy na samym gościńcu otoczył ich ruch oznajmujący zbliżanie się do miasta: przeżegnali się z jakąś niewysłowioną trwogą. Milczący woźnica obrócił się i wskazał panu biczyskiem tego ogromnego węża—miasto na horyzoncie: p. Krzysztof obyczajem dawnym po cichu zaczął odmawiać dziewięć Zdrowaś Marya, na intencję szczęśliwego przybycia do miejsca.

Był to ranek,—gdyż umyślnie, nie chcąc pod noc przyjeżdżać dla owych niebezpieczeństw, które mrok zwiększał jeszcze, i dla nocnej sprawy, jak mówił Juraś pokręcając głową, wśród okolicy lesistej, a pełnej różnych włóczęgów, obrachowali się tak, aby przed południem stanąć w mieście. Nie mogli wszakże zapobiedz drugiej niedogodności, przybycia w niedzielę, chyba stojąc cały dzień w karczmie i darmo karmiąc

konie, co zdało się rozrzutnością panu Krzysztofowi. A że w dzień świąteczny na targ i nabożeństwo, zawsze do miasta dosyć ludzi z okolicy przyływa, zwiększyło to nieco trudność rozmijania się na gościńcu z końmi do takiej gąszczy nieprzywyklemi. Woźnica tracił głowę, i inaczéj już podolać nie mógł, aż stanawszy na nogi, aby lepiej a dalej widzieć przed sobą. Jesień była sucha, kurzu tumany, z tyłu napędzały się bryki z dyszlami, z przodu najeżdżały z końmi bryki, wozy, nachodzili piesi; chwilami Juraś już chciał stanąć dla przeczekania tego ścisku... Jakoś przecie, nie bez dziury z tyłu w bryce, dobili się do mostu, gdzie istotnie i koniska przestraszone, i woźnica, ledwie rady dać mogli sobie. P. Krzysztof z tego nieustannego czuwania nad nim i wołania: w prawo, w lewo, czuł już zawrót w głowie i szum jakiś w uszach, ale z zimną krwią na to patrzył.

Od Pragi rozpoczęły się zaproszenia do gospód przez gospodarzy, zaręczających, że w mieście nie ma już gdzie stanąć. Tego się jednak nie lękał stolnikowicz, bo w ostatecznym razie miał w kieszeni ratunek, jedyny list rekomendacyjny, w który go p. Baltazar zaopatrzył, kartkę od kks. Reformatów białskich do kks. Reformatów w Warszawie; mógł więc w najgorszym razie, po staroświecku, zajechać do klasztoru.

Przebywszy wszakże most i dostawszy się do samego miasta, znowu znalazł gospody w okóło, a przed każdą uprzejmy gospodarz lub gosposia zapraszali jak najgrzeczniej i dosyć natrętnie do siebie. Tu już wypadało popróbować szczęścia, bo w środku miasta oczywiście gospody musiały być droższe... Najrzawszy więc dom pokazywał na Bednarskiej ulicy, „pod Pogonią,” ka-

zawszy się na swe siedzenie przesiąść woźnicy, by czego z tyłu nie schwycono, i oka nie spuszczać z wózka, wysiadł p. Krzysztof, aby wprzód stajnię i stancję obejrzeć. W myśli miał, aby sobie tak oboje dobrać, by z izby i na konie, otworzywszy drzwi, zajrzeć było można, jak to w karczmach na wsi bywa; ale wszedłszy tu, znalazł stajnię odosobnione, ludzi w nich jak napchał, stancję na piętrze i całkiem jakiś nowy dla niego porządek. Ledwie wysiadł, miał już przy sobie trzech faktorów, z których każdy targał go w inną stronę i inny mu dom zalecał... Pomyślawszy, przykazał Jurasowi stać nie ruszając się z miejsca, póki sam do niego napowrót nie przyjdzie, i gdyby go ktokolwiek inny wołał, nie słuchać... Poszedł dalej stancję oglądać.

Było czém cierpliwszemu się znużyć; wreszcie w dosyć porządnym domu, nie „pod Pogonią,” ale „pod Łabędziem” znalazłszy jakie takie przytulisko, powrócił po bryczkę, która zatoczyła się w bramę gospody, a Juraś tylko orczyk jeden złamał wjeżdżając, co sobie uważał za dosyć złą wróżbę.

Nie będziemy opisywali pierwszych chwil w mieście, dziwnie ciężkich i smutnych. Nim się nieco rozpatrzył, rozlokował, rozpytał stolnikowicz, zaczęło powoli zmierzchać, a po nocy na żadną naturalnie wyprawę puścić się nie mógł. Biło mu serce myślą, że w tém miejscu, niedaleko może, jest jego ukochane dziecię... do którego radby był jednej chwili pośpieszyć... Ale jak się do niego dostać?

Sam nie znając miasta, p. Krzysztof musiał zdać się na faktora, którego mu gospodarz jako doskonałego i bardzo uczciwego człowieka nastreczył. Na wyborze jego leżało w istocie wszystko, była to rzecz

wielkiej wagi: dla tego ten, co tu przywiódł stolnikowicza, niepozorny młokos, wzięwszy złotówkę, zaraz został oddalony. Gospodarz z „pod Łabędzia” przeprowadził mu męża zaufania, poważnego, ubranego z niemiecka jegomości, któremu w istocie roztropność z oczu patrzała.

Ten nowy pomocnik, już niemłody, suchy, zamyślony, małowówny, z wielkim sygnetem na palcu, w kapeluszu okrągłym, w surducie długim, z trzcina o gałce słoniowej w ręku, miał minę bywalca wytrawnego, i gospodarz zań ręczył, że do najdelikatniejszych posług jest zdatny.

Wszedłszy i skłoniwszy się, stanął u drzwi, bacznie popatrzał na klienta swego, który zadumany, chodził po izbie, i stał oczekując na rozkazy.

— Ja tu nikogo nie znam, odezwał się p. Krzysztof; mam trochę interesu, potrzebuję informacji... Prosiłbym waćpana... jak się acan nazywasz?

— Dawid Szuba, do usług JW. Pana—rzekł faktor kłaniając się...

— Prosiłbym acana najprzód o niektóre objaśnienia...

— Mogę służyć — zabierając głos, odparł dosyć czystą polszczyzną Szuba. — Chociaż tu pracuję na uboczu, bo to nie jest środek miasta, gdzie się największe interesa robią, ale miałem i mam z wielkiem państwem do czynienia. Mnie tu dobrze wszyscy znają; proszę zapytać o Szubę, nikt pewnie złego słowa nie powie. Na uczciwość... nie gonię za wielkimi zarobkami, ale one czasem same przychodzą; a wiem, że jak dobrze się zasłużę, polski pan dobrze płaci...

Argument *ad hominem*, trochę wzruszył szlacheica.

— Nie jestem ja wielkim panem, odpowiedział,—

alem krzywdy nigdy nikomu nie uczynił, i mam nadzieję, że acan też ze mnie rad będziesz... Otoż najprzód gdzie mieszka kasztelan O....?

— Graf? spytał faktor: wiem! Oni mają swój pałac, ale go teraz restaurują i myślą podobno sprzedać: najęli cały dom przy Krakowskim-Przedmieściu. Znam ich! On sam... weale dobry człowiek... ale tam nie nie znaczy; nu! a sama pani!... to jest wielka i piękna pani... Był czas, że ona tu całém miastem trzęsła. Ja ich dobrze znam...

— No! to pierwsze, przerwał Krzysztof: jutro mnie tam acan do nich zaprowadzisz... Teraz drugie: w przypadku potrzeby, jak się dostać do króla JMości?

Szuba słysząc to zapytanie, tak się zdziwił, że zamilkł na chwilę, a Krzysztof musiał mu powtórzyć:

— Jak się dostać do króla JMości?

— Czy JPan pierwszy raz w Warszawie? spytał powoli Dawid.

— Od bardzo dawna pierwszy raz, rzekł p. Krzysztof; nie byłem lat ze dwadzieścia.

— No! to pan tu ma znajomych, krewnych, przyjaciół?

— Nikogo! rzekł stolnikowicz.

— Przepraszam JPana — przerwał Szuba — ale to chyba nie może być. Ja znam panów i szlachtę naszą. Ktokolwiek tu przyjedzie, nie może być, żeby znajomego a nawet krewnego nie znalazł. Jak pan się rozmyśli, panu to na myśl przyjdzie... Bez tego... do króla się dostać... to jest wielka historia!

— Jak to? do króla się dostać szlachecowi!

— To jest wielka historia! powtórzył Dawid kręcąc głową. To się może zrobić, ale potrzebaby po kątach chodzić, i pieniądze dawać, i ludzi małych ku-

pować: robota ciężka i nudna, a wiele czasu zabrać może. Niech tylko JPan po głowie poszuka, to się ktoś łatwo znajdzie, co zaprowadzi... Nu! to choćby kasztelan!

Pan Krzysztof machnął ręką. Dawid nie nie rozumiał.

— Proszę pana, mówił dalej: ja tu już z górą lat dwadzieścia praktykuję, nie urzekając, na psa urok... a jeszcze mi się nie trafiło takiego pana widzieć, choć służyło się różnym, żeby sobie kogo swojego w Warszawie nie znalazł. A w ostatku, z przeproszeniem pana za gadatliwość, jeżeli do króla potrzeba... to może jaki process... interes... znajdzie się adwokat, mecenas, prawnik.

— Ja nie mam procesu, rzekł Krzysztof.

— Przepraszam JW Pana — dodał kłaniając się Szuba — może to nie będzie w guście jego o co ja pytam, ale ja muszę wiedzieć co to za interes, a możeby się poradziło... Jam bywały... przez moje ręce nieraz przechodziły bardzo delikatne sprawy; bo wielka rzeka czasem przez mały otwór przecieknąć może... tak! Ale co tu długo gadać! do woli JPana: czy powiedzieć lub nie.

— Ha, no! zawołał pan Krzysztof: ja tu zresztą żadnych tajemnic z tego robić nie myślę. Dotknęło mnie nieszczęście... porwano mi syna jedynaka, — przybyłem, aby go odzyskać. Jeżeli mi go dobrowolnie oddać nie zechcą, pójdę u króla szukać sprawiedliwości...

— Jak to? syna! przepraszam — odezwał się Szuba mocno zadziwiony — ale ja tego nie rozumiem.

Pan Krzysztof podumał chwilę, ale trzeba się było na prawdę przed faktorem spowiadać; faktor był pew-

nego rodzaju lekarzem, musiał wiedzieć chorobę, na którą miał radzić: dla niego nie mogło być tajemnic.

— Rzecz prosta, rzekł stolnikowicz: ja się zowie O.....

— Nu! to tak jak kasztelan?

— Tak samo, alem ubogi...

— Co to jest ubogi? przerwał Szuba: kto ma takie imię, to dziś może nie mieć nic, a jutro będzie milionowym panem... Czego JW Panu życzę—dodał kłaniając się.

— O to mi wcale nie chodzi, rzekł wzdychając pan Krzysztof.

— Ale cóż to się stało z pańskim synem? spytał Dawid.

— Syn mój był w szkołach, chłopak wyrostek, zobaczyli go jadąc kasztelaństwo, pytali kto jest, a że się im widać podobał, z fantazją magnacką zabrali go sobie, nie pytając mnie wcale...

— No! jak to? to chyba pan im przyjechał po-dziękować? zawołał Szuba.

— Ja dziękować! rzekł pan Krzysztof; mówię ci, zem przybył go im odebrać.

Żyd stanął mocno zdziwiony znowu, potrząsając głową niedowierzająco.

— Słuchaj, mosanie Szuba, odparł powoli stolnikowicz: masz waćpan dzieci?

— Dwóch synów, rzekł Dawid, nie urzekając.

— Gdybym ja ci jednego wziął? dałbyś mi go?

— A! proszę pana, to jest co innego, my mamy swój zakon, zawołał Szuba; onby w chrześcijańskim domu mógł się go wyrzec i zapomnieć.

— No! to widzisz acan, odparł p. Krzysztof: i my też uboga szlachta mamy swój zakon, którego nie

chcemy, by dzieci nasze wyrzekały się i zapominały... Wolimy ubóstwo nasze... niżeli...

Tu wstrzymał się i nie dokończył... Żyd poruszył brwiami znacząco i skłonił głowę.

— Rozumiem po trosze, rzekł z westchnieniem: ale to już dalej nie ma co i mówić... Po cóż oni jego zabrali?

— Mówią, że nie mają dzieci, że im się podobał, obojętnie dodał ojciec.

— A! a! biorąc się za głowę odparł żywić Szuba: to dla niego może być wielkie szczęście... Na co pan jego chce odbierać? Gwałt! ja znowu doprawdy nie nie rozumiem.

— Cóż u kata! krzyknął stolnikowicz, — rzecz bardzo prosta: chcę napowrót *mojego* dziecka!... Mam tylko jedno, ale gdybym miał dziesięcioro, wołałbym dla nich ubóstwo, niż to państwo przegniłe. Niech będą szlachtą, a nie lokajami w złościwej liberyi.

— No! wola pańska! co to już gadać! Ale to jest cała historia, i osobliwsza historia, zaprawdę!... Teraz po trosze rozumiem, dla czego pan tu znajomych nie ma: tacy ludzie jak pan, z przeproszeniem, sami sobie po świecie chodzą.

Stolnikowicz spojrział i dziwnie się gorzko uśmiechnął...

— No! więc jutro o dziesiątej do kasztelaństwa, rzekł żywo.

— Jak to? o dziesiątej? spytał Szuba.

— Tak! o dziesiątej, dodał rachując stary: konie sobie wytchną dobrze nazajutrz, potem porobię sprawniki małe do domu... Co dziś? A! niedziela! W poniedziałek idę do nich, we wtorek się wybierzemy, we środę koło południa wyruszmy do domu...

Szuba z uśmiechem pokiwał głową niedowierzając.
— To może być... ale... prędkiej tak nie będzie...
No! jutro zobaczymy. Tylko, że o dziesiątej w takim domu to jeszcze wszyscy śpią.

— O dziesiątej! rzekł zdziwiony pan Krzysztof.

— O! często i o jedenastej, czasem i o południu, zawołał Szuba; a jak się obudzą, to już ich w domu nie ma. To jest także sztuka dostać się do takiego wielkiego państwa, zwłaszcza jeżeli oni sami nie bardzo chcą przyjąć. Można pół roku stać w bramie i czatować, a twarzy ich nie zobaczyć... w końcu i ludzi przepłacać, i w tylniej furcie łapać ich potrzeba... lub gdy z powozu wysiadają, na wschodach.

— To już moja rzecz! rzekł stolnikowicz śmiało.

— O! o! pan tu chyba doprawdy nigdy nie był, uśmiechając się dodał Szuba.

— No! mniejsza! Ja na ich ceregiele wiele zwać nie będę: dobre to dla innych, ze mną tak się nie uda... O jedenastej zaprowadzisz mnie acan do ich pałacu, o resztę się nie troszczę.

— Jak JPan rozkaże... ale, gdyby wolno co powiedzieć, jabym trochę inaczej radził, z przeproszeniem.—Tu dobył zegarek z kieszeni, na który popatrzał z uwagą.—Teraz jest siódma, ja zaraz pójdę na wzwiady; mam tam znajomego kamerdynera. Nie wygadamy się, że pan tu jesteś, nie obawiaj się pan, proszę; wiem, że wszystkoby się tym popsulo, ale dostanę języka, a jutro zobaczymy... Niech pan się nie kładzie spać, i na mój powrót poczeka.

— Ha! no, dobrze! odpowiedział ochłonawszy nieco stolnikowicz, który widocznie stracił nieco pewnością siebie, i poczynął wątpić:—idź acan śpiesznie po język, zobaczymy co mi przyniesiesz.

Szuba skłonił się, podumał jeszcze nieco, powoli drzwi otworzył i wyszedł.

Pan Krzysztof spoczął trochę przybity i zastygł po tej rozmowie, potem wysunął się obaczyć co się dzieje z końmi, około których na straży stał Juraś, miotany wciąż wielką niespokojnością i zerkający oczyma, czy gdzie warszawskiej syreny nie zobaczy. Tu jakoś było cicho, tłómoki już zniesiono wprzód na górę. Juraś tylko utrzymywał, że jakiś bardzo podejrzany człowiek przechodził trzy razy przed bramą, i przyglądał się koniom nieprzyzwyczajenie... co zmuszało go mieć się na wielkiej baczności. P. Krzysztof powrócił do izdebki, a że nie jadł, kazał sobie podać kawy, chleba i wina, wieszczyć ni tak ni owak, bo strawa tutejsza wstąpiła w nim obudzić: wołał więc wybrać co mógł najprostszego, by w kotleciku lub mięsie konia, kota lub psa nie skosztować. Po wsiach rozpowiadano sobie na seryo, że w stolicy traktownie karmią tylko zdechliną i różnemi tego rodzaju przyprawami, przyprawami w sosy udatne.

Upłynęło godzin parę, a stolnikowicz już chodząc z różańcem pacierze odmawiał, — gdy zapukano do drzwi, i Szuba wszedł powoli z rozjaśnioną twarzą. Widać na niej było razem jakiś tryumf miłości własnej i zakłopotanie.

— No, a cóż tam? spytał pan Krzysztof.

— Dotarłem JPanie, dotarłem... odparł Szuba, — zaraz się wytłómaczę. Rozgadałem się z kamerdynem... mówiłem z kredencierzem... wywiedziałem się o co trzeba u odźwiernego w bramie... i już wszystko wiem, wszystko wiem...

— Ale czegoż się acan dowiedział? szturmował niespokojnie ojciec.

— Odźwierny jest gaduła, a lubi piwo; jego musiałem najprzód za język pociągnąć, żeby wiedzieć jak z innymi gadać... No! co to długo męczyć JPana? Tam już pańskiego syna nie ma.

Stolnikowicz cofnął się przerażony, załamał ręce, i krzyknął głosem strasznym:

— Co się z nim stało? Nie ma? cóż z nim zrobili? Kłamią złodzieje!

Szuba potrząsł głową, widząc gniew stolnikowicza.

— Był syn pański, to prawda, przywieźli go tu jak w bawełnie delikatnie, pieszcząc gdyby własne dziecko... ale zaraz mu dodali Francuza guwenera, i wyprawili go do Paryża.

— Jakto może być? kiedyż?

— A dzisiaj rano!

— Dziś rano! krzyknął p. Krzysztof, jakby się gonić zabierał,—to jeszcze go napędzić i odebrać im można...

— Co pan myśli? On pocztą pojechał, a jutro będzie za granicą! Jeżeli oni chcieli go od jegomości odsunąć, nie ma co gadać: dobrali dobrze sposobów! Albo kto wie jaką powieźli drogą!

Pan Krzysztof stał zmartwiał, z rękami ściśniętymi, łzy mu płynęły z oczu; Żydowi aż się go żal zrobiło, i spoehmurniał.

— O! o! co to tak bardzo strasznego—dodał,—jak się chłopiec trochę przetrzęsie? Jeżeli oni powinni będą panu oddać, przywiozą go i z Paryża!

Stolnikowicz nie odpowiedział; przybity, zrozpaczony, zwiesił głowę na piersi; słowa mu się przez wargi drżące nie mogły precyzyjnie; belkotał niewyraźnie sam do siebie:

— Do Paryża! powieźli go do Paryża!

— Już to widać, że oni się musieli zleknać pańskiego przyjazdu, i że się im chłopiec bardzo podobiał, rzekł Szuba cicho. Może oni jego myślą wziąć sobie za syna!

— Za syna! krzyknął nagle stary, podnosząc głowę,—ale ja także chcę mieć syna!... to moje dziecko... Jakże? wolno jest panom jak Cyganom kraść dzieci?..

— JPanie—z cicha mówił Dawid,—niech się pan trochę uspokoi... Powoli! powoli. Tu nie nie pomoże krzyczeć i narzekać... tu potrzeba flegmy. Ludzie powiadają, że tam jemu krzywda żadna stać się nie może... pojechał jak wielki pan.

— Pójdę więc wprost do króla! zawołał nie słuchając nie pan Krzysztof,—przed tron! Tron powinien być ołtarzem sprawiedliwości. Pójdę przed tron: niech ludzie wiedzą, niech słyszą, niech sądzą, to rozbój!... Niechby mi wzięli majątność! to nie! ale dziecko, które chowałem sobie, dla siebie... dziecko, może to być?

— Jaśnie panie, rzekł cicho Szuba: na świecie dzieje się zawsze wszystko to, co nie może być... i coby być nie powinno... taki to już porządek. Człowiek na to żyje—aby znosił.

Pan Krzysztof z gniewu i boleści płakał znowu, ale mu wstyd było świadka téj męczarni.

— Przychodź waćpan jutro rano przed jedenastą... zobaczymy—rzekł odprawiając pomocnika.

— Niech tylko JPan się uspokoi, odezwał się żegnając go Szuba. Noc, to wielki professor. Jak JPan pomyśli, no! to się coś znajdzie: Pan Bóg da.

Spytawszy się, czy czego jeszcze nie potrzebuje? i nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, odszedł Szuba, a pan Krzysztof pozostał nareszcie sam ze swoją ciężką troską i rozpaczą.

Co tu było począć? Przewidział on wszystko; tego tylko wypadku, by syna nie zastał, by nawet zobaczyć go i do serca jego odezwać się nie mógł — ani przeczuł, ani obrachował. Któż wie? myślał, może umyślnie, lękając się wpływu ojcowskiego, biedne dziecko pochwyciono, porwano mimo woli, splakane, stęsknione, gwałtem i zdradą. Wszystko teraz było prawdopodobne... Obrazy dzikie i straszne przesuwały się przed oczyma pana Krzysztofa, któremu noc zeszła w srogim niepokoju.

Drzemał znużony, zrywał się, chodził, kładł, i doczekał nareszcie brzasku po nocy wiekuiściej, której równiej i tak długiej w życiu swém nie pamiętał. Szarzejący już w oknie dzień dłużej mu leżeć nie dał. Wstał, począł się modlić, i jakoś lżej mu się zrobiło na duszy.

Zdawało mu się, że wszystko, co go wczoraj tak znękało, było tylko marą senną; że Żyd fałszywie mu doniósł, namówiony lub zwiedziony; że syna znajdzie i jeszcze go odbierze, że wśród tak uczciwego i porządnego świata, zbrodnia taka stać się nie może.

— Żyd bredzi, mówił sobie — albo to podstęp tylko... Bądź co bądź, potrzeba iść dalej, a co Bóg da, to da!...

Czas zdawał się niecznośnie przedłużać, do jedenaściej trudno mu było doczekać; w ulicach ślota i błoto; musiał p. Krzysztof kazać przyprowadzić fiakra, i posadzwszy Szubę na koźle, ruszył do pałacu kasztelanstwa.

Przyjechali pod bramę, ale ta stała hermetycznie zamknięta. Żyd poszedł do znajomego odźwiernego, który go furtką wpuścił razem ze szlachcicem; na schodach jednak spotkali straż pilną, oznajmującą, że J. Pani śpi, a pana całą noc w domu nie było.

Zachmurzył się stolnikowicz.

— O którejże godzinie z tą waszą panią widzieć się można? zapytał służącego.

Służba dobrze tego nie wiedziała: zaczęły się dopytywania, szepty, targi; nie było sposobu robienia dłużej tajemnicy, pan Krzysztof nazwisko swoje powiedział, i prosił o naznaczenie godziny. Starał się okazywać spokojnym, ale wrzał w duszy. Po dość długim wyczekiwaniu i bieganiu po wschodach, kamerdyner przyszedł oznajmić, że z J. W. grafinią chyba po godzinie pierwszej widziećby się było można.

Dwie godziny stać w bramie było nie podobna; pan Krzysztof zaciąwszy zęby, milezący, kazał powrócić „pod Łabędzia,” regulując swój zegarek do wiszącego nad wschodami.

W pałacu tymczasem, gdy doniesiono o przybyciu człowieka, którego się już co chwila spodziewano, zrobił się alarm wielki. Od całej téj sprawy sam kasztelan zupełnie ręce umył, i postanowił pożyczwszy owych kilkaset dusiów u żony, dopomagać tylko biernie, to jest nie przeszkadzać, ale osobiście weale się do niczego nie mieszać.

— Pięknej pani zdawało się zresztą, że ona to sama równie dobrze poprowadzić potrafi.

Adaś istotnie był już na drodze do Paryża z p. Merlon'em, a kasztelanowa bojąc się krzyku szlachcica, wymyśliła wespół z przyjaciółką panią de Rive nastawić na niego co najzręczniejszego wykrętacza, aby go *per fas* lub *per nefas* uspokoił, i jakoś się go pozbył...

Wybór człowieka do interesu tak zawikłanego i niezwykajnego, weale nie był łatwy; im wypadek był mniej pospolity, im uczucia wywołane przezeń mniej

wchodziły w grę powszednią, tém zręczniejszego, tém dowiecipniejszego należało dobrać pośrednika, któryby nie drażniąc szlacheica, potrafił zbytnim krzykom i skandalowi zapobiedz.

Padł tedy los na niejakiego Tymoteusza Zgagę, męża niepospolitych zalet, o którym powiadano powszechnie, że nie wiadomo czy większy ma talent do kratek, czy do sceny, na jurystę, czy na aktora. Pan Tymoteusz nie był z professyi adwokatem, ani zawołanym jurystą; ale chodził około spraw jak nikt, a wygrywał je zwykle wcale się nie procesując. Wszystkie skandaliczne zatargi onego czasu przechodziły przez jego ręce lub głowę, a gdzie go nawet na oko nie było, tam jeszcze w kąciku pewnie siedział zakryty.

Znali go wtajemniczeni w genialne jego prace; imię rozgłosu zbyt wielkiego nie miało.

Zgaga robił pieniądze ogromnie, a o resztę zdawało się, że nie dbał wcale, lub ją na przyszłość odkładał. Podejmował się w ogóle wszelkich robót, jakiekolwiek mu kto chciał powierzyć. Stosunki jego towarzyskie, które dla niego były najczęściej pomocą wielką, głęboka znajomość serca ludzkiego, wymowa, zręczność, cierpliwość, chłodna krew, czyniły go nieoszacowanym w sprawach zawikłanych. Nie działał w nich tyle sam co przez drugich: zużytkowywał sprężyny i sprężynki umiał cudownie. Nasadzał ludzi na ludzi, uczucia stawiał przeciw uczuciom, wpływy na wpływy, często drobnych bardzo na pozór używał środków, gdzie wielkie nie pomagały, i homeopatya dawał sobie rady cudownie.

Nie zrażając się niepowodzeniem, obojętny na to, co go osobiście spotkać może, choćby najnieprzyjem-

niejszego, Zgaga zdążał uparcie do celu, i prawie zawsze w końcu go osiągał.

Znali go kasztelaństwo, bo mieli długi i procesa, mieli różne układy o spadki z familią, a w upartych nieraz go puszczać musieli ze smyczy. Zgaga był ostatnim chartem, którego zwykle, gdy już nic innego nie pomagało, wysyłano w pogoń za uciekającą sprawą.

Kasztelanowa z bilecikiem własnoręcznym natychmiast wyprawiła po niego karetę, prosząc, by nie tracąc chwili przyjeżdżał niezwłocznie. Szczęściem zaproszenie to zastało go w domu; pochwyceno doktora i dostawiono do pałacu, nim jeszcze na pierwszą godzinę zapowiedziany stolnikowicz się zjawił.

Kasztelanowa blada i drżąca, przyjęła go w buciarze. Opowiedziała mu dosyć nieporządnie, piątę przez dziesiątę, rzecz całą, odmalowała to jako sprawę usynowienia, jako ideę męża głównie, do której i ona gorąco się przychyliła... Wykład ten tak był mało zrozumiały i nieporządnym, że potrzeba było roztropności i wprawy Zgagi, by w nim jasno coś zobaczyć. Kasztelanowa z pośpiechem namiętnym kobiety, rzuciwszy mu zarazem koniec, początek, to co się stało i stać mogło, tak zagmatwała ekspozycję, że prawnik musiał dopełniających szczegółów długo zasięgać, nim wyrobił sobie dobre pojęcie o wypadku i sposobie, jakiego mógł użyć do obrony. Z popłatanej mowy, rumieńców, pomieszania, jakań, gorącego stawiania w obronie męża, pan Tymoteusz zmiarkował, że się tu coś święci, czego jeszcze dobrze nie rozumie; domyślił się nieco węchem wprawnego ogara, i pokiwał głową, jak lekarz wezwany do chorego, który nim go uratuje, musi rodzinę nastraszyć; aby pomoc jego tém większą miała wartość.

Uzdrowić z lada lekkiej napaści pospolitej choroby, niezm jest, ale dźwignąć kogoś od wrot śmierci! Zgaga więc najprzód dał do zrozumienia, że nie przesadzając nic, bo nie zna głównego aktora, robotą może być wszakże niełatwa. Zależało to od tego, czém ojca ująć lub ukolysać będzie można... Potrzeba go było poznać, wymacać: nikt nie miał jasnego pojęcia o jego charakterze. Stało na tém, że wymawiając hrabinę lekką chorobą, migreną, nerwami, — Zgaga najprzód miał się sam rozmówić ze stolnikowiczem, a potem dać informację, jak sobie z nim postąpić należy.

— Tymczasem to tylko pani dobrodzieje powiedzieć mogę, dodał Zgaga—co mówię zawsze wszystkim moim łaskawym, którzy słabej pomocy mojej żądać raczą... Jeżeli się ma z flegmatykiem... wielka, wielka bieda! Jeżeli adwersarz gorączka, impetyk... rzecz nierównie łatwiejsza. Szparkich ludzi, gdy się do wybuchu doprowadzi, nakrzyczą, nałajają, narzucają się, osłabną, a potem z nimi rób co chcesz. To mój aksyomat—dodał,—nigdy on mnie nie zawiódł. Niech pani tylko zważa: jeżeli w sali bardzo krzyczeć i hałasować będziemy, sprawa dobra; jeżeli rozmowa cięcho przejdzie... tém-ci gorzej!

— O godzinie pierwszej pan Tymoteusz Zgaga był na placu i oczekiwał nieprzyjaciela w postawie bojowej, to jest zimny, chłodny, zamknięty, spokojny, zrezygnowany choćby na jaką burdę we cztery oczy, a pewien siebie. Stary żołnierz, niebardzo nawet potrzebował przygotowywać się do walki.

Dodać należy, iż człowiekowi temu Nieba dały (tak się wyrażano w owej epoce) powierzchowność doskonale dobraną do rzemiosła.

Był to co się zowie piękny mężczyzna, postawy wyniosłej, poważny, urodziwy, miły, z miną nadzwyczaj otwartą i szlachetną, z tonem i obejściem się wielkiego świata, wkradający się do serca, ujmujący słodyczą i uprzejmością. Nie w nim nie zdradzało wykrętacza i przebiegłego intryganta; owszem na pierwszy rzut oka przysiągłbyś, że to człek wielkiej prostoty, dobrej wiary, nawet nieco łatwowierny. Pierwsze wrażenie, jakie czynił na przeciwniku, było mu zawsze wielce korzystne.

Wyrobienie sobie tej powierzchowności, Zgaga zawdzięczał głębokiemu zastanowieniu się nad naturą ludzką, i dobrze zrozumianej potrzebie ujęcia człowieka. Kogo nie mógł miódowemi ująć słowy i serdecznem obejściem, temu później starał się imponować majestatycznym chłodem i obojętnością stoicką, pełną powagi.

Umyślnie się zawczasu obrachowawszy, którądy p. Krzysztof wchodzić będzie, stanął Zgaga w przeciwnym końcu wielkiego salonu. Miał to na uwadze, że dłużej tym sposobem będzie mógł przypatrywać się fizyognomii gościa, i że choć mu wypadnie także iść powoli ku niemu, wybada jego oblicze nim się zetkną, i będzie już wiedział, jak rozmowę stosownie do temperamentu rozpocząć.

O pierwszej przybył stolnikowicz, i wpuszczony zaraz, ukazał się w progu sali. Po ukłonie zaczął się zbliżać ku Zgadze, który też postępował ku niemu, pełen słodyczy i uprzejmości. Surowa twarz szlachcica wcale go nie cieszyła.

— Pan Krzysztof O....? zapytał pierwszy, kłaniając się nader grzecznie.

— Tak jest, rzekł przybyły.

— Jestem Tymoteusz Zgaga, przyjaciel domu JW. kasztelaństwa...

Odechrząknął.

— Tak nieszczęśliwie tu pan dobrodziej trafiasz, że ja muszę mu gospodarzy zastąpić. JW. kasztelan wyjechał na polowanie do Jabłonnéj na dni kilka, a hrabina zasląbla nieco w skutek fatyki... chociaż jest to tylko chwilowa niedyspozycja. Muszę z góry pana dobrodzieja uprzedzić, że wszelkie domowe sprawy domu tego są mi zupełnie wiadome, i że mówiąc ze mną, umocowanym ze wszech miar, wyjdzie na jedno jakbyś pan mówił z nimi.

— Jednakże — odparł trochę zaczerwieniony pan Krzysztof — przyznam się panu, że choć bardzo miło mi poznać przyjaciela domu kasztelaństwa, nie sądziłem, bym miał z posłami traktować.

— „O ho! gniewa się nieco, to dobrze” rzekł w duchu Zgaga; a głośno dodał: — Możeby to jednak ułatwiło właśnie interes, dając sposobność otwartszego rozmówienia się.

— Ale ja tu żadnego interesu nie mam! zawołał stolnikowicz. Ja wprost przychodzę po moją własność i kwita: po własność, którą sobie *jure caduco* przyswojono, że nie powiem inaczej. W Pan wiesz o co chodzi?

— Domyślam się, rzekł bardzo wolno Zgaga: o syna.

— Tak jest...

— Przepraszam pana dobrodzieja, ale to nie jest tak prosta własność, jak się podoba panu ją nazywać, odparł Zgaga.

— Jak to?

— Już ciż syn, dziecko, człowiek wreszcie... dodał prawnik.

— Jakże to? więc moje dziecko nie jest mojem? podchwycił osłupiały pan Krzysztof.

— Niezaprzeczenie — przerwał Zgaga, który umyślił powoli opłatać i niecierpliwie pana Krzysztofa, aby w ten sposób zdobyć klucz do jego charakteru. — W całej téj, przyznaję, dosyć niezwykłej okoliczności, wiele jest do ocenienia, do obrachowania.

— Przyznam się panu, że go nie rozumiem, odparł Krzysztof; nie jestem wielkim filozofem, ani siewcą sofizmatów i słowa. Wiem tylko to, że miałem cię że mi je pochwycono, i że je powinienem odzyskać.

— Pochwycono! powtórzył pan Tymoteusz: ale za własną dziecięcą, które jest już dorosłe, wola i zgoda.

— Wola! dziecka małoletniego! cóż to za wola? spytał p. Krzysztof. Gdzie jest prawo, coby mu w tym wieku sobą rozporządzać dozwalało?

— Za pozwoleniem, rzekł zwolna prawnik, — zgadzam się na to; że podobnego wypadku prawo nie przewidywało, aby syn niemających rodziców, wzięty na wychowanie przez bogatych krewnych, nie mógł sobą dla dobra swojego rozporządzić. Jest to *casus* ciekawy i nowy.

Pan Krzysztof osłupiał, potarł wąsa i zarumieniał się i odparł:

— Ja z WPanem nie mam co gadać. WPan jesteś stary wyjadacz, jak widzę; jam prosty człowiek.

— Dziękuję za pochwałę niezasłużoną, uśmiechnął się Zgaga, — ale bądź co bądź, proszę usilnie, abyś mi pan dobrodziej raczył udzielić swęj myśli, dla tém prędzszego porozumienia się. Będę mu służył za pośrednika.

— Chcę mieć swego syna rzekł stolnikowicz.

— Zapewne panu dobrodziejowi wiadomo być musi, że z prawdziwie ojcowską dlań miłością, JW kasztelaństwo, śpiesząc, aby korzystał co najrychlej z lat niepowrotnych młodości, zwłaszcza że wychowanie było nieco spóźnione, wysłali go z nauczycielem do Paryża, téj stolicy...

— Stolicy zepsucia! krzyknął pan Krzysztof: bezbożności, zgorszenia!

— Wszędzie złe i dobre się znajduje, odparł Zgaga; ale przy pilnym dozorze domowym, przy nauce... Stolnikowicz ręce łamał.

— Więc to prawda! więc go tu już nie ma! zawołał.

— Tak jest, wyjechał za granicę,—rzekł chłodno prawnik.

I rozporządzili się nim jak swoim, nie czekając od nas słowa... za nie rachują wolę rodzicielską... A! to nie do wiary.

Chwilę ciężkiego milczenia, przerwał Zgaga miodowo:

— Proszę W Pana dobrodzieja — rzekł,—gdybym mu pragnął zapisać parękroć sto tysięcy: czybym na to jego pozwolenia potrzebował?

— A! spodziewam się! ofuknął pan Krzysztof dumnie,—boby ich od W Pana, ani od nikogo innego nie przyjął...

— Otóż... przyznaję się panu, że tegobym się nie domyślił! szepnął z uśmiechem p. Tymoteusz.

— Boć widać W Pan do lichych ludzi, co na datki polują, przywykł, mospanie! rzekł stolnikowicz.

Na takie *dictum* przyostre, zmieszał się trochę Zgaga, ale pokrył urazę uśmiechem aksamitnym. Pan

Krzysztof był już podrażniony, co z razu prawnikowi zdawało się bardzo dobrą oznaką, zbliżającą przesilenie i mającą za sobą prowadzić zesłabienie wedle teorii jego nieuchronne.

Nie obrał się wszakże Zgaga, że miał do czynienia z egzemplarzem człowieka wcale mu dotąd nieznanym, z wieśniakiem zadowolonym: im szerszym, tém niegrzeczniejszym, a nie użytym, więc upornie stojącym przy swoim.

— Z różnymi ludźmi, mój mości dobrodzieju — rzekł,—miewało się do czynienia, i w różnych interesach... to też się do różności przywykło.

— Tak! przerwał wieśniak: przywykliście też i do tego, że zimno możecie patrzeć na to, jak kto komu dziecko ukradnie, a ma to jeszcze za uczynione poszkodowanemu dobrodziejstwo!

Zgaga, czuł, że tych nieogłędnych wyrażen słucha pewnie za drzwiami kasztelanowa; przykro mu to było, suwał nogami, by je zagłuszyć, innéj rady nie miał.... Nakoniec przerwał stolnikowiczowi:

— Proszę pana dobrodzieja, o co chodzi? Wzięto panu dziecko? Sądzone, że dając mu staranne wychowanie, i podejmując się przyszłego jego losu, przynajmniej krzywdy się nie robi nikomu, jeżeli się na wdzięczność nie zasługuje. Dziecko to wysłano natychmiast do najpierwszych w Europie źródeł nauki... Oddać go w téj chwili panu, gdyby chciano, niepodobna: cóż poradzić? co począć? Chcesz pan zwrotu syna... więc go zwróć, ale na to potrzeba czasu.

— Tak! piękna pociecha! rozśmiał się z ironią stary: zwróćcie mi go, zdarłszy z niego pocziwą niewinności szatę, uczyniwszy z niego istotę, w której ja własnego dziecka nie poznam... Wróćcie mi go

jak ów w dykteryjce chłopak, co buty pożyczone do Częstochowy sąsiadowi oddał.

Na te wyrazy wyrzeczone bardzo głośno, Zgaga zdreptał: były niesłychanie dobitne, były przykre; nie wiedział już co ma na nie odpowiedzieć. Widocznie pomieszany, stał obrońcą złej sprawy w postawie, w której przebijało się upokorzenie niespodziane i gniew z doznanej porażki.

— Cóż więc uczynimy? wyjąknął—syna pańskiego nie ma...

— Mogliście go wysłać—rzekł stary,—możecie tak samo posłać po niego. Co mi tam! ja chcę tego, do czego mam niezaprzeczone prawo.

— Słowo tylko, przerwał Zgaga: racz się pan zastanowić, czy przez te władzy rodzicielskiej upominanie się, nie wydzierasz pan dziecku szczęścia i losu, którego ono samo pragnąć może?

— Jakiż dowód, że ono go pragnie? spytał pan Krzysztof—niech posłyszę, niech mi powie...

— Zdaje mi się, że zostawił list do pana.

— O! list! mógł być wymożony...

— Panie dobrodzieju! takie podejrzenie!

— Kto może pochwycić dziecię, może użyć wszelkich środków, aby je zatrzymać.

Zgaga spuścił głowę. Zdawało mu się, że już nie pozostaje nad użycie intymidacyi; nabrał więc postawy pańskiej, podniósł powoli oblicze, na którym spokojna malowała się duma i zamilkł. Stolnikowicz także zamilkł, nie wiedząc co począć dalej.

— Nie będę więc widział ani kasztelana, ani kasztelanów? zapytał. Lękają się wzroku ucziwego człowieka...

— Miałem honor oświadczyć panu dobrodziejowi

rzekł zimno Zgaga: że pani hrabina jest chora, a pan kasztelan na polowaniu.

Stolnikowicz obejrzał się jakby szukał kija, zmarszczył brew, i weale niezmieszany tą impozycją, popatrzywszy długą chwilę w oczy panu Zgadze, tak, że zmusił go w końcu do spuszczenia w dół wejrzenia, splunął mu pod nogi, i nie skłoniwszy się wyszedł.

Ho! butny szlacheć! rzekł trąc czuprynę Zgaga, który jak wryty pozostał w miejscu i patrzył na plamę na podłodze,—butny szlacheć, ale go przecię ostudziły... Co za szczęście, że mu nie przyszła ochota plunąć mi w oczy!.. gotowa byłaby historia!

Ledwie się drzwi za panem Krzysztofem zamknęły, blada twarz samej pani ukazała się z za drzwi przyległych. Widać było, że stała niedaleko, że słuchała całej rozmowy. Weszła powoli z załamanymi rękami. Najmniej bacznego postrzegacz mógłby być z wejrzenia na nią przekonać się, że w całej téj dziwnej historii, nie prosta fantazja, ale serce, ale namiętność jakaś grała rolę przeważną. Kasztelanowa była dziwnie zmieniona, strwożona, wylekła: dwie jasne łzy kręciły się jęj na powiekach.

Zgaga spostrzegł dopiero, że rzecz była ważniejsza, niż mu się z razu zdawało.

— A! mój Boże! mój Boże! zawołała: panie Zgaga! co to będzie? to jakiś straszny człowiek!

— Nie pani, to tylko grubianin i po wszystkim, rzekł spokojnie pan Tymoteusz.

— Cóż on począć myśli?

— Nie wiem, ale sądę, dorozumiewam się, prawie jestem pewien, że powlecze się ze skargą do króla... Trzeba go tylko znużyć... przewłoką. Poradzimy na to, aby łatwo posłuchania nie dostał. Niech się wy-

czeka, ostygnie: przyjdzie chwila, gdy złamany, sam będzie prosił o układy, i da się na wieś odprawić z trzosikiem indemnizacyi lub słówkiem pociechy... Niech pani będzie spokojna!

— Możemy źle zrobili, żeśmy chłopca odprawili do Paryża. Al boję się zbytniego rozgłosu.

— Jakiego? ze szlacheica śmiać się będą, boć jawnie głupi, kiedy mu nie w smak, że mę syna chcą uczynić panem i przyzwoitym człowiekiem. Niech pani spocznie—dodał prawnik,—a zda wszystko na mnie, i śpi sobie spokojnie. Idę śledzić jego kroki, i ręczę, że go złamię; tylko czasu i cierpliwości: jemu jój braknie, my ją mieć musimy. Od dziś dnia bramy pałacu będą dla niego zamknięte; zresztą proszę spuścić się na mnie.

To rzekłszy, Zgaga wziął czapkę, słońił się nisko, i wyszedł rozjaśniony uśmiechem.

Kasztelanowa zostawszy sama, zakryła twarz rękami i zapłakała na dobre. Biedna! pierwszy raz w życiu kochała... i boleść ta nawet była jój miłą.

Odgadł bardzo trafnie Zgaga, że szlacheic nie miał innój myśli, tylko natychmiast udać się do króla JMości. Powrócił rozdrażniony do gospody i posłał niezwłocznie po Szubę, chcąc się u niego poinformować, jakim sposobem uzyskiwało się posłuchanie. Zdawało mu się, że być to powinno równie łatwą dla obywatela, jak przystęp do wszelkiej innój wysokiej magistratury krajowej.

— Na to on jest królem—rzekł sobie p. Krzysztof,—aby skarg naszych słuchał... więc przystęp do niego utrudniany być nie może... Jutro pójdę i powiem mu wszystko.

Na nieszczęście teorya ta bardzo logiczna, nie zupełnie się zgadzała z rzeczywistością. Król JM. miał nie jedno to zajęcie słuchania zażaleń i rozsądzania spraw: na jego ramionach spoczywał naówczas cały gmach Rzeczypospolitej. Naostatek, przy najlepszych chęciach, JKMość otoczony był zastępem ludzi, których zła wola, proste znieczcierpliwienie, duma, fantazyja mogły długo odsuwać od oblicza pańskiego kogo się podobało, a raczej kto się nie podobał. Rzecz więc niezmiernie prosta, że pomówienie z królem, w teoryi

łatwe, w praktyce stawalo się niezmiernie trudnym zadaniem.

Przywołany Szuba, wszedł i popatrzał najprzód uważnie na p. Krzysztofa; poznał po twarzy, iż rzeczy idą oporem.

— No! z tymi panami nie ma co robić, rzekł stolnikowicz: idę jutro do króla... Mów acan, jak tam do niego trafić?

— A no! na zamek wprost, odparł Szuba powoli i jakby niechętnie,—a tam to już szambelany wedle porządku jegomości poprowadzą. Król dwa razy na tydzień próśby przyjmuje, a jest bardzo grzeczny i dobry człowiek: z tem nie będzie wielkiej turbacyi, ale czy będzie skutek?

— No! to już moja rzecz, rzekł p. Krzysztof, ale dwa razy na tydzień, nie wiadomo kiedy... Dziś jest poniedziałek, idźże mi się acan dowiedz dokładniej o dzień i godzinę.

Szuba posłuszny odszedł, i nie było go godzin parę.

— A! rzekłszy wróciwszy, skrobiąc się po głowie: to jest prawdziwe nieszczęście. Król JMość na polowaniu w Niepołomicach.

— A kiedyż powróci?

— Nikt dobrze nie wie, rzekł Szuba; mówią, że w piątek... bo tam jest jeszcze gdzieś w sąsiedztwie proszony na zabawę, a bawić się lubi... i...

— I cóż?— zawołał stolnikowicz, widząc że Dawid się wstrzymał.

— No... co tam gadać!—odparł Żyd, wskazując tylko miną, że tam mogły się znaleźć powstrzymujące króla uroki.

Szlacheć się obruszył. Dawid obawiając się wybuchu gniewu, skłonił się i chciał odejść...

— Stójże! czekaj! cicho! Ja tu głowę stracę w tęg Sodomie i Gomorze... Kiedyż król powróci?

— A no! koło piątku.

— A kiedyż przyjmuje?

— Przyjmuje w poniedziałki.

— Jak to! ja mam tydzień cały czekać na niego! ofuknął się stolnikowicz.

Żyd zamilkł, ale widocznie był gniewny.

— Z przeproszeniem—rzekł cicho,—może mnie pan drugi raz za drzwi zechce wyrzucić za to, co powiem; ale jak pan tu posiedzi z tydzień, nie zaszkodzi, lepiej pan pozna dwór i wszystko co się tu u nas dzieje.

— Jeżeli mam tydzień tu siedzieć i męczyć się—odparł stolnikowicz,—to wolę pojechać za nim do Niepołomic... Król na polowaniu na wsi będzie przystępniejszy, ja mu dużo czasu moją skargą nie zabiorę. Dawid już nie mówił, muskał brodę.

P. Krzysztof chodził zamyślony po izbie, ale się nie odzywał.

— Ha! rzekł w duchu: potrzeba dobrze rzecz rozważyć, a kogoś się poradzić. Dzień, dwa na to stracić muszę. Miasta i ludzi nie znam, Żyd niepewien... powoli a ostrożnie.

I nie rozgadując się już szerzej, Szubę tymczasem odprawił, a wziął się do modlitwy, aby trochę rozdrażnione serce ukoić. Tymczasem niebo się jakoś rozjaśniło, pokazało się blade słońce jesienne, i z południa zrobił się rzadkiej piękności dzień, jakby letni, ciepły, taki właśnie, jakiego na świeże posiewy życzyć było można. P. Krzysztof otworzył okno, spojrzał przez nie na Wisłę, na lasy i pola dalekie—westchnął.

Tak mu ten cichy świat smakował, tak go ciągnął ku sobie, tak mu już to mieścisko ciążyło!

— O mój Stwóreo! zawołał ze łzami w oczach: kiedyż mię wyrwiesz z tego Babilonu? kiedy mię wrócisz spokojnej chacie mojej? na co wystawiasz mnie na próby?

Usiedzieć w izbie z myślami ciężkimi, przywykłemu do ruchu było bardzo trudno: wziął więc kij i uszył na miasto, bez celu, aby się przejść tylko.

Nie zważał nawet, że gdy przychodził przez bramę, jakiś jegomość niepozorny, popatrzwszy nań, drugą stroną ulicy nieco go wyprzedzając, pociągnął w tę samą stronę.

Naturalnie p. Krzysztof skierował się ku tej części miasta, która naówczas najwięcej była ożywiona. Szedł na los, nie dobrze wiedząc dokąd; instynkt go jakiś prowadził. Przez Bednarską ulicę zwiłkł się po lichym i zabloconym braku na Krakowskie-Przedmieście i tu się obejrzał. Ów jegomość stał opodal na obserwacyi.

Po przymuszoném zasiedzeniu w czasie sloty, ludzie się teraz roili w ulicach; ścisk był i wrzawa okrutna, obraz dla wieśniaka nowy. Wszystko to, co mu w oczy wpadało, strojne, buńczuczne, kraśne, hałaśliwe, wyglądało całę inaczę niż wiejska ludność spokojna, cicha i pokorna. Poczł się tu mnić szlachcicem i panem, więcej człowiekiem równym wszystkim. Potręcał go kto ehcial; nikt nań nie zważał, a wszyscy zdawali się równi w obec tłoku, który jednako uściskał całą ciżbę. Tylko tarantami pozapręgane karety, nie szanując przechodniów wszelkiego stanu, na szlachcica równie jak na mieszczanina rzucały błotem, a hajducy, kozacy, janczarowie, rozpe-

dzali bez różnicy stanu tłum przed ekwipażami jaśnie wielmożnych... senatorów i Tepperów... kasztelanów i spekulantów.

Z okien, zaraz naprzeciw prawie ulicy, na którą wszedł był stolnikowicz, wyglądały jakieś bardzo postrojone damy, uśmiechające się w ogóle prawie do wszystkich porządniej ubranych przechodzących. A były śliczne, wybielone jak świeżo potynkowana ściana, z rumieńcami jak u lalek, w muszkach, koronkach i fryzurach pudrowanych, na których świeże błyszczały kwiaty. Pan Krzysztof przez jakieś uczucie wstydu, z którego nie umiał się wytłómaczyć, spuścił oczy zarumieniony. Chciał przejść w poprzek, ale przebrnięcie przez to łożę błota było prawie niepodobieństwem. Ekwipaże przelatywały jedne po drugich, a wody było do kostek; gdzieniegdzie łysy wierzchołek kamienia sterczał w górę, ale po tych ciężko się było dostać na drugą stronę cieśniny.

Wprawdzie dwóch szlachty w dobrym chumorze, w czapkach na bakier, brnęło tamtędy w ponsowych butach, zastawiając się laskami bambusowymi od koni; ale ci już swe kurdybany poświęcili byli, a p. Krzysztof choć w kozłowych butach, nie ehciał od razu ich zawałać i zmoczyć. Pozostał więc z lewój strony, natpatrując się w tył i wprzód, i widząc, że jego przechadzka ograniczyć się może wyjrzeniem na Krakowskie.

Tuż zaraz w lewo spojrzawszy stolnikowicz, postrzegł znak winiarni. Nade drzwiami zasklepionemi w półkole z piękną żelazną ozdobą u góry, wyrzeżany był lewek, wspięty na łapach i trzymający ogromne olbrzymie winogrono złote... przypominające to, które przyniosło dwóch ludzi z Ziemi Obiecanęj. Złotemi literami na desce stało wypisane poniżej:

Prosi na wino

Stefan Selewfi z Budy.

— A no! wejdę i wypiję lampkę małą—rzekł w duszy pan Krzysztof, który już nie wiedział co z sobą począć i gdzie się podziąć. Na ruch uczyniony ku sieni i drzwiom, nieznajomy, który się zdawał ezatować, gdzieś za węglem zniknął.

Stolnikowicz znalazł się w ciemnej sieni, i przez wpół oszklone drzwi ujrzał wewnątrz winiarni bardzo porządną. Nikogo w niej jakoś w tej chwili nie było, i tém śmielej też wszedł. Chłopak w czystym fartuszu zbliżył się z ukłonem.

— Daj mi asan szklanekę dobrego, wytrawnego węgryna! rzekł P. Krzysztof siadając.

— Szklanekę? zapytał chłopak nieco zdziwiony.

— No tak, lampkę tylko, ale dobrego...

Nie patrząc już, jak tę dyspozycję przyjmuje posługacz, stolnikowicz siadł spokojnie za stołem, zdjął z głowy czapkę i zadumał się głęboko.

Ale nie upłynęło i dziesięciu minut, gdy drzwi wchodowe zadzwoniły, i smukła postać młodego, rumianego jegomości wsunęła się dosyć hałaśliwie do winiarni, z miną wesołą i rozochoconą. Wchodzący przez szklane drzwi popatrzył nim je otworzył, potem przywitał bardzo grzecznie siedzącego p. Krzysztofa i dosyć blisko niego zajął miejsce... Chłopca nie było; stuknął więc w stół i kazał sobie dać butelkę węgryna.

Chłopiec pobiegł pędem, aby mu służyć, zapomniawszy o lampce stolnikowicza. Przyniósł na tacy najprzód zapleśniałą butelkę.

No! a moja lampka? spytał urażony nieco stary.

— Natychmiast.

— Przepraszam za natręctwo, odezwał się w tej

chwili nieznajomy: smutno to pić samemu, a czasem znów nie napić się nie można. Gdybyś WPan dobrodziej raczył zamiast żądanej lampki, przyjąć i podzielić ze mną tę butelczynę? Niezle wino ma pan Selewfi.

P. Krzysztof, który nieznajomym nigdy w drogę nie wchodził, zmieszał się nieco, ale był człowiekiem prostodusznym i szczerym, co mu wiele w życiu ułatwiało... Szlachta zresztą naówczas zwykła się była zapoznawać ochoczo i bracie prędzej niż dzisiaj.

Nie dając panu Krzysztofowi przyjść do słowa, nieznajomy powstał i sam się zaprezentował.

— Ponieważ z nieznajomym może być niemilo i kieliszek wina podzielić—rzekł,—sam się panu dobrodziejowi mam honor przedstawić pierwszy... Piotr Dobromir Zaklicki, staroście bielski.

— Zaklicki... Piotr? Traf osobiwszy! krzyknął pan Krzysztof zdziwiony. Pierwszego waćpana spotykałam w Warszawie, a nie jesteśmy sobie obcy: to mi cię Pan Bóg zsyla... Piotr... zapewne Ignacego syn?

— Ignacego z Węzówny, rzekł młody człowiek.

— Tom cię za uszy targał chłopięciem—zawołał stary wyciągając doń ręce obie,—bom Krzysztof O.... z Brzozowej Wólki... A jesteśmy sobie powinowaci przez Brzezińskich, bo twoja babka Brzezińska, a moja matka była stryjeczna jej, tegoż imienia, Malgorzata. Byli niegdy rodzice waszmości u nas w Brzozowej Wólce... nie pamiętasz tego pewnie?

— A! kochanego! szanownego pana Krzysztofa! odparł rzucając się ku niemu Piotr—oto szczęście! Jakże nie pamiętam! pamięć mam doskonałą, dobrodziejmo! Pozwól mi się uścisnąć!

Uścisnęli się, pan Krzysztof z uczuciem prawdzi-

wém, młody jegomość z jakąś wesołością niezbyt naturalną.

— Jeszcze do siebie ze zdziwienia przyjść nie mogę, rzekł pan Krzysztof. Pierwszego cię spotykam, i znajomy i krewny! To jakaś łaska boża. Ty tu dawno jesteś w Warszawie?

— A! szanowny panie, jam tu już od dziesięciu lat! jam tu jak domowy!

— Co ty tu robisz?

— A no! wiszę przy dworze.

— Przy dworze! przy królu JM. Otoż mój zbawca! Jak to się dziwnie składa!

— Miałebyś W Pan jaką sprawę? interes? spytał pan Piotr z wielką niby ciekawością, otwierając oczy i przysuwając się do starego. Jakżeby był szczęśliwy, gdybym mu się na co mógł przydać!

— Jużes mi się przydał, rzekł stolnikowicz. Aż mi lżej, żem zobaczył twarz znaną, że mam krewniaka, mam do kogo przemówić poufnie i poradzić się... Zobaczysz zaraz, jak prostą tylko informacją możesz mi być wielce użyteczny. Słyszalesz czy nie, co mi się za krzywda stała?

P. Krzysztof, jak zwykle ludzie zajęci swém nie-szczęściem, pewien był, że o niczem inném nie mówią w mieście tylko o nim i tój dziwnej historii, która w istocie zasługiwała na to, aby ją wzięto na języki.

— Ja? nie a nie nie wiem! odparł p. Piotr.

— No, to posłuchaj i osądź nam.

Powoli pan Krzysztof rozpoczął opowiadanie swych przygód p. Piotrowi, który kilka razy z podziwieniem się odezwał, ale na twarzy jego nie znać było, aby wielkie uczyniła wrażenie historia wszakże niepowszednia. Można było posądzić, że ją dobrze zna

zakładnąd. Nie postrzegł tego pan Krzysztof, zajęty aż do łez swoją dolą i przygodami. Opisał mu wszystko, i jak go naostatek przyjęto u kasztelaństwa, i co dalej czynić zamyśla.

Tymczasem Piotr lampki nalewał, sam je gładko bardzo wypróżniał, skinął o drugą butelkę, i milcząc głową kiwał, a rękami gestykulował tylko.

— Cóż ty mi radzisz? co mówisz? zapytał w końcu stolnikowicz.

Młody człowiek głęboko zdawał się zamyślony, wdychał nawet.

— Sprawa—rzekł po chwili—dziwna, niepraktykowana, osobliwsza, z Tysiąca Noce: dalipan trudno nawet co poradzić. Ja zbyt jestem młody i mało doświadczony, nie śmiem panu dobr. mojej rady narzucać. Zamiast nićj—dodał zniżając głos—gdybym panu dobrodziejowi odmalował co się tu u nas dzieje, jacy ludzie! co za roboty! ile zepsucia! (tu westchnął z głębi potężnych piersi), nie zadziwilbyś się, że i to stać się mogło! Warszawa... Sodoma i Gomora! mości dobrodzieju! Gdzie tu znaleźć sprawiedliwość? gdzie serce? gdzie pocziwość? A! smutne to dzieje; ale im dłużej tu człek siedzi, tём mu świat więcej brzydnie.

Nierzadko naówczas spotykały się postacie podobne do Piotra Dobromira Zaklickiego, żyjące w tym świecie a wielce mu niechętne, oddychające powietrzem, które uznawały za zatrute, widzące wszystko czarno, a zasmalające się dobrowolnie. Dobromir zaczął od tego, że odmalował p. Krzysztofowi z wielkim zapalem króla, dwór, stolicę, panów, społeczność z jak najgorszej strony.

Naturalnym wnioskiem tego obrazu było, że się tu

w najsluszniejszej sprawie spodziewać zbyt wiele nie można.

— Dziś—dodał w końcu Zaklicki—król w Niepolomicach, czy nie wiem tam gdzie; za kilka dni powróci do miasta... ale nimże to do niego docisnąć się będzie można, nim zręczność pochwycić, aby się z nim rozmówić! Bardzo być może, iż słowa nie da sobie powiedzieć, bo to od humoru i rozlicznych pilnych zatrudnień zależy; więc tylko petycę przyjmie, rzuci ją gdzie na stolik, paziowe się na nią będą uczyli sylabizować, potem kamerdyner pochwyci i wystrzyże z niej jakiego figla. Poczekasz ruski miesiąc na odpowiedź, przyjdziecie o łaskawą rezolucję, a tu nie wiedzą o co idzie? Dalejże pisać petycę drugą, którą podobny los spotka, lub szambelan w imieniu króla odpowie, aby sprawiedliwości szukać na wielkim gościńcu trybunalskim.

— WPan coś za czarno widzisz rzeczy, odparł stolnikowicz. Możeż to być, żebym do serca króla sercem pokrzywdzonego ojca nie przemówił? A sprawa tak prosta! tak święta! Serce...

— Szanowny panie—przerwał Dobromir—co tu serce! tu się robi wszystko plecami, nogami, talarami, oczami... ale sercem? nie, lub tak jak nie.

— Strasznie mi WPan ten nasz dwór malujesz, odezwał się posępnie stary; ale bądź co bądź, wola boża, ja swoje robić muszę, a spodziewam się, że jeśli tam co potraficie, to mi pomożecie?

— Ja! rzekł mieszając się nieco młody człowiek: małą tu jestem figurą, ale uczynię co sił stanie! Nie chciałbym tylko pana dobr. zwodzić, abyś zbyttnio na to nie rachował; potrzebaby użyć innych środków.

Mnie tu nie lubią, czując, że i ja ich nie bardzo kocham.

— A czegoż ty tu siedzisz? zapytał naiwnie p. Krzysztof.

Zmieszał się trochę Dobromir na to pytanie, ale popiwszy winem, ruszywszy ramionami, wybelkotał niewyraźnie:

— Co chcecie! są takie fatalizmy w życiu ludziem, okoliczności, skład rzeczy! Człowiekby rad się wyrwać, a nie może.

P. Krzysztof spojrział mu w oczy, ale z nich jakoś nie patrzyło jasno, a zrozumieć go nie było można.

Właśnie w tej chwili zakłopotania, z za pleców pana Krzysztofa, gruby głos mężki powitał Dobromira.

— A ty tu co robisz, Piotrusiu? O! kochanie! dobrze, żem cię ułapił, teraz mi się nie wykreśisz, musisz ze mną wypić.

Odwrócił się stolnikowicz, i ujrzał po za sobą stojącego mężczyznę ogromnych rozmiarów, pleców żubrzych, otyłego, z brzuchem jak fasa, z twarzą w trzech faldzistych podbródkach spadającą aż na piersi, z łysiną jak harbuz dojrzały świecąca, z policzkami burakowego koloru, wąsem ciemnym i wypelzłym pod nosem, z oczyma szaremi i zblakłemi, z ustami rumianemi i oddętymi: istny Faun opily z Bachusowego orszaku, dobrze już hulanką i życiem zmęczony, ale jeszcze ochoczy i wesoły.

Był to sławny pod owe czasy z kielichów olbrzymich, które duszkiem spełniał, z niezmaconego nigdy humoru, z doweipu, z lekkości, żyjący na bruku i przy ludziach choć bez grosza własnego, niegdyś bardzo majątny szlachcic, który fortunę całą przecedził liwarem, pieczeniarsz wielkich panów i zjadacz znakomity,

p. Prokop Hurda Hurdowicz, rodem kędyś z Rusi, ale przyswojony stolicy od dawna, bo tu od pierwszej swęj młodości przebywał.

Zagadkowe to było z pewnych względów życie, ale nader praktycznie urządzone. Hurda niegdyś staroście bobrujski, zowiący się dla dojrzałego wieku już po prostu starostą bez kwalifikacyi, przejadłszy i przepiwszy parę wsi nad Berezyną, urządził się tak jakoś, że bez dochodów żył dalej wygodnie i przyjemnie.

Naturalnie w Warszawie bardzo trudno się przekonać, czy kto mający wsie nad Berezyną już je stracił, czy tylko zaplatał, a gdy je raz miał, prejudykata ważny, iż coś posiadać może. Więc się tam szczerzo nie wchodzi. *Bene natus et possessionatus*, Hurda mówiąc czasem jeszcze o swych wioskach, urządził sobie resztę żywota wcale zręcznie. Majątek miał w processie... Bawił niby dla pilnowania sprawy, na której popychanie czasem i pieniędzy pożyczal. Dostawszy ich, dawał zwykle śniadanie.

Wesoły, do półmiska i hulanki nieoceniony towarzysz, bo nigdy burdy nie zrobił, a często cudzą zagodził, gdy chciano tańcować to tańcował, choć się od jego poskoków ściany trzęsły i piętra ugiwały, pić to pił jak gąbka; grać to grał na krede choćby do miliona, bo był pewien, że nie nie przegra, a nawet do pięci pięknej i niepięknej przysiadł się z westchnieniami niebezpiecznemi. Panie utrzymywały, że parę jego czulszych supirów było w stanie obalić najsilniejszą niewiastę.

Zasady, których nie miał wcale (oprócz wielkiego pobłażania wszelkim słabościom ludzkim), dozwalały mu przez szpary patrzeć na wszystko, czynić co było dogodniej, i nigdy nie szukać téj strony czynu, która mogła niepokoić sumienie.

Tak pożytecznego człowieka, towarzystwo ówczesne znające się na ludziach, oszacować też umiało, i przyjaciół liczył co niemiara. Bywał gdzie chciał, a że nadzwyczaj dyskretnym i jak wówczas nazywano, akkomodującym się okazywał, przyjmowano go mile, posługiwano się bez obawy.

Za dawniejszych nieco czasów dosyć przystojny, przy trochę podstarzałych niewiastach zajmował miejsce opróżnione przez zbiegłych kochanków; z tego mu pozostały liczne przyjaźnie i protekcyje. Nie było więc dnia, żeby nie miał cztery razy tyle zaprosin ile ich potrzebował do życia. Rzadko bardzo za swój grosz pił i jadł, a to, co wygrywał w karty, bo był gracz doskonały i wielce ostrożny, starczyło mu z okładem na pomniejsze potrzeby. Stał niewiedomo gdzie, w jakiejś tajemniczój dziurze, nigdy nie przyjmował u siebie, potrzebującym się z nim widzieć zwykle schadzki naznaczał w winiarniach, cały dzień zresztą spędzając na odwiedzinach, obiadach, podwieczorkach i kolacyjkach. Trafiało się, jak sam opowiadał, że zjadał w ten sposób trzy śniadania, dwa obiady, dwie wieczerze, i jeśli się przypóźniło czuwanie, lekki jeszcze podkurerek. Wielka liczba majątnych przyjaciół powierzała mu często urządzenie przyjęć, stołu, małych fet poufalech, i to było właściwe jego zajęcie; umiał bowiem doskonale czy to obiad, czy kolację, czy śniadanko zadysponować, ułożyć, przemyśleć, osmaczyć, tak, że do téj sprawy lepszego mistrza ceremonii na całąbyś Warszawę nie znalazł. Może być bardzo, że tam przy rachunku czasem się co i do kieszeni okroiło, ale to były tajemnice między kieszenią jego a sumieniem.

Hurda postrzegłszy pana Krzysztofa, zaraz mu się kazał przedstawić, zaraz się doń przypytał, i zasiadł-

szy wtórując doskonale Dobromirowi Zaklickiemu, począł narzekać na stolicę, a malować barwami najstraszniejszych trudności wszelkie, jakie tu się spotykało idąc za dobrą sprawą.

Nie było to bardzo zgodne z jego naturą, usposobieniem i znanym optymizmem, ale dziwnie się zapalał, i nie brak mu było argumentów na poparcie czarnego obrazu, który kreślił.

We dwóch z Zaklickim—przytrzymałszy p. Krzysztofa nad drugą i trzecią butelką, od których się szlachcie próżno wymawiał, bo wcale nie był nawykły do takiej pijatyki i brzydził się nią—nagałali tak wiele i tak dzikich rzeczy stolnikowiczowi, że się w nim biedne serce ścisnęło. Hurda szczególniej po cichutku, z minka poufną, plótł historye niestworzone; a miał sposób mówienia bardzo dziwny: zapalał się gorąco, z szeptów przechodził do krzyku, potem urywał i znów wracał do stłumionego głosu, mieszał różne dykteryjki, przypowiastrki, wiersze... Ale czynił to z taką jakąś prostodusznością, że się wszystko brało za dobrą monetę.

— Héj, mociumpanie—mówił wnet się spoufaliwszy z panem Krzysztofem,—dodaj pan jeszcze, że masz do czynienia z O... Na oko to są ludzie głupi, powiedziałbyś, że trzech nie zliczą; ale weźże-no się do nich, a postrzeżesz, że choć nie gadają, lecz wykreć się potrafią... Jak koty spadają zawsze na cztery nogi... Nie nastraszą się, pointrygują, wykopią sobie jamkę, podlają jak krety, i ot... już o milę od waszeczki wysypali kretowinę, gdy ich tu myślisz wziąć za karki... Znam ja tych ludzi... a byłem z nimi zawsze ostrożny, bo nigdy być pewnym nie można, że nie sparzą.

Plótł tak piąte przez dziesiąte, ale żywo a napastliwie.

Pan Krzysztof, zawdzięczając przyjęcie, musiał też sam postawić butelkę starego węgryna. Była to czwarta, w głowach już dobrze szumiało. Rozmowa zaraz się stawiała szersza, poufalsza, a znajomość od razu podlana winem, wyrosła bardzo prędko do serdeczności. W godzinę byli z sobą jakby się od wieków znali. Do tego szczególniejszy miał talent Hurda: wnet po zaprezentowaniu stawał się poufałym, i zmuszał człowieka, aby z nim obchodził się po braterku.

Pan Krzysztof wszakże choć pił z nimi i słuchał bzdurstw, które prawili, posmutniał wielce, zwiesił uszy, wzdychał. Owe opowiadania dziwnie przykre na nim czyniły wrażenie, a zarazem jakiś wewnętrzny głos oznajmiał mu, że w tém jest umyślna przesada. Nie posądził ich o znowę wcale, ale wziął ich za chłystków, w czém się nie omylił. Przy pożegnaniu, dwaj improwizowani przyjaciele, najuroczyściej mu przyrzekli sprawę jego uważać za własną i służyć mu do niej, a nie odstępować go na chwilę, póki sprawiedliwości nie uzyszcze.

Już dobrze było ciemno, gdy wycelowawszy się i nakłaniawszy, odeszli. Hurda pociągnął w miasto na kolacyjkę; Dobromir odprowadził krewniaka na kwatery mimo błota.

Przyszedłszy do siebie, stolnikowicz począł się modlić i trochę popłakał. Głęboko zamyślony, chodził długo po izbie; wrażenie wieczoru przepędnionego w winiarni znacznie mu jakoś odjęło odwagę.

Nazajutrz nie było co robić, do O... iść już nawet nie chciał, postanowił czekać na króla cierpliwie... Napisał list długi do żony, a sam zabierał się wyjść dla obejrzenia kościołów i osobliwości stolicy, gdy

Dobromir nadbiegł i zaprosił z sobą, całując po rękach, na szlachecki obiad.

Poszli tedy razem na Tłomackie, pociągnęło się to do mroku, wieczorem gwałtem prawie namówili go na teatrum, do którego bardzo niechętnie skłonił się pójść wieśniak, uważając tę zabawę za potępioną przez kościół. Ale dawano właśnie polską komedję pięknym napisaną wierszem, do szlachetnych odzywającą się uczuć, i p. Krzysztof aż się na nią splakał.

Pierwszy to raz jako żyw znajdował się na przedstawieniu teatralnym i zrobiło na nim ogromne, głębokie wrażenie.

Następnych dni szło życie tak samo. Po Dobromirze odwiedził go Hurda i pociągnął z sobą znowu; mieniali się tak ci dwaj usłudźni a przypadkowi znajomi, nachodząc go prawie natrętnie i nie dając mu kroku zrobić bez siebie. Dziwno się nawet trochę wydawało samemu p. Krzysztofowi, że się tak o niego troszcza, ale to przypisywał dobremu sereu dwóch pocziwych ludzi.

Któregoś dnia, niby przypadkowo, spotkał się ze Zgagą, który uprzejmie bardzo pozdrowił pana stolnikowicza, zaczynając rozmowę; ale ten odwrócił się i mówić z nim nawet nie chciał, czekał na króla, z O... nie myślał się już wdawać.

Nareszcie król ten nadjechał. Obiecano mu wyrobić posłuchanie; ale w poniedziałek zachorował Stanisław August i nie przyjmował nikogo. Znowu się tedy rzecz przewlekła.

Dobromir i Hurda, obiecując zawsze ogromnie, jakoś nigdy nie zrobić nie mogli.

Tydzień tak przemęczywszy się p. Krzysztof, pomyślał w końcu iść już przebojem.

W dzień, na który mu choć niepewno przyrzeczono nareszcie przypuszczenie do oblicza pańskiego, stolnikowicz, nie wiele myśląc, poszedł na zamek.

Wpuszczono go z razu, ale oczy dworaków zdawały się go niespokojnie pilnować. Kogo spotkał i zapytał, każdy grzecznie, ale sucho zbywał go niczem. Niektórzy nawet milezieniem dziwnym i ucieczką szybko się wykręcali. Widział na swoje oczy jak innych wprowadzano, jak drudzy wychodzili, rozповідаjąc o audyencyi: dla niego tylko do tych drzwi zakłętych, za którymi wszystkie były jego nadzieje... przystęp był zaparty.

Pan Krzysztof cierpiał długo, ale w końcu cierpliwość stracił.

Stał tuż obok niego jeden z szambelanów służbowych, który już kilku osobom ułatwił wniknięcie; stolnikowicz jeszcze raz z grzeczną i pokorną prośbą zwrócił się do niego.

— Ale Wpan dobrodziej—odparł sucho i dumnie upudrowany i wyfryzowany jegomość z niecierpliwością prawie pogardliwą—Wpan dziś króla JMości widzieć nie możesz: są ważniejsze sprawy... Proszę później się pofatygować.

Słowa te, a raczej sposób, w jaki wyrzeczone zostały, dopełniły miarki. P. Krzysztof namarszczył brew i rzekł głośno:

— Mości panie, zameldujesz Wpan królowi JMc! natychmiast, że szlachcie pokrzywdzony domaga się, żąda od niego posłuchania... Dla wszystkich tu widzę dworaków jest ucho, a dla biednego człowieka nie ma... Chcecież Wpanowie, abyśmy zmuszeni byli

głośno się o swą krzywdę upomnieć, i zrobić wrzawę nieprzyzwoitą? Głosu nam nie zabraknie.

Szambelan zmieszał się nieco, ale jeszcze chciał spróbować traktowania z góry, i coś począł wzgardliwym tonem.

— Słyszysz WPan — odparł gniewnie szlacheć, — jestem szambelanem, rób swoją powinność... Idź mi zaraz i oznajm... a nie! to krokiem ztąd nie ustąpię, i narobię takiego hałasu, że i sam król posłyszysz.

Ten, do którego przemawiał tak stanowczo, i kilka osób przytomnych scenie spojrzeli niespokojnie po sobie. Nie było co ze szlachećcem żartować, brał się za kord jedną, za wąs ręką drugą, twarz mu bladła, to ogniem płonęła... Poszeptano, i szambelan wyszedł szybko.

Pan Krzysztof przechadzał się po wielkiej sali niepokojny, nie z ową już miną pokorną, z jaką na nią wszedł. Czuł, że gniew i oburzenie uczyniły zeń nowego człowieka; wszyscy też teraz inaczej nań patrzali, ustępując mu z drogi.

Szambelan wyszedł bardzo grzeczny i począł coś mówić niejasno, że król JMość jest niezmiernie zajęty.

— Wczoraj WPan jakeś łaskaw do króla JMei, odparł stolnikowicz, — i powiedz, że ja mam też sprawę niecierpiącą zwłoki, że siedzę tu od tygodnia i co godzina umieram... Królowi czasu nie zajmę.

Zawahawszy się nieco, popatrzywszy znowu po przytomnych, szambelan wrócił ku gabinetowi królewskiemu. Drzwi się za nim zamknęły, nie było go długo z powrotem; nareszcie otworzył podwoje, i ręką je p. Krzysztofowi wskazał, że wniść może.

Niez mieszanym wcale, choć w życiu nigdy do króla

się nie zbliżał, stolnikowicz wszedł powoli do gabinetu. Stanisław August stał u komina, w mundurze gwardyi koronnej, z twarzą bladą, poważną, ale wyrazu łagodnego; patrzył w stronę drzwi, gdy pan Krzysztof się ukazał. W pokoju nie było nikogo, na stole leżała otwarta książka w bogatej oprawie, rzucana okładkami do góry.

— N. Panie — rzekł nisko kłaniając się p. Krzysztof — widzisz przed sobą jednego ze swych poddanych, który w końcu po długich zabiegach...

— Bardzo WPana przepraszam... przerwał Poniatowski. Cóż go tu tak pilnego sprowadza? dodał z uśmiechem trochę ironicznym.

— Krótko opowiem — odparł stolnikowicz — bo mi z góry oznajmiono, że W. K. Mość nie masz wiele czasu dla nas ubogiej szlachty.

— Ale mój panie! ofuknął król nieco urażony.

— Jestem Krzysztof O..., stolnikowicz... z Podlasia.

— O...? — spytał król, — którejże to galezi?

— Suchej N. Panie, suchej, bo ubogiej, ale taki Toporezyk jak i zielone wicie naszego starożytnego drzewa. Tak N. Panie, ubogi jestem, miałem jedno-go syna... to było bogactwo moje; kasztelaństwo O... mi go ukradli.

— Jak to! co? nie dosłyszę? przerwał król z uśmiechem nieznacznym, udając wielkie zajęcie. Co się stało? nie rozumiem.

— I trudno to zrozumieć N. Panie, odparł szlacheć, który coraz stawał się śmielszym. Kasztelaństwo O... jechali przez miasteczko, gdzie się chłopię moje uczyło; podobał się im dzieciak i zabrali go sobie, nie pytając ojca, a nim tu przybyłem, pośpieszyli się go wysłać na edukację do Paryża, nie pytając ojca.

N. Panie, nie nie żądam, każ mi tylko powrócić dziecie moje! chcę mojego dziecięcia!

— Hm! przebaknął skłopotany król, poprawiając w kominie: jakoś to rzecz niejasna; potrzebaby spytać i kasztelaństwa... *audiatur et altera pars*.

— O! nie przeczę temu, sprawa jest tak w istocie dziwna, że się niepodobną do wiary wydaje N. Panie! zawołał p. Krzysztof. Ale nie każde mi królu czekać napróżno, sądz po ojcowsku, sądz jako Salomon mądry, ale prędko... Nie lękam się tego, co oni na obronę swą odpowiedzieć mogą. Bóg, sprawiedliwość, prawo natury za mną mówi.

Poniatowski zamyślony, otrząsł pyłek jakiś, który się zatrzymał na żabocie; piękna jego ręka, na której błyszczał soliter w złotym pierścieniu, biała, pulchna, wypieszczona, kobieca, prześlicznie się wydawała w koronkowych mankietach.

— Wszystko się zrobi co można, odparł powoli. Ale kochany panie O..., dodał: zważ dobrze, proszę, co czynisz... Chłopiec wzięty przez ludzi majątnych, mógłby odebrać dobre wychowanie, mogliby go usynowić później.

— Daruj N. Panie, ja właśnie tego nie chcę! rzekł stolnikowicz.

— Wychowanie—przerwał król.

— Ja właśnie tego wychowania przemądrego się obawiam. Uczynią mi z dziecka panicza ja chcę uboższego szlachcica, któryby zagon swój orał i po prostu Pana Boga chwalił. Z tych zniewieściących pół Francuzów, pół Niemców pociechy mieć nie będziemy.

Król pobladł, popatrzał i zaciął wargi.

— Wolałbym—rzekł—abyście to waszmość jakoś między sobą, po familijnemu ukończyli zgodnie.

— Niech mi tylko dziecko oddadzą, kwituję ich z łaski i konie! zawołał p. Krzysztof.

— Ale jeśli mu tak dobrze życzą? dodał król nalegając.

— Ale jam ojciec i ja mu najlepiej życzę! rzekł pan Krzysztof stanowczo. Ja mam prawo ojca i serce rodzica!

Stanisław August popatrzał nań bacznie.

— Macie WMość stare uprzedzenie przeciwko oświeceniu i cywilizacyi, rzekł powoli.

— Może to być, odparł p. Krzysztof: bośmy stary, myśmy od prapradziadów do naszego obyczaju, wiary, życia nawykli.

Poniatowski z uśmiechem ruszył ramionami.

— Ale jeśli chłopiec jest już w Paryżu... rzekł znowu.

— To z Paryża powrócić może! uparcie odpowiedział stolnikowicz.

— No! dobrze, kiedy już tak tego pragniesz—zawołał król trochę znieczepiwiony — jedź WPan do domu i spuść się na moje królewskie słowo, że ci tam syna odeszlemy.

* * *

Nie wiedział p. Krzysztof jak zaszedł do gospody, ani jak do niej trafił. Tu dopiero puściły mu się łzy strumieniem, ale zacisnął usta, aby nie jęczeć, zalał ręce, otarł szybko ślady płaczu niemieckiego.

— Nie mam syna! umarł mi syn! zawołał sam do siebie. Panie! bądź wola Twoja.

W godzinę potem kazał Jurasiowi konie przygotować do drogi, i postanowił natychmiast powrócić do domu.

Cały ten pobyt w stolicy, bytność u O..., posłuchanie u króla, jak sen gorączkowy stawały przed jego oczyma, ale już prosić nie chciał.

Tymczasem scena w zamku rozeszła się piorunem po dworze i mieście, król posłał z biletem paza do hrabiny, i w godzinę przyleciała doń piękna pani, strwożona... Długie były narady, posłano kogoś do miasta, ale wrócił z niczem.

Ruch zrobił się wielki u kasztelaństwa, wyprawiono nawet posłańca na wieś po kasztelana, który nie powracał, może umyślnie, aby się do niczego nie mieszać.

W chwili gdy już stolnikowicz miał siadać na bryczkę, nadbiegł zadyszany p. Tymoteusz Zgaga, grzeczny, pokorny, uśmiechnięty, jak gdyby najlepszą zwiastować miał nowinę.

— Słóweczko, drogi, szanowny panie! zawołał wstrzymując p. Krzysztofa.

— Co mi przynosisz? syna?—spytał stary.

— Oddajemy mu go... oddajemy!

— Kiedyż?

Zgaga się zaciął, miał usta.

— Gdybyśmy o tém dłużej pomówili! rzekł z uśmiechem.

Szlacheć popatrzał nań ze wzgardą, nie odezwał się ani słowa, wsiadł na bryczkę i rzekł do Jurasia:

— Do domu!

Nie miał już z kim gadać. Żle ukryty w rękawie sukni Zgagi trzosik zielony, krew mu do głowy popędził: bał się jakiej dopuścić ostateczności.

Pan Tymoteusz pozostał skwaszony w progu gospody, z wielką trudnością utrzymując jaką taką powagę.

Stolnikowicz już mu znikł z oczu, a prawnik jeszcze szukał w myśli, co mu powiedzieć, jak począć traktowanie. Czuł się dziwnie upokorzonym, że go ten prosty wieśniak gburowaty, tak jakoś na bruku, nie dając przyjąć do słowa, porzucił.

Choć lat kilka upłynęło od opisanych wypadków, a w wieku kasztelanowej kilka miesięcy często więcej ciąży niż całe lata w młodości, — ona jeszcze była piękna, może piękniejsza niż w dniach najświetniejszych życia. Miłość i nadzieja, te dwa talizmany, czyniły ją jeszcze świeżą, jeszcze prześliczną, jakby ogrzaną rumianym promieniem zachodzącego słońca. Żadna nowa marszczka nie wypisała na tym obliczu klasycznej piękności przebytych dni tęsknoty i wycekiwania. W ciągu tych lat kilku, rzadko, w długich odstępach widywała Adasia, a przywiązanie jej do niego wzrastało, piastowane na dniu serca jak ostatnia życia iskierka.

Hrabina chciała zdaje się przedłużyć marzenie, którym się karmiła; obawiała się zmienić je w rzeczywistość, jak Psyche lękając się wnieść światło do tej komnaty, w której uśpiony spoczywał Amor. Wiedziała ona, że miłość gwałtowna zużywa się sama sobą, że dopóki wzrasta, póty żyje tylko, a zmieniając się w nałóg chłodny — już staje w progu śmierci.

Ale te lata cichego przywiązania jakże zmieniły kobietę płochą! Przyjaciele i nieprzyjaciele poznać jej

nie mogli. Sprawcą metamorfozy było czarodziejstwo uczucia.

Z płochą i roztrzępaną stała się poważną i obojętną, prawie zimną dla ludzi, żyjąc w sobie, swym skarbem — nadzieją. Listy Adasia, pamiątki po nim, jego portret, z którym godzinami się zamykała, zajmowały ją tylko.

Wstydzila się swą przeszłości trzpiotowatej, bez uczucia przeciągniętej tak długo... Jednym słowem, hrabina kochała, i stała się inną istotą, rozpromienioną, ubłogosławioną świętością tego uczucia, które nawet będąc występkiem, ma w sobie jakiś pierwiastek nadziejski.

Hrabina od młodości, od dzieciństwa należała całkiem do swojego wieku. Była płochą jak wszystkie jej towarzyski, lubiła bawić się i drażnić, wywoływać miłość i odpychać ją, udawać uczucie i szydzić z niego, męczarnią ludzi naiwnych podrzucać jak kot myszką. Teraz to wszystko wydawało się jej profanacją, występkiem, a wspomnień młodości znieść nie mogła, odpychała je jak pamięć ciężącego grzechu.

I stała się dobrą, i była łagodną a łzawą jak nigdy; pragnęła, by wszyscy ją otaczający byli szczęśliwi, aby jej miłości przygrywała harmonia chórów całego świata.

W dniu, o którym mowa — był to dzień skwarne go lata, — Adaś właśnie miał powrócić z Paryża, aby już pozostać z nimi. Lato mieli spędzić na wsi, w gąszczach zielonych ogrodów, wśród uroczystej ciszy wiejskiej; na zimę chcieli powrócić z nim do Warszawy, a hrabina jakby utworem swym i tryumfem miała się nim pochlubić przed światem.

Teraz Adam był już mężczyzną, wychowanym

w stolicy świata; przy pięknej postaci miał nabyte formy zewnętrzne, które dozwalały mu śmiało przedstawić się choćby na najpierwszym dworze europejskim. Lat tych kilka dokończyło w nim człowieka, gorączka pragnień bez liku przyspieszyła w nim dojrzałość: Adam zdawał się na oko mieć więcej lat, niż ich miał w istocie.

Wszyscy zgadzali się dla niego na jednogłośnie pochwały, któremi osypywano najprzód cudnie uroczą postać Antynousa, potem dowcip łagodny i miły, zdolności i przymioty towarzyskie, których szczególniej potrzebuje od swych dzieci świat zowiący się wielkim. Adaś nie był geniuszem wcale, lecz miał z łatwością nabytych mnóstwo błyskotliwych talentów, które lepiej daleko nad geniusz popłacają: jeździł konno jak berajter, bił się na szpady i palasze jak fechtmistrz, tańczył jak Vestris, jak sam *bóg tańca*, śpiewał wcale nieźle słodkim i sympatycznym tenorem, grał trochę na klawikordzie i flecie, który był naówczas w modzie, a w towarzystwie, dzięki szczęśliwej pamięci, co mu gotowych fraz dostarczała, mógł mówić, sądzić, rozprawiać o wszystkim, choć nie dobrze nie umiał. Sąd jego był pospolity, ostrożny, czasem zaostrożony dowcipem lekkim, nigdy zbyt śmiały i niepokojący, z tego rodzaju, które na świecie najlepiej są przyjmowane, bo nikogo nie budzą i nie drażnią. Jak pszczoła, w lot, bez pracy chwytął po trosze z rozmów, z widoków, z naprędce przerzuconych książek, z każdego kwiatka, do którego się dotknął po drodze; z tych odrobinek układał sobie zapasy, ostrożnie szafując niemi. Umysł jego nie umiając nigdzie wnikać głęboko, niezmiernie wiele odgrywał, i z nadzwyczajnym taktem występował do popisu. Zdawało się powierzchni, że w nim daleko więcej być musi,

niż było w istocie. Tam gdzie nieświadomość zmuszała go się powstrzymać, umiał dać do zrozumienia, że wiele niedopowiedzianego zamilezał dobrowolnie. Był to zapaśnik w istocie niewielkiej siły, ale zwinny i przytomny; natura niesamoistna, nie z siebie samej niemogąca dodać, z łatwością naśladownicza, wpajająca się w każdą myśl cudzą, dosnuwająca jej wątku, nie twórcza, bo zostawiona sobie traciła wszelką energię, ale umiejająca wybrać, a wybrane i przywłaszczone na swą korzyść obrócić.

Człowiek był lekki, miły, sympatyczny a chłodny w głębi; wszystkie zarody namiętności pożarła w nim jedna niezmierzona ambicja, pragnienie wzniesienia się nad poziom, żądza świecenia i znaczenia... Tę gotów był poświęcić resztę—wszystko.

W pierwszych chwilach głębokie na nim wrażenie uczyniła piękność arystokratyczna hrabiny, nosząca na sobie wybitne piętno cierpienia, pragnień, zawodów, budząca litość i sympatię. Młodość rzuca się zwykle cheiwie ku tym bolejącym duszom niewieściom, olzawionym, tęsknym, rozpragnionym: są to pierwsze pastwy sił młodzieńczych. W miarę jak człowiek dojrzeje i starzeje, zaczyna więcej pragnąć młodości, więcej goni za urokiem niewinności i wejrzeniem dziewczęstwa.

Prawo o barwach dopełniających się w malarstwie prawdzi się w życiu: człowiek pragnie w miłości tego, czego mu najwięcej braknie.

Trzeba też było mieć serce kamienne, aby nie pokochać hrabiny. Oprócz uroków i wdzięku, jakim jaśniała, ona była dlań w ciągu tych lat matką, siostrą, trochę trwożliwą kochanką, nadewszystko istotą ciągłych po-

święceń, czuwania i ofiary. Adam czuł, wiedział, że wszystko jęj był winien—ale!...

Nie uprzedzajmy toku opowiadania.

Jesteśmy w pokoju kasztelanowej, w pałacu na wsi.

Gmach to stary, ostawiony wiekowemi lipami i kasztanami, na wzgórku nad rzeką, niegdyś zamek obronny, dziś przepyszna rezydencya wiejska, przy której murach okolnych, na strzelnicę wyszczerbione wspinają się bluszcze, winne latorośle i kapryfolia. Z pierwszego piętra widok daleki, spokojny, taki, jakich to u nas tysiące, na łąki zielone, nad rzekę srebrzystą, na brzozywe gaje, na wioski ukryte w zaroślach.

Komnata hrabiny, w której ją znajdujemy, podobna była wielce przeznaczeniem do buduaru, ale budową i urządzeniem bardzo od niego odmienia.

Stare te zamki wspaniałe, nie dla rozkoszy i niewieściąłości nie miały w sobie: mury ich zdawały się odpychać nowe pokolenia, tak one do ich kształtów, charakteru i obyczaju nie przypadały. Wzniesione dla niewiast pracowitych i mężnych, prababek tych rodów skarłałych, niewiast, które żyły w trudach, łzach i modlitwie, nie mogły się przydać ich rozpieszczonym i roznerwowanym wnuczkom. Szukając pokoju na przybytek dla kasztelanowej, musiano wybrać nań izdebkę w narożnej bascie, nie wiadomo jakie dawniej mającą przeznaczenie, ale nie dość dobrze nadającą się do nowego.

Architekt zesłany z Warszawy umyślnie dla odświeżenia starego gmachu, przerobiwszy ten kątek, uczynił go prawie znośnym. Izdebka miała jedno wielkie wąskie okno, w grubym bardzo murze wybite,

teraz przysłonię jak nisza bogatą z ciężkiej materyi draperyą, po za którą postawiono we wgłębieniu dwa taborety miękkie, bo widok z tego okna na łągi i okolicę był prześliczny. Ściany całe obito makatami, komin wmurowano marmurowy wielce ozdobny, posadzkę zarzucono dywanem, wreszcie tysiące fraszek i ornamentów, poważne lica wieżycy, w której dumał może jaki bohater o losach kraju, wyświeżyły i odmłodziły.

Przed wielkiem zwierciadłem ukośnie stojącym do okna, ubierała się hrabina, cała swym strojem zajęta, dobraniem barw do twarzy, kształtów do postaci, tego coby ją jak najpiękniejszą uczynić mogło. Brała i rzucała z kolei stroiki, pióra, kwiaty, klejnoty, a nie jęj nie zadawała; chciała być piękną, najpiękniejszą z pięknych dla niego! On już wiedział, że go kocha, i przysięgł jęj miłość dogonną; chciała utrzymać go przy sobie, usidlić, przykuć, obłąkać. Przywiązanie jęj i namiętność razem dla niego, były szalone jak ostatnia miłość, jak ostatnia nadzieja.

Pamela, dzisiaj już poważna marszałkowa dworu, gdyż wyszła była za mąż nareszcie i dostojność małżonki piastowała majestatycznie,—stała przy pani, nieznacznie ruszając ramionami na oznaki jęj niepokoju. Czula ona najlepiej, znając to serce, co się w niem działo; ale chłodna istota, co nigdy kochać nie umiała, co się przywiązać nie mogła, nie pojmowała stanu duszy swojej pani. Hrabina: teraz była dla niej zagadką.

— Pamela droga — szczebiotała hrabina—patrzno, patrz, jakże mi z tym dyademem we włosach?... Suknię, nie prawdaż? wezmę tę białą, tyftkową, z nie-

bieskim w palmy szlakiem? Jak ci się zdaje? mów, ale przemówże przecię?

— Pani we wszystkiem prześlicznie—odparła marszałkowa ruszając ramionami.—Gdybyś pani włożyła prosty szlafroczek, czy suknię z lamy złotęj, to wszystko jedno: w każdej pani będziesz urocza.

— A! stara pochlebnie! wstydy się już mi takie mówić rzeczy! Ja chcę prawdy, a ty mnie karmisz słodyczami. Ty wiesz przecię, że on dziś przyjeżdża. Dziś, dziś, zobaczę go, uścisknę, uduszę przy mém sercu bijącym. Ja chcę dla niego, ja muszę być tak piękną, jak nigdy nie byłam... tak, żeby patrząc na mnie, o wszystkich kobietach, które w życiu widział, zapomniał; tak, żebym dla niego była ideałem, snem, widzeniem, aniołem. Patrz-no tylko: zdaje mi się, ja jestem żółta, oczy ma jakieś zmęczone?

— Ale cóżby to było dziwnego? Pani się turbujesz, płaczesz, niepokoisz... powinnyś być spokojna i szczęśliwa.

— Spokojna! szczęśliwa!—ruszając ramionami powtarzała Hrabina—ja! ja! Znasz ty co to miłość, która z natury swojej jest niepokojem i męczarnią? Znasz ty miłość kobiety, dla której to uczucie przychodzi późno, która czuje, że jest ostatniem, że po niej mogiła, noc—śmierć? O! milcz lepiej!

Pamela zacisnęła usta i zamilkła.

— O! ty milczysz doprawdy, — odezwiała się hrabina—nie rozumiesz mnie, mów... pociesz, uspokój... I odwróciwszy się ku niej poczęła ją ścisnąć, śmiejąc się i płacząc razem.—O! radź mi, ja tracę głowę!

— Gdybyś pani doprawdy rady mojej chciała... z cicha szepnęła Pamela.

— Ale widzisz, na Boga, że cię o nią proszę.

— Zrzuć pani wszelkie wyszukane stroje, włóż jak najprostszy, jak najmniej ubrany: suknię białą, nie więcej. To odmładza, to odświeża najlepší; a choć pani tego weale nie potrzebujesz, ale strój może się podobać lub nie, a negliz musi... bo jest zawsze wdzięczny.

— A! ty możesz bardzo mieć słuszość! pośpiesznie zrzucając co była włożyła, odparła kasztelanowa. Więć co przedź suknię białą muslinową i szarą niebieską! wszak niebieską?... i... naszyjnik turkusowy? tak czy nie?

— Ale na co te klejnoty!

— A! król mi zawsze mówił, że tak mi z nim do twarzy.

— Dla niego najpiękniejszą pani będziesz bez tych ozdób wykwintnych.

— Dziękuję ci, dziękuję! ściskając ją gwałtownie rzekła hrabina—ty tak dobrze mnie rozumiesz, tak myśl zgadujesz moją! ty tak jesteś rozumna! Ja... ja-bym się ubrała we włosienicę i łańcuchy, byle on mnie kochał.

— Ale jakże on mógłby pani nie kochać! toby był chyba zbrodniarz...

— Hrabina spuściła głowę, łzy z oczu jej pociekły. Była przebrana, spojrziała w zwierciadło, zamilkła, dała tylko znak Pameli, aby odeszła, a sama rzuciła się na sofę w milczeniu.

Dla czego w takich chwilach wygórowanego niepokoju, prawie zawsze przychodzi na myśl człowieka, z jakimś przestachem, wspomnienie grzechów przeszłości? dla czego najmocniej czuje wówczas, że za nie odpokutować musi? Jest to instynkt sumienia, przedsmak kary, nim ona sama nadejdzie.

Hrabina patrzała przez okno na zieloną dal, po której wijąca się droga miała jej tumanem pyłu jego przybycie oznajmić; patrzała nieruchoma, i w tej chwili cały szereg grzechów żywota przechodził, jak orszak pogrzebowy, przed oczyma jej duszy. Nie były to wielkie winy, bo ci ludzie, do których ją los zbliżał, nie mieli serca, gra z obu stron była równa, z obu stron starano się ludzi dobrze odegraną komedią, kończącą się uśmiechem szyderstwa, — ale ciążyły wszakże.

Jedna szczególnież chwila z życia hrabiny przypominała się jej jakąś zgryzotą upartą, jeden człowiek stał przed jej oczyma blady i przybity: bała się, ażeby sprawiedliwość boża nie zażądała od niej za doścu czynienia za mężczarnie jemu zadane.

Charaktery kobiet XVIII wieku bardzo przypominają podobne im naszego stulecia, które spadek po swym poprzedniku przejęło w całości. Uczono je od dzieciństwa nie mieć serca, grać komedię, ludzi bawić się, korzystać i niepoddawać się uczuciu. Z jednej strony miłość własna i pycha były sprężyną życia, z drugiej chwilowe szaleństwa i namiętności zwierzęce... Serca nie było. Na dworze Stanisława Augusta mieniali się mężczyźni, mieniały kobiety ulubieńcami, odciągano od rywalek przez zazdrość chłodną, chwymano jaśniejsze postacie, aby się nimi pochwilić, wyrywano sobie błyszczące istoty jak cacka; nikt tej igraszki nie brał na seryo.

Gdy wypadkiem wśród tej komedii, która nikomu wiele złego uczynić nie mogła, zjawił się człowiek szczery, prosty, łatwowierny, można sobie wystawić, jaki go tam los czekał. Był on jak w teatrze wieśniak ze wsi przybyły, który się rzuca na aktora zdrajcę,

biorąc za dobrą monetę jego pugił kartonowy i truciznę z czystej wody.

Człowiek prawdziwy, wśród tych ludzi ze strzępek i świecideł, brał na seryo, co dla nich było igraszką, stawiał swe życie gdzie oni tylko dawali fałszywy pieniądz miłości własnej. Niewtajemniczony zgrywał się do ostatniego szeląga wśród tych szulerów zmówionych na niego.

Na sumieniu pięknej pani leżał właśnie jeden ciężki grzech tego rodzaju. Lat temu kilka, na wsi, wśród nudów wilegiatury, spotkała się hrabina z sąsiadem, człowiekiem młodym i wychowanym surowo, ale wśród tej ciszy lasów rozkołysanym marzeniami heroicznymi, w których kobiety występowały jako skrzydlate anioły. Hrabina nudziła się bardzo naówczas, a kobieta, która się nudzi, zdolna jest czasem popełnić największą zbrodnię i najstraszniejsze głupstwo. Młody ów człowiek był piękny i roztropny, interesa sąsiedzkie, często go bardzo sprowadzały do domu kasztelana. Kasztelan, który z nim passyansa ciągnąć nie mógł, ziewał sztrastliwie w czasie jego odwiedzin, i żonie go na pastwę oddawał.

Z początku hrabina znajdowała go nie nieznaczącym i śmiesznym surowością pojęć; potem pomyślała sobie, ziewając także:

— Nużbym takiego stoika, rygorystę zbalamucila? Coby to była za pociecha widywać tańczącego niedźwiedzia! jaki tryumf rozplomienie anachoretę!... O! próbuj! doprawdy! cóż to szkodzi?

I spojrzała nań raz, drugi i trzeci, i przemówiła tym głosem, serdeczny naśladowającym, dziecięcym, niby szczerym a wyuczonym:.. stała się dlań słodką, zamyśloną i pełną prostoty kobietą... I umiała stopniować

uczucie zmyślane, jak nigdy piękniej nie wycienio-
wywa się prawdziwe... Kwiatek ten malowany był
kрасniejszą od naturalnego.

Stoik wpadł w zręcznie zastawione sidła: miłość
własna została zaspokojona, serce nie drgnęło nawet.

Prawdę rzekłszy, to był surowy nieco wieśniak.
Hrabinę wiele rzeczy odstręczało od tej szorstkiej
nieco postaci, ale chciała być pewną, czy ma tę
siłę, co zwycięża? czy wszystko może, czego zapagnie?
Doprowadziła go więc do rozpaczliwego rozmiłowa-
nia się, podżegając go, podmuchując ten ogień umyśl-
nie, zdradliwie... aby się zabawić.

Potem przyjechał z Warszawy śliczny, wyfryzo-
wany i pachnący młody Paryżanin, Potocki jakiś,
i hrabina rzuciła wieśniaka, nie patrząc już nań nawet.

Wieśniak sechł, bolał, burzył się, walczył z sobą
okrutnie, uciekał i powracał, i szalał... a hrabina
z okrucieństwem dziecka, które na szpilkę wbiło
chrząszcza, patrzała jak się szamotał z rozpaczą...
Śmiała się trochę, litowała nawet i wdychała nieco,
ale ją to dużo rozrywało... *il était si vrai!* Nakoniec
opamiętawszy się, młody człowiek uciekł, zamknął się
na wsi... i powoli sobie umarł. Konając prawie, napi-
sał do niej list straszny, którego wyrazy nosiła w so-
bie jak polknietą truciznę.

W tej chwili oczekiwania, nie wiedzieć dla czego,
cały ten epizod życia ze wszystkimi szczegółami prze-
sunął się jęj przed oczyma: zbladła, zadrżała, przelęk-
ła się, jakby przeznaczenie odeczytało jęj wyrok nad
głową. Napróżno odpychała myśli straszne.

O! nie! to być nie może! mówiła ciszac bijące
z obawy serce. Któż być może dla niego tém, czém
ja byłam? Kto go tu utuli taką miłością takim bałwo-

chwalstwem, taką pieczęcią, takim szalem i gorącz-
ką? Nie! nie! on mnie musi kochać, on mnie kocha!
Ja pierwsza zjawiłam mu się na tle smutném szarego
życia; jam mu podała rękę i pociągnęła go z sobą w te
światy, wśród których czuje się panem; jam dla niego
całą przeszłością, przyszłością całą!

Zatrzymała się, myślała długo i zapłakała.

Wszystko to, co rozum mówił, nie wystarczało; mi-
łość nie ma rozumu, nie jest logiczną, sercu nikt na-
kazać nie może. Trzeba się było modlić do losu,
i hrabina zwróciła się do niego.

— Los—rzekła w duchu—winien brać tę zapłatę
za życie sterane, za doznane zawody, za łzy, któremi
zlewałam łoża samotne i boleści nieprzeliczone... On
musi być tą gwiazdą, która raz wschodzi dla każdego
człowieka... tak! on!

Kasztelana tym razem nie było w domu, w którym
rzadko bardzo bawił; list świeżo odebrany kazał się
spodziewać przybycia Adama. Hrabina rachowała,
że o dzień cały wyprzedzi nudnego męża.

Słońce schylało się ku zachodowi i tonęło w chmu-
rach białych, płowych, ołowianych, nagromadzonych
dziwnie i piętrzących się wysoko. Na drodze ani pył-
ku, w powietrzu ani dźwięku... cisza uroczysta, ocze-
kiwanie.

Za każdym szelestem hrabina się zrywała, chciała
lecieć, tak jęj było pilno zobaczyć go, pochwycić,
przycisnąć do serca zbolełego jakimiś przeczuciami.

Wieczór się zbliżał. Adama nie było widać, ocze-
kiwała napróżno; niecierpliwiona zaczęła chodzić żywo,
niepokoić się wreszcie o niego; samotność jęj ciążyła,
zadzwoiła na Pamelę.

—A! moja droga! zawołała: co to jest, że jego

nie ma?... O dwie godziny już spóźnił się wedle mojej rachuby... możeby wysłać naprzeciw?... może nieszczęście jakie, przypadek?... Powiedz mi co ty myślisz? Mnie dręczą jakieś przeczucia!

W takich chwilach słabości, panowie są zawsze dla sług najserdeczniejsi. Gdy są szczęśliwi lub gdy się lekają, sługom z tém najlepšíj; gdy się nudzą i ziewają, są najcieżsi. Pamela czuła się w tej chwili panią i mentorką.

— Ale proszę pani—odezwała się śmiało—cóż to tak dziwnego? Na naszych drogach, naszymi końmi, w naszym kraju, nigdy z góry nietylko godziny, ale dnia nawet przybycia obrachować nie można... Już cię przyjedzie z pewnością... może wreszcie...

— Czuć przecię powinien, że go tu niecierpliwie czekają, odparła hrabina. Co większa, przecięż jemu powinno być pilno... jemu! Ja mam żal do niego, że nie przyleciał pożyczwszy skrzydeł; on wie, jak pragnę, żeby pośpieszył.

— I zapewno się też śpieszy, odpowiedziała Pamela; ale to od tylu okoliczności zależy!

— Któraż godzina?

Sprawdzono na zegarkach godzinę, obrachowano na nowo odległość; okazało się, że Adam ledwieby mógł być przybyć śpiesząc bardzo.

Hrabina spojrziała na gościniec, i znowu gościniec przesunęła się tylko wozy wieśniacze... nie więcej... a tu każda chwila ze skarbu życia uchodzącego daremnie, tak była nieopłaconą tak drogą!

Tymczasem na zachodzie blaski słoneczne znikają za gęstą warstwą chmur białych, które powoli coraz wyraźniej przybierać zaczęły sino-olowianą barwę, zwiastującą burzę. Na noc przygotowywała się wi-

doecznie jedna z tych straszliwych letnich burz, które w naszych krajach są rzadkie, ale przerażające, walaćcych czasem całemi milami lasy, wywracających wioski, zostawiających po sobie na długo ślady okrutnego zniszczenia. Ale tym razem burza zniknęła z oczu, szło o powrót Adama, który się opóźniał; chmura niepokoiła tylko o tyle hrabinę, że go gdzieś w drodze spotkać i przytrzymać mogła. Lękała się o niego, przypuszczając wszystko.

Nareszcie Pamela wbiegła z hałasem do pokoju, ukazując pani tuman pyłu na gościńcu... To był on, niezawodnie on! poznano powóz i konie. Hrabina cała zwiesiła się przez okno baszty, zwracając oczy w tę stronę, całowała Pamelę, kazała co najspieszniej podawać podwieczorek, chodziła, wracała, niecierpliwiała się, śpiewała, była prawie nieprzytomna z radości, ze szczęścia; zdawało jej się, że powóz nienaturalnie powoli się posuwa.

Nie widziała Adama od kilku miesięcy, ale rozstała się czule. Adam chciał już nawet wówczas powracać z nią do kraju. Żegnając się postrzegła w nim tęsknotę, wzruszenie; przypominała sobie teraz każdy jego ruch, słowo, wyraz posmutniałej twarzy, dla upewnienia się, że go znajdzie takim, jakim ujrzeć pragnęła.

Naostatek przed zamkiem zadzwoniły upręże. Hrabina, której przyzwyczajenie wybiedz nie dozwalała, musiała błada i pozornie obojętna czekać na niego w salonie...

Drzwi się otworzyły—to był nareszcie on!

On... ale niestety! jakże dziś odmienny od tego nieśmiałego chłopaka, który wyjeżdżał z Warszawy wykradziony, na kilkoletnią naukę!... Dzisiaj był to

rozkwitły młodzieniec nadzwyczaj piękny, urodziwy, pewny siebie, śmiały, a na obliczu jego dłuższy pobyt w krajach obcych zasiał już ów rodzaj wzgardy i lekceważenia, które się zawsze do domu przywozi, jak fizyognomię cywilizacji.

Świeżość młodzieńcza nieco się starła z tej twarzy, na której już początkowe walki życia pierwsze wydepotały trosk ślady... ale oko jego płonęło ogniem, a usta uśmiechały się jakąś wiarą w przyszłość...

Hrabina nie mogła się, jakby chciała, rzucić ku niemu, ale powitała go wejrzeniem, które mówiło wszystko co czuła, a ręka jej w ściśnięciu dłoni Adama, gdy ją niósł do ust, drżała jak piętnastoletniej dziewczki.

Pierwsze chwile były pełne jakiegoś wzajemnego, niedowierzającego rozpatrywania się w sobie.

Gdy najlepiej znany nam człowiek po długiej niebytności powraca, szukamy naturalnie, ile w nim szkody zrzucił czas? ile nam z niego wzięli ludzie?

Adam nie znalazł innej zmiany w Julii, tylko nieco znużenia; wydała mu się o wiele mniej piękną, niż marzył i przypomniał... Jest to zwykły skutek fałszywej pamięci oczu, które obraz każdy idealizują i przedstawiają go daleko jaśniejszym, niż rzeczywistość dać może.

Ona znalazła go, nie wiem dla czego, straszliwie jakoś przemienionym, poważnym do zbytku, zmieszonym jakby poczuciem jakiegoś grzechu i ciężkiej na sumieniu winy. Wielka miłość zawsze jest jasnowidząca, w oddaleniu przeczuwa, patrząc zgaduje od razu. Dla niej są znaki, których chłodne oko nie chwytą; ma ona miarę pewną, oznajmującą jej, że czegoś brakuje, że coś jej zagraża.

Takie uczucie niepokoju, mimo największej ufności, ogarnęło hrabinę, która nim się do Adama przybliżyć mogła, już poczuła, że w przeciągu tych kilku miesięcy stanęło coś pomiędzy nimi, że coś ich rozdzieliło, że powracali ku sobie nie tacy, jakimi się rozstali.

Nie była to pewność, ale tylko przeczucie, uciskające serce tak mocno, że po sile cierpienia trafność jego poznać mogła hrabina.

Pierwsze chwile przeszły na rozmowie, której świadkiem był stary rezydent, rodzaj półgospodarza, powołany dla przyzwoitości, i zawsze potrzebna Pamela. Zajęły ją opowiadania o Paryżu, o Strasburgu, gdzie Adam jakiś czas spędził, potem o Wiedniu, w którym się zatrzymywał po drodze... Rozmowa była stygnąca i ciężka, a że Adam zdawał się zmęczony podróżą, hrabina sama wniosła, że wcześniej powinien pójść na spoczynek.

Nim jednak miał czas odejść, przechodząc szepnęła mu, że będzie nań czekała w wielkiej alei ogrodu. Tak pragnęła się widzieć z nim sam na sam, bez natrętnych świadków, i wypowiedzieć przed nim całą swą stworzoną duszę... Adam odszedł jakby zakłopotany. Zaraz po jego odejściu hrabina udała się do swych pokojów, zmieniła suknie, i przez ganek wysunęła się z bijącym sercem w wielką aleję lipową, która dzieliła ogród na dwie połowy.

Adam nie przybył tak prędko, jakby była pragnęła; szedł ku niej jakimś krokiem wolnym, zadumany; a gdy mu białe ręce zarzuciła na szyję i gorąco twarz przytuliła do jego piersi, zdawał się ten uścisk serdeczny zimną tylko jakąś opłacać wdzięcznością.

— Mów, mów, powiedz mi — zawołała hrabina

gwałtownie—nie prawdaż? ty mnie kochasz? nie się w twém sercu nie zmieniło? Mów! ja się dręczę! ja się niepokoję, ja jakieś nieszczęście przeczuwam! ty zdajesz mi się tak zmienionym, tak innym!

— Mylisz się... pani! rzekł dziwnie drżącym głosem Adam.

— Pani?—zakrzyknęła odpychając go od siebie kobieta—ty śmiesz mi mówić pani? A! niewdzięczny to obelga.

— Droga moja!

— On mi śmiał powiedzieć: pani! powtórzyła kobieta: to chyba urągawisko! On! który wie, że jego sługa, niewolnica, jego poddanka.

I wstrząsała nim porywając go za ramiona.

— Niewdzięczny! Słyszysz ty! Ty musisz mnie kochać! musisz, lub... A! ja ciebie zabiję!

— Uspokój się droga Julio, rzekł drżącym głosem Adam: cóż to jest?

— Co mi jest? ty pytasz co mi jest? przerwała. Jak to! nie rozumiesz nawet, że to jest miłość... że to jest szaleństwo, że tak się kocha, kiedy się kocha prawdziwie! Ty stoisz zakłęty, marmurowy? Któż ci serce wyjął z piersi?

Z wolna owładnięty tą gorączką, Adam przycisnął ją do siebie. Głowa jej zwiesiła się na jego ramię, zaczęła lkać i płakać. On milczał, ale starał się ją pieścizotami ukoić. Niestety! były to zimne formy, które tylko zakochaną oszukać mogły; była to może namiętność chwilowa, której się młodość oprzeć nie umie; ale czuć zarazem było, że w piersi nie zadrgało serce, a usta uparte nie miały nic do powiedzenia.

Z za drzew; z za chmur, księżyc bladej wyjrzał na nich i oświecił tę scenę: ją w bieli zwieszoną na jego

piersi, jego stojącego, nieporuszonego, zmieszanego rolą, którą zimno odegrywać musiał.

— A! ja tak pragnęłam ciebie! tak na ciebie czekałam! odezwała się szepejąc cicho. Te dni oczekiwania były mi długie jak lata, jak wieki, jak wieczność nieprzebyta. Zestarzałam doprawdy z tego pragnienia i tęsknoty... a tyś tam siedział tak nielitościwie długo. Gdybyś wiedział, jak ja ciebie Kocham, jakem się męczyła... jakeś ty dla mnie wszystkiem na świecie.

— Nie—odparł Adam wzdykając: to ty wszystkiem dla mnie jesteś. Czémże ja byłem, czémbyś był gdyby nie ty?

— A! może szczęśliwszy niż ze mną, zawołała Julia. Taka namiętność jak moja musi wysysać życie, a ja nie mam litości ani nad sobą, ani nad tobą... Umrzeć! no, to umrzeć przeżywszy chwilę... ale kochać...

Rzuciła mu się znowu na szyję i płakała.

— Ty mi nie mówisz, rzekła: tyś nie tęsknił?

— Ja? Julio! godziź się!... wybelkotał mężczyzna.

Słowa jakoś ciężko mu z ust płynęły, nie nie przychodziło z głębi samo: czuć było, że się przymusza.

— A! teraz—dodała hrabina żywo—ja cię już od siebie nie puszcze, tyś mój! będziemy razem... Pokażę cię światu, aby mi zazdrościli; będziesz tryumfem moim; będą cię wielbili, będą ci się dziwowali. Miłość twoją, przyszłością świetną ci nagrodzę, czém zechcesz, sławą, bogactwem, znaczeniem; pójdę, upokorzę się, nie powstydzę żebrać dla ciebie—kochaj mnie tylko, o! kochaj mnie...

I nagle rzuciła się przed nim na kolana z załamanymi rękami, podnosząc głowę ku niemu... Zimny człowiek, przerażony cofnął się nieco, bo to błaganie

było jakby wyrzutem. Podniósł ją, i milezący, zadumany począł całować. W tym uścisku Julia poczuła zimny pot, który mu oblewał skronie i przestraszyła się.

— Co ci jest? zapytała.

— Mnie nie... nie wiem... to może znużenie...

— Skroń masz zastygłą a wilgotną...

— Jestem trochę słaby...

— Słaby! a ja szalona wywiodłam cię na powietrze! Chodź, chodź! ja cię zabijam, jam niegodziwa!...

I pochwyciła go, ciągnąc ku pałacowi.

W tej chwili po martwej, długiej nocnej ciszy, razem wszystkie milczące drzew gałęzie dziwnie jakoś zaszumiały. Skrzydło burzy poleciało wichrem po nad ogrodem; olbrzymie lipy, kasztany, sokory, świerki czarne, rozkołysały się, pochylily, jękły... Szum drgających gałęzi i ulatujących z nich liści nie dał im nawet własnych słów usłyszeć.

Błysnęło, grzmot się rozległ szeroko... Kasztelanowa przerażona biegła, aby co prędzej ukryć się w pokojach, lękała się bowiem nad wszystko piorunów i burzy. Ale w objęciach jego cóż jej znaczyła ruina świata, śmierć i zniszczenie? Była szczęśliwa... Nim potrafili dobiedz do ganku, już deszcz zaczynał spadać wielkimi kroplami, a ledwie drzwi zamknęły się za nimi, burza wściekła zaczęła ryczeć w podwórzu... Przy świetle błyskawic, posadziwszy Adama na kanapie, kasztelanowa klęcząc ocierała mu twarz i wpatrywała się w to zimne a piękne oblicze, które się do niej uśmiechało już nie dawnym zapalem młodzieńczym, ale jakąś troską tajoną pod zmyśloném weselem... Co chwila ten ból i niepokój tajony przedzierał się przez osłony, które go ukryć chciały. Nagle Julia popchnęła go od siebie całą siłą.

— Zdrajco! zakrzyknęła: ty mnie nie kochasz! ty mnie nie kochasz!

Głośnie uderzenie piorunu, który padł na blisko stojącą topolę, nie dało słyszeć odpowiedzi; ale Adam przestraszony począł ją pieścić i pocieszać.

Julia patrzyła, słuchała, drżała; wpośród jego zakłęk i oświadczeń, dziwne jakieś uparte przeczucie wciąż powtarzało w jej duszy: — „On kłamie, on cię zwodzi, on zdradza.”

Niestety, serce nie myliło!

Gdy kasztelanowa ostatnim razem przybyła odwiedzić swojego wychowanka w Paryżu, znalazła go trochę bledszym, znużonym, osmutniałym, znekany nauką, tęskniącym do szerszych ram świata, wyrrywającym się niecierpliwie na swobodę. Potrzeba było jakoś radzić na to, znaleźć dla niego towarzystwo na tych kilka ostatnich miesięcy, wprowadzić go trochę między ludzi... Oprócz tego, nowy młody nauczyciel Adama, człowiek bardzo przyzwoity, który już nie jednego kawalera dobrego domu w świat wyprowadził, znajdował, że dla dopełnienia wychowania, dla nabrania maniery, potrzeba mu było koniecznie sposobności poznania większego świata, dworu, arystokracji. Dowodził on, że tego werniksu, ostatecznego, który dzieło wykończy, nie nabywa się ani inaczej, ani gdzie indziej, że bez niego człowiek zawsze traci *parweniuszowstwem i roturą*. Kasztelanowa, która z niego chciała uczynić koniecznie ideał dobrego tonu, nie mogła zaniedbać nawet powierzchności swego ulubieńca, nie chciała odmówić mu tej pożytki koniecznej.

Wprawdzie dworu, kobiet, pokus wszelkiego rodzaju obawiała się bardzo pani Julia dla Adama, drząc

o swój skarb; ale Francuz odgadłszy obawy, i wchodząc w jej macierzyńską troskliwość, uspokoił ją tém, że młody człowiek jest rozsądny, chłodny, nie okazujący żadnych usposobień do płochości.

Stało się więc na tém, że Adam miał choć małemi drzwiami wejść na świat większy.

Szło o to: kto go w niego wprowadzi? Francuzów i Francuzek lękała się znowu kasztelanowa; zdawało jej się, że będzie ze wszech miar lepiej, gdy się to za pośrednictwem jednego z bawiących za granicą domów polskich da wykonać.

Nie zbywało naówczas na tych dobrowolnych emigrantach w Paryżu i po wszystkich niemal dworach Europy; niektóre rodziny wielkich imion a nad-szezerbionych fortun, nie wynosiły się prawie z Francji. Domów polskich w Paryżu nie brakło, ehodziło tylko o wybór z nich jednego.

Pomiędzy dawniej zamieszkałymi znajdował się tam jeden i pokrewieństwem i dziecinnością jeszcze stosunkami połączony z kasztelanową. Długo rozmyślając nad wyborem, Julia wpadła na przekonanie, że sam los wyznaczał jej przyjaciółkę młodości, której będzie mogła śmiało powierzyć w opiekę Adama.

Pani domu była towarzyszką serdeczną jej lat dziecinnych, rozumiały się dobrze: dla niej hrabina mogła nie mieć tajemnic, wytłómaczyć jej co innym pozostać musiało tajemnicą.

Krystyna X... była jej rówieśnicą o parę lat od niej młodszą, jej krewną; łączyły je trochę losy podobne, trochę charaktery zbliżone, wypadki... przyjaźń... wszystko.

Julia i Krystyna, przy wielu sympatyach i pozorném podobieństwie, w głębi serc wcale były różne od siebie.

Krzysia—tak ją pospolicie zwano — wychowywała się w sąsiedztwie rodziców Julii; pierwsze ich marzenia rozkwitły w cichych rozmowach pod cieniem starych lip rodzinnego dworu hrabiny. Później obie powychodziły za mąż nie po myśli, żyły tak jak się żyje, gdy serce nie wiąże do życia, spowiadały się przed sobą dosyć szczerze ze swych przygód i myśli. Po zwierzeniach i łzach wylanych na łono przyjaźni, kochały się do pożarcia... ściszały za każdym spotkaniem do uduszenia... żyć bez siebie nie mogły, pisywały do siebie za każdą zrzeczością; a mimo to, rzecz nie do wiary, nienawidziły się po cichu, i zazdrościły sobie wzajemnie.

Każdy z ludzi, a zwłaszcza piękne kobiety mają zawsze prawie gdzieś koło siebie takiego nieprzyjaciela skrytego, cichego, który często się ukrywa pod suknią najlepszego z przyjaciół. Niechęć, wstręt, prawie nienawiść obu przyjaciółek serdecznych, przybierały pozory łudzającego wylania przyjaźni, przywiązania gorącego, a w istocie nie wiedzieć dla czego czuły się rywalkami i chorobliwie śledziły swe kroki, gryząc się każdym przez współzawodniczkę otrzymanem powodzeniem. Ukrywana radość z każdego kłopotu, przybierała pozór niesłychanego, hałaśliwego, wlewającego się na zewnątrz i szeroko współczucia.

Gdy Julia pierwsza wyszła świetnie za znacznie starszego od siebie, dobrze już naówczas zużytego i poddeptanego kasztelana, Krzysia, która przeżyła różne sercowe przygody, nie miała spokoju, dopóki sobie nie wyszukała hrabiego X... kuzynka, wdowca także nadszarzanego, ale bogatego jeszcze i w wielkiem znaczeniu, którego postarała się usidlić i poprowadzić do ołtarza. Nie szło wcale o szczęście, ale o zamaż-

pójście. Gdy Julia podobala się królowi, i jakiś czas widocznie była w łaskach, Krzysia nie spała, nie jadła, nie miała chwili spokoju, zabiegała na wszystkie strony, póki jej nie wyrwała serca N. Pana. Dokazała tego choć na krótko: miała swoją chwilę tryumfu. Zerwały z sobą dosyć głośno, ale obie zapomniane wkrótce, pogodziły się, narzekając wspólnie na niestałe serca mężczyzn. Kochanków Julii balamucila Krzysia, odbierała ich jej, ale łatwo potem było na nich samych zrzucić winę; a choć serce Julii cierpiało mocno, Krystyna potrafiła ją potem przekonać, że nie a nie nie była winna, że nie miała myśli jej szkodzić, że została opłataną, wciągniętą... ofiarą!

Zrywały z sobą nieustannie i godziły się z równą łatwością. Były chwile, że się kochały w sobie i nienawidziły, żyć z sobą długo nie mogąc, a tęskniąc do siebie.

Kilka lat odetchnienia, podróż Krystyny, niewiedzenie się dłuższe, zatarły pamięć dawnych bojów i walk, a Julia miała znowu to mocne przekonanie, że Krystyna jest jej najlepszą przyjaciółką. Jakoż powitały się z zapalem w Paryżu po długiej rozłące, i prześiadły z sobą po dniach całych, opowiadając sobie dzieje tych lat, które przeżyły każda w innej stronie. Julia otwartzsza, dobroduszniejsza, wyznała wprzód swą miłość, nadzieje, plany przyszłości, wszystkie cierpienia i niepokoje, policzyła łzy, które wylała z tego powodu... Tak potrzebowała serca, któremu by się zwierzyć mogła, któreby ją zrozumiało!

Krzysia stokroć zimniejsza od przyjaciółki, daleko chłodniej zepsuta, serce miała uspione; nie budziło się ono z letargu, w który wpadło po pierwszych w życiu cierpieniach. Gorzała głowa i zmysły chwilowo; su-

mienie nierozpowite czy skrepowane, spokojne, nie dało jój nigdy samój uczuć, jak głęboko brnęła w złe, które się dla niej powszednim stało chlebem. Krzysia uważała życie za rodzaj gry hazardownej, wyścigów do jakiegoś skrytego celu. Biegła do niego, bo biegli inni, nudziła się i męczyła pogonią, szukała rozrywek, rzucała dzisiaj co ją bawiło wczoraj, nie pojmując na wet, aby kto inaczej sobie osnuł żywot i wyobrażał przeznaczenie. Łzy, czułość Julii, jój wieczne ubieganie się o miłość prawdziwą, w którą Krzysia już wcale nie wierzyła, drażniły ją i śmieszyły. Gdy się teraz znowu dowiedziała od przyjaciółki o nowym przywiązaniu, gdy ujrzała ją rozplakaną, wyegzaltowaną, gdy się przekonała, że to jest prawdziwa acz dla niej niepojęta namiętność: zapragnęła zaraz napić się także z téj czary napoju, którego jeszcze nie kosztowała.

Zdawało jój się, że smak téj ambrozji, nie w ustach, co ją pisy, ale w czarze, co ją zamykała, był cały...

Piękna, dowcipna, a gdy chciała pusta, żywa, płocha, zepsuta bez zgryzoty, Krzysia miała schorowanego męża, który pokutował za swoje i naddziadów grzechy, niewysłowione męki znosząc w podagrze. Choroba ta ostatniemi czasy uczyniła z niego prawdziwego Łazarza... Krzysia pilnowała biedaka, jeździła z nim, a podróże te dostarczyły jój wybornych sposobności do zabaw, za to, że przez pięć minut dziennie słuchała cierpliwie lub niecierpliwie stękań, jęków i narzekań hrabiego.

Mąż naturalnie jechał gdzie ona chciała, bo zawsze tam najlepszy był doktor, gdzie Krzysia jechać pragnęła; tam najskuteczniejsze dla niego wody, gdzie jój się czas jakiś spędzić chciało. Nie mamy już co

mówić o tym człowieku, który dogorywał, wielbiąc enoty swojego anioła-stróża, gdy tymczasem troskliwa żona śmiała się z niego w wybranym towarzystwie filozofów, poetów i młodzieży. Krzysia *esprit fort*, filozofka jakich mało, zupełnie uwolniona od przesądów, chłodna, rozsądna bardzo gdy szło o drugich, dla siebie była najlepszą, najdogodniejszą z przyjaciółek... Od niczego nie widziała potrzeby się powstrzymywać, pieściła się serdecznie.

Młodsza nieco od Julii, piękna, bo spokojna i bez uczucia (a to lepiej zachowuje kobietę nad wszystkie kosmetyki), Krystyna była tém niebezpieczniejszą dla mężczyzn, że umiała odegrywać uczucie, jakie jój zastosować wypadało, a nie jój nigdy komedia nie kosztowała. Gdy się od Julii dowiedziała o Adamie, o całej jego historii, gdy ją posłyszała opowiadającą z namiętnością, ze łzami o swoim szczęściu, — poczuła jakąś zazdrość piekielną... Ona tak kochać nie mogła, instynkt jój wskazywał, że ta miłość była szczęściem wyższem nad inne, że dość było kroplę jój wypić, by na resztę życia zostać upojonym i szczęśliwym... choć wspomnieniem... Gniew, niepokój, zazdrość rozdrażniły ją do najwyższego stopnia, nie dawały jój spać, odpocząć. Szydziła z przyjaciółki, ruszała ramionami, udawała niedowiarstwo, ale koniec końców zamierzyła zgorzsenie to zniszczyć, stosunek zerwać. Nie ma nic okrutniejszego i mściwszego nad niemoc w obec cudzego szczęścia, które się jój uraga.

Krzysia w téj chwili nie była zupełnie swobodną: kompromitowałoby ją w oczach świata i czyniło starą, gdyby nie miała choć jednego wielbiciela. Płatał się około niej Francuz, wice-hrabia de St.-Géron, idący na czele orszaku za wozem tryumfalnym. Był on

przyjacielem męża, towarzyszem żony, domownikiem, lekarzem na podagrę, opiekunem w obcym kraju, plenipotentem, często kassyerem. On się postarał dla pani o przyjęcie jój na królewskim dworze, on podagrykowi wyrobił order jakiś cudzoziemski dla zabawki, on im towarzyszył do wód, a w dodatku był to człowiek tak rozsądny, że na przemijające fantazje Krzysi zamykał oczy lub się z nich uśmiechał.

Julia widząc to stalsze przywiązanie przyjaciółki do Francuza, nie przypuszczała nawet, aby jakie niebezpieczeństwo Adasiowi od niej zagrażać mogło... Jój więc powierzyła wychowanka... Podagryk, który się spodziewał, że młodzieniec czasem z nim w arcaby grywać będzie, bardzo był rad. Wice-hrabia de St-Géron nie miał nic przeciwko temu, i obiecywał protekę młodemu człowiekowi. Krzysia z niezmiernym zapalem podjęła się opieki nad młodym chłopakiem... Obiecywała złote góry dla niego!

W rozmowie wszakże wyznała Julii, że młokosów cierpieć nie może. To jeszcze bardziej uspokoiło kasztelanową; odjechała marząc o powrocie Adama, o swém szczęściu, o nowym blasku, jaki mu towarzystwo wybrane nadać miało.

Tymczasem dziwne, niespodziane przygody zmieniły zupełnie postać rzeczy.

Zaraz po odjeździe Julii, podagra hrabiego X..., leczona przez jakiegoś szarlatana, z początku dokazującego cudów, bo zupełnie go uwolnił od bólów, tak, że chory nawet chodzić nieco począł, i miał się już za całkowicie ulepszonę, — nagle od nóg rzuciła się do żołądka, na piersi, i po krótkim, ale gwałtownym cierpieniu, dobiła nieszczęśliwą ofiarę.

Nieutulona w żalu wdowa, doznała jeszcze podwój-

nego strapienia; bo wierny jój od lat kilku przyjaciel serca, wice-hrabia de St-Géron, w chwili gdy mu wypadło może dla przekonania o szczerém przywiązaniu oświadczyć się z dozągoną ofiarą ręki i imienia, znikł prawie nagle.

Uczył to wprawdzie mimowoli, w rozpacz, ale dziwnie mu posłużyło mianowanie na jakiś urząd w Gwadalupie, które całkiem niespodzianie otrzymał... Nie było nawet mowy, aby hrabina mogła płynąć z nim do kolonij...

Skład okoliczności był osobliwszy: śmierć męża, strata przyjaciela zeszyły się razem. Hrabina Krystyna przecież nie straciła ani przytomności, ani ochoty do życia. Mężowi sprawiła pogrzeb nader wspaniały, postarała się nawet o szumne nekrologi w gazetach holenderskich. O wice-hrabi wspominała tylko z politowaniem i szyderstwem, dowodząc, że o nim łatwo jój było zapomnieć, że pod koniec był niesłychanie nudny... Tymczasowo zastępował go pocziwy, otyły, głupowaty książę C...; który się w Krzysi kochał niegdys, gdy była dzieckiem, a gdy dorosła na pannę, chciał się z nią żenić. Potem zmuszony był inną poślubić, ale pozostał wierny swój pierwszej miłości. Był to wygodny posługacz.

Książę C... miał na dziedzictwo jedną z tych pocziwych głupot, którym się bardzo wiele przebacza, bo wiele kochają... Krzysia całe życie drwiła sobie z niego, posługiwała się nim, żartowała nielitościwie, wystawiała go na śmiech ludzki. On to wszystko z cudowną cierpliwością przyjmował, byle na przeprosiny piękną jój, choć często przybrukaną ucałować rączkę.

Książę C... nie był jój wierniejszy od ogółu kochanków owego wieku: bałamucił się dla dystrakcyi,

ale wzdychał do ślicznej Krzysi mimo to do ostatka. Po śmierci męża, porzucił swą żonę u wód w Bardyowie, a sam pod jakimś pozorem przybył do swjej bogini. Bardzo jęj to było na rękę, bo się nim wyręczała w wielu sprawach przykrzejszych, a jego ślepe posłuszeństwo czyniło z niego najwygodniejszy sprzęt w domu.

Męczony, był szczęśliwy... bo kochał biedaczysko...

Krzysia w tęg chwili głównie o jedném myślała... To szczęście przyjaciółki, ten piękny młody chłopak, świeży, skromny, nieśmiały, spać jęj i spocząć nie dawał... Przywoływała go do siebie bardzo często, obracała na wszystkie strony... była ciekawa... Leiała jak często ptaki zlatują się w to miejsce, gdzie jeden z nich znalazł ziarno.

Adam się jęj podobał. Pod pozorem zwierzonej sobie nad nim opieki, kazała mu u siebie bywać często, badała go, przypatrywała mu się, zaczęła się nim zajmować z gorliwością nadzwyczajną. Ale na pozór ciągle była niekontenta z niego, ganiła co zrobił, rzucała nim na wszystkie strony... gniewała się niby, potem przemawiała łagodnie, potem milezała uparcie.

Wszystko co może rozbudzić uczucie, namiętność, podrażnić miłość własną, w grę wprowadzone zostało.

— Nie potrzeba nic przedemną tać—odezwała się do niego po niejakiem czasie, — ja wiem wszystko. Julia kocha pana Adama, WPan ją kochasz także... I nie może być inaczej: winienes jęj wszystko... To kobieta pełna zalet, serca, uczucia... zacna pocziwa, kochana!... Al' gdybyś WPan wiedział, jak my się kochamy! To anioł!

W kilka dni potem zaczęli mówić o kasztelanowej daleko poufalej. Krzysia, która ją tak kochała, zna-

lazła powody do ubolewania nad różnemi jęj ułomnościami. Pół żartem, pół seryo, oswajała nieco Adama z tajemniczą historją jęj przeszłości.

— A! to złote serce, mówiła po cichu: ona całe życie szukała takiej wiernęj, cichęj miłości, któraby ją mogła zaspokoić... Ja znam całe jęj biedne życie jak moje własne... Ileż to razy zdradzana byłal *Pauvre Julie!*

I wzdychała strapiona nad jęj losem.

A w każdą taką rozmowę wciskała się kropelka jadu, który miał powoli rozczarowywać młodzieńca. Ona ze swęj strony starała mu się ukazać w postaci niewiasty pełnej gotowości do ofiary, nieznającęj dotąd co miłość, która życie poświęceń pełne spędziła u łóża chorego męża.

Powoli, stopniowo Adam nabywał różnych wiadomości o stanie dosyć nieszczęśliwym majątku państwa kasztelanstwa, o charakterze kasztelana, który miał bardzo małe znaczenie, o tęg jak król był już znudzony nieustanném wyzyskiwaniem jego wpływu i protekcyi w imię dawnych chwilowych miłostek i t. p.

— Zapewne—mówiła Krzysia—kasztelanowa tak pełna wylania dla przyjaciół, będzie się starała uczynić dla pana wszystko co tylko będzie w jęj mocy, by mu świetną otworzyć karyerę... Ale jako dobra jego przyjaciółka, muszę ostrzedz pana, aby się znowu nie spodziewał nadto i za wiele... Co się tyczy usynowienia przez kasztelana, wiem to z pewnych źródeł—dodała—że familia jego nigdy na to nie pozwoli. Majatki ich w złym stanie, to prawda, ale to są majątności rodowe, dziedziczne, które pragną odzyskać... Królby się nawet na to nie mógł zgodzić... Pocziwa Julia musi marzyć, że męża do tego nakłoni, może on sam

nawet zgodzić się na to zresztą... ale to rzecz nie do skutecznego. I cóżbyś Wpan na tém zyskał? Narzuciliby cięższą niewolę niż sądzisz... Mogą ci wyrobić jakiś tytuł i urzędnik, i powoli dobijesz się może jakiejś pozycyi, ale powtarzam... nadto się spodziewać nie trzeba, ani sobie wyobrażać, że to łatwo przyjdzie!

Krzysia wcale pięknie było w żałobie.

Często przy księciu C..., który siedział niemy, sapiący, zapłakany i spotniały, gdyż uczucie obudzało w nim transpiracyę, a uczucia pełen był zawsze,—piękna Krzysia puszczała cugle marzeniom! głośno spowiadała się, jakby swą przyszłość urządzić chciała... Adam słuchał tego ze swego kąta.

— Ja—mówiła po cichu, obrywając z wolna listki róży — ja com tyle lat cierpiała z pocziwym moim niedołęgą Miciem (nieboszczyk miał imię Michała), chciałabym teraz spocząć przy sercu niezsutem, do mnie przywiązane, usunąć się od świata, żyć tylko dla tego, kogobym wybrała, poświęcić mu wszystko... Mam prawo do swojej szczęścia kropelki...

Księżę C..., ile razy przybierała tę postać nieszczęśliwej ofiary, wpadał w takie gwałtowne rozserdeczenie, że się dla niej chciał natychmiast rozwodzić i żenić; był bowiem przekonany, że go kocha, ale się tylko kryje z tém uczuciem. Naówczas Krzysia śmiała się serdecznie.

— Mój dobry Auguste, stary mój wierny przyjacielu! odpowiadała: ty sam czujesz, że mnie potrzeba serca młodego, przy którymby moje odżyło... duszy świeżej, niezgnanej... Tyś tak znużony i złamany życiem jak ja: cóżbyśmy z sobą poradzili?...

Na to księżę padał na kolana, całował ją po rę-

kach i płakał potnijąc coraz mocniej... Pocziwe to tłuste stworzenie umiało kochać niezbyt wykwinnie, niegadając—ale głęboko i trwale...

Nierychło jakoś po tych preliminaryach, gdy się Adam zupełnie oswoił i spoufalil z hrabiną, znalazła ona, że źle czyta po francuzku głośno. Był to talent, do którego naówczas pewną przywiązywano wagę; a że Krzysia grywała w towarzyskich teatrach i uchodziła za doskonałą lektorkę, postanowiła mu kazać czytać przy sobie w poobiednich godzinach.

Przy tych czytaniach, w którychby Rousseau i poeci często występowali jako użyteczni pośrednicy, poczęły się nieśmiałe rzuty oka, westchnienia tłumione, rozmowy ogólne o tém uczuciu, które się zowie miłością. Adam kochał Julię, ale był młody, a nowa nauczycielka, starsza od niego, umiejętna, wprawna, a nade wszystko chłodna. Szło powoli, bardzo powoli, nieznanie, ku czemuś nieobrachowanemu.

Adam najprzód zaczął powątpiewać, czy przyszłość swą w dobrych złożył rękach, a wiemy, że uczuciem panującym była w nim ambicya. Widocznie ani kasztelan, ani Julia nie mogli dla niego uczynić tego, co mu przyrzekli. Rodzina X...ch, do których należała z siebie i z męża Krystyna, daleko była możniejsza i silniejsza; majątek wdowy ocalony bardzo zręcznie, zapisy jój na fortunę mężowskiej, dawały jój położenie niezależne i świetne. Wielu wierzycieli nieboszczyka odeszło z kwitkiem i łzami, ale Krystyna zachowała znacznie większą część ogromnej fortuny.

Przemawiając najprzód do ambicyi, wdowa była pewna, że pociągnie ku sobie młokosa; ale od zwątpienia o kasztelanową do powzięcia myśli zbliżenia się ku pięknej Krystynie, jeszcze było bardzo daleko...

Adamowi samemu, bez pomocy nauczycielki, do głowy przyjść to nie mogło.

Komedia, której plan zawczasu doskonale był osnuty, rozłożona na akta, sceny, monologi; komedia, w której i listy, i subretki, i powiernicy grali pewne role, przeciągnęła się, ale wykonała po myśli. Krystyna nie chciała się zdradzić; że ją tak zrećźnie ułożyła, a gdy po raz pierwszy ręce ich spotkały się i zadziały (wdowa doskonale umiała płakać i drzeć na zawołanie), gdy Adam ośmielił się szepnąć, że jego serce... czuje dla niej tyle—wdzięczności—tyle niewysłowionego przywiązania... wdowa odepchnęła go z doskonale naśladowaną rozpaczą.

— Szaleńcze! zawołała: wieszże ty co czynisz? To moja siostra, to przyjaciółka! Ja kocham ją nad życie, jój szczęście droższe mi jest nad moje własne... jam tyle jój winna... ty wszystko! Zdradzić ją! a! raczej umrzeć!... Idź z oczu moich, widzieć cię nie chcę!... Idź! nie pokazuj mi się!

Adam wzięwszy ten wybueh za szczery i prawdziwy, odszedł pomieszany, przelękły. Ale nazajutrz kazano mu powrócić dla wysłuchania nauki moralnej, by nie śmiał nadal... marzyć o niczym podobnym.

Dano mu wszakże przebaczenie z warunkiem, aby więcej nie grzeszył.

Następnych dni jednak ośmielano go jakoś do złamania uroczystych przyrzeczeń; potem były mowy o gwałtowności uczuć, opowiadanie różnych historyj, w których z miłości rodziła się najczarniejsza niewdzięczność; dalej napomykano o losach tej biednej Julii i jój rodziny,—i tak aż do końca, aż do spoufalenia zupełnego, aż do jasnych nareszcie projektów wietnej przyszłości.

Gdy naostatek przyszło do tego, że Adam wyznał, iż z nią tylko mógłby być szczęśliwy, bo ona go jedną zrozumiała,—zmieniła się Krzysia i schwyła go ręką żelazną.

— A gdybym ja poszła za ciebie — odpowiedziała,—gdybym uczyniła tę ofiarę... cóż poczniesz z Julią? Ona będzie w rozpacz, ona z tego umrzeć może... jabym sobie tego nie darowała nigdy!...

To mówiąc płakała ładna hyena, a zębki jój białe śmiały się w przymkniętych na pół usteczkach.

Adam mileżał. Czuł on dobrze sam, że drugi raz w życiu popełnia szkaradę, niewdzięczność, zdradę; czynił to nie z namiętności, któraby go do pewnego stopnia uniewinnić mogła, nie przez miłość, której nie znał, bo wszystkie piękne i młode kobiety jedno na nim wrażenie robiły — ale przez chłodną, pożerającą go ambicję i żądzę wyniesienia.

W głowie jego od pierwszej chwili, gdy siadł pod faram w Białej do powozu kasztelanowej, gnieździła się myśl jedna, nieprzerwana, ciągła, jakiegoś nadzwyczaj świetnego zgotowanego mu losu. Zdawało mu się, że to należy mu się od Opatrzności, że dla doścignienia tego wszystko poświęcić powinien. Pnać się do tych blasków świecących dla niego w górze, nie zważał na to, co gniótł pod nogami, co za stopnie służyć mu miało. W tym pochodzie nienasyconej ambicji, zawsze jednaki szal obłąkiwa ludzi: idą po trupach, gniotą co napadną, depeczą świętości, wywracają ołtarze, ścielą pod nogi uczucia, a zdaje im się, że to nieokreślone stanowisko, które zdobędą wszystkie ofiary opłaci.

Ambicya, jak inne namiętności, nie rozumuje wcale, nie oblicza kosztów, jakimi nabywa to, czego jest checiwa; jest to może tak ślepy, zwierzęcy instynkt.

jak inne, choć się w coś szlachetniejszego przybiera. Czasami, wyjątkowo wiecie on do dobrego, jeśli mu towarzyszy choć iskierka sumienia, choć drgnienie serca, choć polysk rozumu; częściej jest to uganianie się za czémś nieokreślonym, wymarzonem, jak w innych namiętnościach człowieka: zdobyty cel dopiero okazuje całą czczość zabiegów, całą próżnię planów. i nadziei.

Z téj strony dobrze Adama poznać musiała wdowa: albowiem obok obrazów cichego domowego szczęścia, okazywała mu odległe perspektywy świetnych losów tego któryby został jój mężem; mówiła mu o dostojnościach, o stosunkach, o rodzinie swój nadewszystko przemożnej w kraju i umiejaczej popychać tych, co z bliska lub z dala do niej należeli.

Znana zresztą była familia ta w Polsce z wielkich bogactw, z wielkiej buty swojej i pańskości, i z tego dobrze zrozumianego interesu własnego, który ją łączył całą w jedno jakby solidarne stowarzyszenie.

Członkowie tego rodu wcześniej poculi instynktowo, że każda familia pragnąca dojść do przeważniejszego stanowiska w narodzie i na niem się utrzymać, powinna trzymać się za ręce. W każdej rodzinie są ludzie różnych usposobień, talentów, zdolności, środków; idzie o to, aby to związkiem krwi przygotowane towarzystwo akcyonaryuszów uorganizować tak, aby żadna siła stracona nie była, a każda szła na korzyść ogółu. Celowała w tém famili X..., która zawsze tak rozporządzała członkami swymi, że na wszelki wypadek była reprezentowana we wszystkich obozach i stronictwach. Jeżeli kraj dzielił się na dwie partye popierające pretendenta do władzy, szli jedni po lewą, drudzy po prawą stronę, i w ten sposób mieli z obu

stron protekcję, w obu stosunki i opiekę zapewnioną, na którykolwiek bok pochyliłoby się zwycięstwo. Jedni szli do konfederacyi, inni gardłowali w 'opozycyi, niektórzy dworowali przy królu JMości. Rodzina rozporządzała nimi i rozstawiała jak tyralierów na różnych stanowiskach:

Związki ich były również dobrze obrachowane. Żadna z panien nie wychodziła za mąż dla fantazyi, każda jakąś nicią wiązała familię z wyrastającą czyjąś wziętością, z wielkim majątkiem, imieniem lub zdolnością. Żenili się też potomkowie rodu tylko tam, z kąd majątek, znaczenie lub siłę jaką zaczerpnąć mogli. Dla tego gdy inne mniej opatrzone rody znikły i malały, oni rośli na ruinach, im ostatnie dziedziczki ogromne wnosily dobra wygasłych familij, dla nich pracowały geniusze dorobkowiczów, oni pochłaniali co tylko pochwycić się dało. Familia miała zawsze ładnych chłopców dla bardzo bogatych panien, podstarzałe dziewice dla spanoszałej szlachty, wdowy ciepłe dla starych a wysoko położonych dygnitarzy.... A gdy szło o niewypuszczenie z rąk znacznych posagów, żeniła kuzynów i otrzymywała dyspensy z łatwości... Do infuł i biskupstw bogatych miano zawsze w pogotowiu kilku do stanu duchownego przeznaczonych młodzieńców, którzy chętnie czy niechętnie przywdziewali suknię duchowną w interesie stowarzyszenia. Za ledwie wyświęceni, posuwali się potem z cudowną szybkością na coraz nowe dostojenstwa w kościele, w miarę jak one wakowały, niekiedy umiejac i po dwa na raz piastować, jeśli dochody były ponętne. W téj pogoni za znaczeniem, bogactwem i przewagą, często poświęcano pojedyncze jednostki, zawsze uczucia, i gmach też rósł cudownie.

Rodzina, o której mowa, przyswajała sobie wszystko, co się dla niej pożytecznem stać mogło. Starala się umiejętnie błędy swych członków zmniejszać, występki pokrywać, słabościom zapobiegać, i z każdym lat dziesiątkiem rosnać w siłę. Całą jęj tajemnicą było to właśnie, że rozrodzona, liczna, nie dopuściła nigdy, aby się kto dla własnego interesu od niej samowolnie odszczepił i szedł na własną rękę robić co mu się podobało. Wszyscy musieli iść jak z narady wspólnej pokierować ich wypadało.

Gdy się trafiło, że nieposłuszna jednostka zerwała związek i zażądała być sobą, naówczas pękały wszystkie węzły, co ją łączyły z wielkiem stowarzyszeniem: odosobniona, wzgardzona, często prześladowana, czuła wkrótce, że ginąć musi, i albo została poświęcona dla przykładu, albo wracała do owczarni ze skrucą i pokorą. Naówczas przebaczone jęj błąd, i wielano znówu do tęg jednoty, która ani na chwilę wielkiego celu nie spuszczała z oka.

Krystyna przez męża i siebie należąca do familij dotąd jęj ślepo posłuszna, była pewna, że ona ją nie opuści, że przebaczy i uzna to zamążpójście, bo nie wątpiła, że mąż młody, ambitny, przyda się na coś rodzinie, która go zużytkować i posługiwać się nim potrafi.

Nieznaczenie, oględnie o tęg potędze swęj familii wspominała Adamowi, malowała mu ją, a młody chłopak łatwo zrozumiał, że połączenie się z tą familiją jakimkolwiek węzłem czy węzełkiem byłoby dla niego rzeczą stanowczą, całą może przyszłością. O... tęg siły dać mu nie mogli, bo jęj nigdy nie mieli.

Familia, której Adam nosił nazwisko, do której należał kasztelan, w którą wcielić go chciała Julia,

była nieopatrzna, rozdwojona, zrujnowa, nachylała się do upadku, i w części nawet nie posiadała tęg przewagi, jaką miała rodzina Krystyny.

To było głównym powodem, dla którego Adam ważył się na szkaradną niewdzięczność; jednak ostrożny, bojaźliwy, wahał się jeszcze, krok czyniąc naprzód i zostając potem długo na stanowisku, niepewny co czynić... Ale zręczna kobieta prowadziła go tak, że posuwał się na tęg drodze często dalej niż chciał: stopniami przyszło do zupełnie otwartych wyznań i układów.

Krystyna zamiast go odstręczać, sama teraz pociągała do zdrady; wymówką dla niej była namiętność, której nie czuła, bo była to raczej fantazyja i rachuba.

— Zważ—mówiła mu ta nowa opiekunka—jaka jest różnica twego położenia, jeśli zostaniesz z Julią? Co ona może czynić dla ciebie? O... nie przyjmna cię do rodziny jako spadkobiercę kasztelana, to pewna. Ona za ciebie pójść nie może; będziesz w fałszywej pozycyi wisiał przy nich na łasce. Ja znam dobrze Julię: ona piętnaście razy w życiu tak się szalenie kochała, jak dziś kocha się w tobie; namiętność przychodzi u niej łatwo, ale też ostyga równie prędko.... Cóż ona temu winna? biedna istota! Żaden węzeł nie łączy cię z nimi; w chwili gdy inna przyjdzie fantazyja, odepchnie cię jak przyciągnęła, porzuci jak wzięła... Kasztelan żyć będzie jeszcze długo; oni wszyscy tam tak ciągną w tęg familii. Na wypadek jęj śmierci zostaniesz osamotniony, bez opieki, będziesz musiał bardzo mozolnie dorabiać się podrzędnego stanowiska... Żal mi serdecznie tęg biednej Julii—dodawała wzdychając—o! i ciebie drogi Adamie; ale są fatalizmy... Przypuściwszy, żebyś ja mogła wyjść za ciebie, na co

doprawdy odwagi mi braknie—tyś taki młody!—tysiące rzeczy mnie w przyszłości przerażają: i twój wiek, i los téj przyjaciółki, téj siostry mego serca... Ale w ostatku przypuściwszy, że zostaniesz moim mężem, stajesz się członkiem naszej rodziny: ona jest interesowana, abyś godnie jój zajął stanowisko... masz pewne prawo do tego—ale...

Resztę słuchacz w swój duszy długimi dośpiewywał marzeniami. Ziarno rzucone w nią rozrastało się tam z dziwną szybkością złego nasienia. W młodym tym chłopcu brak wszelkiego uczucia był zadziwiający! nienasycone pragnienie wielkości jadło go i zaślepiało na wszystko, czém ją potrzeba było okupić.

— Ludzie to przypiszą sercu... szalowi, miłości... nikt mnie nie może posądzić o rachubę—mówił w sobie. Julia ani tego rozgłaszać, ani się na to uskarżać będzie mogła: samaby siebie potępiła. Ona zapomni... ona się łatwo pocieszy... a ja—od razu dosięgnę tego czego pragnąłem... Krystyna mnie kocha widocznie, uczyni dla mnie co tylko będzie mogła...

Wahał się jeszcze, ale codzien słabiej opierał się wstydomi, codzien chłodniejszy był na wspomnienie Julii, codzien znajdował Krystynę bardziej zachwycającą... Zręczna istota umiała go opętać, to drażniąc jego miłość własną, to sztygąc z marzeń o wielkości na dworze kasztelanowej, o której wszakże wyrażała się zawsze z przyjaźnią i serdeczném politowaniem...

— Zostaniesz, panie Adamie, ich marszałkiem dworu, mówiła z uśmiechem: ożenią cię z drugą jaką Pamelą, którą wyposażą... masz pewną nadzieję dostać sześciu chłopów w dożywocie... No cóż?... to przecie wspaniale! dodawała śmiejąc się nielitościwie.

Nie boleśniej dumnego Adama nad te szyderstwa dotknąć nie mogło.

Nim stanowcza chwila odjazdu nadeszła, Krystyna potrafiła rzeczy doprowadzić do tego, że Adam się jój uroczyście na klęczkach oświadczył, ofiarując się całkiem dla niej poświęcić. Dobrze on wprzód wszystko obrachował. Wdowa opierała się z razu, krzychała, protestowała w niebogłosy, ale po kilku dniach... złamana... przyjęła ofiarę. Warowała jedynie sobie nieco czasu na dokończenie żałoby, przygotowanie rodziny i t. p. Adam ze swój strony obowiązywał się także Julię powolnie do uczynionego postanowienia przygotować, z razu nie jój o niém nie mówiąc. Umówili się potem, gdzie i jak widywać się mogli, i jak dalej tę delikatną sprawę prowadzić. Wdowa postanowiła zamieszkać na wsi w majątku swoim, o kilka tylko mil od rezydencji kasztelaństwa odległym.

Wymieniono nawet obrączki... ale że Adam na palec nie mógł włożyć pierścionka, któryby podejrzenie obudzał, zawiesił go sobie na szyi, na niebieskiej wstążce, którą dla niego z czarnych włosów odpięła Krystyna przy rozstaniu.

Gdy to wielkie dzieło zdrady całe nareszcie dokonane zostało, gdy Krystyna uczuła się u celu trudnych zabiegów,—upojona była wielkim tryumfem, na chwilę dumna i szczęśliwa: odebrała jedyny skarb przyjaciółce, była potężną, zwyciężką, wielką... Przyszłość malowała się jaskrawo...

Adam zresztą tyle ją obchodził, co każdy inny młody, ładny i dosyć roztropny chłopiec... nad którego młodością, choć się nią cieszyła, westchnąć też musiała, bo mimowolnie przychodziło jój na myśl, że ona dłużej trwać musi od resztek wdzięków wdowich....

a potem? potem? któż wie, co Adam może począć? kto wie, jak go pilnować będzie potrzeba?

Gdy Adam ukończywszy, jak widzimy, wychowanie świetne, gdy dawszy dowody wysokiej praktyczności w niem nabytj, wyjeżdżał sam z Paryża—Krystyna potajemnie przeprowadziła go do Strasburga, przebrana po mężku... Przez ten czas drzwi jęj mieszkania w Paryżu stały dla wszystkich zamknięte pod pozorem choroby. Adam pożegnawszy czarodziejkę, ruszył na Wiedeń do kraju, a wdowa po jakimś czasie wyjechała także na Berlin do Polski, i wprost do swego majątku na wieś, listem pełnym najżywszego uczucia oznajmując drogięj przyjaciółce, z jaką niecierpliwością śpieszy ją ujrzeć i uściskać.

W liście tym, areydziele niewieściego kunsztu, były najrozmaitsze ingredyncye, jak w dobrze zgotowanej potrawie: mało pochwał dla wychowawca, chłodne trochę o nim wyrazy, coś jakby przyczajonego domysłać się dające... pewne dobrze obrachowane milczenie... Miało ono zasiać w duszy Julii niepokój, i dać jęj przeczuc katastrofę.

Wdowa oznajmowała przyjaciółce, że Adam *est tres avancé pour son age*; oddawała mu zresztą sprawiedliwość i wyznawała, że w Paryżu mało znakomitych rodzin kawalerów mogło się z nim porównać i walczyć o lepszą. Styl był umyślnie obrachowany, i okazywał więcj uczucia skrytego, niż chciał objawić. Julia czytając, poczuła niepokój.

„Droga przyjaciółko! kończyła Krystyna: życzę ci szczęścia, tyś go warta, ale tak mi w nie trudno uwierzyć! Oni są wszyscy tak niestali! na sercu męzczyzny tak zawsze mało budować można... Seryo, pytałam filozofów: czy w męzkiej piersi jest to, co

w naszej tak bije gwałtownie? Uśmiechając się odpowiedzieli mi równem w oba—zwątpieniem.”

Następowały tysiącznie fraszki, wiadomości niby przypadkowo nagromadzone, wśród nich mnóstwo rzeczy kolących, pochowanych misternie.

W ogóle pismo Krystyny poruszyło Julię, zaniepokoiło ją, i usposobiło może do tego przyjęcia Adama, do posądzeń, które niestety były tak trafne!

Gdy po szalonej burzy nocnej która galeźmi i liściami usłala wszystkie drożyzny ogrodu i obaliła kilka drzew starych nad brzegami kanałów, wstał nazajutrz dzień jasny, piękny, poważny, cichy, a hrabina przebudziła się po wrażeniach dnia wczorajszego, przypominając sobie niepokój z jakim usnęła,—zdało jej się, że wszystko to, oprócz przybycia Adama, było tylko gorączkowem marzeniem.

Tak chciała, tak potrzebowała być szczęśliwą, łudzić się, kłamać samej sobie, że wczorajszy przestrah, posądzenia, obawy wzięła za jakiś objaw chorobliwy, i wyrzucała je sobie.

Mówiliśmy już i powtórzyć to musimy, że od tego poranka, gdyśmy ją po raz pierwszy spotkali w podróży u furty ementarza farnego w Białej, Julia była do niepoznania zmieniona. Miłość przetworzyła ją, uczyniła łagodną, pragnącą dla wszystkich dobra, dla siebie oczyszczenia i spokoju. Uczucie to występne, dziwne, bez przyszłości, samą siłą swą wywarło na nią wpływ zbawienny... dziwiła się Julia samej sobie; pragnęła zapomnieć o tych płochych latach rzucając się po świecie, które tylko ciężkich błędów zo-

stawily wspomnienie; chciała samotności, odosobnienia, ciszy; szczerzej i serdeczniej modliła się, i modląc płakała łzami, które jej były mile. Wszystkie dawne dziwactwa charakteru znikły przed potęgą uczucia, umiającego żyć tylko w atmosferze jasnej i czystej.

Gdy Pamela weszła do niej nazajutrz rano, zastała ją uśmiechniętą, rozmarzoną i jeżeli nie zupełnie szczęśliwą, to spodziewającą się jakiegoś szczęścia nieokreślonego.

Z rana także przybył kasztelan z sąsiedztwa, ale znużony grą nocną poszedł odpoczywać, oznajmując, że przez cały dzień pozostanie niewidzialny.

Przy śniadaniu, gdy nadszedł Adam, hrabina popatrzawszy nań znowu, poczuła jakąś wątpliwość... Pomieszany wzrok jego uderzył ją i do głębi duszy przeszył... Pragnęła zbadać wnętrze jego serca, odgadnąć myśli, zajrzeć w tę chłodną, milezącą przepaść, w której widziała tylko przerażające ciemności.

Dziwnym jakimś trafem, hrabina uczuła się tego dnia w takim usposobieniu, że sama pomyślała pierwsza o obowiązku wysłania Adama do rodziców. I mimo że się jej nawet na parę dni z nim rozstać było trudno, natychmiast powiedziała mu o tém, wymagając prawie, aby pojechał dla widzenia się z rodzicami.

Adam mocno był tém zdziwiony: obawiał się rodziców.

Od ucieczki z Wólki Brzozowej, od podróży ojca do Warszawy, po której stary powiedział sobie, że nie ma syna, stosunki jego z rodzicami były rzadkie i chłodne. Adam pisywał do nich w każde święta, z powinszowaniem do ojca, do matki, z doniesieniem o swych obrotach, ale od p. Krzysztofa nigdy nie odbierał odpowiedzi, nigdy on słowem nawet do listu

matki się nie przypisał. Anna tylko za pośrednictwem kasztelanowej posyłała mu listy kreślone pokątnie, tajemnie, gdyż ojciec i tego bronil... Na tych pismach biednej matki często łza zaschła przylatywała do syna.

Smutneż to tam było życie w tym kątku osamotnionym zdradą dziecka!

P. Krzysztof powrócił do domu na pozór uspokojony, ale zabity na duszy, i wchodząc na próg, gdy mu się żona rzuciła na szyję pytając o dziecko, odpowiedział jej surowo:

— Nie mamy syna... pochowaliśmy dziecko; więcęć o niem ani mowy, ani wspomnienia.

— Widziałeś go? spytała drżąca matka.

— Nie! nie! nie zobaczę go więcęć, i widzieć nie chcę tego trupa—rzekł ojciec. Pocałował ją w czoło, poczuła łzę razem z uściskiem, i na tém się rozmowa skończyła. W tym dworku opustoszałym, więcęć już nie wspomniano o straconém, niewdzięczném dziecku. Napróżno matka próbowała z razu półsłowem. potem westchnieniem go przypomnieć, próżno rzucała tak jego listy, aby ojciec musiał na nie spojrzeć, stary pozostał nieugięty,

Ale to stoickie postanowienie złamało go: postarzał, pochylił się, upadł, świat dla niego nie miał przyszłości. Całemi godzinami klęczał przed obrazem Ukrzyżowanego, całe niekiedy noce spędzał leżąc przed nim na twardej podłodze; a gdy dla pociechy żony strapionej i niespokojnej o niego, starał się czasem weselszą twarz przybrać, to mu wśród półśmiechu zbiegały marszczki na czoło, a łza głębokimi ich fałdy ukradkiem spływała.

Aby się zająć i od myśli oderwać, gorąco oddał się gospodarstwu, ale to mu nie starczyło. Mimo przy-

muszonej gorliwości, w rzeczy obojętnym był na wszystko.

Czas zamiast ująć téj boleści, tylko ją stężył, odrętwił, skamieniał. P. Krzysztof pozostał posągowym, milejącym jakoby nieprzytomnym.

Często przybywał doń Dyogenes Kapustyński, który nie będąc obowiązany jak matka do mileżenia, napcmykał śmiało o synu; ale stolnikowicz zawsze mu surowo odpowiadał:

— Nie mam syna, proszę cię szanuj boleść i milecz.

P. Baltazarowi mniej jeszcze było wolno.

Z domu powynosić kazał wszystko, co dziecko przypominać mogło, dawniej mile oku zabawki, pisanie jego młode, sukienki... Matka bojąc się stracić te skarby, zamknęła je w alkierzyku, i tam ukradkiem chodziła się napawać gorzką rozkoszą wspomnień. Ale w jej sercu pozostał promyk nadziei, który listy i miniatura przysłana przez Julię karmiły.

— On kiedyś powróci do nas — mówiła, — ojciec mu przebaczy, przytuli, zapomni.

I modliła się o to biedna niewiasta.

Tylko miłość p. Krzysztofa dla żony nie zmieniła się; zdawała się rosnąć jeszcze, ale przybrała charakter mniej pieśczośliwy opiekuńczy powagi rodzicielskiej. Cóż gdy teraz między nimi stało jak mur to wspomnienie syna, o którym ani napomknąć nie było można, a każda rozmowa musiała okalać tę przepaść ciemną i bojaźliwie krążyć koło niej!

Często łzy ciche matki, choć nie wyrzekła słowa, zmieszały p. Krzysztofa tak, że oddalić się musiał; uciekał naówczas, i błakał się długo po polach, po lasach, wracał nierychło, i udaną wesołością starał się zatrzeć wspomnienie, które go z domu wyгнаło.

Ciężkie to były dni, miesiące, lata, z których pierwszy do ostatniego był tak smutnie podobny! Wszelka boleść zaciera się i chodzi, lecz są takiego rodzaju cierpienia, które zabliźnione nawet pozostają ciężkie, drażniące, bolesne na zawsze... Do takich należało to, które dotknęło p. Krzysztofa.

Po dwóch latach Dyogenes, który tém częściej odwiedzał Wólkę, im więcej czuł, że tam na coś być może przydatny, rzekł raz do p. Krzysztofa:

— Ej! słuchaj, ojcze... źle robisz.. Wszystkiemu koniec być powinien, a gniewowi przędszy niż czemu. Po co ty sierdzisz się jeszcze na syna?

— Cicho o tém, proszę cię zawsze—odparł stolnikowicz.

— Nie! o toż bo nie! odparł Dyogenes: potrzeba raz tę ranę wysondować i zagoić.

— Są rany, co się nigdy nie goją—rzekł stary.

— Ale nie ma winy, którejby Bóg nie kazał przebaczyć! zawołał Kapustyński.

— Jeśli po winie przychodzi skrucha — dodał Krzysztof.

— Aleć o nią nie pytasz, czy przyszła? rzekł pierwszy.

— Bo w nią nie wierzę i dosyć! zawołał stolnikowicz.

Napróżno Kapustyński zaczynał tak po dwakroć i trzykroć, z różnych stron zachodził, chcąc najprzód zmusić Krzysztofa do wygadania się, do rozczerzenia, wiedząc że potemby, już i dalej poszło; ale przyparty do muru, stolnikowicz brał kapelusz i uciekał. Złamać go nie było sposobu, nie chciał nawet walczyć.

W chwilach rzadko się trafiających, gdy zjeżdżał ktoś obcy, niespodziany gość do Wólki, widywano na

twarży starego niepokój, który go zimnym potem oblewał, jakby się lękał czegoś... Nie odetchnął, aż się dowiedział kto przybył.

Szpiegowala go żona, położywszy na stole w sypialni list syna, czy go ukradkiem nie weźmie, nie przeczyta, nie okaże miłości skrytej dla dziecięcia; ale nigdy nie spojrzał nawet na papier, i przeczuwając co zawiera, uciekał postrzegłszy z daleka.

Męczarnie te trwały długo. Raz po nocnej modlitwie z rana, p. Krzysztof przeszedł się po pokoju, i pocałowawszy żonę w czoło, rzekł do niej:

— Słuchaj-no jejmość, jabym chciał pojechać do Kaspra.

— A! dobrze, ale...

— Ale nie wiesz po co? dodał z wolna odwracając twarz stolnikowicz—ja chcę, ja chcę—rzekł jakając się,—to jest życzyłbym wziąć jednego z jego synów... na wychowanie... Działwy mają dużo, toby im ulżyło, a w domu u nas z dzieckiem byłoby jakoś weselój.

Krzysztofowa zapłonęła cała, bo było to pod nową formą zrzeczenie się własnego dziecięcia. Serce się jój ścisnęło, osłupiała.

— Nie wezmę go im na zawsze... ale potrzebuję... może się serce do czegoś przywiąże... Wszak-ci to także krew nasza, a ty na to pozwolisz.

— A! wola twoja dla mnie święta, mój Krzysztofie! odpowiedziała matka stroskana, — i owszem, jeżeli cię to może pocieszyć, jeśli sobie tego życzysz...

Krzysztof podumał jeszcze.

— Słuchaj, rzekł, tak nie można... Któż to wie? weźmiemy dziecko, a może się z nim żyć nie potrafiemy... Jakby to spróbować? Gdybyś ty Kasprową

z synami starszymi poprosiła do siebie, na parę dni świąt... albo i ze wszystkimi dziećmi?...

Znowu się zamyślił.

— I to nie! rzekł—nie! Dzieci! nie! ja nie lubię dzieci, to się na nic nie zdało! dajmy temu pokój.

Skończyła się na tém urwana rozmowa bez skutku: jednak w kilka dni p. Krzysztof pojechał do Kasprow i przesiedział tam parę dni, kilka razy zbliżał się do ich dziecka starszego, wziął je na kolana, głaskał, rozmawiał... aż to oczy matki zwróciło. Ale zaraz potem wyszedł do ogrodu, chodził długo samotnie, a powróciwszy kazał zaprzęgać i śpiesznie odjechał. Dziecko to zbyt mocno mu syna straconego przypominało.

— Dla mnie już nie ma dzieci, rzekł powróciwszy do żony. A potem, któż wie? jeśliby swe własne gniazdo porzucić mogło... Wychowałbym drugiego niewdzięcznika i drugą boleść dla serca—nie chcę...

Po kilku dniach Krzysztof zatopił się w czytaniu ksiąg pobożnych, całe godziny przesadywał nad niemi i płakał: napróżno żona go się rozerwać starała. Niema boleść, która milczy, nie odpowiada, wylać się nie chce i nie przyjmuje walki, jest najgorsza; na tę tylko czas lub śmierć ratunkiem.

Z razu gwałtownie gospodarzył, potem sprowadził Baltazara, prosił go, aby się zajął na jego miejscu wioską, polem, gumnem, i sam tam już ani zajrzał. Grad wybił, burza wywaliła, wyniosła woda, wszystko mu to było jedno: stał się milezący, błądy, straszny.

A gdy pocziwa żona, która widziała jak niknął w oczach, przysła czasem, obyczajem starych szczęśliwszych dni, uwiesić się na jego szyi, przypaść do kolan, całował ją chłodno i lekko od siebie odpychał.

— Anulku, powiedział jój raz: nie przeniknione są sądy boże! Bóg za to skarał mnie może, że cię miłował nie w Bogu, ale po ziemsku, miłością, jaka się téj ziemi i stworzeniu nie należy, tylko Jemu! Nie ludź mnie tém szczęściem, które na wieki straciliśmy...

I tak starzał szybko, że wkrótce o kiju zaczął chodzić, a nogami powlekał, i osiwił jak gołąb, i żółkł jak pergamin, i zobojętniał jak jak opoka... ale żył... modlitwą.

Al i Annie też patrząc na męczarnie, życie szło ciężko i łzami płynęło nieustannie; ani się z nim rozmówić mogła, ani go przywieść do dawniej swobody umysłu na chwilę. Baltazar mu czasem śpiewywał swe pieśni wojackie, smętne, poważne; słuchał ich wtedy i płakał, i prosił sam często, aby brat jeszcze nocył... a to było jego jedyną rozrywką.

Nieszczęście stryjecznego poszło staremu wojakowi na dołę, bo się sprowadził do Krzysztofa, zamieszkał na folwarku, i z owego myśliwca a próżniaka wyszedł na całę porządnego gospodarza jakich mało. Wólka była w takim porządku, że nic się w niej nie zmieniło od lepszych czasów. Trzeba jednak wyznać, że pocziwy sługa, cichy i niedojrzany Jermaszka, sierota wychowany przez Krzysztofa, gorliwie mu do tego dopomagał.

P. Baltazar ze strzelbą chodził na pole, często zając przyniósł w trokach, borsuczej torby nie zrzucał, a śpiewał ochotniej niż dawniej. I był teraz w tym domu głową i wodzem, bo starzy oboje tylko płakali.

Już z Dyogenesem, który się często gęsto ze swą skrzypką przywłókł, nie tak było dobrze p. Krzysztofowi; przyjmował go chętnie, ale jego weselość razila

staruszka, a Kapustyński też niepowstrzymany był w mowie i nie szanował praw domu, w którym o znikłym dziecku wspomnieć nie było wolno. Zdawało mu się, że to nakazane mileczynie właśnie boleść w sobie przechowywało, że gdyby mówiono swobodniej, bólby się wygadał i ulżyłoby się choremu... Z tego powodu choć mu się nie wiodło, zawsze uparcie poczynął rozmowę, która gospodarza drażniła, — a potem już tego ani zalatać było.

Kasztelanowa wspomniała Adamowi sama o rodzicach. Uczyniła to, bo jój na sercu leżało co słyssała o starym ojcu od starościca chełmskiego, który się trochę rozwiadywał o nim i donosił co się w Wólce Brzozowej działo. Hrabina lękała się pomsty bożej za cierpienia rodziców, może też chciała wypróbować człowieka i zbadać serce, nad którym pochylała się, nie widząc czy w niém jest śmierć, czy życie... Kochała go zawsze szalenie, ale coś jój mówiło, że ta miłość będzie męczarnią, że on nie ma czucia i przywiązać się nie potrafi: pragnęła więc spróbować go, napomykając o rodzicach, i drżała.

Adam mocno się najprzód zarumienił, matka mu bowiem choć oględnie donosiła, że o nim wspomnieć nie było wolno. Z boku dowiedział się, że gdy raz Dyogenes namówiony przez Annę spytać się odważył ojca, coby uczynił, gdyby syn marnotrawny przybył do jego progu? odparł p. Krzysztof:

— Cobyśmy uczynił? Syn marnotrawny był synem, a ja nie mam dziecięcia! Jeśli przyjdzie obcy człowiek, przyjmę go jak gościa niemiłego, a może wyjdę z kijem na pole, aby się z nim nawet nie spotkać.

Wiedział Adam, że tam mu powrócić nie wolno, a serce jego złodowaciałe już nawet nie tęskniło do ubiegłych lat młodości, do matki ukochanej, do cichego ustronia Wólki... Myśli jego krążyły gdzieś indziej. Zdziwił się prawie, gdy hrabina szepnęła mu nieśmiało o obowiązku przedstawienia się rodzicom po tylu latach niewidzenia z nimi, i widać było na jego twarzy niepokój raczej niż uczucie.

Ona patrzała nań, i wyrok swój czytała w jego chłodnych źrenicach i pobladłych ustach, przez które dosyć obojętnie wycedził:

— Wiesz, że ja tam powrócić nie mogę.

— Wrócić? któż mówi o powrocie? Ale ich możesz i powinieneś odwiedzić! zawołała hrabina.

— Ojciec mnie nie przyjmie—szepnął Adam.

— Któż wie? możeby dał się przebłagać.

— O! ojciec nie!—odparł Adam,—jestem pewien! nie! nie!

— Mógłbyś choć matkę zobaczyć... dodała Julia poglądając na niego.

— Tak! matkę chciałbym widzieć... odezwał się z niejakiem wahaniem Adam,—ale doprawdy nie wiem jak i gdzie?

Hrabiny serce się ścisnęło, widząc go tak ostygłym.

— Mój Boże! rzekła w duszy: i mnie może kiedyś czeka takie lodowate zapomnienie.

Patrzała nań długo, mileząco, smutnie, powtarzając sobie:

— Dla czego ja go tak kocham? za co? dla czego? wartze on jest miłości? Pielęgnowałam jego serce, rozgrzewałam je, i skamieniało przy mej piersi. Czuję to, boję się go, i kocham, rozpaczam, a oderwać się nie potrafię... A! to początek pomsty bożej nademną...

I odstąpiwszy nieco, zakryła sobie twarz rękami. Adam jadł właśnie śniadanie, spokojnie, rzucając kiedy niekiedy okiem zdziwionem na nią, bo się ani domyślał, co w jej duszy się dzieje, jaka tam toczy się walka.

Julia wstała, i w gorące przechadzała się po pokoju.

— Może widok matki wstrząśnie nim, dumala; może go wspomnienia rozbudzą—odzwia... A! trzeba by matkę zobaczyć.

— Czy ojciec przyjąć i widzieć zechce czy nie—rzekła głośno,—nie można przewidzieć, to może przyjsć później zresztą; ale matkę powinieneś zobaczyć—dodała surowiej,—ja chcę, żebyś do niej pojechał, ja sama napiszę do niej, a staroście chełmski w sekrecie jej list przesłać... Jesteś tu, blisko, o parę dni drogi... i mógłbyś nie żądać zobaczyć się z matką?

Adam poczuł nareszcie, że wypłaze się z tego tylko pochlebstwem; pomiarkował, że stał się odrażającym tym chłodem.

— A!—rzekł cicho z szalbierstwem niegodnem—dla mnie kto inny był prawdziwą matką.

Słowem tém kupił sobie bezkarność. Julia obejrzała się czy niema kogo z ludzi przy niej, i poskoczywszy szybko, pocałowała go w gładkie i piękne czoło, które dla niej promienna otaczała aureola. Jak każdy zakochany, który tysiąc kroć kłamie sobie byle mógł kochać, hrabina czulém słowem ujęta, potrafiła chłód nawet Adama wytłomaczyć na jego korzysć.

— Bądź co bądź; rzekła po chwili weselęj: *wypada* żebyś pojechał do matki. Rzeczy się ułożą... Potrzeba, abyś się z nią widział koniecznie. Niech ona cię pobłogosławi, niech jej życzenie szczęścia spadnie kro-

pelką, odżywcą na mnie, na nas... na tę przyszłość o którą się tak lękam.

Hrabina kochając szczerze, stała się prawie zabo-
bonnie pobożną; bała się teraz wszystkiego: kary za
odebranie dziecka rodzicom, przekleństw ich na nie-
go i na siebie... Chciała jakoś mniej poczwarną uczy-
nić tę miłość biedną, której każda godzina zdawała
się śmiercią zagrażać.

Poszła natychmiast do kasztelana, który ledwie
się ośmielił ją przyjąć, gdyż był bez peruki dla go-
rąca, a miał na głowie tylko białą czapeczkę nakształt
kobiecego czepka, podwiazaną wstążką niebieską,
i kładł cheiwie pasyans, którego poważne okoliczności
pozbawiały go przez dni kilka.

— Mój drogi—rzekła siadając przy nim i wdzię-
cząc się trochę żona,—ja ci zawsze dokuczam i prze-
szkadam... zawsze nie w porę przychodzę z moimi
interesami.. Chodzi tu o naszego wychowanka, pana
Adama... Przeszkadam ci?

— Przeszkadasz! odparł naiwnie kasztelan, nie
spuszczając z kart oka.

— Interes krótki i natychmiast wychodzę... Mnie
się zdaje, że Adama potrzebaby, dla samój przyzwoi-
tości, posłać do rodziców.

— Odesłać, mówisz? rzekł kasztelan z wolna.

— Ale nie, chciałabym tylko, żeby się z nimi zo-
baczył...

— A! tak, żeby się zobaczył! bardzo dobrze... Król
ezerwienny... kładę do damy... uwalniam dyskę...
ósemka idzie na newkę... wyjdzie...

— Uważasz?...

— Uważam, *mon amie*, uważam... As wolny także...

— Więc ci się zdaje?

— Mnie się zdaje, że wypadnie... wypadnie...

— Wypadnie go posłać?...

— Pasyans wypadnie, mówię... a co się tyczy Ada-
ma... no, to go posłać... Czekaj... trefl zapłatany...
maleńka licencya... i wszystko pójdzie jak z płatka.

— Więc go poszlemy? zapytała żona smutnie.

— Kogo? odparł kasztelan, któremu pasyans pa-
mięć i przytomność odejmował.

— Ale Adama!

— A! asindziego Paryżanina! No! tak! posłać go!

— Więc mnie upoważniasz?...

— Ale oczywiście upoważniam... drugi as w ko-
zie! a to zła godzina na te asy!

Kasztelanowa widząc, że się więcej nie dopyta,
uśmiechnęła się smutnie, ukloniła i wyszła. Napisała
list do starościca chełmskiego, i wysłała z nim ko-
zaka.

Tymczasem dni płynęły niby szczęśliwe, niby spo-
kojne, wśród wielkiej ciszy; ale Adamek nie był dla
niej czém się ona spodziewała: nudził się widocznie,
zbyt wiele mówił o Paryżu, miłość jego była sztywna,
czasem popisująca się do zbytku z czułością, z wdzięcz-
nością, z poszanowaniem, czasem rozprawiająca wie-
le, ale na dnie jój dawał się czuć smutny jakiś
chłód grobowy. Dopóki Adam milczał, hrabina lu-
dziła się, podsuwając mu własne uczucia; gdy usta
otworzył, zdradzał się, zrażał ją, uderzała niestosow-
ność każdego słowa, każdej myśli.

A pomimo tego ona go kochała, był dla niej ostat-
nim; gorzej! był pierwszym, którego umiłowała aż do
ofiary, aż do przestachu, aż do męczeństwa.

W kilka dni otrzymano oczekiwaną odpowiedź
z Podlasia. Staroście chełmski za pośrednictwem Dy-
o-

genesza zgłosił się do matki, i zasiągnawszy języka, odpisał, że w żadnym razie ojciec się z synem widzieć nie będzie, że narzucając mu go, naraziłby się można na straszne i nieobrachowane następstwa, że matka biedna wyprosi się tylko z Wólki niby na odpust czy nabożeństwo do kościoła w Kodniu w dzień umówiony, i tajemnie z dzieckiem się zobaczy.

Kasztelanowa widząc, że inaczej nie można, postanowiła posłać go przynajmniej dla widzenia matki. Nie dobrze rozumiała sama, dla czego jęj było tak pilno? ale pragnęła zdjąć z siebie i z niego przeklęstwo biednych ludzi, którym go wydała. Zdawało jęj się, że matka potrafi przygotować zgodę... Nie miała wyobrażenia, jaki był stan rzeczy w Wólce Brzozowej.

Wyznaczono natychmiast konie i ludzi dla wychowańca do tój podróży. Hrabina oddała mu swój własny ekwipaż wiejski, starając się tak go wyprawić, aby pokazać, że jest u nich niemal przybranym dziećciem. Powóz był najświeższy od Dangla, cztery koniki siwe, młode i dobrane, kuchnia jechała osobno w furgonie... Adam wyjeżdżał po pańsku.

Dowiedziawszy się o postanowionej wyprawie, młody człowiek ani się nią ucieszył, ani zaniepokoił; przyjął o tém wiadomość tak obojętnie, że się serce biednej kobiety ścisnęło. Ale sobie powiedziała:—„On jest mężczyzną, oni są zmuszeni do tego stoickiego chłodu; kto wie co się dzieje w sereu!... Jużciż źleby było, gdyby płakał i niepokoił się jak dziecię...”

Adam w istocie więcej w tój chwili myślał o Krysytynie i swojej świetnej przyszłości, o wyrwaniu się na świat z nowym tytułem i nowemi nadziejami, niż o rodzicach, niż o Wólce Brzozowej. Gdy nadeszła godzina odjazdu, ubrał się, pożegnał kasztelana, któ-

ry coś mruknął pod nosem, ręką tylko machnął, dając do zrozumienia, że jest zajęty i nie ma czasu do tracenia na próżnych ceremoniach, a potem z uśmiechem poszedł do hrabiny.

Ona napróżno patrzała w twarz jego, szukając na niej śladów wzruszenia... Adam był obojętny, uśmiechnięty, zimny, roztargniony.

Polecono mu, aby jechał wprost do starościca chełmskiego, tam się zatrzymał i oczekiwał na wiadomość od matki.

Odebrawszy przez Baltazara uwiadomienie o blizkiem przybyciu syna, którego przez lat tyle nie widziała, Anna była tak wzruszona, że zmuszona ukrywać się przed mężem, nie potrafiła całkiem zataić swęj radości. Rumieniec wypalony na jęj twarzy, błyszczące oczy, niepokój gorączkowego oczekiwania, nie uszły nawet roztargnionego wejrzenia p. Krzysztofa.

— Co to jest? zapytał jęj jednego ranka: widzę, że mi jejmość coś nie swoja?

— Ja? ale nie, to ci się tak zdaje! odparła kobieta. Nic mi nie jest, wierz mi. Chciałam cię tylko prosić, abyś mi pozwolił w tych dniach pojechać na nabożeństwo do Matki Bożkiej do Kodnia... Wszak mi tego nie odmówisz?

— Do Kodnia?—rzekł wpatrując się w nią p. Krzysztof; który już coś przeczuwał i na pół się dorozumiewał,—a no, bardzo dobrze... konie ci z bryczką zadysponuję, pojedziesz kiedy ci się podoba.

— Jeszcze o dniu nie dał mi znać ksiądz wikary odpowiedziała żona; chciałam się pomodlić na pewną intencję.

Usłyszawszy to, pan Krzysztof domyślił się już wszystkiego, i natychmiast urwał rozmowę.

— Dobrze—rzekł—pojedziesz kiedy zechcesz.

Najlepszym dowodem, iż zgadł o co chodzi, było to, że więcej o wyprawie nie wspomniał, sam tylko podszedł zadysponować krytą bryczkę i najspokojniejszych parę koni, Baltazarowi poleciwszy jeszcze, aby dobrze osie i koła opatrzył. Drogi w tych stronach naówczas nie zalecały się zbyt wytworném utrzymaniem; nie o wiele są one i dziś lepsze, będąc po większej części w takim stanie, w jakim je Pan Bóg stworzył, i wody powymywały. Po staremu snują się one kręto to pagórkami suchemi, to łożyskami wyschłych strumieni: ręka ludzka przyłożyła się zaledwie do wykończenia ich tam, gdzie potrzeba była niezbędna, aby karku nie skrzywić. Na trzęsawiskach narzucono kamieni i faszyn, na głębszych dziurach kilka dylów formuje mostki pierwotne, zresztą wryte koleje błotniste zastępują żelazne. Wiosna to wszystko psuje, lato naprawia, jesień rozgrzeża, zima przechowuje z roku na rok starannie jak szczątki mammuta... Niemiała też to rzecz wcale puścić się temi drogami nieco dalej.

Dla bryczki pani Krzysztofowej i jej koni był to już chleb powszedni, ale dla p. Adama i jego ekwipażu zadanie niepospolicie trudne; a choć pora roku sprzyjała podróży, nie była ona ani łatwą, ani wygodną.

Staroście chełmski wcześniej się przygotował na przyjęcie zapowiedzianego mu gorącym listem kasztelanowej gościa, a mając przyniesione przez kozaka oznajmienie kiedy przybędzie, dał znać potajemnie pani

Krzysztofowej, ażeby w dniu następnym przyjechała do Kodnia.

Pełna niepokoju i wzruszenia biedna macierz, stroskana i szczęśliwa zarazem, wyjechała z domu. Pan Krzysztof pożegnał ją w ganku z Baltazarem, konie powoli ruszyły, a bryczka znikła na grobli, ścigana oczyma dwóch ludzi zamyślonych, którzy ją w duchu przeprowadzili niespokojnemi życzeniami serc pocziwych... Baltazar wiedział po co jechała matka; pan Krzysztof pewnie się tego domyślał, ale nie dawał znać po sobie.

Nad wieczór dopiero zaciągnęła się bryczyna do Kodnia i zatoczyła się do jedyne go zajezdnego domu który się tam naówczas znajdował. Żydek gospodarz przyjął ją z ową mieszaniną grzeczności poufałej, prawie protekeyonalnej, i usłużności gościnnej, z jaką bogaci arendarze zwykli byli witać u siebie mniej zamożną szlachtę.

Noc wkrótce nadeszła, nikt się nie zjawiał, ale nim z rana wyszła do kościoła staruszka, hałas się wielki zrobił w gospodzie: wpadli ludzie szykując stanicy dla jakiegoś pana i wypychając ze stajni skromną bryczynę stolnikowiczowej. Omal nie wyrugowano samej p. Krzysztofowej, która się oświadczyła z przestrachem, że chętnie z dobrej woli ustąpi przybywającemu magnatowi. Pinkus co prędzej przywdział żupan atlasowy odświętny, i wybiegł na próg, gdyż graf—zapowiedziano bowiem grafa—przybywał z hałasem i uroczystością, jaką zwykli czynić około swych panów słudzy, sądząc że tém ich podniosą. Pani Krzysztofowa, która szła z książką do nabożeństwa na wotywę do kościoła, ani się domyślała syna w tej wrzawliwej i pompatycznej kalwakacie: zdało się jej,

że powinien był przybyć skromnie, cicho, ubogo. Usunęła się z drogi i spojrzała obojętnie na wspaniałą zaprzęg, który tryumfalnie wyjeżdżał w bramy gospody; ale w tejże chwili wychylił się z powozu młody człowiek, a w twarzy jego, acz mocno zmienionej, pani Krzysztofowa poznała własne dziecko... dziecko, dla którego kozak z Żydem zepchnęli ją z drogi, aby mu szerzej i wygodniej było zajechać.

Adam poznał także matkę, ale nie wyskoczył do niej; owszem cofnął się, rzucił w głąb powozu, obrzydliwy wstyd jakiś serce mu ucisnął: wyglądała tak biednie, tak ubogo!

Biedna kobieta zepsutym na wielkim świecie oczom wydała się tak pokorną, tak maluczką istotą, że się jej zgniłe serce dziecka zawstydzilo. Jęł czarny kwefik, jęł suknia ciemna i przenoszona, okrycie stare i pospolite, nadawały całej postaci bardzo skromną powierzchowność; oczy miała wypłakane, czerwone, zaszły łzami, głowę pochyloną.

Zatrzymała się poznawszy go, stała jak oblakana, drżąca, serce jej biło gwałtownie. Mówiła sobie:— Mógłże on rodzonej swój nie poznać? Adaś!

W istocie Adam ją widział, ale się ohydnie własnej matki w ubogiej kobiecie zawstydzil. Z ukłonami przyjmowała go gawiedź karczemna w sieni; ona stała na uboczu, z daleka. Adam nie odważył się przyślugach pańskich, w obec tego zepsutego dworu, podbieść do niej, paść jej do nóg, uścisnąć, powitać... Obawiał się, aby się z niego nie śmiano; nie chciał, aby wiadano kim był: duma i próżność tłumiły w nim uczucie... jeśli je miał!

I gdy jaśnie Wielmożnego grafa wprowadzono z honorami do izby parady, wykadzonej świeżo lu-

pinami od jablek i cukrem, staruszka ze łzami w oczach stała wciąż przed karczmą, patrząc na jej okna, jak te biedne kwoczki, które wychowawszy kaczkę, gdy dzieci wypłyną na wodę, stoją u brzegu, biegają, krzyczą, nie mogąc się wplaw puścić za niemi.

Inaczej ona to spotkanie sobie wyobrażała: ludziła się zawsze, że ją syn kocha, że tęskni do nich, że pozostał dzieckiem jej wnętrzości... Tłómaczyła go, uniewinniała, czekała... kłamała przed sobą.

Adam tymczasem, acz niespokojny, grał rolę pana, rozmawiał z gospodarzem Pinkusem, wydawał rozkazy, a przez szyby okna oko jego wybiegając, spotykało nieruchomą postać matki, stojącej wpośród drogi, płaczącą, niemającą siły z miejsca się poruszyć. Chciała biedz ku niemu, nogi jej drżały; pytała siebie, czemu do niej nie przychodzi? w głowie jej zawracało się, myśli plątały.

Dumny paniczek nie wiedział także co począć: sromił się własnej rodzicielki przed gawiedzią dworu i kilku ludźmi obcymi.

Chwila ta trwała długo jak wszelkie męczarnie. Nareszcie, gdy już biedna Anna machinalnie miała zwrócić się ku kościołowi, aby pójść u Boga żebrać litości, w głowie jej zaszumiało, zakręciło się, uczuła gorąco, blask ją jakiś oślepił nagle, zadrżały nogi, upadła zemdlona.

Wtém z za węgla budowy jak widziadło wysunął się Dyogenes, który po raz może pierwszy od lat wielu porzuciwszy skrzypki na łaską bożą na przyzbie karczemnej, wypadł wylekły do omdlałej, pochwycił ją na ręce, podniósł jej głowę wybladłą... Razem słująca i Jędrus nadbiegli do swjej pani, zrobił się przed gospodą wielki tumult, na który przez okno tylko

wyjrzał, przyczyny jego nie domyślając się, ani chcąc zrozumieć szanowny pan Adam.

Miał właśnie prosić do siebie lub iść do pani matki, ważąc jeszcze jak to uczynić... tak, aby się ludzie kasztelaństwa nie śmieli.

Tymczasem Anna prędko przyszła do siebie, i powlokła dokola oczyma, szukając syna. Nie znalazła go i zbladła; drżąc, udając, że szuka książki, która jęj z rąk wypadła. Stary Kapustyński usunął z leka otaczających i podźwignął ją silną dłonią.

— Jejmościuniu dobrodziejko! chodźmy do pana Boga—rzekł—zawsze u niego pociecha, on się z ludźmi za nas rozprawi... Ot, na wotywę dzwonią.

Nie mogąc prawie pojąć co się z nią dzieje, matka zebrała wszystkie siły, i milcząc, powlokła się ku kolegiacie.

Widząc ją powoli odchodzącą, Adam poczuł się niespokojnym: oświadczył głośno, że życzyłby sobie przejść się nieco, rozporządził ludźmi, a odpuszcwszy matkę z Dyogenesem na dobre staje, sam także wyszedł powoli drogą ku kościołowi.

Ale że Pinkus i kamerdyner kasztelanowej czuli się w obowiązku odprowadzenia go do wrot, zwolnił jeszcze kroku, nie chcąc, aby się domyślano, że goni za tą biedną kobietą.

Odprowadzając ich dopiero i rozglądawszy się dobrze, posunął się ku ementarzowi, pomieszany.

Ohyda jego postępowania biła mu do zastygłego serca, sam czuł ją, ale głupia próżność jakaś silniejsza jeszcze w nim była nad resztę pocziwego uczucia. Z głową spuszczoną powlókł się, czując się winowajcą, upokorzonym i znękanym.

Przodem, ale opodal, wiódł Kapustyński matkę, któ-

ra się w bramie ementarza zatrzymać musiała, bo ją dusiły lzy niewypłakane, a z niemi nie chciała iść przed ołtarz oskarżać syna przed Bogiem.

Stała tu, oparła się o słup, i w milczeniu słuchała.

Starzec przy niej z suchą, wypaloną gniewem żrenicą, zatrzymał się, żując wyrazy, których wymówić nie śmiał—przeklinał!

Na to właśnie nadszedł powoli przywlokłszy się pan Adam, przybliżył się, stanął zmieszany i cicho wyrzekł:

— Matka!

To słowo ją obudziło, poznała głos dziecięcy, choć w nim brzmiały nie owe czyste dźwięki mowy młodzienczej, do których była przywykła, które pamięć przechowała.

— Na kolana! na kolana! do nóg! zagrzmiął głos Dyogenesa; na kolana młokosie! na kolana przed ołtarzem znieważonym przez cię grzeszniku!

Adam stał. Ręce matki już opłotły szyję jego białą, a oczy Anny załzawione wpatrywały się z rozkoszą w tę śliczną twarz, życiem i namiętnościami już napiętnowaną.

— Dziecko moje, dziecko moje!... odzywała się w przerwach łez p. Krzysztofowa. O mój Boże! jakże się on odmienił! jakże wyrósł, jak wypiękniał!—mówiła szybko — i mój on i nie mój; i ten, i cudzy jakiś...

Adam stał jak słup niemy, tak był odrósł i odwykł od tych uczuć, które widok matki w nim wskrzesił; tak się czuł do nich niezdolnym, tak był zimny i zmieszany, że nie wiedział co powiedzieć do rozplakaną niewiasty, a serce mu nie dyktowało.

Surowo patrzył nań starzec obey i głową wzruszał smutnie; nareszcie ze wzgardą prawie odepchnął go lekko i poszedł do kościoła. Matka ujęła go za rękę.

— Mów—rzekła—niech usłyszę głos twój; mów mi co chcesz... jam tak długo na dźwięk téj mowy czekała! Jestżeś szczęśliwy? jestżeś *szczęśliwy*?

Adam milczał, ale powoli odechodził z przykrego wrażenia i oprzytomniał. Tak rzucone pytanie było dla niego nie do rozwiązania. Szczęśliwym ani szczęśliwszym nie był, bo szczęście dla niego kryło się w dali po za tą terażniejszością, którą uważał za drogę do jakiegoś nieokreślonego celu.

— Ja! rzekł z cicha—sam nie wiem: pracuję...

— Czy cię oni kochają? spytała matka.

Zamilkł.

— Ona jest dla mnie jak matka... wybąknął po chwili.

Staruszka spuściła głowę i uśmiechnęła się gorzko.

— Ja matka — powtórzyła cicho — tak! więc ja, jam już niepotrzebna! więc masz drugą matkę... a ja? a ja?

Adamowi w końcu serce drgnęło, pocałował ją w rękę i rzekł:

— Nie miejcie mi za złe, żem to powiedział: chciałem was pocieszyć, że źle mi nie jest.

— Tak! tak! jam to sama powinna była przeczuć—odparła pani Krzysztofowa:—kto się wyrzeka dziecka, wyrzeka się i macierzyństwa, i pociech jego; dziś ty i ja—cóż obey ludzie, co się kiedyś widzieli.

I znowu płakać zaczęła po cichu, ale z za łez pooglądała na niego stęskniona, szukała w nim dziecięcia swojego i znaleźć nie mogła. Był to tylko zimny cień przeszłości.

Adam rad był bardzo, że się ruszyli od bramy, zkađ ich od rynku i gospody widzieć było można, bo zawsze jeszcze pycha czyniła mu towarzystwo matki, ubogo i niepocześnie ubranéj, przykrém i wstydliwém. Poszli dalej podwórzem kościelném, trącając po drodze kamienie grobowe: ona płacząca, on pomieszany. Ale po kilku krokach, matka usłyszawszy w kościele dzwonek, zmieniła myśl, zwróciła oczy na drzwi, ujęła go za rękę i zawołała śmielej i głośniej:

— Do Boga!

To mówiąc weszła na próg.

Wyraz ten wymówiony z rezygnacją męczeńską, dodał jéj siły: pierwsza przestąpiła podwoje... U drzwi, wedle obyczaju swego, w kruchcie modlił się Dyogenes oparty na kij. Nigdy on nie przechodził dalej nad tak zwany babiniec, nie uznając się godnym bliżej do przybytku przysunąć. Klękał pod chórem i milczącą modlitwą, z podniesionemi do góry rękami, Panna Boga chwalił.

Matka Adama wsunęła się powoli, minęła go, i podszedłszy kilka kroków dalej, padła płacząc na kolana, a potem krzyżem na ziemię. Adam stał nieopodal od niéj, po pańsku wyprostowany i zimny; nieco się nawet odsunął, bo znowu téj biednej niewiasty rozłzawionéj, rozkrzyżowanéj wstyd się paniczowi zrobiło.

U ołtarza odprawiała się msza święta, a cicha uroczystość tego obrzędu, któremu mało osób było przytomnych, ukoila w piersiach przybyłych rozbudzone tém spotkaniem uczucia. Adam tylko, który był odwykł i od nabożeństwa, i od modlitwy wewnętrznej ducha, rozmyślał zimno oglądając się po kościele, to o matce, to o sobie.

Trwało to dosyć długo. Msza się skończyła, ludzie

się porozehodzili, zrobiło się pusto i wyjść nareszcie było potrzeba, a pani Krzysztofowa wciąż leżała krzyżem, i chustka, którą podłożyła pod twarz, na wskroś była od łez przemokła.

Dyogenes widząc, że się już za długo modli, przywłókł się i podniósł ją powoli, ale przeraził się spojrzawszy w jej twarz zmienioną, zbolalą, żaławioną.

Choćmy jejmościuniu do domu, szepnął cicho: ofiarowałaś Bogu boleść swoją, nie ma już co odbierać gdy się raz dało.

Zwlokła się biedna męczennica, a Adam wyszedł za nimi z kościoła sztywny i chłodny.

— Co oni z nim zrobili? szepnęła do Dyogenesa w progu: czy oni mu wyjęli serce? Co się stało z dzieckiem mojem?

— Nie twoje już ono dziś—rzekła z cicha Kapustyński,—nie twoje i nie nasze. Mówilem jejmościuni: dałaś ofiarę Bogu, nie cofaj, nie dróż się z nią. Co z wozu spadło, i to i przepadło... Co raz Bóg wziął, to się nie powróci; nie ma tam serca i nie będzie, moja dobrodziejko: wywałasz yli nieboraka!

Po takim występie, niewiele w istocie spodziewać się było można. Adam poszedł za nimi powoli do gospody, gdzie służba zastawiła dla niego śniadanie. Odprawił pod jakimś pozorem ludzi, i poprosił matkę dla podziwiania makat, któremi ściany wybito. Ze stołu nikt nie dotknął. Dyogenes miał ten chleb za zatruty. Matka znowu nieco ożywiwszy się, słuchała opowiadań syna o przeszłości, świetnych jego marzeń o jutrze. W tych dziejach nie było, co by dziecko z nią łączyć mogło: dzieje obce, ludzie nieznani, uczucia nawet jakies dla niej niezrozumiałe.

Cieszyło się chwilami serce matki, gdy się powo-

dzeniem chwalił, gdy jej malował świetne w przyszłości widoki, to znowu smutniała, bo widziała, że to szczęście niepewne potrzeba było okupić ofiarą dziecięcia, zaparciem się jego.

Kapustyński milezący był i pogrążony.

Tak zbiegł ów dzień ciężki dla obojga.

Widzenie się to nie obudziło serca w Adamie, matce tylko je rozkrwawiło. Dzień cały przeszedł smutnie, dziwnie, żalobnie, jak gdyby nie syn przybiegł uścisnąć kolana macierzy, ale zimny gość jakiś natrętny. Matka mówiła mu wiele o starym ojcu, o jego boleści, o jego smutku, o zmianie, zestarzeniu, a mówiąc płakała.

Łez było do woli, ale jej tylko: żadnego rozczulenia ze strony Adama. Nareszcie pod noc Kapustyński dopytawszy się zapomnianej skrzypki, wziął kij, i pocałowawszy w rękę i kolano Annę, nie żegnając się z Adamem nawet, wyruszył w pochód dalszy. Zostali sami. Matka dopiero teraz poczuła się swobodną i pobiegła do niego, objęła go za szyję, wołając.

— Adasiu! przemów! przypomnij mi te szczęśliwe lata dziecięce, gdyś szezebiotał na moich kolanach, gdyśmy we dwojgu marzyli o téj nieszczęśliwej przyszłości... A! i ja i ty spodziewaliśmy się dla ciebie świetnego losu; alem nie myślała, że ci od niego umrze serce. Więc ty już nie jesteś synem moim? więc już łez nie masz dla tych wspomnień? nie—nie?...

Adam się uśmiechnął.

— Jestem mężczyzną—rzekł—matko moja! płakać mi niewolno, myśleć trzeba surowo o sobie — i iść... iść, aż dojdę...

— Dokąd?

— Ha! gdzie dosięgnąć mogę! Dla szlachcica polskiego szeroko otwarte jest pole—rzekł z dumą. Wiśniowiecki nie miał powozu własnego, gdy go na króla wybrano.

— Dziecko! cóż ci się śni!

— Wszystko!! to, do czego tylko po szczeblach dojść można, rozpychając ludzi, gniotąc tych, co nie ustępują... Nie czas się cofać: dalem życie za to i pójdę!

Matka zadrżała, ale ją ten zimny upór szaleńca pochwylił, obłąkał: widziała w nim jakąś wielkość, coś heroicznego.

— Więc nie zmiękczać mi powinnaś serce—dodał Adam,—ale je okuć żelazem, aby nie nie czuło, aby go nie zranić nie mogło.

O! dziecię moje! nie takiej ja wielkości chciałam dla ciebie, ale wyjednaną pracą, zyskaną zasługą i trudem powolnym, i cnotą wielką.

— Cnotą zdobywa się królestwo niebieskie—odparł Adam z lekkością filozofa XVII w;—pracą zyskuje się to, że z niej drudzy potem korzystają; trudem powolnym idzie się do rąk namulonych:—ja muszę iść i dojść szybko.

— Jak to? jakimże sposobem? Zaprzędając się chyba?

— Tak jak za pogańskich czasów zaprzędawano się w niewolę, aby okupić złotem zdobytym dług—ja się może zaprzędam abym się wyniósł... Ale nie bój się matko, nikt mnie kupi całego: znam ich i nie dam się nikomu.

Uśmiechnął się dumnie i dziko. Biedna kobieta drżała, nie rozumiejąc dobrze tych wyrazów.

— Dość, dodał Adam, nie powiem ci więcej: tybyś

mnie nie pojęła i zadrżałabyś może: ja muszę pamiętać, żeby się pięć wysoko, coraz wyżej—to mój cel—to cel... a reszta...

Machnął ręką z pogardą, i pokręcił ledwie wyrastającego wąsika.

Temi słowy prawie się skończyła rozmowa. Zamilkli; niewiasta wyszła przestraszona, nie pytając go o nic więcej... przeraził ją.

— Ja muszę jutro powracać do domu—powiedziała mu wieczorem.

— Ja także wyjadę ztąd rano—rzekł weale jęj nie zatrzymując p. Adam.

— Ale jutro cię jeszcze zobaczę?

— O! koniecznie... jeszcze raz, matko kochana, a potem Bóg jeden wie...

Zasmucił się jakoś i spuścił głowę.

— Czekaj matko—rzekł smutnie.—Często na drodze, którą ja idę, depeze się ludzi, ale ludzie też zadeptać mogą. Któż wie? może padnę, może okryją mnie błotem, może stratuja nogami, może wypchną precz z tego koła, w które się wciskam przebojem. Któż wie? powrócę może kaleką, zdziechałym, szalonym. Zostawcie mi tam kątek u siebie, w sercu i domu... i czasem westchnieście za mnie.

— Adasiu!—zawołała ściskając go matka—nie mów tak, nie mów. Idź, ale prawą drogą: choć cię zdepczą, zostaniesz czystym; gdy cię zpotwarzają, będziesz miał sumienie za pociechę... Idź spokojnie, wytrwale, powoli—dojdiesz.

— Nie, już nie czas zmieniać drogę, odparł Adam chmurno. Gdy nogą stąpił na stopień powozu, który mnie uwiózł od wrót kościoła w Białej, już byłam na pierwszym szczeblu, już się zawrócić nie mogłem. Nie

pytaj o mnie matko! ale proś Boga, abym w bitwie życia nie zginął sromotnie, na uboczu, zapomniany i skalany.

To były słowa ostatnie; po nich zamknęła mu się dusza i usta, i milczał. Nazajutrz rano do dnia, powóz stał zaprzężony przed gospodą, gdy bryczka Jedrusia jeszcze nie była gotowa. Pani Krzysztofowa chciała być na nabożeństwie przed odjazdem, on się śpieszył napowrót. Rozedniewało, gdy o brzasku przyszedł mileczący i chłodny pożegnać matkę. Pokłaskł przed nią, a ręce staruszki spuściły się drżące na jego głowę pochyloną, która płynącego na nią cichego błogosławieństwa nie poczuwała. Wstał bez łzy w oku, bez wzruszenia, wybiegł i siedział już w powozie, gdy ona jeszcze na tém samym miejscu gdzie ją porzucił, jak wryta płakała... Przed oknami mignął jęj tylko wytworny ekwipaż synowski, którego woźnica zamaszycie z bata po trzykroć wypalił na odjezdném.

Przy Adamie siedział kamerdyner kasztelanowój, który młodego chłopaka nie bardzo lubił i rad mu był przy zręczności dopieć. Gdy nieco odjechali, schylił się do ucha pana Adama, i rzekł doń z grzeczném ale szyderskim półuśmiechem:

— Proszę pana grafa, czy też to prawda, co ci ludzie tam pletli, że ta uboga kobiecina, ma być matką jego?

— Moja matka?—odparł zimno pan Adam, mierząc go dumnym wejrzeniem—któż to waćpanu powiedział? Cha! cha! Jest to stara ochmistrzyni moich rodziców, która mnie wychowała: chciałem się od nię dowiedzieć niektórych szczegółów o mojej familii, dla tego jęj *kazałem* przyjechać.

— A! a!—zawołał zdziwiony kamerdyner, który do-

skonałe wiedział jak rzeczy stały i uczył się przerażony tém zaparciem matki przez własne dziecię... Słów mu brakło, przeląkł się téj potwory tak gładkiej, ślicznej i wymuskaněj, którą wiozł z sobą, skłonił się pokornie i nie rzekł już nic, ale pomyślał:

— Nie trzeba go zaczepiać! Źle będzie tym, co mu w poprzek drogi staną... O! o! ten się nie zawaha przed niczém.

Droga, którą wprost, nie zajeżdżając już do starościca chełmskiego, powracał pan Adam, szła mimo gościńca, który wiodł z Kodnia do Wólki Brzozowój.

Niespokojny o żonę p. Krzysztof, wyszedł z rana z kijem i różańcem na spotkanie żony... Los chciał,—a los wie często co czyni, choć go o ślepotę posądzają,—by na ciasnej grobelce powóz synowski natknął się na idącego pieszo staruszką...

Ze zwieszoną na piersi głową, w szarėj kapocie, z prostym koszturym w ręku, Krzysztof zadumany, zamodlony szedł wolno z różańcem, gdy nagle nad głowę usłyszał niemal umyślnie, hałaśliwe klaśnięcie z bata i wrzawę nadbiegających tuż, tuż koni. Pański woźnica widząc ubogiego człeka, z fantazyą magnackiego pachółka, palnął mu nad uchem, a starzec, który turkotu nie słyszał, przelekniony, chcąc nagle na bok usunąć się z drogi wązkiej, padł w rów szczęściem suchy... Podniósł głowę siwą, z której czapka zleciała, aby zobaczyć tego, który był przyczyną jego upadku, i wejrzenie gniewne spotkało u góry nad sobą uśmiechniętą dumnie twarz... nieznana i znajomą zarazem.

Serce ojca poznało, przeczuło raczėj syna... Adam przerażony poznał ojca. Dwa ich wejrzenia na chwilę krótką jak błyskawica starły się niespodzianie. Oko starca pełne było wyrzutów, oko dziecka pełne strachu...

Obu żrenice steżały, jakby widzeniem piekielném rażone.

— To on! zakrzyknął ojciec chwytając siwe włosy—to on!

— To on! rzekł podnosząc się z siedzenia Adam. Ale konie chwyciły nagle i powóz odbiegł szybko...

Mrowie przeszło po skórze człowieka, który nie miał w sereu uczucia. Coś mu się stało jakby weń piorun uderzył: czuł przepowiednię fatalną, czuł jakby mu drogę zaparło przeklęstwo rodzica, świst śmiechów szatańskich przeleciał mu po mózgu i prześwidrował uszy na wylot...

— A!—zawołał zaciskając pięści—fatalność! przeznaczenie... Więc niech się spełni co mi wyznaczono: niech cofnę się ze strachu...

Leżący nade drogą bez czapki, z łysą, siwych włosów resztkami pokrytą głową, starzec powtarzał jedno:

— To on! tak to on... mówił to wciąż drżący i uśmiechnął się do siebie. To on! jaki śliczny! jak po pańsku! jak wspaniale koło niego!.. A! a! że też mi nie rzucił jeszcze złotych za to potrącenie! A! a! byłbym ją schował i pokazał jejmości.

P. Krzysztof leżał tak na pochyłości rowu, i nie miał siły ani woli, by powstać. Przejechały wozy, przeszli ludzie witając go: „Pochwalony!” Przesunęły się kobiety z dwojakami niosąc strawę robotnikom na połudenek, on siedział tak wpół, napół leżał uśmiechając się do siebie gorzko. W rękach drżących trzymał różaniec; nie podjął czapki, nie szukał kija, słońce mu piekło obnażoną głowę... nie ruszył się.

Niespokojny nieco o niego pan Baltazar, począł go szukać, ale się nie domyślił gdzie iść po niego. Upły-

nęło dobrych kilka godzin; dopiero nierychło wracająca z miasteczka pani Krzysztofowa zatrzymała się z krzykiem, przelekła widząc męża leżącego w rowie z dziwną, jakby obłąkaną postawą i uśmiechem dzikim na ustach. Ludzie stanęli, pozeskakiwali z bryczki, ona pobiegła ku niemu z oczyma zapłakanymi... Poznać było można z jej twarzy głębokie strapienie, które strach chwilowy jeszcze powiększył.

— Krzysiu! co ci się stało? co to jest?... zawołała.

— A cóż! nie! odparł stary wesół—dziwne zrządzenie... Wystaw sobie moja jejmościuniu, poszedłem naprzeciwko was, zamodliłem się około różańca; wtém... jakby piorun, pał z bata, wpada na mnie śliczny powóz zaprzężony siwymi konikami i spycha w rów starego niedolegę... Jego właściciel, jakiś rażny chłopak, tylko się mojej biedzie uśmiechnął... Wystaw sobie Andziu! kropla w kroplę podobny paniczek do Adasia! Gdyby Adaś żył, powiedziałbym, że ładny z niego chłopak i dobrego ma woźnicę... Ja to lubię: kiedy z fantazją, to z fantazją... U nas tak! u nas tak, mościa dobrodziejko! z drogi hołota! jasne pany jadą....

Biedna kobieta tuliła go, słuchając przerywaną mowy, krzyczała i mdlała, ścisnęła starca, a jęk nie dozwalał jej wyrzec słowa...

— Ale czegoż asindzka desperujesz! przerwał Krzysztof: nie mi się nie stało! nie! całym przecie! tylko się nastraszył trochę, ale w rowie odpocząłem... Bo też to starym za swoją miedzę nie chodzić...

I zaczął się znowu śmiać, ale sucho, strasznie i dziko, a gdy siedli do bryczki, zamilkł nagle, tylko co kilka minut porywał go jakiś śmiech konwulsyjny, dziwny, wesół, jasny, ale przerażający. Anna cisnęła go do piersi i tuliła napróżno jak rozplakane dziecko.

W ganku znaleźli oczekującego na nich niespokojnie pana Baltazara, który ujrawszy ich oboje z daleka, począł wesoło machać czapką. Napróżno mu Anna znaki dawała, aby się uśmierzył w tych objawach wesela: był po dobrym kieliszku wódki i w usposobieniu szczęśliwem.

Gdy konie już stanęły przed gankiem, chciał żartować, że państwo zateśniwszy do siebie, dali sobie *rendez-vous* na gościńcu; ale spojrzawszy na pana Krzysztofa, zdrewniał.

Stary wyglądał jak trup, trząsł się i śmiał razem: na policzkach bladość śmiertelna, a oczy obłąkane... W postaci jego było coś tak nienaturalnego, że jednem wejściem Baltazar poznał, iż ich jakaś przygoda straszna, niespodziana spotkać musiała. Nie śmiał nawet wypytywać.

Ale stary wysiadłszy, zaraz mu sam opowiadać zaczął, w tych niemal słowach co żonie; chłód i szyderstwo nielitościwe podnosiły je do tragiczności... Baltazar zrozumiał, osłupiał, zamilkł, krzątał się tylko około nieszczęśliwego starca cały drżący.

Pod wieczór potrzeba było sprowadzić starego z ganku, bo sam ani pomyślał wejść do pokoju; potem gdy go posadzono przed stołem, siedział przy nim nieruchomy, ust nie otwierając i niekiedy uśmiechając się do siebie... Żona mu późno w noc cicho przypomniała, że czas na modlitwę i do snu.

Rachowała na to, że ów obraz Chrystusów zmieczy go, rozelzawi, a nawyknienie do nabożeństwa otworzy mu duszę... Odeszli więc wszyscy, zostawując go samego.

P. Krzysztof jeszcze siedział chmurny; kiedy niekiedy wśród ciszy rozlegał się śmiech dziki, dreszczem

przejmujący wszystkich; po nim następowało długie, głuche milczenie.

Biła już północ na starym zegarze, gdy przetarlszy oczy wstał nareszcie pan Krzysztof, z krzesła i namarszczony poszedł wprost do oświeconego obrazu Chrystusa. Słabe światło lampy oblewało go blaskiem łagodnym: rzekłbyś, że wizerunek żył i poruszał się, tak był pełen wyrazu. Starzec stanął i przypatrywał mu się długo; nareszcie roześmiał się głośno, szalenie, rubasznie.

— Ha! cierpiałeś,—zawołał głośno stając w postawie dumnej naprzeciw Ukrzyżowanego—i nie masz litości nad cierpieniem? Modliłem ja się długo do Ciebie... alem nie nie wymodlił...

Zamilkł chwilę, spojrzął i rzekł dalej:

— Za cożeś Ty mnie ukarał? powiedz? mów? Czy chcesz mnie zrobić świętym? męczennikiem? czy pastwą szatana? ha? Mówże, odezwij się? Ukaraleś mnie za to chyba, że ci służył, że byłem wierny Twoim przykazaniom!... I jak!... Nie! nie! Nie ma dla nas Boga! nie ma...

To mówiąc porwał nóż, i z ręką w górę podniesioną biegł do obrazu, któryby był przebił, gdyby Anna czatująca w progu, nie nadbiegła z krzykiem i lamentem, a Baltazar z drugiej strony... Stary wojak chwycił mu silnie dłoń i wyrwał z niej żelazo.

Usłyszawszy hałas nadbiegających, starzec jakby oprzytomniał: rzucił się uciekać, padł na kolana, rozplakał się.

Zamęt stał się w domu jak w dzień sądny; krzyki i płacze rozlegały się po cichych przed chwilą izdebkach... Krzysztof podniósł głowę i twarz całą strumieniami łez oblana. Był już chłodny i przytomny.

— Po księdza—zawołał rozkazująco—po księdza! Nie bójcie się — dodał poglądając po otaczających— rzecz skończona, jam zupełnie zdrow na umyśle... dyabeł poszedł do piekła... Anusi! nie płacz proszę, to już ostatni termin... Dokona się wszystko uczciwie i po chrześcijańsku. Trochę pobalamucilem. Boże przebac, ale to już przeszło. Niech mi zaraz Jędrus siada na kasztanka i leci wprost, przez suche błoto, do wikarego, a prosi, aby wikary wziął z sobą wiatyk i przybywał co rychlój. Teraz się potrzeba modlić i Boga przebłagać.

Podano mu wody, zwilżył usta... otarł zimny pot z czoła, westchnął...

— Anulku—rzekł całując ją w rękę—przepraszam cię moja droga, głupstwo się stało, ale *caro infirma*... Wszystko się miłosierdziem bożem naprawi... Bóg wielki przebaczy... *patiens quia aeternus*.

Zaczął się modlić po cichu...

— Héj! przerwał po chwili: zawołać mi tu gumienego; powiem mu słowo...

Pobiegli po Hordieja, który nie spał, cała czeladź gwarzyła przy ognisku na folwarku. Oblókł się w swietą nową stary i nadbiegł do pana.

— Co jegomość rozkaże? spytał.

— Chodź-no tu bliżej—rzekł stary—idź-no ostrożnie... weź klucze od strychu... znieś mi zawczasu trumnę: wysypiesz z niej zboże dla bydła i drobiu... z pyłu ją oczyścisz i postawisz w spichrzu na dole, aby potem łapaniny nie było.

— A na cóż to, z przeproszeniem jegomości?—szepnął Hordiej kłaniając się — kiedy dzięki Bogu zdrowieńki...

— No! no! słuchaj ino mnie, wiem już ja co czy-

nię... Naści talara — odezwał się dobywając skórnego woreczka p. Krzysztof—idź, zrób jak mówię, ale żeby mi nikt nie słyszał... A jeśli spytają, po com cię wołał? powiesz, że ci miarkę żyta kazał zawieźć dla starego Onyski... bo też to trzeba zrobić.

Hordiej smutnie głowę spuścił, całując go w rękę.

— Słuchaj-no jeszcze—przywołał go stary—zobacz, czy się to tam nie rozeszło zbytnie? boby potrzeba poreperować.

Hordiej kiwnął głową.

Gdy gumieny wyszedł, p. Krzysztof zażądał brata Baltazara.

— Siadaj przy mnie bracie.... rzekł spokojnie... W kuferku pod mojem łóżkiem jest światło jarzące, i trzysta złotych na ubogich i msze święte w woreczku... Jest tam habit tereyarski i pasek świętego Franciszka.

— Ale na cóż to? zawołał Baltazar.

— Na co? jakiś ciekawy? rzekł Krzysztof. To ci się mówi, ażebyś wiedział... Poproś, aby przyszła Anusia.

Biednej Annie ducha nie stawało, ale się dźwigała biedaczka, zapłakana i wylekła, biegając po domu i przyklękując przed obrazami co chwila.

— Moja jejmość, pomóż mi się modlić — odezwał się p. Krzysztof—mów ze mną litanię i co ci serece poddyktuje... Lepiej mi będzie za tobą docisnąć się do Pana Boga.

Chciał powstać, ale mu było ciężko, niemoc go chwyciła nagle, modlił się tak do rana, wpół klęcząc, na poły leżąc oparty o krzesło.

Były to modlitwy jak przy konającym... Nieustannie przerywał je pytaniami, czy ksiądz nie nadjeżdża?

Ale świtało już dobrze, gdy ksiądz wikary z Panem Bogiem przybył, bo go Jędrus nie zastał na plebanii i musiał czekać, aż powróci od chorego.

Naówczas zamknęły się drzwi... i parę godzin długich trwała spowiedź ostatnia.

Gdy wszystek dwór przyszedł pokłęknać u łóża starca, aby być świadkiem obrzędu uroczystego pojednania z Bogiem i wyboru w wielką podróż ku lepszemu światu,—Annę wynieść musiano z pokoju starca, gdyż z płaczu omdlała. Otworzył oczy, gdy wstała i wyszła razem z księdzem do pierwszej izby, ujrzała na tapczanie pokrytym kilimkiem zimnego już trupa męża, z zamkniętymi oczyma, z założonemi na piersiach rękami; ale z wyrazem spokoju wiekuistego, z uśmiechem przebaczenia i miłości na ustach. Konający pobłogosławił syna.

W ogrodzie przy rezydencji państwa kasztelanstwa, u narożnego muru, wzniesiony był tak zwany *belweder*, z którego widok na okolicę nie miał równego: żadne oko pałacowe rozległością taką krajobrazu pochwalić się nie mogło. Belweder ten zbudował dla fantazji Włoch architekt, który stare zameczysko reštaurował, *proprio motu*, w rogu dwóch schodzących się murów, które park opasywały, stawiając go może, aby sobie trochę czarowne Włochy i daleką przypomnieć ojczyznę. Z płaskim dachem, oszklony wkoło, ozdobiony był na czterech wystających kształtnych słupkach wzniesionemi naczyniami kamiennymi, w których rosły, niestety! blaszane tylko, zielono pomalowane aloesy, niezgorzej wszakże naśladowane. Obok nich, w pyle i kurzu zwilżonym rosą, puszczały ukradkiem drobniejsze trawy, kwitnąc w sekrecie pod martwemi liśćmi nieżywej rośliny.

Tak często na świetle za urzędowem malowaniem życiem kryje się skromniejsze... ale prawdziwe i żywe.

Ponieważ nie było pewności, czy winna latorośl zechce opasać owe murowane słupki dla niej przygotowane, okalające belweder włoskim obyczajem, poma-

lowano na nich dosyć zręcznie liście i gałęzie zielone.

Jakkolwiek ta ornamentacya od kilku już lat oplókiwana śniegami i deszczami dosyć była nadwreżona, a czasu niebytności państwa kasztelaństwa i okien z oddalonej budowy trochę nakradli sąsiedzi,—zrestaurowano znowu nieco belweder, bo w nim często sama pani z książką siadać lubiła. W pośrodku był to sześciokąt prawie rotundę czyniący, otoczony wygodnymi sofami. Na każdym ze słupów przedzielających ścianki w pompejańskim smaku malowane, długie w złożonych ramach zwierciadło odbijało przeciwległe widoki, oknami śmiała się zielona okolica, szeroka łąka z rzeką srebrzystą i czerniejącymi lasy w oddaleniu.

Daleko przez zielen pól i łągów wila się droga gdzieniegdzie drzewami wysadzana... Ale z tych niegdyś regularnie rozstawionych, upartsze tylko pozostały, resztę wyłamali pastuszkowie i ubodzy ludziska, ale daleko po drwa nie chodzić do lasu. Lipy poschły, bo z nich odarto korę; brzozy, bo z nich sok obficie spito na wiosnę; wierzby wyglądały jak nieszczęśliwe kaleki. Ale z tą biedą gościńcowi było jeszcze piękniej: nie był on do zbytku wyszamerowany: zielenił się gdzieniegdzie, fantazyjnie kręcąc się i zdobiąc jakby przypiętą wiązką drzew. Droga kręciła się jak tancerka wesola po szerokiej izbie, zawracając gdzie się jęj co uśmiechnęło. Tu i owdzie wymknął się to jastrząb stary zgięty trochę, cherlający, ale dla tego w jesieni okryty tém obfitszymi jagody, im w lecie uboższy był w liście,—to stara skrzywiona lipina odarta, strzaskana piorunem, a z pośrodku suchych gałęzi strzelająca kępkami bujnej zieloności, które nie wiedzieć jaka siła z zeschłego pnia wydobyła,—to brzoza

z krwawemi, od wiosny niezagajonemi ranami,—to wierzbina bez głowy, rozłupana, na wylot przebita, a z czupryną gęstą, jakby dopiero żyć poczyniała,—to sosna sucha, sztywna, a rzadkimi igielkami ledwie zdradzająca, że jeszcze nie umarła.

Spodem pod cieniem tych magnatów, czepiały się tu i owdzie, to krzak łożyny, to parę gałązek głogu, to owe nie policzone krzewy bez nazwiska, które się rodzą, abym małym ptaszętom dać schronienie, opierać się mężnie wszelkiego rodzaju prześladowaniom, i zginąć jak żyły—nieznane i niepoliczone.

Na tej drodze przerywnąjącej przestrzeń szeroką, spoczywały niespokojne oczy kasztelanowej, która od wyjazdu Adama siadywała najczęściej w belwederze, rozmarzona, smutna jakaś i wyglądająca jego powrotu. Oko serca mogło o milę rozpoznać tu przybywającego, przeczuć go w tumanie pyłu, i domyślić się w czarnym punkcie dalekim... Trochę wprawdy łatwo dozwala rozróżnić podróżnego na gościńcu: inaczej on pyli pod pańskim powozem, a inaczej pod chłopską furką wlokącą się powoli i podnoszącą za ledwie niewielki obłoczek, umierający u nóg szkap zmęczonych.

Tegoż samego dnia wieczorem, kiedy się jeszcze nie spodziewała Adama pani kasztelanowa, spostrzegła kawalkatę, która z początku zdała się jakby powozem i furgonem ulubieńca, wkrótce jednak po ciemnej maści koniach poznała kogoś obcego. Adam nie mógł być tak prędko z powrotem, a gość każdy przy dzisiejszym usposobieniu hrabiny, nie był jęj pożądany: chciała i wołałaby być sama z sobą. Tulila resztkę szczęścia ziemskiego do zbolałego łona, nie umiała mówić z ludźmi, wstydzila się ich i obawiała.

Postrzegłszy powozy jadące do zamku, załamała ręce i rzekła w duchu:

— A! znowu jakieś natręty!

Pocieszała się tém jeszcze, że to być mógł natręt jaki do męża, jaki sąsiad śpieszący z respektem do dygnitarza, lub ktoś, kogo ona przyjmować i bawić nie będzie potrzebowała; ale powozy zbliżały się szybko... i rozpoznać już w nich było można siedzące kobiety.

Tych jak najmniej widzieć pragnęła, ale na wsi każdego przybyłego gościa przyjąć potrzeba, na to nie ma ratunku. W kwadrans potem, świeża, piękna, wesola choć w szatach żałobnych, które jeszcze podnosiły jej wdzięki, ukazała się wcale niespodziana... Krystyna.

Wbiegłszy do salonu, padła w objęcia najlepszej przyjaciółki z owym zapalem, który im mniej jest szczerzy, tém bywa gorętszy. Uścisnęła Julię, ucałowała, nie mogła się jej napatrzeć, o mało jej nie zjadła.

— Tylko co powracam do kraju—rzekła, widzisz, nie mogłam wytrzymać bez ciebie... *par monts, et par eaux* pośpieszyłam, żeby cię uściskać... Pragnęłam pomówić z tobą, było to potrzebą duszy mojej... Wiesz już dawno, że jestem w żałobie, *le pauvre homme a terminé ses souffrances et mon martyre...* (westchnęła)—ale to już dawne dzieje... Ten biedny mój Łazarz, żebyś wiedziała, jak niespodzianie skończył... A ile mi kłopotów zostawił na głowie!... nie mówmy... Cóż się z tobą dzieje? jesteś szczęśliwa, mów mi wszystko a wszystko...

I spojrzała jej w oczy. Odpowiedź malowała się na twarzy hrabiny, bladłej, zmęczonej, powleczonej tros-

ką i smutkiem... uśmiech przecię przeleciał po jej ustach, ucałowała przyjaciółkę.

— Jestem szczęśliwa, o ile... na ziemi być można—rzekła—kocham... to dosyć.

— A on?...

— A on—odparła hrabina—czyż miłość i szczęście mierzy się tém jak nas kochają? Mnie się zdaje, że tém jak my kochamy. Ja go kocham... i to mi wystarczy.

— Ale on? on? powiedzże mi, jakeś go znalazła?—z osobliwszém natręctwem, patrząc jej w oczy, zawołała piękna wdowa.

— On! on mi się wydaje doskonałością samą, bo ja go kocham... kocham! powtórzyła hrabina. Czegożbym więc pragnąć mogła na ziemi? Przeżyłam Krzysiu, jak ty, jak my, wszystkie córki wieku, w niewierze, w obojętności, w szyderstwie długie lata... i na zastygłe już serce przyszło uczucie wówczas, gdy się go nie spodziewała.

— O! te późne jesienne owoce zawsze są cierpkie, błyskając czarnemi oczyma zawołała Krystyna—nie chcę cię nudzić ciekawością moją... Adam *est un jeu-ne complet... il est parfait...* ukształcić się bardzo.

— A! może nadto! szepnęła kasztelanowa po cichu—trochę go wołała takiem prostém, naiwném dziecięciem, ale dziś... jużbym go kochała zbrodniarzem i ostatnim z ludzi...

Krystyna ruszyła ramionami.

— O rzekła—ty kochasz *comme on n'aime plus*, albo raczej *comme on n'a jamais aimé*.

— Sądź mnie jak chcesz, zawołała kasztelanowa, ja inaczej nie potrafię: raz, ale bochatersko i na śmierć.

Krystyna spojrzała uważniej, i przeszła się po pokoju.

— Wiesz—zawołała nagle—nie byłam nigdy u ciebie na wsi, ale przesłiczny ten twój *castel* stary, i tak romantyczny! *C'est si moyen âge!* tak szczęśliwie potrafiłaś go sobie urządzić... Spędzicie tu całe lato?

— O! jak najdłużej można... nie chce mi się wracać do téj nieznośnej Warszawy.

— Cóż? bałabyś się o swojego Endymiona? ruszając ramionami zawołała Krystyna. O! poznałam go... Powiem ci szczerze: nie masz się o co lękać nas kobiet... jest pelen ambicyi, chłodny, obrachowany, jakby młodości miał twarz tylko... Jest nadto stary... ale gdzie chodzić będzie o dostojęństwo... odda za nie i ciebie, i wszystko.

Julia podniosła oczy groźne.

— Tak sądzisz? spytała.

— Nie wiem, mylę się może; lecz jeżeli go zechcesz przywiązać stale, trzeba dać pastwę jego namiętności, trzeba nieustannie ukazywać mu jakieś cacko u góry... Ja sądzę, że wy, nie mając dzieci, moglibyście bardzo przysposobić go za syna...

Julia pobladła; pytanie było straszliwe, sięgało do głębi. Ona nie mogła starać się o to, boby się wyrzekła w takim razie zamażpójścia za niego, a w duszy może rachowała, że kasztelan był stary, że... Nie mogła się szczerze spowiadać przed Krystyną, choć najserdeczniejszą przyjaciółką... spuściła oczy.

— Tak—rzekła—jabym tego pragnęła, ale ty znasz kasztelana, jak on w interesach jest trudny. Jego rodzina ma nad nim przewagę, której ja zwyciężyć dotąd nie mogłam.

— Żartujesz...

— W małych rzeczach ustępuje mi: gdy idzie o ważniejsze, wcale mnie nie pyta.

— Sama jednak pojmujesz, że jeśli go jakimś węzłem stalszym nie przywiążesz do siebie, ambicya pehnać go może daleko... Może się podobać kobiecie... zlakomić się na bogaństwo, na świetniejsze dla siebie widoki...

Julia pobladła jak marmur, zadrżała, wyciągnęła rękę.

— Dostyc, dostyc, nie mów—zawołała—rozumiem cię. Nieraz już myślałam o tém... ale naówczas, słaba kobieta, przemienię się w lwicę broniącą dziecięcia.

Krystyna ruszyła ramionami.

— O! droga ty lwico moja! nie obronisz swego lwiatka, bo ono będzie w spisku z nieprzyjacielem... Cóż ci po niém zresztą, jeśli cię kochać nie będzie? jeśli poczujesz, że gdzieindziej jest sercem?

— Tyś nigdy nie kochała krzyknęła Julia powstając—nie, ty znałaś tylko tę miłość samozwańczą, która była grą o pierwszeństwo, pychy naszej igraszką, nie zaś przywiązaniem namiętném. Ja go kocham! jabym pogardzając nim musiała go kochać jeszcze... Straciłabym go i poszłabym w ślad za nim, aby go zobaczyć w objęciach obcej; jabym brzydząc się nim, jeszcze szaleć za nim musiała... To nie jest miłość spokojna, oparta na kolumnie szacunku, jak ją symbolizują nasi malarze: to miłość ślepa, dzika, szalona, bezmyślna... zwierzęca, jeśli ci się ją tak nazwać podobą; ale nie! tajemnicza, fatalna, bo nie nie żąda, tylko patrzeć na niego, tylko go mieć przy sobie, tylko raz choćby we dnie, mieć sobie rzucone, jak pies kość do ogryzania—wspomnienie, słowo, uśmiech... To, co ty mi mówisz, mówiłam sobie stokroć sama: jam stara...

ja go utrzymywać nie potrafię, ja go poświęceniem, złotem, ofiarą, pokorą, łzami nie przytrzymam, będę musiała go stracić... no to cóż? ale umrę kochając go.

Sluchając tych słów wymówionych gorączkowo, Krystyna pobladła z kolei.

— Przyznaję ci się, serce drogie, że znowu takiego szaleństwa nie pojmuję... No! ładny jest, miły chłopak. Co chcesz? podobał ci się, bawi cię; ale wszakże podobnych mu są tysiące po świecie...

— Nie! on jeden, on jedyny! bluźnisz!

— Tak ci się to dziś wydaje.

— Dziś? tak jest od lat kilku: każdy dzień mocniej przy sercu ten węzeł mi zaciska. Pamiętasz, ile razy igrałyśmy z ludźmi, ileśmy razy przetestniwszy dwa wieczory aż do łez, trzeciego nową historię zaczęły z uśmiechem. Ale tam były komedye, a to jest—to jest tragedia starożytna... Czytałaś kiedy tragedye starożytne? zapytała Julia...

— Ja? Corneil'a! Racine'a czy Voltaire'a.

— A! nie! to woda z mlekiem i łyżeczką rumu—to mdle. Ja z nudów wpadłam na tłómaczenie Sofoklesa. Nie znasz tego świata fatalności, przeznaczeń, krwawych scen i majestatycznych obrazów: miłość moja z niego pochodzi.

— Ja nie znam tego świata...

— Widzisz, mówiła Julia rozgrzewając się coraz bardziej: nasze dawne miłości wszystkie były sprawami wietrznymi, skandalem, płochością, zabawą. Moja miłość niczego się nie lęka. Cóż mi ludzie? ja nie mam wstydu, bo kocham. Co mi cierpienie? Miłość topi je jak kroplę goryczy w przepaści nektaru. Nie lękam się sztyletu... ognia, trucizny... śmierci.

— Ale tyś doprawdy heroiczna! odparła jakoś

chłodno całując ją przyjaciółką—nigdy cię taką nie widziałam.

— Bom nigdy taką nie była...

Zamilkły chwilę.

Cisza zimna jak dreszcz śmiertelny trwała czas jakiś. Julia z zaognionemi oczyma, otoczonemi czarną obrączką trosk i łez, z zapadłemi policzki, z twarzą wypieczoną od rumieńców chorobliwych, mimo znękania, była jakoś dziwnie piękna, wyraz jęj rysów podnosił ją do bohaterstwa. Ale jęj piękność heroiczna była z rodzaju tych, na których się tylko wielkie serca poznać umieją: była piękna i straszna zarazem. Obok nięj, jakby dla zupełnego kontrastu, siedziała biała, rumiana, wesola, swobodna, z czołem pogodnem Krystyna; po licu jęj przeleciało jakby wrażenie przestachu.

— „Czyżby mnie odgadnąć miało? spytała się w duchu siebie—czyżby zastraszyć mnie chciała? Ale nie, marzy mi się chyba: to niepodobieństwo! Wolalbym zresztą tak od razu jasno postawić pytanie i rozświecić je lub rozwiązać.”

Wzburzone uczucia obu przyjaciółek, powoli lżejszą rozmową się ukołysały; zaczęły mówić o Paryżu, o dworze, o znajomych, choć Julię mniej to teraz obchodziło. Krystyna starała się ją wybadać i zmusić do wyznań, i ku wieczorowi rzuciła kilka pytań o przybyciu Adama, o jego usposobieniach dla nięj; ale za ledwie napomknęła o tém, Julia jęj przerwała.

— Czekaj—rzekła—nie pytaj mnie, jak ci nie nie powiem, nie mogę. Nie sądź, abym chciała robić tajemnicę, nie strzegę się wcale, nie myślę o tém co powiedzą ludzie; ale to jest jedną z cech tęg miłości mojęj, że powinna zostać osłonią, tajemniczą, między

mna a sędzią moim—Bogiem... Ludzkie oko, ludzkie ucho dotykać jęj nie może; nie umiem o niej mówić, nie śmiem słowem się otrzeć o nią... ledwie odważam się myśla.

Krystyna rozśmiała się głośno.

— Dziwaczysz! sprzeczasz się sama z sobą: dziwnie, dziwnie!

— Prawda! czuję jak to wszystko jest śmieszne, odparła Julia—ale to tak jest. Inaczéj być nie umiem, nie chcę, nie mogę.

— Jednakbym się chciała dowiedzieć, czyś kontenta z mojego wychowanka? bo wszakże jest to już po trosze i mój wychowanec...

Julia siadła, i poglądając bacznie na Krystynę, odezwała się:

— Powiem ci prawdę, jam chybiła w początku: nie potrzeba było z niego nic robić, trzeba go było zostawić wychowancem natury, tak jak był. Któż wie! ostudziliśmy może serce, może osłabili uczucie, może starłyśmy pyłek z tego kwiatu.

Krystyna usta zagryzła. Część tego pyłku w istocie do jęj różowych warg przylgnęła. Nie śmiała rzec słowa: ta Julia rozgorączkowana wydała się jęj straszną.

Tego dnia chmura opuściła pokoje, a przyszedłszy do przeznaczonego sobie mieszkania, siedziała długo zamyślona, posępna. Nie wyobrażała sobie tego przywiązania Julii tak gwałtowném, tak silném jeszcze, tak namiętném! poczyniała się go lękać; ale nie znałby kobiety ktoby sądził, że strach w takim razie zmusi ją do ustąpienia. Jest on nowym bodźcem do przełamania trudności: zdobyć zdała się jęj tylko pożądaną.

Postanowiła czekać powrotu Adama, przypatrzeć

mu się, pomęczyć go trochę, nastraszyć, może nawet trochę przygotować przyjaciółkę do katastrofy... a potem pożegnać ją na zawsze. Wiedziała teraz dobrze, iż mieć go będzie gdy zechce.

Nazajutrz spodziewano się powrotu ulubieńca. Julia była od rana weselsza i niespokojniejsza zarazem, wyglądała nieustannie wszystkiemi oknami, mówiła o nim tylko, choć zwracano rozmowę na inne przedmioty, z każdą godziną dnia wzrastało jęj rozdrażnienie, z którego przyjaciółka dosyć nielitościwie sobie żartowała.

— Nie radabym cię zmuszać—rzekła pod wieczór,—ale ja trochę Adama poznałam: ty na niego i przywiązanie jego wiele rachować nie możesz... Tam nie ma takiego serca, jakiego ty wymagasz.

— Tam, tam może całkiem nie ma serca! gwałtownie odparła Julia. Ale wytłómacz mi, dla czego kocham go takiego jaki jest? dla czego nie kochałabym go może gdyby był doskonalszy? Ja sama tego nie rozumiem... lecz wiem i czuję, że tak jest.

— Więc lecisz w przepaść! Pozwól, by cię nad jęj brzegiem ręka przyjaciźni próbowała przynajmniej powstrzymać.

— Nic mnie nie wstrzyma; czuję, że lecę w nią—i wpadnę.

— Nie chciałabym cię zrażać do niego—rzekła po chwili przyjaciółka,—ale doprawdy...

— Na cóż ci to moje rozczarowanie potrzebne? zapytała Julia—mów?

Zmilkły znowu:

— Jesteś więc fatalnie wyznaczona na cierpienia! zawołała Krystyna.

— I cierpię—dodała Julia,—na to nie ma ratunku.

Poszły razem do belwederu, z kądem drogę widać było; ale dnia tego jeszcze Adam nie przybył. Trzeciego już się Krystyna do wyjazdu sposobie zaczynała, ale pozornie, bo wiedziała, że ją wstrzymywać będą i myślała zostać, aby go doczekać. W południe jakoś nadjechał Adam.

Na twarz Julii świeże wystąpiły rumieńce; pobiegła do zwierciadła; cały dom był w ruchu dla pieszczocha pani... Krystyna się ogromnie niecierpliwiła... Adam nierychło nadejść raczył, ubierał się, odpoczywał; posłano mu do jego pokoju śniadanie; sto razy wychodziły do niego kartki i posłańcy. Nareszcie ukazał się w całym blasku tej piękności miękkiej, wdzięcznej, delikatnej, wyświeżonej, wydmuchanej, która stanowiła charakter jego twarzy i fizyognomii ogólnej.

Julia pomimo że się wstrzymywała przy świadkach, wychodząc naprzeciw niemu cała była drżąca... a pożerała go oczyma... Krystyna przyglądała mu się z nieznosnym, dojmującym szyderstwem; jej wejrzenia wbijały się w piersi jego jak szpilety... Adam wszakże nie okazywał się zmieszany tą niespodzianką, ani dziwną rolą swoją; zachował zimną krew, przytomność, i dla Julii był z zimnym, pokornym uszanowaniem.

Biedna kobieta, jak wszystko co on czynił, znalazła to postępowanie w obec Krystyny najwłaściwszym, zastosowała się do tej wskazówki i rozkazu, była również lub starała się przynajmniej być poważną i chłodną.

Niecierpliwiło to Krystynę. Patrzała na nich milcząca i chmurna przez godzin kilka, często zagryzając wargi, lub rzucając słówka drażniące, dwuznaczne, napawała się przykrością, którą czyniła obojgu. Gdy na chwilę hrabina wyszła, a Adam został z Krystyną

sam na sam, spojrzeli na siebie zimno, ale przenikająco.

— Dla czegoś tu przyjechała? szepnął Adam.

— Dla czego? O! nie rozumiesz więc—z tłumionym i nieszczerym śmiechem odparła kobieta:—chciałam własnymi przekonać się oczyma, jak wielką dla mnie czynisz ofiarę... Ale tu nie miejsce mówić o tem—przerwała żywo—mogliby nas podsłuchać. Zrobię tak, aby mię poproszono, żebym przenocowała... ty uczynisz tak, abyś do mnie mógł przyjść wieczorem, gdy się rozejdziemy, ale koniecznie.

Rzecz była niebezpieczna i trudna, p. Adam zawahał się nieco.

— O! ale to być musi! rzekła z przyciskiem—mam z sobą o ważnych rzeczach do pomówienia.

Wtém posłyszawszy szelest sukni nadchodzącej Julii, dodała:

— Jakże ślicznie kwitną te laury! przypominają Włochy.

Julia weszła. Oko jej z jakimś niedowierzaniem instynktowem spoczęła na obojgu; ale Krystyna była niedocieczona, a Adam stał opodal i szczypał roztargniony kwiatki, o których była mowa. Na jego twarzy malowało się tylko jakby wielkie, majestatyczne znudzenie.

Począł się zaraz użalać na ból głowy niezmierny, dokuczliwy, i zażądał odejść do siebie, aby się wcześniej położyć i usnąć. Migreny naówczas były w modzie, podlegali im i mężczyźni wielkiego świata. Julia nie okazała się wcale przeciwną odpoczynkowi po podróży. Znikł więc pan Adam wcześniej z horyzontu, i nie ukazał się więcej: przyjaciółki pozostały sam na sam.

— Prawda, jak on jest cudownie piękny! zawołała po jego odejściu hrabina łamiąc ręce. Może ta piękność zwodzi, może pokrywa duszę czarną, ale ona mówi do mnie nieziemskim językiem o aniołach otaczających tron boży... Może pod nią jest serce skamieniałe, może się kryje zdrada... zbrodnia... niewdzięczność; ale w tę twarz jabym marząc patrzyła wieki... i pojmuję wiekiustą szczęśliwość z oglądania Boga... Ale nie bluźnijmy!

Zakryła oczy. Krystyna ruszyła ramionami z uśmiechem tłumionym.

— A! kobieto! tylu było nadeń piękniejszych? A Staś? a hr. August? a pan generał?

— Wszyscy byli piękniejsi, ale on jest dla mnie więcej niż piękny,—on jest pięknoscią samą.

Krystyna poczęła się śmiać, Julia także.

— Jakżeś ty szalona!—rzekła—nieprawdaż?

O! prawda! życzę ci tak raz w życiu oszaleć!

Na tém skończyła się rozmowa.

Krystyna wstała, aby się pożegnać.

— Jutro do dnia—rzekła—wyjechać muszę: nie będę cię już budziła. Może mi masz co polecić? jadę wprost do Warszawy.

Dwie przyjaciółki mniej wprawdzie czule niż przy powitaniu, uściślały się jednak z wylewem przyjaźni, pożegnały potem chłodnawo. Krystyna odeszła do pokojów dla siebie przygotowanych, hrabina do swjej sypialni, znużona jēj towarzystwem, rada, że się jēj nareszcie pozbyła.

Pilno jēj było usunąć tego natrętnego, ciekawego świadka i pozostać znowu samą: nie pragnęła teraz ani ludzi, ani roztargnienia.

Z uczuciem błogiego spokoju cofnęła się do swego

pokoju, usiadła przed zwierciadłem i zadzwoniła na wierną Pamelę, aby się od powiernicy dowiedzieć o ulubieńcu. Ona jēj zwykle służyła do poselstw, za pośrednika i wiernego szpiega.

Pamela przyszła nierychło, chmurna, zamyślona; po jēj twarzy można się było dorozumiewać, że przynosi jakąś niedobłą nowinę.

Julie uderzyło to tém mocniej, że ona była w dobrym humorze. Rozpuściła długie swe i piękne warkocze na ramiona, i przypatrując się sobie w zwierciadło, pytać go się zdawała, czy jeszcze kochaną być może? Pochlebca szklany odpowiadał jēj potwierdzająco.

Była w istocie piękna jeszcze, piękna szczególniej podniesieniem ducha, wielkiem uczuciem, choć wiek i strapienia, choć sam ten żar namiętności wypiętnował ślady na jēj obliczu. Uszlachetniło się ono, wyjaśniło miłością dochodzącą do zupełnego zaparcia się siebie i ostatecznej ofiary. Twarz jēj zmieniła się jak serce, sama ona czuła się teraz piękniejszą, bo uczucie gorące jak światło wewnętrzne w alabastrowej lampie rozlewało na nią wyraz, który tylko ono dać może, który bardziej niż linie i barwy stanowi istotną piękność.

Uśmiechając się, wsparta na łokciu, dumiała. Zdawało się jēj niepodobieństwem, aby tą siłą magnetyczną nie pociągnęła ku sobie, by człowiek co tak był kochany, mógł jēj nie kochać.

W tēj chwili błogiego uspokojenia, żadne trwożne przeczucie nie mąciło jēj nadziei. Pamela wszedłszy, spojrziała na nią prawie z politowaniem, ale zarazem z dziką jakąś radością, której doświadcza zastygły człowiek, mogąc słowem rozczarować szczęśliwego.

— Wiesz tam co o nim? spytała Julia Pameli; czy śpi? czy chory? zmęczony? prawda?

— Nie nie wiem—odparła sucho powiernica.

Hrabina spojrzała na nią, i postrzegła dopiero na jej twarzy ślad niezwykłego jakiegoś wrażenia.

— Co ci jest? czyś ty chora? zapytała.

— Pani wie, że ja nie choruję nigdy — odpowiedziała Pamela wzdychając.

— Czegożes ty tak ponura, właśnie gdy jam taka szczęśliwa?

— A! może dla tego, że się o pani szczęście obawiam—ciszej szepnęła przyjaciółka.

— Miałoby mu co zagrażać? Mów! mów!

I hrabina zerwała się pędkiem.

Pamela spojrzała i umilkła nagle, jakby się jej przelekleła.

— Pani bo nie powiedzieć nie można: każdą rzeczą tak się przerażasz i wszystko bierzesz do serca... A!... doprawdy, ten młokos jej nie wart.

— Cicho! cicho! bluźniesz!

— Każesz mi pani milczeć, będę milczała.

— Ale nie! mów! ja się niczego nie lękam, mów.

— Ale cóż ja pani powiem?... Pani dawno to wiesz, że ja mu nie wierzę, a teraz może większe mam powody niż kiedykolwiek.

O! nie cedźże mi trucizny po kropli, wylój ją całą od razu! zawołała ręce łamiąc Julia: mów na Boga!

— Zdaje mi się, żeś pani mocno zbłądziła, sama mu robiąc znajomość z Krystyną.

Julia drgnęła.

— Nie! nie! to nie może być! ona jest moją przyjaciółką.

Pamela uśmiechnęła się, odpowiadając francuzkiem przysłowiem:

— *On n'est trahi que par ses amis...*

— Ty wiesz już coś?

— Wiem, ale po cóż mam panią martwić!

— Zabij mnie, jeśli chcesz... ale ratuj serce moje! zawołała gwałtownie kasztelanowa. Może czas jeszcze... może to złudzenie... domysł... mów!

— Nie gniewajże się pani na mnie—przyklękając zaczęła powiernica. Od wczoraj wiem przez jej ludzi, że w Paryżu zbyt się z sobą często widywali, że przesiadywał tam często sam na sam z nią do późnej nocy... Pomiędzy nimi coś jest. Pani uważasz, że ten jej pośpieszny przyjazd nie jest naturalny. Nie ręczę, żeby ta choroba wieczorna nie była zmyślona: ja téj kobiecie nie wierzę.

Cała ogniem spłonęła Julia: przyszły jej na myśl wyrazy rozmowy z Krystyną, jej uśmiechy, jej rumieniec, gdy Adam wszedł do salonu. Szybko zwinęła włosy, narzuciła na ramiona płaszczyk, porwała klucz od pokojów Adama, i nie rzekłszy słowa, wyszła. Wargi jej trzęsły się, oczy były łez pełne. Pamela chciała ją wstrzymać, ale się jej wyrwała silnie, popchnęła ją i wybiegła.

Drzwi mieszkania Adama, od których Julia klucz miała, były wewnątrz na zasuwkę zaryglowane; w oknach nie było widać światła. Julia zawahała się, czy poprzestać na tém, czy dobijać się koniecznie prawdy; ale w gorączce namiętności prawda zdawała się jej znośniejszą od kłamanego szczęścia: poleciała żywo do pokojów Krystyny.

W pierwszym znalazła czuwającą sługę, która wi docznie zmieszana, powstrzymać ją chciała oznajmia-

jąc, że pani śpi od dawna. Odepehnawszy ją, Julia szybko wpadła do sypialni.

Dziwny, niespodziany obraz oczom się jój przedstawił.

Krystyna leżała na szezlagu oparta na białej ręce z wdziękiem posagu; przypominała znaną Agryppinę muzeum neapolitańskiego: może się od niej nauczyła téj postawy. Drobne jój nóżki, w białych jedwabnych pończoszках, wysunięte z pod sukni, zdawały się umyślnie ułożone na pokaz i pokusę... Przed nią na podnóżku klęczał pan Adam, patrząc jój w oczy i uśmiechając się. Szeptali z sobą cicho, nachyleni ku sobie.

Scena ta w lewo ode drzwi wehadowych się odegrywała; oświecała ją jedna słabo płonąca lampa w alabastrowém naczyniu, a wdziękiem układu wyzywała współczesnego jakiego malarza.

Julia niepostrzeżona stanęła w progu oparta o drzwi, i długo dosyć przypatrywała się im, gniotąc serce, które się jój z piersi wyrывało.

Wzrok jój napawając się widokiem téj zdrady, coraz siły nabierał, natężenia, grozy, gniewu, zajądłości; nareszcie jako ostry miecz wbil się w Krystynę, która nie widząc jeszcze rywalki poczuła ją... i z lekkim okrzykiem porwała się z szezlagu.

W téj chwili Julia podeszła mileżąca kilka kroków ku nim,—i nim wylękla kobieta potrafiła się zasłonić i uchylić, drzącą, białą dłonią rzuciła jój w twarz... policzkując bezwstydnice...

Potém splunawszy ze wzgardą i rzucając z dłoni rękawiczkę, która dotknęła jój twarzy, spojrzała na Adama, który stoczywszy się z podnóżka, na kolanach na posadzce, przerażony, z rękami załamanymi zdawał się błagać litości.

Po krótkim urwanym wykrzyku nastąpiła cisza śmiertelna. Julia pochwyciła za rękę Adama, i nakazując chciała pociągnąć go z sobą, ale młody człowiek oparł się jój gwałtownie, i wyrwał.

Oprzytomniawszy nagle, ostygły, zdobył się na siłę niespodzianą. Piękna Krystyna płakała z gniewu.

Julia jeszcze słowa na ustach znaleźć nie mogła, nareszcie jak wybuch wulkanu wyrwało się jój z piersi:

— Precz zmij! precz! nie kalaj mi domu!...

— Julio! na Boga! posłuchaj! zawołała Krystyna składając ręce—opamiętaj się, szalona!

— Tak! jam szalona... tyś podła!

— A jeżeli ja go kocham także?... krzyknęła zrywając się oparzona tym drugim policzkiem kobieta; a jeśli on mnie, nie ciebie kocha?

— Ty! kochasz! tybyś mogła kochać szydersko, dziko zaśmiała się Julia.

— Julio! milez! przerwała Krystyna błędąc: obie mamy zbyt wiele rachunków z przeszłością, po cóżbyśmy ją wyzywać miały?... Milez! ja go kocham, on jest i będzie moim..,

Adam milezał. Julia zwróciła się ku niemu.

— To mój narzeczon—dodała Krystyna—jest moim mężem, albo nim będzie jutro... Dałam mu rękę, ty nie możesz być jego żoną!

Na te słowa biedna kobieta, jak piorunem rażona, uczuła, że się jój zawróciło w głowie. Błysk przeleciał po niej i padła na krzeszło rozplakana, nieprzytomna; wszystka wściekłość i energia ją opuściły.

— O Boże mój!—zawołała—matkę i ojca dla mnie, a mnie poświęcił dla téj kobiety... Nie! nie! to być nie może! Mów Adamie... mów, ulituj się!

I zsunęła się przed nim na ziemię, uklękła w po-

stawie błagającej; włosy jej rozwiązane okryły ramiona, jak modląca się Magdalena Correggia była uroczej piękności... nie poruszyła wszakże tego kamiennego człowieka.

— Drogi mój! wołała—nie, to być nie może!... to sen! ty mnie zdradzić nie możesz... ty masz serce... Jam w tym sercu, w twój piersi była pierwsza, jam ci dała poznać szczęście, ja cię tak kocham: mógłżebyś mnie opuścić, zabijać? Mów, Adasiu... litości! litości!

Ale Krystyna okiem czarnym, rozogniającym się coraz bardziej wpila się także w jego źrenice... On stał i zdawał się myśleć tylko co ma odpowiedzieć; ale żaden mięsień twarzy jego nie zdręgał.

— Ja... ja nie mogłem tak pozostać... rzekł wreszcie głosem stłumionym. Byłem tu dworakiem, sługą, zabawką... Jestem sam na świecie, bez podpory... moja cała przyszłość...

Słowa zdławione wstydem, w gardle mu zamarły, Julia rzuciła mu się do nóg.

— Panie mój! krzyknęła—widzisz, ja nawet wstydu już nie mam... ty miej litość... Ja ci wszystko przebaczę... zapomnę... powrócić do mnie tylko... Ja umrę, ja bez ciebie żyć nie mogę... Czego zażadasz, zrobię wszystko... zabiję męża, otruję go... oddam ci wszystko co mam, ukradnę czego zabraknie, wydrę... Mów! co mam robić?... ale mnie nie opuszczaj...

— Moja droga—przerwała Krystyna, która miała czas spić swój wstyd i uspokoić się—to są próżne naśladowania tej starożytniej tragedyi, o której mi wspominałaś... Ja go kocham, on mnie kocha, twoim już nie jest, nie będzie, być nie może. Rozstańmy się spokojnie jak przystało na dwie przyzwoite ex-przyjaciółki i rywalki... Czegoż ty chcesz od niego? Ja mu da-

ję los, imię, rękę, opiekę głośną i jawną rodziny; ty mu nie prócz wypełzłych wdzięków dać nie możesz...

— Więc to nie jest człowiek! zaryczała Julia; więc to na sprzedaż niewolnik, którego kupujesz sobie!... Mogłaś sobie kupić innego, a nie kraść mi go... złodziejkę!

Na chwilę w głosie jej zawrzała śmiech szyderski, ale łkanie go stłumiło. Rzuciła się ku Adamowi, chcąc go uściskać, ale młodzik się cofnął, a ręka Krystyny odrzuciła go na szezlag i wskazała mu rozkazująco miejsce po za sobą.

Biedna opuszczona płakała, rzucała się, chodziła po salonie zataczając się, a widok tej strasznej boleści, niemiej, rozpaczliwej, nie czynił wrażenia na tej zimnej parze, która na nią patrzyła jak na widmo obłąkane. Nagle Julia schwyciła nóg leżący na stole, rzuciła się ku Adamowi i pehnęła go nim w piersi. Ale uderzenie to było słabe i niezręczne, nóg tępy, a Krystyna i Adam zdołali cios odwrócić i wyrwać z jej dłoni żelazo... Hrabina padła na posadzkę, wijąc się w konwulsjach bólu i płaczu.

— Na Boga! zawołała Krystyna—ludzie posłysz, nadejść kto może. Możnaż się było spodziewać takiego szaleństwa!.. Adamie, idź WP i każ natychmiast konie zaprzęgać... jedziemy razem, ty ze mną... Ja tu chwili dłużej pozostać nie mogę... przedź!... przedź!

Na te słowa posłyszane czy odgadnięte, Julia porwała się z ziemi.

— Ja go nie puszcze! zawołała; on nie pójdzie ztąd, on jest mój! jam go kupiła przecie wstydem, hańbą, sercem... Zwołam ludzi, popełnię gwałt... każę bezwstydnice osmagać... Nie dam go!

Krzyk ogromny rozległ się po pokoju; ale z nim uleciał ostatek sił nieszczęśliwej, która padła zemdlając... napół umarła...

Przerażona Krystyna porwała za rękę Adama, i nie oglądając się po za siebie, wskazawszy służącej Julię, nie czekając koni, obawiając się istotnie gwałtu, wybiegła z pałacu, drogą na pole... mimo ciemności nocnych.

Tak się skończył akt téj tragedyi, o której później najdziwniej sprzeczne krążyły pogłoski.

Warszawa téj zimy była bardzo świetna; nigdy może zjazd nie był tak liczny.

Do świetniejszych domów stolicy należał dom hrabiny O..., niegdyś sławnej z wdzięków i życia dosyć swobodnego Krystyny X... Warszawa zdumiona została jej niespodzianém zamażpójściem za człowieka prawie zupełnie tu nieznanego, młodszego znacznie od niej, o którym powiadano, że wzięty na wychowanie przez swych dalekich krewnych, opuściwszy ich, przeszedł do cieplej wdówki. Ciemna jakaś, straszna, skandaliczna historia kryła się w głębi tego wypadku, o którym zresztą bliżsi milczeli, dalsi nie wiedzieli wiele, a ciekawi niewiele dopytać się mogli. Doszukiwano wyobraźnią i domysłami to, czego brakło w opowiadaniach, mało kto wszakże chciał i lubił o tém mówić.

Wiedziano tylko, że kasztelanowa Julia dla słabości męża pozostawała na wsi na czas jakiś, a przypisywano to poróżnieniu z dawną przyjaciółką i wychowawcem.

Ślub pani Krystyny z młodym chłopakiem i nagłe jego wyniesienie się zwróciły nań uwagę wszystkich;

godzono się też niemal ogólnie na to, że godzien był losu, który go spotkał, gdyż przymioty umysłu, powierchowność miła, uprzejmość w obejściu, takt w postępowaniu z ludźmi, wielce go zalecały. Jeden tylko był dla niego głos pochwały ogólny i zgodny.

Pani Krystyna, która czas bardzo długi spędziła za granicą, wyszedłszy za męża, postawiła swój dom na stopie bardzo świetnej. Świeży spadek po ciotce, która jęj zapisała całe swe mienie, szczątki odziedziczone po mężu, dawały jęj więcej jeszcze środków zajaśnienia na teatrze ówczesnym wielkiego świata. Uboga była może potępiona i wzgardzona, bogata i można w stosunki, została wytlómaczona i uniewinniona. Ludzie znajdowali nawet, że los ten jęj się należał.

Dom nowo otwarty zalecał się nadzwyczajną elegancją i dobrym tonem; uchodził jeśli nie za jeden z najświetniejszych, to za jeden z najwykwintniej urządzonych w Warszawie; obudzał nawet zazdrość wielu współzawodniczek majątniejszych, ale nie tak zręcznych. Zaślubiny państwa młodych odbyły się gdzieś na wsi po cichu; ale później przez wielowładną i możną rodzinę krajezyny uświęcone zostały mnóstwem wspaniałych przyjęć i obchodów, gdyż pani prezentując swojego męża, obwoziła go po całym kraju. Państwo młodzi przybyli po tęg wędrownce matrymonialnej do stolicy, poprzedzani sławą młodego stadła, które zajaśnieć miało na horyzoncie Warszawy blaskiem najlepszego zagranicznego tonu. Wiele sobie z góry obiecywano z tego domu.

Sama pani wiedziała dobrze, iż jedynym sposobem utrzymania przy sobie męża było rzucenie go w tęg grę namiętności ambitnych, w to polowanie o znacze-

nie i wziętość, które pochłaniając go całego, miało mu odjąć ochotę do innych intryg i zabawek.

W nauczającej podróży, którą z nim odbywała od komina do komina dworu swęj familii, starała się, jako wytrawniejsza od niego, wskazać mu przykładami na członkach swęj rodziny, umiejętność życia i robienia karyery, różne strony politycznego świata, różne drogi pochodu i sposoby, jakimi dobijać się było można coraz wyższych szczebli.

Naturalnie nie było tam wcale prawie mowy o korzyściach ogólnych dla kraju z obrania tęg lub innęj drogi, ale o wyzyskaniu położenia dla siebie... Krystyna dawała mężowi zbawienne nauki, a w obawie, aby się zbyt porywczoz ku jednęj stronie, paląc za sobą mosty, nie rzucił, kreśliła mu za wezasu program przyszłego postępowania.

— To co czyni rozdzielona familia moja, która wszędzie ma przyjaciół, plecy i zwolenników, na pozor będąc w opiniach niezgodną, a w rzeczy zabezpieczając się tym podziałem na wszystkie obozy od wszelkiego wypadku—myśmy powinni uczynić na mniejszą skalę. Niepotrzeba się garnać wyłącznie do nikogo, ale o ile możności żyć dobrze ze wszystkimi, czekać, patrzeć i zachować się dla wypadków, aby one nas nie zgmiotły... Każde stronnictwo wymaga ofiar... a ty ani ja nie powinniśmy paść ofiarą... Trudno jest zgadnąć kto wygra; trzeba być zawsze gotowym stanąć przy tych, co się utrzymają. Cała twoja mądrość—mówiła mu Krystyna—grać rolę obojętną, niewyraźną, dać się pożądać wszędzie, pokazać czasem, że się ma siłę, ale jęj nie poświęcać, *qu'à bon escient*... gdy się dobrze wyrachuje, jakby się z nięj największy wyciągnęło pożytek.

Nauki te trafiały do przekonania uczniowi, który w przyswajaniu ich sobie okazał bardzo wiele intelligeneyi. Krystyna dotąd ze wszech miar była z męża zadowolona, wiele też sobie obiecywała w przyszłości po nim.

Rzadko kto potrafi się tak prędko weelić w położenie całkiem dla siebie nowe, jak hrabia Adam; (został bowiem hrabią niezaprzeczonym), znano go już w stolicy i zwano *le beau*.

Chłodny, obrachowany, grzeczny, miły, na podziw, pełen słodyczy, pełen wyrozumiałości dla bliźnich, którym nigdy nawet najjawniejszych grzechów ich nie miał za złe, ani się niemi odstręczał,—hrabia Adam był w ogóle ze wszystkimi dobrze, lubili go wszyscy, pożądany był wszędzie.

Surowi wprawdzie dziwili się trochę, widząc go siadającym z kolei na wszystkich stolkach; ale młodość i skromność wymawiały ten sceptycyzm polityczny. Sądzone, że wszystkich krzesłek próbował, aby w ostatku obrać sobie najdogodniejsze.

Chętnie posługiwał jednym i drugim, uśmiechał się ich argumentom, przyklaskiwał skromnie postępowaniu, rysy tylko zbyt wybitne zawsze się starał ścierać i łagodzić. Najradykałniejsze teorye przechodząc przez jego usta niebrały charakteru oklepanek rozczędzonych w wodzie różanej, nikomu nie szkodliwych.

Z kolei też salon hrabiny dawał przytułek gościnny Kollatajom i Ignacym Potockim, to znowu Brannickim i Rzewuskim; a że w nim wszyscy się bawili i każdy potrzebował terytorium neutralnego, aby się na niem czasem spotkać z przeciwnikiem i wybadać go—znajdowano go pod tym względem bardzo wygodnym.

Adam właściwie nie miał żadnych stałych przekonań. Zbyt był młody jeszcze, więc nie mógł sobie wyrobić mocnych idei politycznych; wychowanie paryżkie zatarło w nim zasady młode, w zamian nie dając mu żadnych nowych, prócz mglistych pojęć jakiegoś idealnego, lepszego bytu ludzkości, stanu natury, popsutego i nadwreżonego przesadami. Przesądem naówczas zwalo się w ogóle wszystko, czego nie rozumiano.

Czuając, że w wielu rzeczach doświadczenie żony mogło mu być przewodnikiem bezpiecznym, pan Adam słuchał jej wiernie. Krystyna była nim zachwycona.

Posłuszna tradycyom familijnym, ważyła jeszcze jaką dlań obrać na drogę. Umysł jej żywy, chwilowo dawał się opanowywać ideom nowym, ale praktyczność niewieścia wstrzymywała ją od zupełnego oddania się im i poświęcenia jednemu stronnictwu. Z nowatorami wyuczyła się ich języka, i gdy towarzystwo było wybrane, szydziła z przesądów jak drudzy; ze starymi, którzy ubolewali nad ideami nowymi, dźwiganiem się do równości wszystkich stanów i t. p., umiała zręcznie rzucić argument i żarcik na stronę ich przekonań.

Nie wiążąc się ani z jednymi, ani z drugimi, hrabina wyczekiwała. Adam był jako młody skłonniejszym do rzeczy nie starych, był przytem szlachetką ubogim wielkiego imienia, i musiał się zasługiwać po trosze nowemu obozowi; ona jako z panów pani miała tę żyłkę arystokratyczną, której wypróć z człowieka nie nie potrafi, nawet nieszczęście, nauka, nawet serece i umysł wzniosły.

Dom nowy był więc bardzo przyjemny, urządzony nie tak wspaniale, jak raczej wykwintnie i starannie, nadewszystko dobrego tonu. Hrabina była bogatą świeżo otrzymanym spadkiem, więcej niż resztkami

dawnego mienia, które z nieboszczykiem mężem zadłużyła; kłopoty majątkowe, których dawniej doświadczyła, nauczyły ją więcej rzadności, wiek dojrzalszy uczynił prawie oszczędną. Mąż musiał się stosować do jej woli i był posłuszny.

W istocie przybrany ten małżonek młody, który dogadzał miłości własnej kobiety, chlubiącej się najpiękniejszym mężczyzną w Warszawie, trzymany był w dość ostrych klubach, ale tak, aby ich nie czuł zbyt mocno. Hrabina nie kochała go zbyt zapalczywie, ale była o niego zazdrosna, obchodziła się z nim trochę jak z młokosem i studentem, nie dozwalała rozporządzać niczem. Była dobrą dla niego i łagodną, ale panią.

Adam, który sądził, że tu dopiero swobodnym będzie, poczuł się w wywatowanej bawelnej niewoli. Kajtani były złote, brylantowe, kwiatami upstrzone, ale ciężły jak wszelkie więzy.

Jednym słówkiem czasem, w chwili rozdrażnienia, hrabina dawała mu poczuć gorzko, że go wyciągnęła z niczego, że go, jak mawiała; uszczęśliwiła, podniosła... Adam miał sobie wyznaczoną pensję miesięczną, wystarczającą na potrzeby, zbyt szczupłą na fantazje; interesy były w rękach pani, a ilekroć on się sam chciał do nich wmieszać, zbywała go milezieniem znaczącym, z marszczkami na czole, udając, że nie słyszy, że nie widzi lub nie rozumie. Cała służba domowa zaczawszy od dziwnie brzydkich, jakby naumyślnie dobranych garderobianek, aż do stróża kamienicy, miała ciche posłannictwo szpiegowania pana i donoszenia o wszystkich jego obrotach. Rozkazy wydawane przez niego *proprio motu*, gdy przechodziły pewny zakres, szły przed spełnieniem po konfirmacyę do wszechwładnej pani.

Adam nie mógł nie poczuć tej roli upokarzającej dla mężczyzny. Nosił on tytuł męża, spełniał jego rolę, ale mu nie wolno było sięgnąć po władzę mężowską. Zazdrosna do śmieszności hrabina, sama sobie pozwalała być zalotną, gdy jej do tego przysła ochota, ale najmniejsze ze strony męża zapytanie, mina, obudzały w niej tylko śmiech pogardliwy. Odprawiała go, kazała mu przychodzić, wzywała do siebie lub nie dopuszczała jak się jej podobało.

Z jego strony najmniejsze opóźnienie w mieście, trochę swobodniejszy ruch, wywoływały sarkazmy, wymówki, kilkudniowe mileczenie i innego rodzaju delikatne prześladowania.

W ogóle starała mu się życie uczynić znośnym, ale pragnęła by je wiódł posłusznie, wedle określonego przez nią planu, i wyrzekł się własnej woli. Wszystko aż do stroju, jaki miał włożyć, aż do ksiąg, które miał czytać, do ludzi, z którymi bliżej mógł się związać, było mu wyznaczone; niekiedy nawet, jakby dla wypróbowania, pytała go o zdanie sprawy z zadaną mu lekcją.

Adam czasem się też próbował zerwać z tego łańcucha, ale do niego powracał, bo gdy chciała, umiała go zręczna pani upieścić, ukolysać i zniecierpliwiony umysł usmierzyc; trochę obudzić namietność, podrażnić dumę, odegrać nawet miłość jakąś w swoim rodzaju zapalczywą i działającą jeśli nie na serce, to na młode zmysły.

Była to kobieta z doświadczeniem, z głową, bez serca wprawdzie, ale rozumna i zręczna. Życie z pierwszym mężem posłużyło jej wielce do wprowadzenia drugiego; okuła go powoli, delikatnie, i robiła z nim co chciała.

W kilka tygodni po ślubie, z rana, poprosiwszy go do siebie na śniadanie, kazała mu zajrzeć pod serwetę... Adam znalazł tam order Św. Stanisława i patent na niego, za który gorąco ucałował jej ręczki. Był z niego bardzo szczęśliwy przez parę miesięcy, ubierał się w niego, cieszył, chlubił, i nigdy mu na myśl nie przyszło nawet zapytać siebie: za jakie go dostał zasługi?

Nowy kawaler Św. Stanisława pojechał podziękować za niego królowi, a Stanisław August na skromny jego komplement odparł grzecznie:

— *Praemiando incitat*, spodziewam się że WPan, panie hrabio, ojeżyźnie za to wypłacisz się, a nie przestając na téj dystynkeyi, zechcesz ubiegać się o wyższe... Wiele na panu pokładam nadziei.

Adam stał się zwolennikiem króla bardzo gorącym na czas jakiś,—trwało to jednak krótko.

Po upływie pewnego czasu, zawakowało starostwo, które z lat dawnych, od wieku bywało zawsze w rękach rodziny pani hrabiny: jeździła sama, aby na nie wyjednać ustępstwo u swoich, kręciła się i Adam otrzymał tytuł z dochodem. Intrata starostwa była czystym zyskiem dla hrabiny, gdyż uwolniła ją od placenia mu pensyi, a Adam miał przecie coś własnego. Żona oszczędziła na tém nieco, on zyskał pozor niepodległości, coś jakby własny majątek, chociaż do zarządu musiał użyć ludzi, jakich mu wyznaczono, w istocie poczuł zaraz, że i tu panem nie był.

Zabierano się nawet na wyjednanie urzędu dworskiego choć niewielkiego, dla nowego pokarmienia ambicyi Adama, gdy stary hetman, którego jako kuzynka hrabina używała do tego popleczeństwa, powiedział jej otwarcie:

— *Ma chère cousine*, wiesz, że wszystko jest u nas dostępne dla wszystkich, kiedy się kto do tego wzięć tylko umie; ale mnie się zdaje, że zbytnią troskliwością o męża, psujesz mu drogą...

— Ja? wujaszku! spytała Krystyna— a to jak?

— Ty go annihilujesz, odparł kuzynek; on nie robi, nie ma znaczenia, bo nie ma woli, bo nie może pokazać czy ma jakiś talent w istocie. Pochłoneńś go jak wszystko co cię otacza, moja czarownico... Ale potrzeba z dwojga jedno wybrać: albo chcieć dla niego tylko błyskotek pozornych, albo żądając wyniesienia istotnego, dać mu do niego prawa.

Hrabina zacięła usta.

— Ja wiem—rzekł hetman,—o co ci chodzi, filutko! Jesteś i chcesz być panią u siebie, panią i nad nim; boisz się, aby cię rumak nie uniósł, gdy mu eugli popuścisz, byś z pani nie została niewolnicą. Przyznaj się? Ale tu potrzeba wybierać... Jeżeli będzie sam przez się nie znaczącym, zostanie zawsze słomianym dygnitarzem... Niechże coś przecie robi, niech się da poznać; ma talent, ma głowę, pieścisz go pani.

Hrabina potrząsała tylko głową, nie śmiała nie odpowiedzieć.

— Możecie go użyć przecie, odezwiała się po chwili: *lui et moi nous n'en demandons pas mieux*.

— No, to spróbujemy, rzekł hetman. Ale jeszcze jedno, moja droga kuzynko... *Souffrez que je vous en parle à coeur ouvert*: nie wiem doprawdy jakiej barwy jesteście, w waszym domu bywają ludzie wszelkich odcieni, nie wiemy czy na was rachować możemy. Jeżeli starosta jest z królem, wypadaloby, aby się wyrażniej *desynował*.

Tych kilka uwag skłoniło hrabinę do pomyślenia nad przyszłością; potrzeba się było wreszcie stanowczo postawić i pchnąć męża w życie czynniejsze.

Nastęczyła mu się tu pierwsza zrzeczność wejścia w życie czynne przy redakeyi projektów, które z razu po cichu przygotowywał sejm czteroletni. Nim się podjął udziału w tej pracy, spytał wprawdzie żony, ale już był na pół związany uczynionem przyrzeczeniem; a choć ona wątpiła trochę o szczęśliwem przeprowadzeniu reform, zgodziła się na propozycje męża. Byli sam na sam.

— Słuchaj—rzekła do niego—masz dosyć rozsądku żebyś mnie pojął: nie będzie to pierwszy przykład tego rodzaju, ani ostatni... Musimy się rozdzielić... W gruncie ja podzielam twe przekonania, ale choć i w tym obozie mam krewnych, stosunki ściślejsze wiążą mnie z przeciwnym; musimy każde pojsć w inną stronę. Ja zostanę ze starszymi, ty idź z nowatorami, nie zapędzając się zbyt daleko... Będziemy się różnili w przekonaniach i opiniach, ale to ze wszystkiego najrozumniejsze: albo ty mnie, lub ja ciebie ratować będę, gdy przyjdzie godzina.

Układ ten zawarty po cichu, pociągnął za sobą małą zmianę w życiu domowem, dał trochę więcej swobody p. Adamowi i oddzielny salon, w którym co się działo, skrzętnie usłużne szpiegi donosiły pani. Za to mąż, mimo starań, bardzo mało mógł wiedzieć co robiła żona: częściej widywał ekwipaże posłów i figur urzędowych przed jej drzwiami, niżeli same figury.

Hrabina rzuciła się w intrygi polityczne z zapalem kobiety, która już kochać nie nie mogąc, potrzebuje czémś żyć przeciw.

Można było przewidzieć, że przekonawszy się o niemości i marnocie świata, odda się poczekawszemu mężom, dewocyi, i rozciągnie swą opiekę nad kościołem.

Zwykła to litania uczuć tych kobiet, którym życie ich domowe i rola cicha a spokojna żony i matki nie starczy: kochanek, mąż, kochankowie, protektorowie, protegowani, ostatnia miłość, intryga polityczna, rozkochanie się w Panu Bogu, który na zmarszczki i wypłakane oczy nie patrzy, naostatek piesek i papuga. Szło to więc trybem zwyczajnym—koleją przewidzianą.

W zamku kasztelaństwa, po owój straszliwej nocey, której ślady umiano zatrzeć bardzo zręcznie, aby uniknąć hałasu i skandalu zbyt głośnego, choć mimo największych starań długo różne i dziwne plotki i wieści chodziły, cicho było i smutno jak w grobie. Zdrada ulubieńca, dowód braku serca i charakteru z jego strony, nie wyrwały z duszy Julii ostatniego uczucia, wstąpiła w nią jakaś otucha, jakaś myśl ją ożywiła, serce jój bić zaczęło nadzieją.

Z Warszawy pani de Rive donosiła jój o pożyciu dwójgu młodych małżonków takie rzeczy, które mogły rozbudzić na nowo dawną miłość. Adam był, wedle niéj, upokorzony, biedny, nieszczęśliwy bardzo, grał rolę fałszywą i dwuznaczną. Julia poczęła go żałować, oburzała się na Krystynę, i postanowiła wbrew pierwszym swym projektom udać się do stolicy.

Kasztelan, któremu można było wmówić i chorobę i zdrowie, i kuracyę, chętnie bardzo zgodził się na wyjazd. Julia, której chciało się świetnie wystąpić w stolicy, potrafiła także dowieść mężowi, iż wypada im koniecznie sprzedać część majątku w Sandomier-

skiem, na którą trafiał się kupiec, bo ziemia ta była licha i nieintratna, kłopotliwa do zarządu, podlegała zalewom, a kapitał otrzymany opłaciłby pilniejsze długi. Kontrakt sprzedaży podsunęty został w porę, zaliczono pieniądze, a że wierzyciele nie nalegali o swe należności, można było użyć grosza na nową instalacyę w Warszawie. Najęto pałac Tarnowskich, kazano go wyświeżyć, wysłano przodem dwór. Julia dobrała zręcznych wykonawców swéj woli,—i jednego poranku obieгла nagle po Warszawie wieść, że piękna kasztelanowa i niedołęga jój mąż raczyli przybyć do stolicy, że myślą dawać wieczory, otworzyć dom, występować świetnie...

Wszystko, czém w owe czasy i zawsze pociągnąć można ludzi, obmyślane było bardzo pilnie: paradny kucharz Francuz, obstalowany z Paryża, czemu się sam kasztelan bardzo ucieszył, muzyka zamówiona, salony świeżo przyozdobione, piwnice zasposobione obficie, uprzejma gospodyni, ochocze towarzystwo.

Nigdy dom państwa O... takim blaskiem nie jaśniał, jak przy otwarciu go pierwszym balem zimowym, o którym mówiła cała Warszawa na kilka tygodni wprzód i kilka dni po nim.

Julia wystąpiła na nim wiekuiście młoda, zawsze czarownie piękna, ubrana najsmakowniej, bo całą garderobę nową sprowadziła z Paryża. Kolacya podana po północy, wprawiała w entuzjazm najpierwszych smakoszy stolicy; podniebienia były w zachwyceniu. Potém wypiwszy kilka kszów szampana, który w modę wchodzić poczynął, choć wedle wyrażenia generała Komarzewskiego, był tylko niezłą limonadą, grali jedni do białego dnia w karty, drudzy tańcowali do upadłego... Wybór, kwiat, śmietanka towarzystwa

znajdował się tego dnia w pałacu Tarnowskich. Sam król JM. nawet na chwilę ukazać się raczył, obszedł z gospodynią cały dom, chwalać gust przedni w jego przyozdobieniu; a że król przedewszystkiem był wyrocznią smaku, więc i dom i gospodyni weszły w wielką modę, salon jój stał się *kat-exochen*, salonem dobrego tonu.

Dowiedziawszy się o przybyciu Julii, rywalka jój namarszczyła piękne czoło; ale gdy ją z kolei zaczęły nachodzić wieści o wspaniałem urządzeniu domu, o przygotowaniach do balu, o świetnych powodzeniach, których nie mogła być świadkiem, zagryzła usta znacząco. Próbowala z tego wszystkiego żartować, ale się to jakoś nie udawało, przyzwoitość kazała milczeć, uśmiechano się gdy szydziła, ale w milezeniu i unikając dłuższej rozmowy, świat był widocznie za Julią. Krystyna poczuła, że upada w jego opinii.

Powolała więc zwykłego w takich razach doktora, panią de Rive, osobę dobrą i uslužną. Razem przy filiżance czekolady zasiadłszy w żółtym buduarze, zaczęły gawędzić z wylaniem się serdeczném.

— Moja droga, powiedzże mi co o Julii! ja jój, jak wiesz nie widuję... Sama nie wiem jak do tego przyszło, ale to się doprawdy nie godzi, żebyśmy się z nią klócić miały. *Elle m'en veut*, wiem to, ma może trochę słuszności, ale ja poszłam za niego... ona go już musiała dawno zapomnieć... To nieprzyzwoicie, żebyśmy dla takiego dzieciństwa wieczysie miały żyć w niezgodzie... Nie wspomniała ci też o mnie?

— Nie, nigdy ani słowa...

— *Dites donc*, ty mnie rozumiesz, *vous êtes une femme supérieure*—szepnęła kładąc jój na palec pierścien z soliterem, co de Rive nieco się opierając i opła-

ciwszy uściskiem przyjęła zrumieniona,—gdybyś, ty co masz nad nią taką przewagę, co możesz wszystko co chcesz!... spróbowała nas pojednać z sobą. *Sondez la!*

— A! ty nie wiesz ile razy ja sama już o tém myślałam... To trzeba koniecznie zrobić—zawołała de Rive z zapalem,—psujesz mi tylko ochotę do pracy tym prześlicznym prezentem.

— O! to od dawna w myśli przeznaczałam dla ciebie: spojrzawszy na palec, przypomnisz sobie prośbę moją... To położenie żenuje mnie; spotykając się w towarzystwach nie wiedzieć jaką rolę grać będziemy musiały. W rzeczy nie tyle mi idzie o Julię, ona jest naiwna, sentymentalna... ale o świat... Ty wiesz, jakie rozpuszczają plotki; potrzeba choć pozorniej zgody, aby im tamę położyć... To i mnie i hrabiemu szkodzi, *et cela n'a pas le sens commun*.

Pani de Rive doskonale weszła w przyczynę, powtórzyła to, co jój powiedziała Krystyna, rozwlekając i rozprowadzając z prawdziwym talentem redakcyjnym, podała jeszcze parę trafnych myśli, a ostatecznie podjęła się bardzo gorąco całej sprawy.

Tegoż dnia pani de Rive pojechała odwiedzić Julię; ale mimo zabiegów, nie potrafiła z nięj nic wydobyć o tój ciemnej, tajemniczej historii Adama i pierwotnego grzechu. Hrabina była chłodna i zamknięta; pani de Rive tém bardziej jeszcze podbudzona do działania trudnością, postanowiła szturmem zdobyć zaufanie.

Usiadła przy nięj, wzięła ją za rękę i odezwiała się po cichu:

— Julio droga, miałam kiedyś twe serce i ufność, spodziewałam się, żeś mi ich nie odebrała... Mówmy

z sobą otwarcie i szczerze. Ludzie nie wiedzieć co plotą, pytają mnie, sądzą, że lepiej wiadomiona niż jestem w istocie; ja nie im odpowiedzieć nie umiem, chcąc stanąć w twojej obronie... Mów mi, jakżeście się rozstali z Adamem?

— Jak? bardzo prosto—odparła rumieniąc się Julia. W Paryżu powierzyłam nad nim opiekę dobrej przyjaciółce, która mi go zbałamuciła... Pokochał ją czy nie, ale uwiedziony, ożenił się.

— A ty? spytała de Rive, wpatrując się w nią bacznie.

— A ja — rzekła prawie wesoło, ale z wysiłkiem Julia — cóż? ja sobie zostałam na boku starą opuszczoną Aryadną. Cóż chcesz? zdaje mi się, że mam już parę siwych włosów: los ten spotkać mnie musiał! Krzysia się frabuje, dłużej potrafi być młodą, ja nie; nie mówmy o tém.

— Owszem, droga moja, mówmy o tém — przerwała pani de Rive—mówmy. Ja widzę, żeś ty ostygła, i bezpiecznie już téj rany dotknąć możesz.

— Ja! o! zupełnie! odparła z udanym chłodem i przymuszonym śmiechem, który zwiódł nawet przebiegłą kobietę.

— Więc dla tego, żeby światu odebrać pastwę, powiedz mi — dodała Francuzka — czy nie należałoby wam zbliżyć się, tobie i téj biednej hrabinie?

— Biednej? cóż się jój stało? spytała Julia.

— O! nie mówmy na teraz o niej — z pewnym rodzajem wzgardy odegraną dość zręcznie odparła przyjaciółka. Jest biedną, bo... ty mnie rozumiesz... nie jest czystą i spokojną na sumieniu, mówiła de Rive. To rzecz fatygująca, spotykać się, stronić od siebie,

nie mówić, nie spojrzeć śmiało, udawać, że się nie widzi. Mnie się zdaje, że dla was obu lepiejby było choć powierzchowną przywrócić zgodę?

Julia, której to było właśnie najgorętszym pragnieniem, której serce biło na samą myśl podobną, potrafiła się wszakże utrzymać na pozór chłodną, i odparła po chwili zastanowienia:

— Rzecz to jest małej wagi, moja kochana de Rive. My kobiety, gdy chcemy, gdy potrzeba umiemy ocierając się o siebie nie widzieć siebie, niewiele nas to kosztuje... Ja nie bardzo pragnę zgody, która by mnie postawiła z innych względów w położeniu fałszywym; ale cóż sądzisz! przecież ja pierwszego kroku do nich uczynić nie mogę. Krzysia bądź co bądź jako przyjaciółka od lat dziecinnych, znalazła się względem mnie niegodnie—*elle m'a manqué*.

— Ale serce! ale passya! ona kochała!

— Nie mówmy o tém; dosyć, że zdradziła... że... Zresztą—dodała z uśmiechem przymuszonym Julia — są przecię pewne konwenanse socyalne: ja mam niby prawo się gniewać — no! więc potrzeba, ażeby mnie przeproszono.

I uśmiechnęła się jeszcze wpatrując w pośredniczkę. Pani de Rive, która była u szczytu radości, że traktowanie się powiodło, rzuciła się ją ścisnąć uszczęśliwiona.

— A! tyś prawdziwy anioł! zawołała: ty masz słuszość zupełną... *Vous êtes adorable! elle doit faire une amande honorable...* i robi to... pozwól, każ, decyduj, ja mogę wam usłużyć, uczynię jakby od siebie, z własnego domysłu krok jaki.

— Ja? ale nie, nie każę, nie proszę, nie chcę, nie!

nie! przerwała Julia, domyślając się wszystkiego i chcąc mieć po sobie przewagę.

— Ale pozwolisz?

— Rób jak chcesz i co ci serce dyktuje.

— Ale dajesz mi słowo—gorąco dodała de Rive— że nie uczynisz nowego skandalu?

— Co za myśl! z uśmiechem przerwała kasztelanowa, ruszając ramionami; na cóżby mi się to przydało? Ja pragnę spokoju, chcę się bawić, chcę ludzi, świata, roztargnienia.

— A! to dobrze, ja namówię Krzysię, ona jest upokorzona: pewnam, że się na wszystko zgodzi, i że ci ją przywiozę.

— Stój, kochana de Rive, czekaj! ja się muszę namyślić. Nie czyni tego bez oznajmienia mi wprzód: chcę być przeproszoną przy świadkach.

— Julio! na cóż ci to?

— Dla tego, że Krzysia powiedziec gotowa, iż ja ją sama o przebaczenie prosiłam... Zresztą potrzebuję dla miłości własnej jakiegś nagrody za upokorzenie.

Tym sposobem zawarte zostały preliminaria traktatu przez zręczną panią de Rive, która trzy razy jeździła, powracała, łagodziła obie strony, i przywiodła je do spisania przymierza... Nakoniec naznaczono na widzenie się obu pań urzędową godzinę.

Jedna tylko staruszka starościna zaborska miała być z razu przytomna odwiedzinom i pojednaniu; ale wedle punktów kontraktu powinna się była oddalić po preliminariach i zostawić przyjaciółki sam na sam, dla dokonania zgody.

Krystyna przyjąwszy nieco uciążliwe warunki, tryumfowała, nie wiedząc, że Julia równie z tego była

sześcieliwa. Z obu stron odegrywano dobrze jedną ze scen téj komedyi wiekuiestj życia, w której bardzo często wszyscy się oszukują wzajemnie.

Krystyna nie domyślała się wcale, że przyjazd Julii do Warszawy miał tylko na celu zbliżenie się do ukochanego:

Pierwsze kroki były zrobione, reszta pójsć miała łatwo.

Gdy już termin został wyznaczony, piękna pani przy rannj swj kawie, kazała przywołać posłusznego małżonka.

— Powiem ci niespodziewaną nowinę — rzekła: — dziś jadę do kasztelanowej i godzę się z nią uroczyscie. Musiałam przecię raz to skończyć; położenie było nieznośne i nieprzyzwoite... Pozostaje nam między sobą określić rolę *twoją* względem jēj domu. Nie możesz tam nie bywać kiedy niekiedy; imię twe, stosunki dawne czynią to koniecznością nawet. Ale mój drogi...

Adam patrzył na nią zdziwiony, chłodny. Pogłaszała go pod brodę:

— Proszę cię nie zbliżać się zbyt — bez wspomnień czułych, bez poufałości dawnych... Wiesz, iż mam w wysokim stopniu przymiot zazdrości... O Julię zazdrosną będę więcej niż o kogokolwiekbaż. Choć pochlebiam sobie, żeś jēj dla mnie zapomniał, nie zniosą podziału, fałszu i czułości odgrzewanych. Będę szpiegować, oszukać się nie pozwolę. Jesteś uprzedzony, *à bon eniendeur salut!* Za najmniejszą dwuznaczną nawet czułością dla niēj, jedziemy na wioś, a twoja karyera skończona i zamknięta.

Adam słuchał tych groźb, i w końcu aż się uśmiechnął.

— Proszę cię—rzekł zimno—coż ty myślisz, że rycerzem, Koloandrem, czy jakim romansowym pastierzem arkadyjskim?

— Tak... ale wspomnienia!

— Moje oczy zwrócone są naprzód, przed siebie, nie po za mnie—odparł Adam. Kto się płacze wspomnieniami, ten nie może postąpić śmiało naprzód... Całe twoje dziesięcioro przykazania było przynajmniej zbyt uczynne, a nie mówię już jak nieprzyzwoite!

Krystyna błysnęła oczyma.

— Nieprzyzwoite? *Menagez vos expressions, mon cher*, dodała; — ja nie popełniam nigdy nic nieprzyzwoitego... *sachez le bien...* Żartujesz z rzeczy, która dla mnie wcale nie jest śmieszną... Radzę jeszcze raz nie próbuj mnie oszukać, bo się nie dam, ani wielkimi słowami, ani słodkimi wyrazami.

— Wiem o tém—rzekł Adam z uśmiechem—próbować nie myślę. Zresztą spodziewam się przecie, że wierzysz mi, iż cię kocham.

— Dość—przerwała Krystyna—nie lubię być głośną jak pieski kiedy burczą... Co mi po słowach! nie przekonasz mnie niemi; jam powinna czuć, że mnie kochasz.

Adam zbliżył się i pocałował ją w czoło.

— A! jakżeś ty głupi! zawołała Krystyna, śmiejąc się i ruszając ramionami. Przekonywam się, że twoja sława dowcipu trochę jest przechwalona: zaczynasz być naiwnym!

Adam prawie się uczuł obrażonym, zaczerwienił się; ale pomyślawszy nieco, ochłonął, spuścił głowę i ostygl... Krystyna postrzegła, że go obraziła, i chciała to zaraz naprawić. Uśmiechnęła się, poklepała go po twarzy i dodała:

— Jesteś niezrównany, doprawdy; to wzór najlepszego z mężów! ideał kochanka!

— A gdybym ja ci powiedział, że to są słowa?...

— No! tobym cię raz jeszcze pocałowała—ziewając odparła hrabina. Idź, ubieraj się; po południu, ale po mojej wizycie, pojedziesz najprzód do kasztelana, potem zameldujesz się do niej, ona cię pewno nie przyjmie... A moje przestrogi życzę zapamiętać! i zachować się grzecznie a zimno.

Adam rozśmiał się tylko.

Dokończenie w tomie trzecim.

